

Peter Clement

Stan krytyczny

Prolog

Jako lekarz wiedział, jak należy się budzić.

Zwłaszcza gdy dzwonił telefon.

Tyle że ten dźwięk nie przypominał sygnału telefonu; był raczej jak brzęczenie komara albo dentystycznego wiertła.

Co więcej, mimo hałasu jakoś nie mógł się otrząsnąć z tego snu.

I wiedział, że raczej nie powinien.

Tam, na górze, czekał na niego ból. Lepiej zostać na dole, w ciemności.

Ale i tak się wynurzał.

Najpierw poczuł ból gardła. Co w tym wielkiego? Dwie aspiryny i zadzwonieć do mnie jutro rano. Żaden problem.

Ból jednak zaczął ogarniać najpierw szyję, a później i twarz. Przełknął ślinę i poczuł się tak, jakby była ogniem. Co, u diabła, powiedział i zaraz wydało mu się, że to nie słowa wydostały się z jego ust, ale płomienie, których żar z głośnym sykiem wypalił dziurę w przedniej ścianie krtani.

Poczuł ból głowy, a zaraz potem ramion – od barków do dłoni, jak gdyby ktoś chwycił go za ręce, szarpnął w górę i próbował wyciągnąć go z tego mroku, w którym wołał przecież pozostać.

Przypomniał sobie. Obudził się szarym świtem i zobaczył przy łóżku kogoś, kogo nie powinno tu być. Miał właśnie krzyknąć, gdy w jego mózgu nastąpiła biała eksplozja. Teraz spróbował jeszcze raz; musiał ostrzec kogoś, że zjawił się intruz, ale usłyszał jedynie ten świst pod brodą, a ciągnięcie za ramiona nie ustało.

Chciał uciec, lecz stopy sprawiały wrażenie spętanych.

Dźwięk wciąż trwał: przenikliwe brzęczenie, o którym wiedział tylko tyle, że jest zdecydowanie nie na miejscu.

Nagle wystrzelił w górę, ku światłu, i nie mógł się zatrzymać. Gwałtownie otworzył oczy. Wisiał nagi we własnej kabynie prysznicowej, z rękami uwiązanymi wysoko do wspornika i z nogami sklejonymi taśmą w kostkach. Dźwięk, którego źródłem mógł być niewielki silnik elektryczny, dochodził z za matowej szyby, za którą widać było ciemną, zbliżającą się postać.

Krzyknął rozpaczliwie i kolejny raz spod jego brody wyleciał ze świstem strumień powietrza. Ktoś wyciął otwór w jego tchawicy.

Drzwi rozsunęły się i do kabiny weszła postać w stroju chirurga trzymająca w dłoniach tarczową piłę do kości. Nie miał pojęcia, kim jest intruz. Nigdy dotąd nie widział tak lodowatych oczu jak te, które połyskiwały nad maską zakrywającą większość twarzy. Zaczął więc się w panice, próbując zerwać więzy, kiedy niewielki, wirujący dysk ze stali jął się zbliżać do jego mostka. Krzyk, który wydarł się z jego piersi, gdy ostre zęby piły rozcięły skórę i zagłębiły się w żebra, nie był głośniejszy od szumu porannej bryzy poruszającej nieznacznie zasłoną łazienkowego okna.

Rozdział 1

*Dwa tygodnie wcześniej,
środa, 13 czerwca, godzina 6.45*

Bardziej wyczuła ten dźwięk, niż go usłyszała.

Rozległ się gdzieś w głębi jej mózgu i przez kilka sekund wydawało się, że nie ma większego znaczenia niż ciche pyknięcie opróżniającej się zatoki albo trzaśnięcie zdrowego karku, którego mięśnie i ścięgna zeszytywniały od zbyt długiego bezruchu.

I dlatego Kathleen Sullivan zignorowała ten dźwięk jako jedno z banalnych zdarzeń codziennego życia blisko czterdziestoletniej kobiety, nieistotne i niewarte roztrząsania, by powrócić do seksu z Richardem Steele'em. Siedziała na nim, wpatrując się w jego oczy błyszczące w smudze szarawego światła, które wkradało się z wolna do jej zaciemnionej jeszcze sypialni.

Boże, jak ona go kochała. Wspólny seks wydawał jej się za każdym razem świętowaniem tego, jak bardzo pasowali do siebie w codziennym życiu.

Ból zaatakował ponownie, tym razem u podstawy czaszki, z siłą tarana.

– O Boże! – krzyknęła, chwytając się za potylicę. Zamarła w bezruchu.

Poczuła, że Richard zaczyna się poruszać ze zdwojoną energią. Nie zareagowała, więc po chwili z jego zaczerwienionej twarzy zniknął uśmiech, a jego miejsce zajął wyraz zdumienia.

Gwałtowne zawroty głowy sprawiły, że przechyliła się w prawo, jakby ktoś wymierzył jej mocny policzek. Zsunęła się na bok i nagle z jej ust chlusnął strumień wymiocin. Opadła bez siły na pierś Richarda. Ciemność nadeszła szybko; znacznie więcej czasu minęło, zanim straciła przytomność na tyle, by przestać odczuwać ból.

Lecz nawet wtedy słyszała.

– Kathleen! Kathleen, co się dzieje? – Jego głos dobiegał z bardzo daleka.

Jakby ktoś otwierał mi czaszkę od wewnątrz, próbowała powiedzieć mu w chwili, gdy ciśnienie wyparło z niej resztkę świadomości.

Ból, niczym korzenie, wgryzał się głęboko w jej sen, a macki szorstkiego światła siłą wyrwały ją z litościwej ciemności. Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Widziała wieszaki z butelkami i torebkami płynów oraz spirale plastikowych rurek ciągnące się po ścianach tego ciasnego pomieszczenia, w którym się znajdowała, lecz wszystko to wyglądało dziwnie, jakby podwójnie zarysowane. Zamrugła, by odzyskać ostrość widzenia, ale nic się nie zmieniło. Nie mogła poruszać oczami na boki, jedynie w dół i w górę. Spróbowała unieść ręce, ale nie zdołała wprawić w ruch nawet palców. Czyżby przywiązano ją do łóżka?

Ktoś pochylił się nad nią i przycisnął do jej twarzy czarną maskę, by wpompować w usta i gardło porcję powietrza.

– Ma problemy z oddychaniem – usłyszała głos Richarda dochodzący spoza jej pola widzenia.

– Prędzej!

– Jeszcze minuta, doktorze!

Poczuła, że pomieszczenie przechyliła się mocno w lewo, i nagle zdała sobie sprawę, że znajduje

się w karetce. Najprawdopodobniej w drodze do oddziału nagłych przypadków szpitala, w którym pracował Richard. Ale dlaczego nie mogła na niego spojrzeć? Ani się poruszyć? Boże, co się stało?

– Już dobrze, Kathleen – usłyszała jego głos. – Czuwamy. Spróbuj się odprężyć i pozwól, że pomożemy ci oddychać.

Porcje powietrza z trudem przeciskały się nad podstawą jej języka i przez krtań. Każda wydawała jej się wielka jak piłka tenisowa i dławiła ją, ale zwiotczałe gardło nawet nie reagowało. Miała ochotę zerwać z twarzy maskę i oddychać samodzielnie, lecz nie mogła.

– Nie wiem, czy mnie słyszysz, Kathleen, ale dzwoniłszy do szpitala. Szef neurochirurgii już na nas czeka. Zdaje się, że doznałaś udaru, sądząc po stanie twoich oczu, najprawdopodobniej krwotocznego, ale wyjdiesz z tego. Bądź pewna! – Głos Richarda drżał i załamywał się chwilami. Z trudem przelękając powietrze, Kathleen zastanawiała się, czy jej mężczyzna płacze. – Hiperwentylacja pomoże usunąć z organizmu dwutlenek węgla i zacisnąć arterie w mózgu – ciągnął. Słowa były urywane, jakby haczyły o coś ostrego. – To powinno spowolnić krwawienie.

Wóz zatrzymał się z piskiem hamulców. Drzwi u stóp Kathleen otworzyły się natychmiast i do wnętrza wpadło chłodne powietrze poranka. Dopiero teraz dotarło do niej, że leży naga, przykryta jedynie kocem.

Ratownik wciąż przyciskał maskę do jej twarzy, gdy sześcioro mężczyzn i kobiet w bieli zebrało się przy otwartych drzwiach ambulansu, aby pomóc w wyciąganiu noszy.

– Gdzie Tony Hamlin? – spytał Richard.

– W reanimacyjnej, gotowy do operacji ze swoją ekipą neurochirurgów – odpowiedział ktoś, gdy ruszyli biegiem przez izbę przyjęć i dalej, korytarzem. Widok mknącego tuż nad Kathleen sufitu tylko potęgował jej oszołomienie. Czowała na twarzy dłoń Richarda, który starał się zaciskać maskę wokół jej ust i nosa. Spoglądając w górę, widziała jego pełną niepokoju twarz, gdy w biegu wydawał polecenia. Gdy zerknął w dół i spróbował uśmiechnąć się do niej, była to tylko wątpa namiastka moralnego wsparcia.

Mój Boże, pomyślała Kathleen. Biedaczysko. Myśli, że umrę, tak jak jego żona.

Zawieziono ją do przestronnej, chłodnej sali, w której czekał już tuzin ludzi w zielonych strojach, maskach i chirurgicznych rękawiczkach. Każdy z nich pochwycił zaraz jakiś skrawek jej ciała i zajął się nim w pośpiechu, jakby była wyścigowym samochodem, który na moment zjechał do boku. Niemal równocześnie wsunięto w jej ramiona igły kroplówek, do gardła sporą rurę, a w nadgarstki coś, co wyglądało jak maleńkie kraniki. Znowu czuła, że coś ją dławi, ale nie była w stanie nawet zakaszleć. Leżała nieruchoma jak trup, a jednak w pełni świadoma.

– Jest stabilna, Richardzie. Pozwolisz, że teraz my się nią zajmujemy? – odezwał się mężczyzna o długich, białych włosach stojący u jej głowy.

– Tak, oczywiście, Tony – usłyszała odpowiedź kochanka.

Jeszcze nigdy w jego głosie nie pobrzmiwało tyle napięcia i niepewności.

Nie, nie zostawiaj mnie samej, chciała zawołać.

Ponownie zobaczyła jego przystojną twarz, teraz napiętą i bladą jak lateks naciągnięty na czaszkę.

– Kathleen, zajmie się tobą Tony Hamlin, szef neurochirurgii.

– Cześć, Kathleen – powiedział Hamlin. – Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach.

– To najlepsi ludzie – kontynuował Richard. – Wyciągną cię z tego. Kocham cię – dodał szeptem, pochylając się nad nią.

Proszę, zostań!

Odwrócił się, a ona – mimo ograniczonego pola widzenia – zobaczyła jeszcze, jak odchodzi.

Jedna z pielęgniarek ściągnęła tymczasem z niej koc i zabrała się do wsuwania cewnika do cewki moczowej.

– Atak nastąpił podczas stosunku? – spytała chłodno, badając wydzielinę, która skleiła jej palce.

– Czyż to nie jeden z klasycznych przypadków pęknięcia tętniczego? – mruknął mężczyzna o kręconych włosach doglądający kroplówek. Nie wyglądał na wiele starszego od córki Kathleen, Lisy, która właśnie skończyła dziewiętnaście lat. Chryste, Richard zostawił mnie w rękach dziecka!

– Kiedy pan skończy, doktorze, może wyjdzie pan i zapyta doktora Steele'a o historię choroby? – odezwał się białowłosy, kierując wąski strumień światła latarki wprost w jej oczy. Blask raził ją, ale nie mogła go umknąć inaczej, niż mrużąc oczy. Twarz lekarza wyglądała na zbudowaną z luźnych fragmentów, jak dzieło Picassa.

Richard stał na korytarzu oparty o ścianę. Objęcie komendy nad załogą karetki było nie tylko konieczne, ale także ważne w sensie psychologicznym – pozwoliło mu działać, zapanować nad przerażeniem dzięki koncentracji. Teraz nie miał już nic, czym mógłby zająć myśli; nie jako lekarz, ale jako kochanek. Tu, w samym sercu oddziału, w którym na co dzień ratował ludzi, mógł tego ranka jedynie drzeć ze strachu i bezsilności.

Pielęgniarka o gęstych, siwych włosach i w prostokątnych okularach ze złotą oprawką wyszła energicznym krokiem z tej samej sali, którą przed momentem opuścił.

– Doktorze Steele, może przejdziemy do pańskiego gabinetu? Zrobię panu kawy. – Na plakietce przypiętej do jej kitla widniał napis „Josephine O'Brien”, ale wszyscy, którzy znali ją i darzyli przyjaźnią – a pracowała na tym oddziale dłużej niż Richard – mówili do niej po prostu Jo. – Podłączyliśmy doktor Sullivan do wszystkich bodaj maszyn, jakimi dysponujemy. Jest stabilna. Dopóki nie zrobimy jej tomografii komputerowej, nie dowiemy się niczego nowego.

Za plecami Jo stanęła jej znacznie młodsza koleżanka.

– Jest w rękach doktora Hamlina – dodała. – Nie pomoże pan ani jej, ani sobie, stojąc u drzwi tej sali.

Przemawiały do niego z tą samą mieszanką stanowczości i współczucia, której oczekiwał od swoich podwładnych w kontaktach z przerażonymi rodzinami i przyjaciółmi pacjentów. Wymamrotał podziękowania za wsparcie i gdyby nie był lekarzem, zapewne poczułby się podniesiony na duchu. Problem polegał jednak na tym, że – jak większość lekarzy zajmujących się na co dzień nagłymi wypadkami – dobrze znał realia i żadne uprzejmości nie mogły teraz wypchnąć z jego umysłu danych statystycznych, które tak dobrze pamiętał.

Śmiertelność w przypadku tego typu krwotoków wewnątrzczaszkowych – osiemdziesiąt procent.

Cięzka choroba lub trwałe uszkodzenie mózgu u tych, którzy przeżyją – niemal pewne.

Ryzyko ponownego, śmiertelnego krwotoku – wysokie.

Poczuł chłód w żołądku. Kiedy dwie kobiety prowadziły go korytarzem, musiał starannie

stawiać kroki, jak czyni to pijany. Liczby dosłownie zwały go z nóg. Stojąc przed drzwiami gabinetu, dłuższą chwilę manipulował niezdarnie pękiem kluczy, zanim Jo zabrała je i otworzyła drzwi.

Nie umieraj, Kathleen, powtarzał w duchu. Nie rób mi tego.

Gdy tylko wszedł do swego małego sanktuarium – ciasnej klitki z kawałkiem dywanu, zbyt dużym metalowym biurkiem, dwoma krzesłami i drzewkiem w doniczce – uniósł dłoń do oczu, aby siostry nie zobaczyły łez, które zawisły na jego rzęsach. Zanim jednak je wytarł, strumienie były już na policzkach.

– Proszę, zostawcie mnie teraz – powiedział szybko, unikając wzroku pielęgniarek i z wysiłkiem panując nad głosem. Drobne otworki w płytach zakrywających sufit połyskiwały niczym czarne gwiazdy na białym firmamencie.

– Nigdy w życiu, Richardzie – odparła Jo, jedna z niewielu podwładnych, które miały odwagę zwracać się doń po imieniu. – Usiądź i pozwól, że dla odmiany my zaopiekujemy się tobą – dodała, nie wypuszczając jego ramienia. – Na początek dostaniesz obiecany kubek gorącej kafeiny. – Skinęła głową w kierunku drzwi i jej młodsza koleżanka zniknęła w korytarzu. – I nie przejmuj się, że okazujesz przy mnie słabość – powiedziała, gdy zostali sami. – Pozwól, że powiem ci coś o Kathleen. My, Irlandki, mamy w sobie siłę i upór, które ratują nas w każdej sytuacji. To prawdopodobnie reakcja obronna na obecność wrednych facetów. Z tego co wiem, Kathleen jest równie bojowa jak my wszystkie, a to na pewno pomoże jej przetrwać.

Richard spojrzał na jej pokrytą zmarszczkami twarz i łagodne, brązowe oczy. Jego żona miała w sobie tę samą waleczność, ale czy to jej pomogło?

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał młody rezydent.

– Doktor Hamlin przysłał mnie, żebym zadał kilka pytań, doktorze Steele – powiedział.

– Nie teraz! – warknęła Jo.

Głowa zniknęła za drzwiami.

– Och, te dzieciaki, z których ostatnio robią lekarzy... – mruknęła pielęgniarka. – Znają wszystkie fakty, ale nic nie wiedzą o ludziach.

To dlatego, że ludzkie sprawy są zbyt bolesne, pomyślał Richard.

– To krwawienie mostowe – powiedział mu godzinę później w tym samym gabinecie Hamlin. Chodziło więc o uraz w górnym rejonie pnia mózgu. – Źrenice zwężone, w tej chwili nie reagują. Porażenie czterokończynowe, brak odruchu gardłowego i zdolności przełykania. Kathleen nie może mówić, nie ma też władzy nad mięśniami twarzy. Jest jednak przytomna i na polecenie porusza oczami w górę i w dół. Może także mrugać powiekami. Wyniki badania są jasne.

– Zespół centralnego uszkodzenia mostu? – spytał Richard, czując, że jego żołądek zamienia się w bryłę lodu.

Neurochirurg skinął głową.

– Oddychanie nie pogorszyło się, ale nadal potrzebny jest respirator. Wciąż musimy ją intubować, aby nie zadławiła się wymiocinami. Nie panuje nawet nad splywaniem śliny do płuc. Podaliśmy jej środki uspokajające. Zapewne jest cholernie spanikowana, ale świadomie daje sygnały oczami. Znieczuliliśmy ją też morfiną, a ona przekazała nam, że zmniejszył się ból głowy. Powiedziałem moim rezydentom, że Aleksander Dumas pierwszy opisał ten stan jako...

– Jakie jest rokowanie? – przerwał mu Richard. Nie mógł dłużej słuchać medycznych szczegółów, a przede wszystkim napuszonych wykładów Hamlina, który nie hamował mentorskich zapędów nawet w rozmowie w cztery oczy z kolegą. – Tylko mi nie mów o ogólnych skutkach krwotoków mostowych. Znam dane. Czy zmiany w moście są poważne?

– Czas pokaże – odparł Hamlin jeszcze bardziej profesorskim tonem. – Z tomografii wynika, że krwotok był ograniczony do tego rejonu. Jeżeli tak pozostanie, a chora przeżyje najbliższych kilka godzin, możliwa będzie znacząca poprawa. Dowiemy się więcej, kiedy będzie wystarczająco stabilna, by poddać ją rezonansowi magnetycznemu. Oczywiście czeka ją też angiogram. Jeśli jednak krwotok powtórzy się i rozszerzy na komorę, gdzie nie da się go powstrzymać... – Neurochirurg zawiesił głos.

Steele wiedział, że w takich przypadkach odsetek zgonów jest najwyższy.

– Co rozumiesz przez „znaczącą poprawę”? – spytał.

Z suchych ust z trudem wydobywały się słowa.

– Niekiedy pacjenci odzyskują zdolność oddychania i możemy ich odłączyć od respiratora. Czasem bywa jeszcze lepiej: sparaliżowane pozostają jedynie dolne kończyny, a zdarza się, że i w nich odzyskują częściową władzę. W bardzo rzadkich przypadkach mogą samodzielnie chodzić. Innymi słowy, widywałem już chorych, którym udało się odzyskać prawie całkowitą sprawność, zwłaszcza w górnej połowie ciała, łącznie ze zdolnością przełykania i mowy. Oczywiście przyszłość każdego przypadku jest absolutnie nieprzewidywalna.

Richard przestał słuchać, wyobrażając sobie kolejne scenariusze: Kathleen z rurą respiratora w ustach; o kulach, ciągnąca za sobą bezwładne nogi; jedząca, z brudnym ślimakiem pod brodą – w zasadzie nie było w tym niczego, z czym nie zetknąłby się w swej praktyce... ale u obcych.

– Angiogram da nam wgląd w przyczyny krwotoku. Osobiście podejrzewam wrodzoną wadę tętnicy, prawdopodobnie naczyniak torebkowy, biorąc pod uwagę brak nadciśnienia.

Oczywiście nie muszę ci mówić, że takie rzeczy wychodzą prędzej czy później. Jeśli nie usunie się deformacji w całości, zawsze będzie istniało ryzyko kolejnego krwotoku. Najpierw jednak musimy ustabilizować Kathleen na tyle, żeby dało się zweryfikować to za pomocą obrazowania. Trzeba zminimalizować ryzyko pobocznych uszkodzeń, do których mogłoby dojść podczas zabiegu.

Richard poczuł dreszcz. „Poboczne uszkodzenia” mogły oznaczać coś jeszcze straszniejszego. W tym rejonie mózgu znajdowały się liczne połączenia i ośrodki nerwowe leżące w odległości zaledwie kilku milimetrów od siebie. Kontrolowały oddech, oddawanie moczu i kału, ruchy rąk, mowę i zdolność odżywiania się... Jeżeli nawet przetrwały krwotok, mogły zostać uszkodzone podczas zabiegu. Operacja usunięcia fragmentu naczynia – naczyniaka torebkowego, jak podejrzewał Hamlin – była tak trudna, że w jej wyniku mogło dojść do zniszczenia kolejnych neuronów, a to oznaczałoby pogorszenie stanu lub nawet śmierć Kathleen.

Wiedział o tym wszystkim i nieraz czuł taki strach, ale nawet lekarze ratują się fałszywą nadzieją, kiedy ciężka choroba dotyka kogoś z ich bliskich. Słowa Hamlina sprawiły, że nie pozostała mu nawet ta droga ucieczki.

– Dzięki za informacje, Tony – szepnął z trudem.

Kiedy został sam, puściły mu nerwy – Szloch wstrząsnął nim niczym potężne konwulsje, wyciskając powietrze z płuc i napęlniając gabinet groteskowym, piskliwym jękiem. Tylko raz

zdarzyło mu się płakać w taki sposób, przed laty, kiedy zmarła Luana. Skończyło się to osiemnastomiesięczną spiralą rozpacz, picia i negacji, która niemal kosztowała go utratę syna, pracy, a może i życia.

– Nie tym razem – szepnął przez zaciśnięte zęby. Zgięty w pół, z trudem łapał oddech. – Cokolwiek się stanie, tym razem nie będę uciekał.

Chłód, który czuł w brzuchu, zdawał się kpić z odważnych słów, jakby mówił: kto raz był tchórzem, ten zawsze nim będzie.

Sięgnął myślą do innych, którzy kochali Kathleen – do jej córki Lisy i własnego syna Cheta.

Musiał ich zawiadomić. Zebrał się w sobie, sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do mieszkania Lisy. Czekając, aż odbierze, modlił się, by nie opuściła go żelazna stanowczość, która zawsze pomagała mu w rozmowach z krewnymi pacjentów.

– Halo?

– Liso, mówi Richard.

– Cześć! Co słychać?

Jej młodzieńczy entuzjazm zawisł na moment w ciszy.

– Liso, mam złą wiadomość...

Gdzie, do diabła, jest Richard? Niech to szlag, myślała Kathleen. Dlaczego nie wrócił? I dlaczego nikt jej o niczym nie informuje? Wydawało jej się, że minęła całą wieczność, odkąd sobowtór Beethovena i jego czeladnicy skończyli metodyczne oględziny jej ciała.

Rura, którą wepchnięto jej do gardła, dławiła nieustannie, ale nie śmiertelnie. Nową przyjemnością był cewnik: wsunięty do pęcherza, palił jak rozżarzony węgiel, wywołując ciągłą potrzebę oddawania moczu. Nudności nie mijały, podobnie jak zawroty głowy. Sala wirowała przed oczami Kathleen, jakby jakiś sadysta w bieli przypiął ją pasami do urządzenia, na którym trenują astronauty.

Jeszcze gorsze było to, jak o niej mówiono – jak gdyby była tylko zestawem danych o funkcjach życiowych, zbiorem liczb. Tak jakby w ogóle jej nie było.

– Oddech osiemnaście.

– Tlen dziewięćdziesiąt sześć.

– Dwutlenek węgla dwadzieścia, puls siedemdziesiąt. Ciśnienie sto trzydzieści na siedemdziesiąt.

Dlaczego nie mogła się ruszyć? Dlaczego nikt nie chciał jej powiedzieć. Mrugała zawzięcie, próbując zwrócić na siebie uwagę którejś z odzianych na biało postaci.

Nikt nawet na nią nie spojrział.

Co się stało?

Richard powiedział, że to jakiś udar krwotoczny. Obiecał też, że wszystko będzie dobrze, ale wcale nie jest, do ciężkiej cholery! Chryste, zaparkowali ją pod ścianą i podłączyli do maszynierii, to wszystko.

Wreszcie w polu widzenia pojawiła się kobieta o krótkich, siwych włosach, w małych, złotych okularach.

– Doktor Sullivan, nazywam się Josephine O'Brien, ale wszyscy tu nazywają mnie Jo. Wiem, że jest pani wystraszona i że nie poprawią pani nastroju brednie o tym, że wszystko jest w

najlepszym porządku. Na razie mogę powiedzieć, że pani stan jest stabilny i w tym momencie trudno mieć nadzieję na coś więcej. Richard pojechał po pani córkę. Proszę mrugnąć dwukrotnie, jeśli jest pani gotowa ją zobaczyć.

Usłyszawszy imię córki wypowiedziane z taką prostotą i łagodnością, Kathleen przestała się czuć jak anonimowe ciało.

– Tak! Tak! – Zamrugła przez łzy. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do niej, że wciąż jeszcze może płakać.

Doktor Tony Hamlin tak długo wodził wzrokiem po tłumie wypełniającym bufet, aż wypatrzył człowieka, którego szukał. Ruszył w jego stronę szybkim krokiem, lawirując między stolikami, przy których siedzieli rezydenci, sanitariusze i pielęgniarki. Ci, którzy zjedli już śniadanie, mijali go w pośpiechu, kierując się ku swoim oddziałom – za chwilę mieli rozpocząć dzienną zmianę w nowojorskim szpitalu miejskim. Obowiązywał tu dość ścisły system: pielęgniarki i pielęgniarze mieli bładozielone stroje, sanitariusze niebieskawe, personel sal operacyjnych i intensywnej terapii zaś ciemniejsze fartuchy, lepiej maskujące ślady płynów ustrojowych, które często tryskały podczas zabiegów. Lekarzy wyróżniały białe kitle rozmaitej długości – krótkie nosili studenci, a średnie i długie rezydenci o różnym stopniu specjalizacji.

Długi kitel neurochirurga powiewał za nim jak peleryna. W parze z bujnymi białymi włosami byłby oznaką wodzostwa w każdym plemieniu.

Doktor Jim Norris, w stronę którego podążał Hamlin, ubierał się według indywidualnego kodeksu: miał na sobie ciemnobrązową skórzaną kurtkę pilota, miejscami tak pomarszczoną i steraną jak brodata twarz właściciela. Mierzący ponad metr osiemdziesiąt chudy mężczyzna pochylał się nad porcelanową filiżanką wrzątku, w którym rytmicznie maczał torebkę herbaty. Kiedy zobaczył przybysza, zmrzążył ciemne oczy tak, jak czyni to agresywny pies, gdy chce zasygnalizować, że nie należy mu przeszkadzać.

– Ciekawe, czemu zawdzięczam wizytę szefa neurochirurgii o tak wczesnej porze – powiedział, gdy Hamlin znalazł się dostatecznie blisko. – Tylko mi nie mów, Tony, że znowu trafił ci się beznadziejny przypadek i że nie będę mógł dokończyć herbaty.

– Daj spokój, Norris. Uwielbiasz, kiedy odciążam cię od tych twoich szczurów i daję szansę zajęcia się prawdziwą medycyną. Nie udawaj, że jest inaczej.

Badacz błysnął zaskakująco białym uśmiechem spod gęstych, siwiejących wąsów.

– O co chodzi tym razem?

– Musimy się spieszyć – odparł ciszej Hamlin, siadając przy stoliku. – Zbadałem właśnie sławną dziewczynę wielce szanownego szefa oddziału nagłych wypadków. Doznała krwotoku wewnątrzczaszkowego; zdaje się, że baraszkowali sobie wyjątkowo energicznie. Ma zespół centralnego uszkodzenia mostu. To młoda, niespełna czterdziestoletnia kobieta, generalnie zdrowa i wolna od czynników ryzyka, jeśli wierzyć Richardowi. Dlatego jest świetnym kandydatem, podobnie jak inni...

– Chyba nie sugerujesz, żebyśmy spróbowali z nią?!

– Oczywiście, że tak.

– Oszalałeś? A jeśli Steele się dowie? Będziemy skończeni.

– Niekoniecznie. Być może uratowanie jej pomoże nam się wydostać z bagna, w którym

tkwimy.

– W jaki sposób?

– Jeżeli nasz wlew przyniesie pożądany skutek, Richard może do nas dołączyć. Pomyśl, jakie mielibyśmy z tego korzyści: informowałby nas za każdym razem, gdy na jego oddziale zjawiałby się nasz pacjent, i to jeszcze zanim inny lekarz zdążyłby przejrzeć stare karty choroby. Ryzyko wypadki zmniejszyłoby się znacząco.

– A jeśli wlew nie zadziała?

– Wtedy kobieta i tak będzie martwa lub, co gorsza, zostanie warzywkiem na wózku inwalidzkim. Steele spodziewa się takiej sytuacji.

– A jeżeli się dowie, co jej zrobiliśmy?

– Dowie się tylko wtedy, gdy nasz system zadziała, bo wówczas sam mu o tym powiem. Dam mu też jasno do zrozumienia, że jeśli nie będzie z nami współpracował, nie poddamy jej drugiej fazy kuracji, która jest niezbędna.

– To jakiś obłąd. Przecież może odmówić. Skąd wiesz, że nas nie wyda?

– Stawiam na to, że zrobi wszystko, żeby nie stracić tej kobiety. Pamiętasz, co się działo, kiedy zmarła jego żona?

Norris skrzywił się, objął dłońmi filiżankę i pociągnął łyk herbaty.

– No, nie wiem – mruknął.

– Do diabła, to moje nazwisko widnieje na kartach wszystkich tych pacjentów. Jeżeli ktoś nabierze podejrzeń, to ode mnie będą żądać wyjaśnień. A może mam skierować ciekawskich do ciebie?

Brodacz znieruchomiał, a po chwili jego usta ponownie rozchyliły się w uśmiechu, choć tym razem znacznie wolniej, ukazując stopniowo ząb za zębem.

– Nie do twarzy ci z tymi groźbami, Hamlin. A może źle cię zrozumiałem?

– Wszyscy jesteśmy zagrożeni. Jeżeli ty i pozostali chcecie się czuć bezpiecznie, dbajcie o to, żebym i ja był poza podejrzeniami. To oznacza, że Steele jest nam potrzebny. Chryste Panie, gdybym wiedział, że sprawy przybiorą taki obrót, nigdy bym się nie zgodził na twój wariacki plan.

– Mój wariacki plan? – Z twarzy Norrisa nie zniknął wymuszony uśmiech. – Jesteśmy raczej ofiarami własnego sukcesu. Kto mógł przewidzieć, że stan naszych podopiecznych tak się poprawi, że trzeba będzie wypuścić ich do domów?

– Nazywasz sukcesem to, co się z nimi stało? Na miłość boską, przez nich żyjemy jak zbiegowie! A ty masz cholerne szczęście, że jak dotąd udawało mi się odwieść rodziny od żądania autopsji.

Norris zachichotał. Gdyby ktokolwiek zwracał na niego uwagę, uznałby go za najszcześniejszą osobę w całym bufecie.

– Pewnego dnia będziemy bohaterami, a ty staniesz się gwiazdą „Neurology Today”, tak jak zawsze marzyłeś – powiedział. Dopił herbatę i wstał. – Miejmy nadzieję, że Steele rzeczywiście okaże się naszym przyjacielem. Gdybyś mnie potrzebował, będę przygotowywał to w laboratorium. Rozumiem, że zamierzasz zrobić wlew jak zawsze po godzinach, w ramach dodatkowego angiogramu?

Hamlin zjeżył się nieco, urażony arogancją Norrisa. A może to tylko sarkazm? Z nim nigdy nie wiadomo, pomyślał. Zachował profesjonalny chłód, bo i tak już od dawna uzależniony był od

tego genialnego fiuta.

– Tak jest. Dokończymy podczas operacji, jeśli babka dożyje. Wezwę cię, kiedy będziemy gotowi.

– Ostatni raz robię to dla ciebie, Tony. – Usta Norrisa zacisnęły się i znikły.

Hamlin wyobrażał sobie, że gdzieś w gąszczu zarostu, za pomarszczoną skórą, kryją się ostre kły ociekające jadem.

Zdawało jej się, że jest noc, ale nie była pewna.

– Cholernie świetna pora na angiogram – zrzędziła pielęgniarka, wyprowadzając łóżko z sali oddziału intensywnej opieki medycznej na korytarz.

– To właśnie jest ta „minimalizacja przestojów” i „maksymalizacja wydajności”, o której ciągle nam trują – odpowiedział mężczyzna, którego zadaniem było sterowanie przenośnym respiratorem jadącym obok łóżka Kathleen. Chwilami dostrzegała jego hebanową dłoń przytrzymującą monitory, które na czas podróży ustawiono na posłaniu.

Kobieta roześmiała się hałaśliwie.

– To jeszcze nic! Cholera, mam kuzyna w Jersey. Mówi, że szpital, w którym pracuje, na noc wypożycza sprzęt do rezonansu magnetycznego weterynarzom.

– Nie gadaj! A co z pchłami?

Głosy odpłynęły w dal, gdy zaczęła działać nowa dawka morfiny. Teraz Kathleen już tylko przyglądała się sunącemu z wolna sufitowi. Wreszcie wyczuła serię skrętów i po chwili minęli drzwi z napisem RADIOLOGIA.

Zaraz, chciała krzyknąć. Potrzebuję Richarda! Tylko wtedy, kiedy był blisko, traktowano ją z szacunkiem.

Na oddziale nagłych wypadków było jej dobrze. Pielęgniarki Richarda pocieszały ją jak tylko mogły, a Jo trzymała za rękę, gładziła po głowie i objaśniała wszystkie czynności, które przy niej wykonywano. Kiedy jednak Kathleen trafiła na oddział intensywnej terapii, personel przestawał być miły i ludzki, gdy tylko drzwi zamknęły się za Richardem. Słyszała wszystkie cierpkie uwagi, które wymieniano pod jego nieobecność.

– Ciekawe, na czym ma polegać to „specjalne traktowanie”.

– Nie jest nawet jego żoną.

– Tylko dlatego, że jest ważną panią genetyk z telewizji, a szef oddziału na nią leci...

Raz padło nawet słowo „metresa”.

Jakie to staroświeckie, pomyślała podczas jednej z faz wytchnienia wyznaczanych dawkami morfiny.

Kiedy jednak cierpiała, bo pielęgniarki spóźniały się z zastrzykami, była niemal pewna, że robią to celowo.

Może jeszcze wytniecie mi wielkie „A” na czole, wy przemądrzałe krowy, chciała krzyknąć. Walcząc w milczeniu z oporem ciała, w którym uwięziły ją nieposłuszne nerwy i mięśnie, daremnie poruszała oczami i trzepotała powiekami niczym motyl. Drobne ruchy nie przykuwały niczyjej uwagi, a klaustrofobia oddziaływała coraz silniej, dusząc równie skutecznie jak poduszka przyciśnięta do twarzy. Minęła wieczność, zanim pojawiła się młoda, energiczna pielęgniarka o

jasnych, sterczących włosach i brylanciku w nosie. Podłączyła strzykawkę do przewodu kroplówki i wtłoczyła w żyły chorej porcję ulgi.

Kathleen ponownie odpłynęła.

Od czasu do czasu rozmyślała o Lisie.

Serce jej pękało, kiedy wczesnym popołudniem patrzyła, jak nastolatka próbuje być dzielna, stojąc przy łóżku sparaliżowanej matki. Oczy Lisy były intensywnie zielone, a włosy jasno-kasztanowe – podobnie jak jej. Jednak tego dnia twarz dziewczyny była tak blada, że oczy i czupryna sprawiały wrażenie wręcz krzykliwych.

– Boli cię? – spytała Lisa.

Nie, mrugnęła Kathleen. Skłamała.

– Wszystko będzie dobrze, mamusiu.

Tak, przytaknęła, gotowa poprzeć każde kłamstwo pocieszające jej dziewiętnastoletnią córkę, która od dobrych trzynastu lat nie nazywała jej mamusią. Widziała Richarda, który położył dłonie na ramionach Lisy. Podobało jej się, że tak stoją.

Mimo to poczuła ulgę, kiedy wizyta dobiegła końca i Richard wyprowadził Lisę. Przynajmniej się nie rozplakałam, pomyślała.

– Chet też chciałby cię odwiedzić – powiedział Richard, gdy wrócił.

Czyżby, pomyślała. Wiedziała przecież, że czternastolatek zaledwie trzy lata wcześniej obserwował, jak jego matka umiera na raka.

Tym razem, mimo najszczerzych chęci, jej oczy napełniły się łzami. Jedną z największych przyjemności ostatniego roku z Richardem było to, że nauczyła się kochać Cheta i przekonała się, że chłopak odwzajemnia jej uczucie. Ponowne obcowanie ze śmiercią mogło otworzyć stare rany w jego sercu. Pojawiłby się strach przed ponownym osieroceniem... Przed odejściem Kathleen. Niewykluczone, że Chet byłby bardziej zdruzgotany niż Lisa.

– Masz dość siły, żeby go zobaczyć? – spytał Richard.

Nie, mrugnęła. Uznała, że byłaby to dla chłopca zbyt ciężka próba. Zastanawiała się też, czy Richard tym razem ma w sobie dość siły.

Poczuwszy, że jazda dobiegła końca, Kathleen otworzyła oczy. Leżała pod jaskrawą lampą w sali operacyjnej, obok dużej beżowej maszyny i czegoś, co wyglądało na ekran telewizyjny. Hamlin, w chirurgicznej masce na twarzy, pojawił się nagle w jej polu widzenia z prawej i przetarł bok jej szyi czymś zimnym o nieprzyjemnie medycznym zapachu.

– Dziękuję – zwrócił się do ludzi, którzy przyprowadzili łóżko i respirator. – Zadzwonimy, kiedy można będzie zabrać pacjentkę.

– Nie do wiary, że jednak to robisz – syknął mężczyzna w białym kitlu, który pochylił się nad Kathleen z lewej strony. Na plakietce przypiętej do jego kieszeni widniał napis DR MATT LOCKMAN. On także miał na twarzy maskę, ale przez cienki materiał widać było ostry nos i chudy, cofnięty podbródek, za sprawą którego twarz budziła skojarzenia ze szczurzym pyskiem. Z pyskiem zaszczutego szczura, poprawiła się w myślach Kathleen, widząc strach w jego oczach.

– Zamknij się! – warknął Hamlin. W jego głosie nie było nawet śladu wytwornych manier, które prezentował przez cały dzień. – Pacjenci w takim stanie często słyszą, nawet jeśli nie reagują w żaden sposób. Niekiedy też pamiętają.

Szczurzy pysk spojrział na Kathleen z niechęcią.

– Mówiłeś, że jest nafaszerowana morfiną.

– Bo jest. I midazolamem z kroplówki. Ale wiesz przecież, jak trudno ocenić działanie tych środków na pacjentów po udarze. Niektórzy są tylko trochę oszołomieni i pamiętają później najdrobniejsze szczegóły.

– Chryste – mruknął Lockman. Pochylił się nad udami kobiety i omiół jej krocze równie zimnym wacikiem.

Kathleen z wysiłkiem spojrzała w dół. Dłonie w rękawiczkach trzymały mniej więcej metrową rurkę zakończoną maleńką pętlą z drutu. Całość spoczywała w plastikowej pochwie zamkniętej potężną igłą. Poczowała mocne ukłucie, gdy Lockman wbił igłę w jej krocze, i drgnęłaby zapewne odruchowo, gdyby tylko mogła. Lekarz wsunął przez igłę do jej ciała całe urządzenie, tak że na zewnątrz pozostało ledwie kilka centymetrów rurki. Z własnych doświadczeń na zwierzętach wiedziała, że rurka mogła zostać wprowadzona do tętnicy, zwłaszcza że szybko nappełniła się krwią.

– Tony, jeżeli powiesz Steele’owi choćby o części spraw, którymi się zajmujemy, pośle nas wszystkich do pułdła. A odszkodowania... Jezu, będziemy zrujnowani.

– Powiedziałem ci już, żebyś się zamknął.

– Jeśli na jego oddział nagłych wypadków trafią znowu „martwi w chwili przybycia”...

– Milcz!

Lockman spojrzał na Hamlina spode łba.

– Ostrzegam cię, że nie pozwolę, żeby on lub ktokolwiek inny sprowadził nam wszystkim na kark gliny pod zarzutem zabójstwa. Rozumiesz? Nawet gdybym miał uciszyć go własnoręcznie.

– Jezu Chryste, co z tobą? – syknął Hamlin, posyłając współnikowi wściekłe spojrzenie. – Kazałem ci zamknąć mordę! – dorzucił i pochylił się gwałtownie nad Kathleen. Kiedy zbliżył rękę do jej szyi, zobaczyła błyszczący czubek igły długiej przynajmniej na piętnaście centymetrów.

O Boże, pomyślała, starając się sięgnąć wzrokiem jeszcze niżej. Nie zobaczyła nic więcej. Poczowała za to ukłucie, gdy igła przebiła skórę na wysokości tętnicy szyjnej. Ból nappełnił jej oczy łzami. Przerażona i niepewna zamiarów lekarzy, zaczęła mrugać gwałtownie w niemym proteście.

Hamlin zignorował jej reakcję. Uniósł mały, cienki jak nić cewnik i podłączył końcówkę do igły wbitej w szyję. Zaczął wprowadzać rurkę do głowy Kathleen, powoli wysuwając ją z plastikowej pochwy. Lockman tymczasem przyciągnął bliżej beżową maszynę, aż sterujący z niej stożek głowicy znalazł się nad punktem tuż pod uchem pacjentki. Nacisnął klawisz i zobaczyli na ekranie rentgenowski portret ludzkiego mózgu w odcieniach czerni i szarości.

Sięgnął po strzykawkę i wtłoczył jakiś płyn przez cewnik w okolicy krocza. Po chwili obaj z Hamlinem spojrzeli na ekran, na którym widać było białą koronkę żył. Ku górze obrazu przesuwało się wolno coś, co wyglądało jak ciemny robak pełznący siecią naczyń krwionośnych. Poziomo zbliżała się do jego czubka znacznie cieńsza nić.

Strach przyprawił Kathleen o mdłości. Widziała na ekranie własną głowę, a tym, co się w niej poruszało, były dwa cewniki penetrujące jej mózg.

Co wy robicie? – chciała krzyknąć, czując nagłe ciepło gdzieś w czaszce.

– Gdzie się uczyłeś takiego manewrowania cewnikiem przez szyję? – spytał Lockman, ponownie naciskając tłok strzykawką. W jego głosie słychać było rozdrażnienie.

Patrząc na rozszerzającą się na ekranie siateczkę bieli, Kathleen zrozumiała, że do jej żył wstrzykiwany jest barwnik.

– Realizowaliśmy kiedyś projekt badawczy. Próbowaliśmy łączyć uszkodzone naczynia krwionośne precyzyjnie umieszczaną porcją kleju cyjanoakrylowego, tego samego Krazy Glue, którego używają do ran na oddziale nagłych wypadków – odparł Hamlin, nie odrywając wzroku od monitora. – Nie udało się, ale przynajmniej nauczyłem się manipulowania w naczyniach wewnątrz czaszki.

Chyba nie zamierzają wlać mi do mózgu Krazy Glue?! Kathleen wydała niemy krzyk niedowierzania. Była zdana na łaskę szaleńców.

– Że też nie ma łatwiejszego sposobu – mruknął Lockman.

– Tutaj – rzekł Hamlin, ignorując jego uwagę. – To jest to miejsce. Obok konaru... przy tylnej tętnicy mózgowej. Daj pętelkę trochę wyżej, zobaczymy, czy możesz złapać mnie balonikiem...

Kathleen nie miała pojęcia, o czym rozmawiają, ale na ekranie zobaczyła, jak większy robak zaczął sunąć w górę, aż wreszcie pętelka na jego końcu znalazła się tuż pod końcówką mniejszej, poziomej linii. Lockman powiedział coś o nawlekaniu igły i po chwili ciemne włókienko ruszyło, przechodząc przez pętelkę.

– Napelnij balonik – polecił zniecierpliwiony Hamlin.

Lockman zaczął manipulować końcówką cewnika przy udzie pacjentki. W punkcie, w którym przecinały się ciemne linie, ukazał się mały, krągły kształt. Rósł, przybierając postać czarnego bąbla.

– Powinno wystarczyć – powiedział.

– Ostrożnie pociągnij w dół, dam ci trochę luzu. Kathleen patrzyła z przerażeniem i fascynacją, jak grubsza linia ciągnie cieńszą w dół, ku miejscu, w którym z tętnicy wyrastała większa plama bieli. Czy właśnie w tym miejscu nastąpił krwotok?

– Chryste Panie! Ustawisz wreszcie końcówkę przy tętnicy mostowej, jak ci kazałem? – zirytował się Hamlin.

– Potrafisz być upierdliwy, wiesz?

– Więc trzymaj porządek, aż krew wciągnie go na miejsce. Wolny koniec cieńszej linii poruszał się raz po raz, gdy dwaj mężczyźni, przeklinając się wzajemnie, próbowali umieścić go we właściwym miejscu. Wydawało się, że minęło sporo minut, zanim wcisnęli go do odgałęzienia prowadzącego ku białej plamie.

– Zmniejsz nieznacznie ciśnienie w baloniku – rozkazał Hamlin, unosząc szklaną strzykawkę z przezroczystym płynem. Bezceremonialnie wprowadził ją do bocznego gniazda cewnika, który sterczał z szyi Kathleen. Wstrzyknięcie barwnika wywołało uczucie ciepła w głowie; ten zastrzyk był raczej boleśnie lodowaty.

Boże, co oni mi podają? Miała wrażenie, że ten koszmar nigdy się nie skończy. Lockman mówił coś o zarzutach zabójstwa. Czy oni z zimną krwią mordowali ludzi? Robili z nimi to samo, co teraz z nią? Ale dlaczego?

Przez jej głowę przemykały makabryczne historie o seryjnych mordercach pracujących w szpitalach. Nie, to wykluczone, uspokajała się w duchu, próbując wmówić sobie, że niemożliwe jest, by ci dwaj byli takimi potworami i nikt o tym nie wiedział.

Myśl jednak wracała uparcie. Zwłaszcza Lockman wydawał się Kathleen niebezpieczny. Czy mogła nie podejrzewać go o najgorsze? Czy nie mówił chwilę wcześniej, że gotów jest zabić Richarda?

Odruchowo rzuciła się w stronę swoich prześladowców, ale w rzeczywistości zaledwie mrugnęła powiekami i poruszyła oczami w daremnym pokazie oburzenia.

Lockman z niechęcią zerkał na nią przez ramię.

– Wiesz, trafnie ją opisałeś – stwierdził.

Hamlin nie odpowiedział. Był wyraźnie zirytowany postawą współnika.

– Mówię o tym cytacie, którym uraczyłeś rezydentów. Z czego to było? – nie ustępował Lockman.

Neurochirurg opróżnił strzykawkę i odetchnął głęboko.

– Mówisz o opisie Nortiera z *Hrabiego Monte Christa* Dumasa? – spytał, wyrzucając zużytą igłę i z trzaskiem zrywając z dłoni rękawiczki. Ponownie był lekarzem o nienaganych manierach.

– Tak – przytaknął Lockman, wyraźnie ucieszony, że ich stosunki wracają do normy. – Ona naprawdę jest trupem o żywych oczach.

Rozdział 2

Czternastoletni Chet zbliżał się już wzrostem do mierzącego metr osiemdziesiąt ojca, a jego głos zdecydowanie się ostatnio obniżył. Tylko loki na jego głowie, ciemne jak u matki, pozostały równie niesforne jak wtedy, gdy był małym dzieckiem. W jego spojrzeniu, nigdy nie skrywającym prawdziwych uczuć, Richard dostrzegał teraz ten sam mrok, który pojawił się już, gdy umierała Luana – i coś jeszcze. Determinację, której dawniej w nim nie było. Sugerowała siłę wyrosłą z tragedii, która omal nie zniszczyła i ojca, i syna.

– Tato, tym razem chcę znać prawdę. Czy Kathleen umrze? Tym razem. Nie tak jak wtedy, gdy okłamywał go w rozmowach o stanie matki.

– Nie wiem, Chet – odpowiedział. – Jest w poważnych tarapatkach, ale niewykluczone, że przeżyje.

Chłopak wpatrywał się w niego oczami matki. Odkąd umarła Luana, Richard miał wrażenie, że to właśnie ona spogląda nimi zza grobu i czyni mu wyrzuty, że chroniąc się przed własnym bólem, uciekł od syna. Przez ostatni rok, gdy w ich życiu pojawiła się Kathleen, odnajdywał w tym samym spojrzeniu pocieszenie. Tym razem nie było inaczej, choć w oczach Cheta widać było też, ile wysiłku kosztuje tego małego mężczyznę bycie dzielny.

Chet z trudem przełknął ślinę.

– Mówisz o tym dość spokojnie – powiedział niepewnie.

Czy chodziło mu o to, że skoro ojciec nie jest teraz przy Kathleen, to być może znowu ucieknie od własnego syna? Richard miał ochotę zmierzić czuprynę chłopaka i przytulić go tak, jak robił to dawniej, zanim zniszczył wszystko, przekreślając nadzieję na normalne okazywanie uczuć.

– Kocham ją tak samo jak ty, Chet, i jestem równie przerażony – odparł. – Chodzi o to, że pracując na oddziale nagłych wypadków, człowiek nabiera praktyki w spokojnym przyjmowaniu najstraszniejszych zjawisk. Nie oznacza to jednak, że mi nie zależy.

Postanowił przestać na tym. Bardzo chciał uspokoić syna, ale wiedział doskonale, że po tym, co przeszli, żadne obietnice i argumenty nie przekonają ani chłopaka, ani jego, iż najgorsze nie może się powtórzyć. Podobnie jak dobre intencje całego świata nie zrobią z tchórza bohatera. Czekał więc w milczeniu, pozostawiając Chetowi wybór, czy lepiej stawiać się dalej, czy po prostu odpuścić.

Siedzieli w salonie udekorowanym obrazami i kwiatami, pełnym rodzinnych fotografii. Wszystko to było wspomnieniem Luany, a ściślej jej instynktu tworzenia ciepłego i pięknego zarazem gniazda. To tu praktykowała sztukę – nauczała muzyki i grywała na swoim skarbce: wspaniałym fortepianie stojącym przy oknie. Od czasu do czasu wpadali do nich dawni uczniowie Luany, by zagrać jeden z utworów, nad którymi razem pracowali, a wtedy dom raz jeszcze napełniał się jej duchem.

– Lubię kobietę, która to wszystko urządziła – powiedziała Kathleen podczas jednej z pierwszych wizyt u Richarda. – Była wyrafinowana i miała swój styl, a równocześnie myślała przede wszystkim o rodzinie.

Chet odetchnął głęboko, wstał i zaczął się przechadzać po salonie.

– Powiemy Lisie otwarcie, jak ciężki jest stan jej matki? – spytał, zniżając głos i ruchem oczu

wskazując drzwi sąsiedniego pokoju. Dziewczyna siedziała tam od dłuższego czasu, dzwoniąc do wszystkich, których należało poinformować o sytuacji: do współpracowników z laboratorium, przyjaciół, wydawców jej książek i redaktorów programu telewizyjnego. Lista była długa. – Wiem, że ona rozumie powagę sytuacji – dodał szeptem – ale jeśli zapyta nas wprost, tak jak ja, to czy powinniśmy odpowiedzieć otwarcie?

Richard spojrział na syna z uwagą.

– A jakie jest twoje zdanie? – spytał. Instynkt podpowiadał mu sposób postępowania rokujący nadzieję na naprawienie zła, które odsunęło go tak daleko od Cheta. – Przyznaję, że w tej kwestii nie radziłem sobie najlepiej, kiedy chorowała twoja matka.

Chłopak był wyraźnie poruszony tym wyznaniem. Na jego twarzy widać było zdziwienie, jakby się zastanawiał, czy ojciec mówi szczerze. Wreszcie kilkakrotnie przełknął ślinę i jakby się wyprostował.

– Mówimy prawdę, od początku do końca. Inaczej nie będzie nam ufała.

Jego głos drżał nieznacznie, ale oczy pełne były determinacji, na widok której serce Richarda urosło. Pamiętał to spojrzenie: tak patrzyła Luana, kiedy wykryto u niej raka trzustki i zrozumiała, że pora sposobić się do decydującej walki. Mój Boże, pomyślał, Chet ma w sobie tę samą odwagę, a ja jeszcze nigdy nie dałem mu szansy jej wykorzystać.

*czwartek, 14 czerwca,
godzina 7.10*

Od dziesięciu minut powinien być na oddziale, a tymczasem ledwie się obudził. Sen zmorzył go dopiero o piątej nad ranem.

– Jest na tyle stabilna, na ile można się było spodziewać, doktorze Steele – odpowiadały niezmiennie pielęgniarki, gdy dzwonił. Ich ton wskazywał jednoznacznie, że uważają go za utrapienie.

Zasnął przed telewizorem podczas nocnej emisji odcinka *Sea Hunt*. Po dwóch godzinach niespokojnego snu, nie mogąc skupić myśli na niczym i nikim poza Kathleen, ruszył prosto na intensywną terapię przekonany, że w takim stanie i tak nie przyda się na własnym oddziale.

Wbiegł na górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie, by ominąć poranny tłok przed drzwiami wind. Zwalniał, mijając korowody mężczyzn i kobiet w bieli, ciągnące się jak luźne nici kitla za lekarzami, którzy wykonywali poranny obchód. Na korytarzach również panował tłok, tyle że za sprawą salowych wynoszących baseny i wnoszących tace z jedzeniem – wszystko to tworzyło osobliwą mieszankę zapachów. Steele zauważył, że znacznie spokojniej jest przy drzwiach, przez które szef oddziału wprowadzał do sali starszą kobietę o zaczerwienionych oczach. W głębi, na posłaniu, leżała nieruchoma postać zakryta prześcieradłem. Pielęgniarki musiały znaleźć nieszczęśnika na krótko przed końcem nocnej zmiany. Richard wzdrygnął się na myśl o tym, jak niepostrzeżenie można odejść z tego świata nawet w szpitalu.

Na oddziale intensywnej opieki medycznej nie wyczuwało się ani aromatu smażonych jajek na bekonie, ani żadnej innej potrawy, jako że pacjentów w większości odżywiano przez rurkę. Nic nie tłumilo zapachu wynoszonych ekskrementów.

Już z dobrych siedmiu metrów zobaczył, że Kathleen mruga zawzięcie i przewraca oczami,

jakby były plastikową imitacją na sprężynach.

– Jak długo to robi? – spytał kręcąc się w pobliżu pielęgniarkę, szybkim krokiem podchodząc do Kathleen.

– Według raportu całą noc, doktorze Steele – odpowiedziała.

Zdaniem Richarda wyglądała dość dziwnie z tą sterczącą blond fryzurą i kolczykiem w lewym nozdrzu. Przypomnił sobie, że była jedną z osób, z którymi rozmawiał poprzedniego dnia, prosząc o najlepszą opiekę nad Kathleen. Lakoniczność jej wypowiedzi oraz ton spod znaku „mam to gdzieś” sugerowały, że marnował czas. Nagły atak gniewu ścisnął mu żołądek.

– Na początku dziewczyny myślały, że to jakiś atak – ciągnęła pielęgniarka, nie trudząc się spoglądaniem w stronę Steele’a – ale okazało się, że chora odpowiada bezbłędnie „tak” i „nie” na wszystkie pytania. W końcu doktor Hamlin kazał zwiększyć dawkę morfiny i dopiero wtedy uspokoiła się na parę godzin. Z karty wynika, że wieczorna zmiana nie do końca postarała się o właściwe znieczulenie. Dopilnowałam, żeby teraz było inaczej.

Starając się panować nad sobą, Richard pochylił się nad pościelą.

– Kathleen, czujesz ból? – spytał.

Mrugnęła raz. „Nie” według konwencji ustalonej z Jo O’Brien.

– Coś jest nie w porządku?

Poruszyła powiekami dwukrotnie. „Tak”.

– Jesteś oszołomiona?

Brak odpowiedzi.

– Tak czy nie?

Powieki nie poruszyły się, tylko oczy uniosły się w górę i znieruchomiały. Nawet teraz tliły się w nich iskry, które tak dobrze znał, a cudowna zieleń lśniła w sztucznym świetle. Gdyby nie znał Kathleen lepiej, pomyślałby, że chce mu okazać zniecierpliwienie.

– Potrzebujesz więcej morfiny?

Zdecydowanie nie.

– Jesteś niespokojna?

Oczy ponownie zwróciły się ku sufitowi. A jednak traci cierpliwość, pomyślał. Najwyraźniej zadawał niewłaściwe pytania. Pochylił się niżej i szepnął:

– Podać ci basen?

Tym razem Kathleen mrugnęła zdecydowanie i znowu wzniosła oczy.

Na monitorach u wezgowia łóżka zapaliły się ostrzegawcze światelka sygnalizujące wzrost ciśnienia krwi. Puls przyspieszył do stu dwudziestu.

– Denerwuje ją pan tymi pytaniami, doktorze Steele – odezwała się pielęgniarka. – Proszę dać jej odpocząć. Wie pan doskonale, że każdy skok ciśnienia może spowodować kolejny krwotok.

Wskaźniki ponownie skoczyły w górę.

Nie, mrugała Kathleen bez końca, oddzielając sygnały wystarczająco długimi przerwami, by nie było mowy o pomyłce.

Nie? Co znaczy nie? – zastanawiał się Richard. Nie chce, żebym tu siedział, czy nie obawia się kolejnego udaru? Instynktownie chwycił ją za rękę, miękką i bezwładną jak sama śmierć. Uniósł ją do ust i delikatnie ucałował nieruchome palce. Drugą dłoń położył na czole Kathleen i czule pogładził jasno-kasztanowe włosy. Wskazania przyrządów wolno wracały do normy.

– Zostanę z pacjentką – oświadczył pielęgniarce. Czuł się dotknięty jej obojętnością; zachowanie spokoju kosztowało go sporo sił.

– Nie ma sprawy – prychnęła. – Tylko że to pan będzie miał problem, jeśli coś się stanie.

Richard skrzywił się, ale nie odpowiedział. Nieprzerwanie gładził dłoń i czoło Kathleen.

– Tak lepiej? – spytał.

Tak, mrugnęła.

Ma gorączkę, zauważył w zawodowym odruchu. Krwotok musiał wpłynąć na pobliski ośrodek termoregulacji. Steele zapamiętał, że trzeba zapanować nad temperaturą za pomocą paracetamolu. Teraz jednak musiał być przede wszystkim partnerem, nie lekarzem. Ani na chwilę nie przestał głąaskać Kathleen.

Kiedy pielęgniarka wyszła i energicznie zaciągnęła za sobą białe zasłony, spytał:

– Czy to ona ci dokucza?

Nie.

– Chodzi o coś innego?

Tak.

– Twój udar?

Kathleen mrugnęła dwukrotnie, a po chwili jeszcze raz.

– Tak, nie? – Zastanawiał się przez moment. – Chciałaś powiedzieć „i tak, i nie”?

Tak.

– Ale co?

Spojrzała w dół.

– Chodzi o ból w innej części ciała?

Nie.

Jezu, to do niczego nie prowadzi, pomyślał. Martwił się, że choć Kathleen powtarza uparcie, iż nie czuje bólu, być może z jej ciałem dzieje się coś niedobrego. Rozliczne symptomy niekoniecznie związane z bólem – takie jak płytki oddech, drętwienie, mdłości czy zawroty głowy – mogły oznaczać poważne problemy. Jedna po drugiej, przemykały przez umysł Steele’a wizje powikłań. Zator płucny. Nacisk na któryś z nerwów peryferyjnych wywołany zbyt długim leżeniem w jednej pozycji. Może pielęgniarki nie zadawały sobie trudu przekładania pacjentki na posłaniu? Odleżyny były realnym niebezpieczeństwem w przypadku paraliżu. Co gorsza, krwotok mógł objąć ośrodek równowagi, a wtedy doszłoby do kolejnej fazy oszołomienia, maskującej nowe, znacznie groźniejsze krwawienie. Stan Kathleen pogarszałby się z każdą chwilą, a Richard nie wiedziałby o tym, póki nie zadałby odpowiednich pytań.

Walcząc z paniką, przeprowadził szybki wywiad, ale odpowiedź za każdym razem była negatywna, z wyjątkiem pytań o mdłości i zawroty głowy, po których padło szybkie tak-nie. Kiedy zapytał, czy to właśnie próbowała mu powiedzieć, Kathleen mrugnęła zdecydowane nie i ponownie wbiła wzrok w sufit.

– Czy coś złego dzieje się z konkretną częścią twojego ciała? – spytał, wracając do punktu wyjścia. – Oczywiście poza udarem.

Tak i nie.

Kręcili się w kółko.

– Próbujesz mi powiedzieć właśnie o tym?

Tak.

Steele przypomniał sobie o pewnej metodzie, pozwalającej przeprowadzać wywiady z pacjentami oddziału nagłych wypadków, którzy mieli problemy z mówieniem.

– Zaraz wrócę – powiedział.

Nie, zasygnalizowała gwałtownie.

– Przyniosę tylko kartkę papieru – uspokoił ją i rozsunął zasłony, tak by widziała, jak oddala się w stronę stanowiska pielęgniarek, żeby przynieść notes. Kiedy wrócił, zamknął zbudowaną z parawanów klitkę i pospiesznie naszkicował ludzką postać.

– Gdy wskażę część ciała, z którą dzieje się coś niedobrego, mrugnij „tak”.

Z wyraźną irytacją spojrzała w sufit.

– Proszę cię, Kathleen, zrób to dla mnie – powiedział, wskazując głowę narysowanej postaci.

Tak.

– Masz na myśli udar? Tak i nie.

Znowu to samo.

– Czy powinienem szukać innego miejsca, w którym coś się dzieje?

Zastanawiała się dobrych pięć sekund, nim mrugnęła dwukrotnie – powoli, jakby niepewna odpowiedzi.

– W porządku, sprawdźmy po kolei. Klatka piersiowa? – spytał, unosząc notes i stukając długopisem w odpowiednie miejsce na rysunku.

Nie.

– Brzuch?

Nie.

– Prawe ramię?

Nie.

– Lewe ramię?

Nie.

– Nogi?

Nie. Nie. Nie.

Czy o czymś zapomniał?

– Twarz? – spytał po chwili.

Zawahała się, a potem wolno mrugnęła „nie”.

– Jestem blisko? – spytał z ożywieniem.

Tak.

Spojrzał raz jeszcze na niezbyt staranny szkic.

– Jakiś organ na twarzy? Nos, oczy, uszy?

Nie.

Więc co, do cholery?! – pomyślał, raz jeszcze wpatrując się w rysunek.

I wreszcie zauważył.

– Szyja?

Tak, zatrzepotały powieki.

Natychmiast pochylił się nad Kathleen, wprawnie szukając palcami jakichkolwiek zmian pod linią szczęki i niżej, po bokach gardła. Jego uwagę przykuł niewielki plaster po prawej stronie,

mniej więcej w połowie długości szyi. Wyglądał całkiem niewinnie. Richard odchylił go nieco i zobaczył punktową ranę na wysokości tętnicy szyjnej – ślad igły.

– O tym chciałaś mi powiedzieć?

Tak.

– Wbili ci igłę?

Tak.

– Wiesz po co?

Nie.

– Zostawię cię na moment. Muszę porozmawiać z pielęgniarkami.

Kiedy wstawał i odwracał się, raz za razem sygnalizowała „nie”.

– Kathleen, nigdzie się nie wybieram – powiedział i natychmiast pożałował tak oficjalnego tonu. – Zaraz do ciebie wrócę – dodał najłagodniej jak potrafił, dorzucając profesjonalny uśmiech z rodzaju „wszystko jest w najlepszym porządku”. Zrugał się w myśli, maszerując w stronę pokoju pielęgniarki oddziałowej, która siedziała przed konsolą wskaźników i wpinała długie szpile w kok siwych włosów. Nie powinien pozwalać, by strach czy brak snu czyniły go tak drażliwym już na początku tej długiej rozgrywki. Wiedział, że prawdziwe próby dopiero go czekają. Jeżeli teraz nie potrafił nad sobą zapanować, Kathleen, podobnie jak Chet, miała prawo się zastanawiać, czy wystarczy mu sił, żeby nie odejść. Z trudem przełknął ślinę, jakby chciał zmyć strach ściskający go za gardło.

– Siostró – zapytał, stając przy konsoli – kiedy wykonano to nakłucie na szyi doktor Sullivan?

Matrona zajrzała do karty Kathleen.

– Z notatki wynika, że nocą chora wróciła z angiografii z opatrunkiem. – Nie próbowała nawet ukrywać, że denerwuje ją to zawracanie głowy.

– Zwykle do tego badania nakłuwa się krocze.

Siwowłosa zdążyła już powrócić wzrokiem do dwóch tuzinów ekranów, na których żywot jej podopiecznych zredukowano do rzędów cyfr i fluorescencyjnych wykresów.

Jej pełne irytacji westchnienieomal nie zdarło farby ze ścian.

– Zgodnie z notatką doktora Hamlina, podczas badania ciśnienie pacjentki zaczęło spadać. Doktor uznał, że może to być reakcja alergiczna na barwnik, i postanowił wprowadzić dożylny cewnik Swana-Gantza, na wypadek gdyby musiał monitorować ciśnienie w tętnicy płucnej i podawać płyny. Nic się jednak nie stało, więc go odłączył. – Pielęgniarka mówiła powoli, tonem, którego przedstawicielki jej profesji używają, gdy chcą dać lekarzowi do zrozumienia, że jest kretynem. Jej twarz stwierdzała wyraźnie „Daj mi wreszcie spokój”, gdyby w swej głupocie Steele jeszcze nie rozumiał, co ma zrobić.

Te wyjaśnienia brzmiały rozsądnie. Gdyby Kathleen wpadła we wstrząs, ratowanie jej za pomocą płynu i leków presyjnych mogło być ryzykowne, ponieważ nadmierny wzrost ciśnienia sprzyjałby powstaniu nowego krwotoku. Sam założyłbym jej taki cewnik, żeby monitorować reakcje organizmu, pomyślał Richard.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan śledził każdego naszego kroku, doktorze Steele – dorzuciła pielęgniarka.

Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę łóżka Kathleen z mocnym postanowieniem, że spróbuje się trochę wyluzować. Usiadłszy przy niej, zaczął wyjaśniać postępowanie Hamlina.

Nie, nie, nie, zamrugwała, spoglądając na niego płonącymi oczami. Na monitorach pojawiły się sygnały alarmowe: ciśnienie krwi i puls skoczyły w górę.

Zasłony za plecami Richarda rozsunęły się gwałtownie.

– Doktorze Steele, co się tutaj dzieje? – zapytał Hamlin, spoglądając na ekrany.

W tym momencie, ku przerażeniu Richarda, wskazania przyrządów podniosły się jeszcze bardziej.

– Siostrzo, midazolam w kroplówce! – zawołał neurochirurg, przepychając się obok Richarda i stając przy Kathleen. – Doktor Sullivan, podamy pani środek uspokajający i natychmiast wszystko wróci do normy.

Młoda pielęgniarka, która wcześniej ostrzegła Steele'a, zatrzymała się przy nim i spojrzała nań z niemym „A nie mówiłam?” Zaraz potem sięgnęła na półkę po małą fiolkę z ciemnego szkła, którą otworzyła jednym ruchem. Kilka sekund później lek był już w strzykawce. Hamlin zaczął opróżniać ją powoli przez boczne wejście do kroplówki. Richard opowiedział mu pokrótce, co zaszło.

– Próbowałem wyjaśnić Kathleen, dlaczego nakłuwałeś jej szyję...

– Na szczęście cewnik nie był potrzebny – przerwał mu neurochirurg, nie przestając podawać leku. – Tylko po co, u diabła, akurat w takim momencie zwracasz jej głowę tym medycznym bełkotem, Richardzie? Zachowuj się jak rodzina, na miłość boską, a nie jak lekarz... Cholera, przecież wiesz, że takie podniecenie mogło nawet oznaczać śmierć. – Oczy i powieki Kathleen poruszały się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiały i zamknęły się. Liczby na ekranach powróciły do neutralnych rejestrów. Hamlin przestał dociskać tłok i odłączył strzykawkę.

– Cholera, Tony, wysłuchaj mnie. Za nic w świecie nie naraziłbym jej na niebezpieczeństwo, ale Kathleen była bardzo wzburzona tym, co się stało podczas angiografii. Chciałem pomóc jej zrozumieć, żeby się odprężyła, i...

– Od tej pory, Richardzie, najlepiej będzie zwiększyć jej dawkę środka uspokajającego. Pacjenci często mają ataki paniki, co niespecjalnie powinno nas dziwić, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdują. Oczywiście nie muszę ci tłumaczyć, jakie efekty może powodować morfina.

Miał na myśli nie to, jak morfina łagodzi ból, ale to, że niekiedy wywołuje delirium, podniecenie, a nawet dokuczliwe halucynacje.

– Jedyne nadzieje w tym, że nie będzie powtórnego krwotoku, że stan Kathleen ustabilizuje się i będziemy mogli operować. Wstępny termin ustaliłem na najbliższy wtorek. Mamy siedem dni. Do tego czasu postarajmy się nie denerwować chorej. Możesz ją głaskać po głowie, masować dłonie i szeptać słodkie słówka, ile tylko zechcesz, ale nic poza tym, a już na pewno powstrzymaj się od przesłuchań. Zgoda?

– Od przesłuchań?

Pielęgniarka posłała mu chytry uśmieszek – oczywisty dowód, że zdążyła już donieść o wszystkim Hamlinowi. Spoglądając na ostre kępki włosów sterczące z jej głowy, Steele z trudem powstrzymał się przed uwagą: „Dzięki, kolczastowłosa”.

Tak czy inaczej, neurochirurg miał absolutną rację. Mimo to Steele był wściekły. Może gdyby Hamlin wyjaśnił Kathleen wszystko ostatniej nocy, myślał, nie zdenerwowałaby się tak bardzo tą igłą wbitą w szyję. Miał ochotę porządnie nawrzucać temu nadętemu mądrali, ale przez wzgląd na ukochaną postanowił trzymać język za zębami. Jeśli chodzi o technikę operowania urazów pnia mózgu, nikt nie mógł się równać z Hamlinem zręcznością i doświadczeniem. Lepiej unikać

starcia, pomyślał Richard, niż ryzykować, że się obrazi i odda Kathleen komuś mniej wprawnemu.

– Zgoda – odezwał się wreszcie, czując, jak pieką go policzki.

Kolczastowłosa raz jeszcze posłała mu spojrzenie „A nie mówiłam”.

– Jestem pewien – dodał, patrząc jej w oczy – że twój personel będzie informował doktor Sullivan o swoich zamiarach, nim rozpocznie jakikolwiek zabieg, aby jej nie denerwować.

– Naturalnie, Richardzie. Zawsze to robimy – odparł neurochirurg. – Prawda, siostrze?

– Oczywiście, doktorze Hamlin – przytaknęła pielęgniarka, a potem wrzuciła strzykawkę z otwartą fiolką do plastikowego pojemnika i zniknęła za parawanem.

Akurat, pomyślał Richard.

Kiedy zbiegał po schodach na parter, czuł, jak cały ten incydent potęguje wrażenie zimnego mrowienia w żołądku. Po co Hamlin w ogóle wkłuwał się w jej szyję, zastanawiał się z narastającą wściekłością, zamykając drzwi swojego gabinetu. Te same informacje, których potrzebował, mógł uzyskać, wprowadzając cewnik pod obojczyk. Kathleen nie byłaby nawet w połowie tak przerażona.

Nie po raz pierwszy przyszła mu do głowy osobliwa myśl: Jak to możliwe, że ktoś, kto spędził większość życia, grzebiąc w mózgach pacjentów, ma w istocie tak nikłe pojęcie o ludzkiej naturze?

Pod ogłupiającym wpływem mida-czegośtam, wstrzykniętego w jej żyłę przez tego białowłosego łajdaka, Kathleen odpłynęła w mrok, ale nie straciła przytomności – a przynajmniej nie od razu. Udawała uśpioną. Celowo zamknęła oczy, zanim Hamlin podał jej taką dawkę leku, która istotnie pozbawiłaby ją zmysłów. W rezultacie słyszała wszystko i przestraszyła się, gdy neurochirurg oświadczył, że będzie ją operował, kiedy tylko ustabilizuje się jej stan.

Nie pozwolę, żeby ten skurwysyn wsadził nóż w mój mózg, pomyślała, czując przyspieszone bicie serca mimo końskiej dawki środka uspokajającego. Siłą woli zapanowała nad paniką. Zdawała sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, znowu odezwą się alarmy, a diabliska z brylancikiem w nosie wpakuje w nią kolejny zastrzyk. Próbowwała się uspokoić, równocześnie szukając sposobu, który pozwoliłby jej poinformować Richarda lub kogokolwiek innego, że w ogóle nie należy do niej dopuszczać Tony’ego Hamlina. Jak powiedzieć światu, że zrobił jej coś, czego nie powinien robić? I kto jej uwierzy? Przecież czekało ją permanentne udawanie, że środki znieczulające świetnie działają, jeśli chciała uniknąć przyjmowania prawdziwie skutecznych dawek. Musiała jakoś przekonać Hamlina i jego kumpla o szczurzej twarzy, że nie kontaktuje, przynajmniej do czasu, aż przestaną być groźni. Tylko że byli i inni... Jak to powiedział szczurzy pysk? „Nie pozwolę, żeby on lub ktokolwiek inny sprowadził nam wszystkim na kark gliny pod zarzutem zabójstwa”. Może, jeśli dopisze mi szczęście, myślała, Hamlin i jego kumpel wygadają się przypadkiem, kim są ci „wszyscy”. Choć z drugiej strony, biorąc pod uwagę mój stan, niewielki będzie z tego pożytek. Skoro mam do dyspozycji tak niewiele sygnałów – spojrzenie w górę, spojrzenie w dół i mrugnięcie – to jak, do ciężkiej cholery, mam cokolwiek zakomunikować światu, jeśli nikt nie zada mi odpowiednich pytań?

Lek zaczynał działać z pełną mocą i coraz trudniej było jej logicznie myśleć. Mózg z wolna pogrążał się w ciemność. Zdała sobie sprawę, że jej zagranie nie powstrzymało iniekcji na czas – sen dopadał ją wreszcie, choć z opóźnieniem. Jakie piękne kłamstwo wymyślił doktor Hamlin, przemknęło jej przez głowę na kilka sekund przed odlotem. Nawet jeśli powiem komuś o jego

poczynaniach, nikt nie uwierzy w majaczenia naćpanej wariatki.

Rozdział 3

Richard nie mógł uwierzyć w to, jak głębokie zmiany dokonały się od rana.

Na jego oczach skurcze wykrzywiły dłonie, ramiona i nogi Kathleen tak mocno, że zdołał siłą rozprostować jedynie palce jej rąk. Wiedział, co to oznacza: kora mózgowa wyłączała się w rejonie, w którym nastąpił udar, choć nie było jasne, czy robi to pod wpływem już istniejących uszkodzeń czy nowego krwotoku. Tak czy inaczej, skurcz zwinął chorą w kłębek jak małe dziecko szukające ciepła w chłodną noc. Tylko chwilami była w stanie zrozumieć to, co mówił Richard. Czasem w ogóle nie odpowiadała na pytania, czasem odpowiedzi były błędne.

– Kathleen – powtarzał raz po raz, jakby wymawianie jej imienia mogło przerwać barierę komunikacyjną, wobec której medycyna była bezsilna.

Bez odpowiedzi.

Umysł Steele'a wypełniały wspomnienia cudownych, wspólnie spędzonych czternastu miesięcy.

– Radziliśmy sobie w gorszych sytuacjach – szepnął, myśląc o tym, jak bliscy byli śmierci z rąk szalonego terrorysty, który za pomocą broni genetycznej usiłował zniszczyć amerykański rynek żywności. – Ile par może powiedzieć, że ich miłość zrodziła się podczas ucieczki przed niedoszłym zabójcą? Tylko my jesteśmy takimi szczęściarzami – ciągnął, mając nadzieję, że nawet jeśli nic z tego nie rozumie, to przynajmniej uspokaja ją głos bliskiej osoby. – Pomyśl, jak polubiły się nasze dzieci. Chet cię kocha, a ja uwielbiam patrzeć, jak Lisa wczuwa się w rolę starszej siostry. Znowu widzę w moim synu radość, której nie było od śmierci jego matki. To dzięki tobie, kochanie. To przez ciebie powstał z martwych...

Szeptał bez końca, w rytmie serca, napędzany strachem, że jeśli przerwie choćby na jeden oddech, straci ją.

Wszystko to wydawało mu się straszliwie znajome. Już setki razy stawał przy łóżkach ludzi, których oznaki życia, niczym wyprowadzający się lokatorzy, pojawiały się po raz ostatni i zanikały. Zawsze uderzało go, jak niewiele wspólnego ma praca mięśni sterowana autopilotem – oddech, puls, skurcz – z wolą człowieka. A jednak to ona w ostatnich godzinach stanowiła o różnicy między snem a śmiercią. Richard mówił bez przerwy, błagając Kathleen, żeby jeszcze nie odchodziła, wysyłając każdy sygnał miłości, jaki tylko przyszedł mu do głowy, byle zatrzymać ją wśród żywych.

Pół godziny później spazmy ustały, a chora nadal mrugała powiekami.

Bez końca.

Z początku Steele podejrzewał, że uszkodzenie mózgu wprawiło powieki w ten sam groteskowy taniec, który niedawno ovladnął całym ciałem.

– Słyszysz mnie, Kathleen? – spytał.

Powieki znieruchomiały, a potem zasygnalizowały „tak”.

– Próbujesz coś powiedzieć?

Tak.

Richard bał się przede wszystkim rozszerzenia krwotoku.

– Czujesz nowe symptomy?

Tak i nie.

Znowu to samo, jęknął w duchu, spoglądając z niepokojem na monitory pokazujące puls i ciśnienie krwi. Najważniejsze to unikać emocji.

– Masz silniejsze zawroty głowy? – szepnął, wiedząc, że jeśli pielęgniarki usłyszą jego pytania, wyrzucą go stąd na dobre.

Oczy Kathleen skierowały się ku sufitowi. Niewłaściwe pytanie, pomyślał, widząc, że jej puls przyspieszył o kilka uderzeń.

– W porządku, nie chcesz, żebym przepytawał cię kolejny raz.

Kathleen ponownie zaczęła mrugać w spokojnym rytmie.

– O co chodzi?

Mruganie nie ustało.

Po kilku sekundach dostrzegł, że w ruchach powiek jest pewna prawidłowość. Chwytał ten sam notes, w którym rano naszkicował ludzką postać, otworzył go na następnej stronie i zaczął notować sekwencję mrugnięć. Dziewięć szybkich sygnałów i spojrzenie w górę. Trzy, przerwa, raz, przerwa, czternaście i znowu spojrzenie w górę. Potem naliczył dziewiętnaście mrugnięć z rzędu, następnie pięć i dwa razy po dwanaście. Od tego momentu cykl zaczął się powtarzać. Co, u diabła, pomyślał, sprawdzając przekaz raz jeszcze, by wykluczyć przypadkową zbieżność.

Czyżby znała alfabet Morse'a? – zastanawiał się gorączkowo. Nie, to nie to. Mrugnięcia nie różniły się długością, nie mogły oznaczać kropek i kresek. I wreszcie zrozumiał. Odpowiedź była prosta: pośpiesznie nagryzmolił kolejne litery alfabetu i poczynając od „a”, przypisał im wartości liczbowe, od jednego do dwudziestu sześciu. Po niespełna sześćdziesięciu sekundach przetłumaczył wypowiedź Kathleen: *icanspell* – mogę literować.

– A niech mnie – mruknął podekscytowany. – Jedno spojrzenie w górę to koniec słowa, dwa spojrzenia to koniec zdania?

Tak.

– Możemy rozmawiać!

Tak.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

Skrupulatnie zanotował znacznie bardziej rozbudowaną sekwencję liczb. Od czasu do czasu Kathleen traciła rachubę i sygnalizowała „nie”, by powtórzyć słowo, w którym popełniła błąd. Po pięciu minutach na kartce widniał napis: „Hamlin podał mi coś złego”.

– Hamlin podał ci coś złego – upewnił się Richard.

Tak.

Jezu, pomyślał. Wszystko jej się miesza od tych leków.

– Już dobrze, Kathleen. Nie podał ci nic złego, tylko...

Tak, tak, tak!

– Kathleen, wszystko jest w porządku. Podał ci tylko lek uspokajający...

Nie, nie, nie.

Puls i ciśnienie krwi wzrosły gwałtownie.

– Kathleen, opanuj się. – Steele rzucił notes na łóżko, chwycił ją za rękę i zaczął gładzić po czole. Nagle ręce i nogi chorej wykrzywił skurcz znacznie potężniejszy niż poprzednie. Sygnały alarmowe odezwały się niemal natychmiast.

Dwie pielęgniarki wbiegły za parawan.

– Co tu się dzieje, u licha? – zapytała siwowłosa.

– Chryste, znowu atak? – dorzuciła ta o sterczących włosach, sięgając po strzykawkę.

– Dekortykacja postępuje – odparł Richard. – Możliwe, że to nowy krwotok. Szybko, sprowadźcie Hamlina! Kathleen, słyszysz mnie? – dodał ciszej, pochylając się nad łóżkiem.

Bez odpowiedzi.

Jezu, pomyślał.

Sygnaly alarmowe nie milkły.

– To drugi krwotok – powiedział Hamlin, rzucając zdjęcie na przegłódarkę.

Stali z Richardem w małym pokoiku przy sali rezonansu magnetycznego należącej do radiologii. Mieli przed sobą serię małych obrazów – przekroje mózgu Kathleen. Przypominały fotografie zrobione w kabinie automatu na monety, tyle że w przeciwieństwie do zwykłych zdjęć rentgenowskich, przedstawiały bardzo szczegółowy obraz wnętrza ciała.

Neurochirurg wskazał miejsce, w którym most – bulwiasty element na końcu stożkowatego pnia mózgu – wystawał spod półokrągłej czapy półkul. Albo też „rzepę wetkniętą od spodu w kalafior”, jak zwykle Richard opisywał te organy podczas zajęć ze studentami pierwszego roku medycyny. W tej chwili interesowała go jedynie czarna kula krwi, która zajmowała centralną część owej bulwy. Granice krwotoku były odległe zaledwie o milimetr od powierzchni kory, grożąc jej rozerwaniem.

– Nie przeżyje trzeciego – dodał Hamlin. – Będę musiał operować, gdy tylko zbiorę zespół. Najlepiej dziś wieczorem, jeśli to możliwe.

– Dziś?

– W każdej chwili może dojść do kolejnego krwotoku, nawet jeśli uspimy Kathleen na dłużej. A przy okazji, jedna z pielęgniarek dała mi to – dodał, wręczając Richardowi notes, w którym odszyfrowywał wiadomości od Kathleen. – Aż trudno uwierzyć, że zlekceważyłeś moje zalecenia i zdenerwowałeś chorą takimi bzdurami – powiedział, odbierając zapiski. – Tym razem naprawdę mogłeś ją zabić.

Steele czuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pałką.

– Od tej chwili nie będziesz dopuszczany w pobliże doktor Sullivan – kontynuował Hamlin. – Oczywiście przy założeniu, że ona przeżyje. Może powinieneś wiedzieć, że pielęgniarki namawiały mnie, bym złożył doniesienie na ciebie, bo zachowałeś się niezgodnie z etyką zawodową.

– Na miłość boską, Tony...

– Nie zrobię tego, bo rozumiem twoje zaangażowanie emocjonalne w ten przypadek. Ale daję ci słowo, że zmienię zdanie, jeśli raz jeszcze zaszкодisz któremuś z moich pacjentów.

– Proszę cię, Tony, przestań – odpowiedział Steele łamiącym się głosem.

Hamlin posłał mu zimne, nieprzeniknione spojrzenie.

– Błagam cię, pozwól mi jeszcze raz ją zobaczyć, nim zaczniecie operację. Nic się nie stanie... Na Boga, człowieku, przecież muszę się z nią pożegnać!

Wydawało się, że neurochirurg dokonuje w myślach jakiejś kalkulacji.

– Naturalnie. Tylko spiesz się. Ja idę się myć.

Richard wszedł na oddział intensywnej terapii i nie patrząc na pielęgniarki, skierował się w

stronę łóżka Kathleen.

Delikatnie pocałował nieruchomą twarz, uważając, by nie poruszyć rurki wystającej z jej ust.

– Kocham cię – powtórzył wiele razy.

Siwowłosa przełożona pielęgniarek stanęła przy łóżku.

– Stan doktor Sullivan nie pozwala jej na świadome wyrażenie zgody na operację. Na karcie chorobowej znalazłam informację, że najbliższą krewną jest córka Lisa, ale jej telefon nie odpowiada.

Steele zawsze uważał, że jest coś nieprzyzwoitego w tym, iż sprawy życia i śmierci tak się zbiurokratyzowały. Pamiętał tysiące umierających ludzi, którzy trafili na jego oddział i walcząc o życie, musieli jeszcze odpowiadać szpitalnemu urzędnikowi na pytanie o nazwisko panięskie matki. Wyprostował się, nie puszczać dłoni Kathleen.

– Lisa mieszka teraz z nami. Sam do niej zadzwonię.

– Proszę się spieszyć. Dostaliśmy już sygnał z sali operacyjnej. Pacjentka musi tam być najdalej za pół godziny.

Richard spojrzął na Kathleen i ze zdumieniem stwierdził, że jej oczy są otwarte. Powieki opuściły się bardzo powoli. Trzykrotnie.

Nie, nie, nie.

Rezydenci Hamlina wydawali ostatnie polecenia.

– Więcej tlenu!

– Ustawić respirator na osiemnaście!

– Dajcie mi gazometrię krwi.

Lisa zjawiała się po dziesięciu minutach.

Prowadząc ją do łóżka matki, czuł, jak cała drży. Pielęgniarki były zbyt zajęte przygotowaniem Kathleen do operacji, by zgodnie z poleceniem Hamlina nie dopuszczać go w pobliże chorej.

Niektóre w pośpiechu pobierały krew.

Inne ustawiały kroplówki i pilnowały wskazań monitorów.

Siostra z siwym kokiem przewróciła Kathleen na bok i z zapalem zabrała się do strzyżenia i golenia tyłu głowy nożycami oraz elektryczną maszynką. Deszcz kasztanowych włosów posypał się na poduszkę i posadzkę. Wyraźnie przerażona Lisa kucnęła, podniosła jeden pukiel i wsunęła go do kieszeni. Potem wmieszała się w ludzi otaczających łóżko, pochyliła się, objęła dłońmi twarz matki i ucałowała jej oczy, szepcząc coś z uczuciem.

– Wszyscy gotowi? – spytała oddziałowa.

Lisa odwróciła się w stronę Richarda.

– Chet czeka na zewnątrz. Też chciał ją zobaczyć.

Steele junior podszedł do łóżka sztywno jak wartownik na służbie, ale bez wahania.

– Słyszysz mnie, tato? – spytał.

Jego oczy błyszczały, kiedy pochylił się nad Kathleen i całował ją w skroń.

– Tak sędzę – odparł Richard i ścisnął nieruchomą rękę. – Kocham cię, Kathleen. Wiem, że z tego wyjdiesz.

Pielęgniarki zaczęły przestawiać sprzęt na łóżku, szykując się do podróży na wyższe piętro.

- Jedziemy – zarządził jeden ze starszych rezydentów.
- Jak długo potrwa operacja? – spytał Richard.
- Co najmniej sześć godzin.

Zanim łóżko zniknęło za drzwiami, zdołał raz jeszcze musnąć twarz Kathleen. Gdy otoczona postaciami w bieli zniknęła w głębi korytarza, wygolony placek z tyłu jej głowy jaśniał w świetle jarzeniówek. Wkrótce skalpel Hamlina miał rozciąć skórę w tym miejscu, a piła miała się wgryźć w kość. Plama nagiej skóry przypominała Steele'owi cel pośrodku tarczy.

Zaproponował, żeby poczekali w domu. Zawiadomił operatora, że nie życzy sobie żadnych połączeń z zewnątrz, choć dochodziła północ i w zasadzie nie należało się spodziewać telefonów. Miał nadzieję, że Chet i Lisa chociaż trochę się prześpią. Wiedział, że sam nie zaśnie, że będzie spacerował po domu tak długo, aż będzie po wszystkim – bez względu na wynik operacji.

O pół do pierwszej zadzwonił na blok operacyjny i odebrał raport dyżurnej pielęgniarki.

– Właśnie otworzyli czaszkę i zaraz będą rozcinać oponę twardą, błonę otaczającą mózg – powiedział do Cheta i Lisy, kiedy odłożył słuchawkę. – Innymi słowy, na razie wszystko w porządku.

Młodzi zadali mu kilka pytań o dalszy przebieg operacji, a potem wrócili do przerwanej gry w karty, która pomagała im choć przez pewien czas nie myśleć o najczarniejszych scenariuszach.

– Za godzinę zadzwonię jeszcze raz – dodał Richard w nadziei, że perspektywa krótszego niż sześć godzin oczekiwania na wieści pomoże nastolatkom się odprężyć. Przeliczył się: od tej chwili ze zdwojoną niecierpliwością zerkali na zegar.

Postanowił zmienić trasę nerwowych przechadzek. Wyszedł z domu i stanął na chodniku Trzydziestej Szóstej Ulicy. Fasady budynków przylegających do jego domu tworzyły trzypiętrową ścianę ciągnącą się aż do przecznicy. Różnokolorowe, długo trzymały ciepło nagromadzone za dnia – Richard wyczuwał je bez trudu, opierając się plecami o mur z czerwonej cegły, który wyróżniał jego dom spośród innych, kamiennych.

Wilgotne czerwcowe powietrze otoczyło go niczym dodatkowa warstwa odzieży i szybko poczuł, że koszula zaczyna się lepić do skóry. Ruszył przed siebie, w stronę Lexington Avenue, mając nadzieję, że wydarzy się po drodze coś, co pozwoli mu oderwać myśli od przekleństwa wszystkich lekarzy: zbyt dużej wiedzy o tym, co może się nie udać podczas operacji. Dotarłszy do rogu ulicy, zobaczył masywną sylwetę miejskiego szpitala, górującą nad innymi budynkami. Policzywszy piętra od góry, odnalazł okna bloku operacyjnego. O tej porze światła paliły się tylko w jednym miejscu. Richard wpatrywał się w okna, za którymi Hamlin operował Kathleen.

Wycofał się w stronę domu, pragnąc papierosa bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, odkąd rzucił palenie. Nie ugiął się jednak. Rozbrat z nałogiem był elementem przyrzeczenia, które złożył po okresie pijaństwa i rozpaczy zakończonym atakiem serca. Chet omal nie został wtedy sierotą.

Steele wyjął z lodówki garść marchewek i zaczął chrupać. O drugiej nad ranem ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Podnieśli migdałki mózdzku, tylną część mózgu leżącą nad mostem, i odsłonili rejon, do którego muszą się dostać – wyjaśnił nastolatkom kilka minut później. Słuchali z uwagą, ale chyba nie do końca rozumieli. – Widzą już tę część pnia, na której mają pracować. Jest opuchnięta, a w

miejscu krwotoku widać brązowe przebarwienie. W tej chwili zaczynają wycinanie.

Richard wołał nie mówić, że to chwila prawdy. Gdyby Hamlin otworzył naczyniak, wywołując niemożliwe do zahamowania krwawienie, oznaczałoby to śmierć Kathleen.

Spoglądając w okular mikroskopu operacyjnego, Hamlin ostrożnie rozciął obszerny worek zawierający płataninę krwawiących naczyń i odciągnął brzegi mikroretraktorami. Z rany popłynęła świeża krew, przesłaniając obiekt i uniemożliwiając jakiegokolwiek zabiegi.

– Ssanie!

Rezydentka stojąca naprzeciwko, przy drugim okularze mikroskopu, wsunęła w czerwoną kałużę końcówkę srebrnej rurki. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos dopijania przez słomkę resztki koktajlu mlecznego i świeża krew została odsączona, odsłaniając skrzepy wątrobowej barwy oraz szkarłatne źródło pulsujące w głębi otworu.

– Prędko, odsłaniamy miejsce krwawienia – zarządził Hamlin, operując drugą końcówką ssącą. Razem usuwali resztki galaretowatego skrzepu zmieszane ze świeżą krwią, zagłębiając się coraz dalej. Posuwali się wolno, z uwagi na delikatność sąsiednich struktur oraz fakt, że otwór, w którym pracowali, miał nie więcej niż cztery, pięć milimetrów średnicy.

– Stan pacjentki? – pytał raz po raz neurochirurg.

– Stabilny – odpowiadał niezmiennie anestezjolog.

Posuwając się w głąb, natrafili wreszcie na pierwsze uszkodzone naczynia. Krew popłynęła, gdy tylko usunęli zakrywający je skrzep.

– Zrobione – mruknął Hamlin, przyżegłszy otwarte naczynie końcówką dwubiegunowego koagulatora, narzędzia przypominającego miniaturową spawarkę. Emitowane przez nie impulsy elektryczne sprawiały, że krew w naczyniu natychmiast zmieniała się w ciało stałe. Powierzchnowe krwawienie zniknęło, ale winowajca udaru nadal pulsował czerwienią, nieco głębiej.

– Idziemy dalej – polecił neurochirurg.

Uwijali się oboje jak w ukropie, wywołując po drodze nowe krwawienia i przyżegając je w locie. Wreszcie unieśli kolejny fragment skrzepu i odkryli kłębek naczyń krwionośnych wielkości maliny. Teraz dopiero Hamlin dostrzegł wyraźnie główne źródło, którego szukali: krew wypływała z jednej z niżej leżących pętli naczyniowych.

– Mam cię – mruknął, dotykając jej końcówką koagulatora. Przez kolejne dwie godziny przyżegali i wycinali fragmenty naczyń łączących zdeformowany element z resztą systemu, aż wreszcie, gdy został całkowicie wyizolowany, Hamlin wyjął go w całości.

– Widzicie gdzieś jeszcze krwawienie? – spytał, wpatrując się w puste miejsce, które chwilę wcześniej przepłukał mieszaniną roztworu fizjologicznego i antybiotyku. Wszyscy asystujący mu rezydenci pochylili się nad monitorami, na których śledzili przebieg operacji.

– Nie.

– Jest czysto.

– Więc chyba skończyliśmy.

– Wspaniała robota, doktorze Hamlin – powiedziała jedyna kobieta wśród asystujących. – Był pan fantastyczny.

Inni natychmiast przytaknęli.

– O tak.

– Zdecydowanie.

– Brawo.

– No dobrze. Jeszcze jeden ruch – rzekł neurochirurg, rozkoszując się komplementami i zerkając na protegowaną. Niespełna trzydziestoletnia atrakcyjna blondynka, Rachael Jorgenson, skrywała pod chirurgicznym strojem ciało, które zrobiło na nim piorunujące wrażenie już pierwszego dnia wspólnej pracy. Zastanawiając się, czy warto zaprosić rezydentkę do gabinetu w celu przedyskutowania jej przyszłości, wziął strzykawkę, którą trzymał dotąd na skraju tacy z instrumentami, i ostrożnie wycisnął z niej do otwartej rany kilka centymetrów sześciennych przezroczystego płynu.

– Co to? – spytała Jorgenson nadal stojąca naprzeciwko.

– Płyn Ringera – skłamał, przywołując nazwę bezbarwnego roztworu fizjologicznego, który zazwyczaj dobrze imitował krew właściwościami elektrolitowymi i zawartością cukru. – Mała kąpiel w miejscu zabiegu minimalizuje opuchliznę tkanki mózgowej. Tak przynajmniej twierdzą specjaliści. Chodzi o ciśnienie osmotyczne. Na tej samej zasadzie okład ze słoną wodą zmniejsza obrzęk w punkcie zapalnym... Obecnie stosuję ten roztwór przy wszystkich operacjach.

Podobnie jak w każdym niezbędnym łgarstwie, Hamlin postarał się, by przykrywka jego prawdziwych działań wyglądała na oczywistą i wiarygodną. Nie zdarzyło się jeszcze, by któraś z grup rezydentów i pielęgniarek nie nabrała się na ten numer.

Czując przyływ energii związany nie tylko z doskonałą robotą, którą wykonał na Sullivan, ale także z tym, że kolejny raz zdołał wszystkich przechytrzyć, spojrzął z ukosa na Jorgenson.

– Proszę, Rachael, niech pani przejdzie na tę stronę i zajmie moje miejsce – powiedział, odsuwając się od mikroskopu. – Tej nocy, a raczej tego ranka, zadanie zamknięcia pacjentki spoczywa na pani barkach. – Od grupy rezydentów dobiegł cichy jęk zawodu. O zaszczytnym „zamykaniu” marzyli wszyscy.

– Dziękuję, doktorze Hamlin. – Jorgenson zajęła miejsce, przycisnęła twarz do okularu i za pomocą cieniutkich jedwabnych nici zaczęła zszywać rozciętą powłokę opony. Kiedy neurochirurg Hamlin pochylił się nad nią, by skontrolować jej pracę, przycisnęła się do niego.

No, no, no, pomyślał. Z pedagogicznego punktu widzenia ta znajomość była wielce obiecująca.

Rozdział 4

piątek rano, 15 czerwca

Jej umysł przejaśniał się z wolna.

Głosy pojawiały się i znikaly.

Rozpoznała Lisę.

I Cheta.

Gdzie Richard?

Wszystkie głosy zapewniały ją, że będzie dobrze.

Na pewno kłamią.

Przecież nawet nie widzę.

Był też głos, który ją przerażał, chociaż nie pamiętała dlaczego.

– Musimy podawać pani środki uspokajające, doktor Sullivan – mówił. – Ale proszę się nie martwić, operacja się udała. Niech się pani odpręży.

Chciało jej się wrzeszczeć, kiedy słyszała takie porady, ale była zbyt oszołomiona, by otworzyć oczy, nie mówiąc już o poruszeniu jakiegokolwiek częścią ciała. Właściwie, skąd się tu wzięła? Wiedziała, że był jakiś ważny powód, ale nie mogła sobie przypomnieć. Jej umysł znowu ogarnęła ciemność.

Śniła, że pochowano ją żywcem, zanurzono w ruchomych piaskach spletaną kaftanem bezpieczeństwa. Ocknęła się niemal pewna, że została zatopiona w betonie, który stwardniał, kiedy spała. Ale czy teraz już się obudziła, czy może to kolejna faza snu? Chciała przewrócić się na bok i wpadła w panikę, gdy zrozumiała, że nie może. Alarmy zawyły niczym klaksony samochodowe, wzbudzając w niej jeszcze większy strach. Usłyszała głośnie kroki biegnących pielęgniarek, szmer rozsuwanych zasłon i rozmowę, która brzmiała jak wymiana krzyków.

– Kiedy dostała ostatnią dawkę midazolamu?

– Dwie godziny temu.

– Chryste, łyka te prochy jak cukierki. Może Hamlin powinien zmienić midazolam na coś o dłuższym działaniu. Inaczej wkrótce będziemy mieli uzależnioną pacjentkę.

Dlaczego one tak krzyczą? Czy zrobiłam coś złego? Nie chcę więcej zastrzyków. Czy chodzi im o to, że Hamlin próbuje uzależnić mnie od tego midaco-śtam?

Och, Richardzie... Gdzie jesteś? Potrzebuję cię.

– Zamierzasz doradzać naszemu maestro, jakie leki powinien stosować? – odezwał się inny, równie boleśnie donośny głos. – Powodzenia, siostro!

– Nie zamierzam doradzać mu w niczym – odparła pielęgniarka. – Lepiej porozmawiam z tą cycatą rezydentką, którą ostatnio zabiera na wszystkie obchody. Niech ona go przekona. Zdaje się, że w jej obecności chętniej nadstawia ucha, nie mówiąc o innych częściach ciała. Boże, zauważyłaś, jak ona się o niego ociera przy każdej okazji?

Druga roześmiała się hałaśliwie.

Zostawcie mnie! Kathleen wyobraziła sobie, że otaczają ją wiedźmy. Musiały rzucić na nią

urok albo zalać jej mózg atramentem, jej umysł bowiem stał się czarną plamą.

Czy to dzień, czy noc? Wciąż nie mogła otworzyć oczu, chociaż wiedziała, jakie to istotne, bo gdzieś tam, gdzie znajdowały się te cienie, czekało ją ważne zadanie. Nie pamiętała tylko jakie.

Mijał czas. Wreszcie zdała sobie sprawę, że dostrzega różnice między jasnością a ciemnością, choć wcale nie unosiła powiek. Kiedy ktoś pochylał się nad nią, wyczuwała i to, jakby cień postaci jawił się jej zamkniętym oczom jako mroczniejszy odcień szarości.

Jeden z cieni właśnie się ukazał.

– Słyszysz mnie pani, doktor Sullivan? – spytał głos, którego obawiała się instynktownie. Nadwrażliwy słuch spotęgował jego brzmienie do poziomu, który wywołał ból bębenków. Świadomość zapachu była równie nieprzyjemna: wyczuwała mieszaninę zakamuflowanej woni ciała i mocnych, kwiatowych perfum.

Z wielkim wysiłkiem uniosła powieki o milimetr. Jaskrawe światło sali zaatakowało natychmiast, więc czym prędzej cofnęła się w jedyne bezpieczne miejsce – ciemność.

– Sądzę, że pani rozumie, co mówię – odezwał się ponownie głos, tym razem niższy do szeptu, tuż przy jej uchu. Miała wrażenie, że rozbrzmiewa we wnętrzu jej czaszki.

Znam skądś tego człowieka, przypomniała sobie mgliście. Zrobił coś złego z moim mózgiem.

– Lek, który pani dostaje, powoduje dezorientację i niepokojące halucynacje. Proszę o nich zapomnieć dla własnego dobra. Szybciej wróci pani do zdrowia, jeśli spróbuje wyrzucić je z umysłu. Nie może pani pozwolić, by generowały podniecenie, które opóźni proces zdrowienia. Rozumiemy się? W przeciwnym razie nie będę ryzykował i nie dopuszczę do pani Richarda oraz nie zmniejszę dawek leku.

Wynoś się z mojej głowy! Pozostał jej tylko niemy krzyk.

Kiedy ponownie się ocknęła, natychmiast rozpoznała zapach tego straszego człowieka, który tym razem obmacywał jej ciało. Zostaw mnie w spokoju, śmierdzący wieprzu! I tym razem z jej krtani nie wydostał się żaden dźwięk.

Neurochirurg opukał jej kostki i kolana, a potem podrapał czymś ostrym podeszwy stóp, wywołując silny skurcz.

– Co o tym myślisz, Rachael? – spytał.

– Że czas zmniejszyć dawkę środka uspokajającego? – odpowiedział kobiecy głos.

– W normalnych warunkach, tak. Niestety, nie w tym przypadku. U doktor Sullivan już po pierwszym udarze wystąpiły objawy ostrej paranoi, a towarzyszące im wzburzenie spowodowało wzrost ciśnienia krwi, który z kolei najprawdopodobniej był przyczyną drugiego krwawienia. Czy możemy zdecydować się na ograniczenie dawki?

– Chyba nie.

– Chyba? Byłabyś pewna, droga Rachael, gdybyś widziała, jak nasza pacjentka oskarża mnie o to, że wsadziłem jej coś do mózgu. Naturalnie doktor Steele nie pomógł nam, porozumiewając się z chorą i podsycając jej halucynacje.

– Żartuje pan?

– To naprawdę ciężki przypadek zakłócenia profesjonalnej oceny sytuacji przez uczucia osobiste. Nie odważymy się przywrócić doktor Sullivan pełnej świadomości, dopóki nie będziemy

pewni, że wykorzeniliśmy z jej umysłu te niepokojące przywidzenia.

Nie, pomyślała Kathleen. On kłamie. Teraz już pamiętała.

To on i jego pomocnik o szczurzej twarzy wstrzyknęli jej coś do mózgu. A teraz twierdził, że to Richard jest odpowiedzialny za pogorszenie jej stanu. Tak bardzo chciała zaprotestować, że ponownie odezwały się sygnały alarmowe.

– Kolejny wzrost ciśnienia – zauważyła kobieta.

– Jeżeli możemy coś dla niej zrobić, to tylko zwiększyć dawkę środka uspokajającego – rzekł Hamlin.

Chwilę później Kathleen zapadła się w wir czarnej otchłani.

*sobota, 16 czerwca,
godzina 9.10*

– Nie mogę pozwolić ci na wizytę, Richardzie. Nie dopuszczam do niej nikogo. Nawet kiedy ja przy niej stoję, ciśnienie krwi natychmiast skacze.

– Ależ Tony, ja wiem, że mogę uspokoić Kathleen. Po prostu wiem. – Steele zaczął neurochirurga przed drzwiami oddziału intensywnej opieki medycznej. Rezydentka, Rachael Jorgenson, jak wynikało z plakietki na piersi, oddaliła się dyskretnie w głąb korytarza. – Zgadzam się całkowicie, że należy ograniczać wizyty. Goście niewątpliwie mają dobre intencje, ale trzeba chronić Kathleen przed nadmiarem wrażeń. – Jako że rejestrowano wszystkie odwiedziny na oddziale intensywnej terapii, Richard miał okazję poznać nazwiska licznych kolegów, którzy wpadli, by zapytać o zdrowie Kathleen. W pewnym sensie była to lista bardzo pokrzepiająca. Ucieszyły go zwłaszcza wizyty lekarzy spoza jego oddziału, którzy zadali sobie trud, choć nie musieli tego robić. Byli wśród nich Paul Edwards, szef ginekologii, Francesca Downs z kardiologii, a nawet Adele Blaine, która prowadziła własny instytut rehabilitacji w odległej części East Side'u. Owszem, spotykał tych ludzi dość regularnie na swoim oddziale, ale nie mógł powiedzieć, że byli jego przyjaciółmi. Dlatego poruszył go do głębi fakt, że zechcieli wyjść poza czysto profesjonalne relacje i okazać osobiste zaangażowanie. Mimo to nie uważał, by Kathleen była gotowa na taki zalew pozytywnych uczuć. – Przysięgam, Tony, że sam ogłoszę wszystkim znajomym zakaz wizyt. A kiedy będę przy niej, nie odezwę się ani słowem, tylko będę ją trzymał za rękę.

Hamlin pokręcił głową. Biała grzywa zdecydowanie dodawała mu autorytetu.

– Naczynia, które zamknąłem, nie zasklepiły się jeszcze zbyt mocno. Nie wytrzymają ciśnienia krwi, jeśli pacjentka nie zachowa absolutnego spokoju.

– W tej chwili na pewno jest przerażona.

– Nie, dzięki lekom, które jej podaję.

– Boże, Tony, wiem, że narobiłem bałaganu, ale...

– Owszem, narobiłeś. A przy okazji, chyba powinienem cię ostrzec: właśnie się dowiedziałem, że jedna z pielęgniarek doniosła na ciebie Gordonowi Ingramowi.

– Co?!

– Przykro mi. To nie mój pomysł.

– Ależ...

– Posłuchaj mnie: rób, co każe, a ja wstawię się u niego za tobą – powiedział Hamlin i odwrócił

się, próbując minąć Steele'a.

– Na miłość boską, Tony, pretensje Ingrama są ostatnią rzeczą, której mi teraz potrzeba.

– Powiedziałem, że z nim porozmawiam. Jeżeli dopisze mi szczęście, nie będzie się wtrącał.

Oczywiście sprawa musi poczekać do poniedziałkowego ranka. A do tego czasu postaraj się nie rozrabiać.

Niech to diabli, pomyślał Richard, wzdrygając się na myśl o przesłuchaniu, które mógł mu zgotować najbardziej rygorystyczny etyk i specjalista do spraw jakości usług, jakiego kiedykolwiek widziano w nowojorskim szpitalu miejskim. Pewne jest tylko to, że wysłucha mnie bez uprzedzeń, pocieszył się w duchu. Ingram potrafił tropić błędy w sztuce lekarskiej, ale doceniał także osiągnięcia, a fakt, że Steele ocalił mu niegdyś życie, z pewnością nie mógł zaszkodzić sprawie.

sobota, godzina 18.30

Odkąd doktor Francesca Downs przeczytała swój pierwszy komiks z serii *Wonder Woman*, pragnęła w duchu wieść drugie, okryte tajemnicą życie, zwłaszcza takie, w którym uczestniczyłby zaufany partner. Z biegiem lat pojawiły się też inne marzenia. Fascynacja, z jaką na lekcjach uczestniczyła w sekcjach żab, rozpałała w niej biologiczną, a później i medyczną pasję. Gdy znalazła się w wąskim kręgu specjalistów kardiologów, nie miała już czasu ani na inne życie, ani na tajemnice, ani na szukanie partnera. Stan ten zmienił się jednak przed dwoma laty, kiedy weszła w skład „sensacyjnej szóstki”, jak nazywali się żartobliwie członkowie owej grupy. Tego wieczoru, stojąc w garderobie i szukając odpowiedniej sukienki na kolację ze współkonspiratorami, uświadomiła sobie, że to, co było realizacją dziecinnej fantazji, stało się koszmarem.

Włożywszy prostą, czarną sukienkę, wróciła do sypialni, by spojrzeć na ocean światła i zmierzch zapadający nad najwspanialszym miastem świata. W oddali zobaczyła szczyty zdobnych w jaskrawe neony trzydziestopiętrowych ścian otaczających słynny Times Square. Pobieгла myślą do chwili, gdy po raz pierwszy spotkali się całą szóstką w miejscu, które stało się ich przystanią. Silny deszcz zalewał wtedy wysokie okna Lauzon's, francuskiej restauracji, a ściślej jednej z jej zamkniętych sal, za szybami której rozciągał się widok na Ósmą Aleję. Spływające po szkle krople zmieniały barwny obraz świata w wizerunek równie bezcielesny jak rój bąbelków w lampce szampana. Odcięcie od przyziemnych spraw sprzyjało tworzeniu planu tak obiecującego, że wizja sukcesu zdecydowanie przeważała nad potencjalnym ryzykiem. Decyzje, które podjęli tamtego wieczoru, podziały wręcz odurzająco, tak wielki był w nich ładunek nadziei. Razem wygłaszali toasty, wznosząc smukłe szkło w geście triumfu. Sącząc blado-żółty, musujący w sztucznym świetle płyn, Francesca wierzyła wtedy, że nareszcie jest w kręgu zwycięzców.

Tamtej nocy pozwoliła sobie nawet na chwilę wiary we własną atrakcyjność, gdy spojrzała w jedno z wysokich, nieco przydymionych lusterek zdobiących ściany sali. Cokolwiek fałszywa miękkość odbicia wybieliła jej cerę i dodała złotawego blasku jasnym włosom, czego nigdy nie robiło surowe światło szpitalnych lamp. Podobało jej się nawet to, jak czerwona sukienka koktajlowa uwydatnia kształt piersi i bioder – jak żaden laboratoryjny kitel.

Teraz czerwona sukienka wisiała w szafie. Francesca miała tak niewiele okazji, by ją nosić, że materiał zaczął pachnieć dusznym bezruchem garderoby. Kiedy ją wkładała, wydawało jej się, że ów zapach z daleka anonsuje brak życia towarzyskiego właścicielki, a tym samym fakt, że coś z nią

jest nie tak.

Wtedy jednak było inaczej.

Dość szybko zauważyła szczególny uśmiech, którym Jim Norris obdarzał ją, gdy sącąc drinka, objaśniał towarzystwu swój plan. Potem przysiadł się do niej, a ona odwzajemniła jego zainteresowanie, delikatnie kładąc dłoń na jego przedramieniu, gdy śmiała się z jego dowcipów albo prosiła, by zechciał coś podać. Wiedziała, że jest co najmniej piętnaście lat starszy, ale jego smukłe ciało i ogorzała twarz przydawały mu dziarskości i werwy. Interesował ją, choćby jako partner do jednorazowego szaleństwa w łóżku.

Dlaczego nie? – myślała. Mężczyźni w jej wieku nie byli warci zachodu, nawet w przelotnych znajomościach. Albo znajdowali się w fazie między jednym a drugim rozwodem, albo szukali okazji, żeby „wreszcie się ustatkować”. Bez względu na to, do której grupy należeli, porzucali Francescę dla mniej zajętych kobiet, gdy tylko zasmakowali jej stylu życia: dwunastogodzinnych dni pracy i dyżurów. Tamtej nocy wyszła z restauracji w towarzystwie Norrisa, nie spodziewając się niczego poza odrobiną rozrywki.

– Ognista z ciebie panienka – stwierdził, kiedy legli wyczerpani na łóżku.

– Czy mi się zdaje, czy jesteś zaskoczony?

– Wiesz, w pracy prezentujesz się zupełnie inaczej.

– Masz na myśli mój image królowej śniegu?

– Nie chciałem tego mówić, ale... tak.

– Pomaga mi trzymać wilki z dala od drzwi.

– Zatem nie lubisz szpitalnych romansów?

– Gardzę nimi. Całe to plotkowanie...

– Aha! Więc słuchasz plotek. Ja w ogóle nie zwracam na nie uwagi. Czego dowiedziałas się z nich o mnie?

– Że jesteś notorycznym kobieciarzem.

– A co myślisz o mnie teraz, kiedy poznaliśmy się bliżej?

– Modlę się, żebyś nie był draniem i nie zdradził naszego małego sekretu.

– Cóż, wszystko zależy od tego, czy zechcesz spotkać się ze mną jeszcze raz.

I tak się zaczęło.

W następnych tygodniach nie pożądanie, ale przebojowy intelekt i buntowniczy duch Jima Norrisa zbliżyły ją do niego bardziej, niż się tego spodziewała.

– Niech go szlag – mruknęła rozdrażniona, wracając do garderoby. Stała przed rzędem butów, które trzymała w głębi, na półce, i po chwili wybrała parę odpowiednią do czarnej sukienki. Nie powinnam wiązać się z tym człowiekiem, powiedziała sobie w duchu po raz tysięczny. Z początku wszystko wydawało się takie słuszne, a zmieniło się w tak kompletną katastrofę.

Stając przed lustrem, zastanawiała się nad tym, co powie na wieczornym spotkaniu. Paul Edwards nie zdradził swoich zamiarów, kiedy po południu zadzwonił i zaprosił ją na ósmą do Lauzon's, ale w jego głosie była twardość, która pojawiała się zawsze wtedy, gdy chciał siłą wepchnąć ludziom własną koncepcję.

– Powodzenia – mruknęła do siebie, powziąwszy mocne postanowienie. Ale czy mogła liczyć na to, że ktokolwiek ją poprze?

Lockman na pewno będzie lawirował, jak zawsze.

Norris nie odstąpi ani na jotę od pierwotnego planu. Trzyma się go od pierwszego dnia i to się nie zmienia.

Pozostaje więc Adele Blaine. Może chociaż ona wykaże się rozsądkiem.

Ciemnowłosa i ciemnoskóra, średniego wzrostu, była tak gibka, że poza murami jej instytutu często brano ją za tancerkę. Centrum Stałej Opieki Adele Blaine zajmowało pięknie odnowiony budynek w górnej części East Side'u. Znajdowało się tam dosyć wewnątrz Laury Ashley, ozdobnych roślin i skomputeryzowanego sprzętu rehabilitacyjnego, by przyćmić blask najdroższych klubów. Była jednak między nimi istotna różnica: supernowoczesne wnętrze instytutu stanowiło elegancki odpowiednik namiotu uzdrowiciela, w którym sparaliżowani zaczęli chodzić, a chromi odrzucali kule.

– Wiesz, skarbie, dlaczego jestem taka świetna w tym, co robię? – spytała kiedyś Francescę w dość późnej fazie suto zakrapianej kolacji. – Nie chodzi o cały ten blichtr. Udaję grubą rybę, bo to najlepiej służy mojej firmie. Uświadamiam bubkom z drogiej konkurencji, że nie dobią się tak łatwo do mojej czarnej dupy. Mój sekret – tylko nie mów nikomu, bo popsujesz mi reputację twardej baby – polega na tym, że z pasją szukam sił, które pozostają w zrujnowanych ciałach ludzi opuszczających szpital, by wykorzystać je i rozwinąć w jak najlepszy sposób. Kiedy je znajduję, wmawiam nieszczęsnym mieszkańcom tych śmiertelnych powłok, że powrót do formy jest możliwy. Gdy to się stanie, moi podopieczni zabierają się do cholernie ciężkiej pracy i najczęściej udaje im się osiągnąć cel. Tak to wygląda.

Francesca nigdy nie wahała się wysyłać swoich pacjentów do instytutu, ponieważ bez względu na to, jakich sztuczek używała Blaine, były one skuteczne: pod jej opieką sercowcy po ciężkich operacjach wracali do formy szybciej niż w innych placówkach. Miejmy nadzieję, że dzisiaj będzie równie mądra w sprawach nie cierpiących zwłoki, pomyślała Downs.

Odwracając się plecami do lustra, zdjęła cienki pasek, którym spięła sukienkę, i zastąpiła go najszerszym, jaki miała – wyszywanym złotem.

– Lepiej, żebyś przyznała mi rację, Blaine – mruknęła, ciasno zapinając klamrę. – Bo dzisiaj nikt nie pokona Wonder Woman!

– Do diabła, Tony, nie mieliście z Norrisem prawa zabierać się do Sullivan bez konsultacji z nami! – wrzeszczał właśnie Paul Edwards, szef ginekologii, gdy Francesca otworzyła drzwi.

Urwał gwałtownie i cztery twarze emanujące skrajnymi emocjami zwróciły się ku przybyłej.

Downs spokojnie podeszła do jednego z dwóch wolnych miejsc przy stole.

Edwards demonstracyjnie spojrział na zegarek.

– Mogłabyś się nie spóźniać.

– Przepraszam, ale o tej porze piekielnie trudno o taksówkę...

– A gdzie twój kochaś? – przerwał jej ginekolog.

Francesca poczuła, że पासowieje.

– Jeżeli masz na myśli doktora Norrisa, to nie mam pojęcia.

Wargi Edwardsa rozchyliły się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie odezwał się już, kiedy zajmowała miejsce za stołem. Jego usta zawsze wydawały się Francesce ironicznie małe w porównaniu z obfitymi policzkami i ogólnie krągłą twarzą. Edwards dawno już przekroczył pięćdziesiątkę, ale jego oblicze wciąż przywodziło na myśl zdjęcie bobasa z popularnej reklamy

odżywki dla dzieci. Downs uważała, że to nawet właściwe, skoro jego specjalnością było przyjmowanie na świat małych cherubinków.

– Może zamówimy? – zaproponowała. – Nabierzemy sił.

Zadzwonili i po chwili zjawił się kelner, by sumiennie spisać życzenia. Wkrótce powrócił z białym i czerwonym winem. Napełnił kieliszki i wyszedł dyskretnie.

– Działalem w najlepszym interesie nas wszystkich! – oznajmił Hamlin, podejmując rozmowę w punkcie, w którym przerwało ją przybycie Downs. Siedział po jej lewej stronie; niemal fizycznie wyczuwała jego gniew. – Jeżeli Sullivan przeżyje...

– Przeżyje! – przerwał mu Edwards, powracając do wrzasku, który Francesca usłyszała już na wstępie. – Widzieliśmy ją wszyscy, Tony. Jest otumanionym, pokurczonym, sztucznie podtrzymywanym preparatem...

– Nie badaliście jej.

– A ty nie myślałeś! Chciałeś przeciągnąć Steele'a na naszą stronę? W życiu nie słyszałem czegoś równie głupiego!

– Więc powiedz mi, jak inaczej możemy załatwić sprawę trupów wracających do...

– Mnie postawił w jeszcze gorszej sytuacji niż ciebie, Paul – wtrąciła Adele Blaine, ignorując Hamlina całkowicie, choć siedział naprzeciwko niej. – To ja będę musiała wziąć ją na rehabilitację, do cholery. A kiedy znajdzie się w moim instytucie, będę w to wplątana. Moje nazwisko widnieje na jej karcie choroby tuż obok nazwiska naszego genialnego neurochirurga! – Huknęła dłonią w stół tak mocno, że siedzący obok Lockman skrzywił się odruchowo. – Jeżeli jego przyłapią, to i mnie! – Dopiła wino i teraz dopiero wbiła wzrok w Hamlina. – A jeśli chodzi o wtajemniczenie Steele'a, Tony, to jest to jeszcze bardziej kretynskie posunięcie niż to, co nam właśnie zrobiłeś. Popieram Paula: absolutnie nie ma mowy!

Mimo iż oddzielał ich duży blat, białowłosy chirurg instynktownie cofnął się, ale wściekłość, która płonęła w jego oczach, nie przygasła.

– Powiem ci, co zrobiłem, moja droga Adele. Wykonałem cudowną robotę na kobiecie, która w przeciwnym wypadku pożegnałaby się z tym światem...

– I tak byłoby lepiej, skarbie. Ale ty wolałeś otworzyć tę puszkę Pandory...

– Rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych środków, Adele. Każdy z nas jako lekarz był już w podobnym położeniu. Oczywiście, że zaryzykowałem, ale wszystko jest pod kontrolą. Będę podawał Sullivan prochy tak długo, aż uwierzy, że to, co jej się przytrafiło, było halucynacją. Steele będzie robił, co mu każę, a każę mu trzymać się od niej z daleka.

– Skąd pewność, że...

– Stąd, że doniesiono na niego do Ingrama, bo próbował przesłuchiwać tę kobietę...

– Do Ingrama! – przerwał mu Edwards. – To i on jest w to zamieszany? Boże, Tony, ty w ogóle nie panujesz nad sytuacją!

Blaine wyglądała tak, jakby zaraz miała skoczyć na stół i rzucić się na Hamlina.

Francesca Downs poczuła, że i jej serce zaczyna walić jak oszałałe.

– Nie, nie – odparł neurochirurg, unosząc ręce w uspokajającym geście. – To Steele trafi na dywanik. Błaga mnie, żebym wstawił się za nim u Ingrama, a w zamian obiecuje, że będzie się trzymał z daleka od Sullivan. Lepiej być nie może.

Blaine przewróciła oczami.

– Matko Boska! – mruknęła. W tym momencie rozległo się ciche pukanie i do sali weszli dwaj kelnerzy. Blaine odezwała się ponownie, kiedy skończyli swoją robotę. – Hamlin, ty oszalałeś.

Lockman pochylił w jej stronę spiczastą twarz.

– Mówiłem mu, że nie powinien o niczym opowiadać Steele'owi.

– Zamknij się, Lockman. Obu was z Norrisem należałoby zastrzelić za to, że pomogliście mu przy Sullivan – odparowała Adele, po czym zwróciła się wściekle do Hamlina: – Powiem ci coś jeszcze, durniu! Od początku stanowczo za wiele ryzykowałeś z tą swoją zaszraną nową techniką.

– Zgadzam się z tobą całkowicie, Adele – wtrącił Edwards i odwrócił się w stronę Downs. – Nie mogę pojąć, dlaczego Norris nie sprzeciwił mu się wczoraj. Bo jeśli ktoś powinien być mądrzejszy od Hamlina, to właśnie...

– Nie powinienes powiedzieć o tym osobiście doktorowi Norrisowi? – wpadła mu w słowo Francesca. Nie miała zamiaru robić za pośrednika między Jimem a resztą grupy. Nie pierwszy raz podejmowano taką próbę. Wszystkim się zdawało, że mają prawo tylko dlatego, że poszła z nim do łóżka.

Odpieprzcie się i gadajcie z nim twarzą w twarz! – miała ochotę krzyknąć. Nie łączyło jej z Norrisem już nic, ale za żadną cenę nie podzieliłaby się z tymi ludźmi osobistymi sprawami.

– Najpierw chcielibyśmy wiedzieć, jakie jest twoje zdanie – powiedziała Blaine, sięgając po jedną z butelek czerwonego wina. Nalała sobie do pełna i jednym haustem pochłonęła trzecią część rubinowego płynu.

Nieźle ją wzięło, pomyślała Downs.

Edwards wbił widelec w filet z soli, który leżał na jego talerzu.

– Właśnie, Francesco. Co o tym wszystkim sądzisz?

Nikt inny nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jedzeniem.

Hamlin gapił się na środek stołu z wystarczającą intensywnością, by rozniecić tam ogień.

Lockman, zawsze podążający za zdaniem większości, podobnie jak pozostałych dwoje wbił spojrzenie w Downs.

– Co sądzę? Sądzę, że byłam w siódmym niebie, dopóki pacjenci Hamlina nie zaczęli umierać – odpowiedziała takim tonem, jakby neurochirurga nie było w pobliżu.

Hamlin zerwał się na równe nogi.

– Chryste, mam was po dziurki w nosie! Czy wam się to podoba czy nie, robimy to wszystko po to, żeby ratować ludzi. I właśnie to próbuję osiągnąć z Kathleen Sullivan. A jeśli ktoś z was ma lepszy sposób na ochronę naszego dzieła niż zmuszenie Richarda Steele'a do współpracy, to proszę, niech się zgłosi natychmiast.

Nikt nie odpowiedział.

Hamlin okrążył stół, przyglądając się kolejno wszystkim czarnymi, pełnymi jadu oczami. Lockman odwrócił głowę. Edwards i Blaine odpowiedzieli możliwie najtwardszymi spojrzeniami. Francesca obserwowała pozostałych, nie zwracając uwagi na neurochirurga, ale czuła się mniej więcej tak, jakby próbowała zignorować wulkan.

– Jeśli o mnie chodzi, uważam sprawę za zamkniętą – odezwał się Hamlin głosem zwierzchnika nawykłego do narzucania podwładnym swojej woli. Cisnął serwetkę na stół niczym rękawicę i wyszedł z sali. Jego falująca biała grzywa przypominała Francesce raczej zamierzchłe czasy, kiedy to któryś z obrażonych mężczyzn zatrzymałby Hamlina i zaproponował, by

rozstrzygnąć spór nad East River, odmierzając dwadzieścia kroków i używając pistoletów.

– Cokolwiek zrobi, wpakuje się w jeszcze większe gówno – powiedziała, ledwie zamknęły się za nim drzwi. – Jeśli spróbuje zatuszować sprawę, będzie tylko gorzej: dla niego, dla pacjentów i dla nas. A jeżeli chodzi o Steele’a, to wiecie równie dobrze jak ja, że jest cholernie bystry. Zapewne miałam z nim najwięcej do czynienia z racji mnogości przypadków kardiologicznych na jego oddziale, dlatego wiem jedno: jeśli zwietrzy, że coś jest nie tak, nie odpuści. A jeżeli dodać do tego fakt, że Sullivan jest jego kochanką, to nie ulega wątpliwości, że mamy poważny problem. Dlatego też pomyślałam, że być może najwyższy czas zacząć ograniczać straty i po prostu wycofać się z całej sprawy.

Blaine znieruchomiała z kieliszkiem uniesionym do ust. Widelec Edwardsa zawisł w powietrzu. Lockman wbił w Downs przenikliwe spojrzenie. Na twarzach trojga lekarzy odmalowało się niedowierzanie.

– Posłuchajcie – ciągnęła Francesca. – Mam szczerze dość Hamlina i tego, że próbuje nas wciągnąć w swoje niepowodzenia. Technika, którą stosowałam na swoich pacjentach, nie różniła się niczym od procedury, której przestrzegałabym i wtedy, gdybyśmy mieli pozwolenie na to, co robimy. Nie jest niesprawdzoną improwizacją. Dowodem na to niech będą statystyki.

– Ejże – zawołał Edwards. – Nie myśl sobie, że tak po prostu odejdziesz, unikając młota, który na nas spada. Jeżeli Hamlin pójdzie na dno, to i ja. Podobnie Adele, Lockman i twój kochaś Norris. A skoro już o nim mowa, czy on zna twoje zapatrywania, czy zamierzasz zrobić mu niespodziankę?

– Pytaliście mnie o zdanie, więc wam powiedziałam.

– To teraz wysłuchaj mojej opinii – odparł pulchny ginekolog. – Wszyscy tkwimy w tym samym bagnie i kropka. Kiedy słyszę takie teksty jak ten, którym nas właśnie uraczyłaś, zaczynam się obawiać, że może komuś marzy się transakcja wymienna z glinami: nietykalność w zamian za rzucenie pozostałych wilkom na pożarcie. Ostrzegam cię, że nie pozwolę na to, podobnie jak nie dopuszczę, żeby Hamlin wyjawiał nasz mały sekret Steele’owi. – Zaciśnięte zęby nadawały słowom ostre brzmienie, a spojrzenie było twarde jak krzemień.

Francesca drugi raz tego wieczoru poczuła na policzkach gorąco.

Blaine ostrożnie odstawiła kieliszek, grzecznie złożyła ręce na stole i uśmiechnęła się cierpko.

– Właśnie, skarbie. Nie myśl, że pozwolimy ci odegrać rolę świętego niewiniątka. I nie zapominaj, że to ty pomogłaś Hamlinowi przystosować cewniki używane w kardiologii do jego potrzeb.

– Nigdy nie tknęłam nimi pacjenta...

– Pomagałaś i podżegałaś, moja słodka, w pełni świadoma zamiarów szanownego kolegi. Nie jestem prawniczką, ale moim zdaniem na pewno nie jesteś królową Śnieżką. I pozwól, że przypomnę ci o czymś jeszcze: bez względu na to, jaki układ zawrzesz z policją, jako lekarz będziesz skończona na zawsze. Bądź pewna, że moje zeznanie walnie się do tego przyczyni.

Gorączka, która dotąd paliła policzki Franceski, ogarnęła teraz całą twarz. Krople potu popłynęły nagle po jej plecach, gdy z wysiłkiem powstrzymywała się, by nie rzucić się na siedzącą naprzeciwko kobietę.

Blaine uśmiechnęła się krzywo, najwyraźniej zadowolona z dyskomfortu, który udało jej się wywołać, i trzykrotnie łyknęła czerwonego wina.

– Wspólnie podsunęłyście mi pewien pomysł na załatwienie tego nadętego palanta Hamlina –

odezwał się Edwards po paru sekundach efektownej ciszy. – I Steele’a, jeśli będzie to konieczne...

Pół godziny później Blaine dopijała już czwarty kieliszek wina. Edwards spojrzął z niechęcią na niedojedzoną rybę, odsunął talerz i śladem koleżanki zamówił drinka. Lockman rozglądał się nerwowo, jakby nie wiedział, z kim powinien trzymać.

Prancesca przeprosiła zebranych, odnalazła toaletę i zwymiotowała. Płuczac usta nad umywalką, przyglądała się własnemu odbiciu w lustrze. Na myśl o tym, że mogłaby gnić w celi i nigdy więcej nie praktykować medycyny, poczuła dreszcze.

Wracając do wydzielonej sali, zauważyła przy barze mężczyznę, który obserwował ją uważnie spod przymrużonych powiek. W innych okolicznościach zapewne nie zastanawiała by się nad tym, ale ostatnio takie spojrzenia wzbudzały w niej paniczny strach, że ktoś odkrył tajemnicę, która była jej udziałem. Że Edwards i Blaine już ubili interes z policją, żeby ratować skórę. Że funkcjonariusze w cywilu już ją śledzą. Że wyprowadzą ją w kajdankach. Hej, dziewczyno, przywołała się do porządku, zdobywając się na tę samą żelazną dyscyplinę emocjonalną, która od dziesięciu lat pomagała jej trzymać nerwy na wodzy w sali operacyjnej. Nie stać cię teraz na wpadanie w paranoję.

Mężczyzna na powrót pochylił się nad swoim drinkiem.

Rozdział 5

*poniedziałek, 18 czerwca,
godzina 8.15*

Doktor Gordon Ingram rozparł się wygodnie w fotelu, zamknawszy kartę choroby Kathleen Sullivan. Jego ciemny garnitur był nieskazitelnie czysty i, podobnie jak wszystkie ciemne garnitury, które posiadał, dobrany tak, by podkreślać smukłość sylwetki. Ociężałość nie była cechą ani jego ciała, ani umysłu. Jego dociekliwość w rozwiązywaniu dylematów etycznych była równie imponująca jak umiejętności kliniczne, które szlifował podczas dziesięcioletniej pracy na stanowisku szefa oddziału intensywnej terapii. Przestał nim być dopiero przed trzema sezonami, gdy w wieku lat czterdziestu dwóch przeszedł zawał serca. Na ścianie za plecami Ingrama wisiały oprawne w ramki dyplomy i pamiątkowe tabliczki, świadectwa nadzwyczajnej jakości jego pracy w tamtych czasach. Były również dobitnym dowodem na to, że nadawał się do pełnienia funkcji, którą powierzono mu później: do wykrywania partactw mniej zdolnych kolegów. Ponad galerią chlubnych dokumentów wisiał w ramce plakat z czerwonym napisem NIEKOMPETENCJA ZABIJA.

Wyposażenie gabinetu było nader skromne; brakowało prywatnych drobiazgów, a nawet roślin ozdobnych. Sprzęty, w które zaopatrzył to biuro szpital – metalowe biurko z marnej klasy komputerem, laminowana półka udająca dębinę oraz para krytych czarną imitacją skóry, celowo niewygodnych krzesła dla gości – raczej nie podkreślały wysokiego statusu użytkownika. Krążyły na ten temat żarty. Ingram miał jakoby sprowadzić meble w stylu „dawnego posterunku policji”, aby skuteczniej „przesłuchiwać podejrzanych”. Nikomu jednak nie było do śmiechu, gdy siadał naprzeciwko niego, by odpowiadać na skargi pacjentów lub, co gorsza, tłumaczyć się z błędów, które gospodarz odkrył podczas wrywkowego badania kart choroby. I kłamcy, i niewinni czuli się nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem Ingrama – spojrzeniem człowieka, który lubi swoją pracę. Za bardzo lubi, pomyślał Tony Hamlin, siedząc na niewygodnym krześle.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Ingram. – To, co przytrafiło się doktorowi Steele’owi, było wynikiem błędnej oceny sytuacji, ale z pewnością nie powinno być przedmiotem oficjalnej skargi. Doktor Steele zbyt mocno zaangażował się emocjonalnie w ten przypadek, lecz dla mnie jest to zrozumiałe.

– Dzięki, Gordonie – odparł Hamlin, zadowolony, że uspił czujność tropiciela przewinień i zniechęcił go do zbyt uważnego badania sprawy Sullivan. – Która z pielęgniarek zgłosiła ci ten incydent? Chciałbym z nią porozmawiać i wyjaśnić, że groziłem Steele’owi oficjalnymi sankcjami tylko po to, żeby wreszcie skłonić go do wykonywania moich zaleceń. Nie miała prawa działać na własną rękę.

– Przykro mi, Tony, ale znasz zasady. Każdy, kto zamelduje o choćby potencjalnie nieetycznym zachowaniu personelu, ma zagwarantowaną anonimowość.

Co gwarantuje dostatek donosicieli, uzupełnił neurochirurg, wstając i sięgając po kartę choroby Sullivan.

Ingram przycisnął dokument ręką.

– Nie tak prędko. Jest jeszcze jedna sprawa, do której muszę się odnieść.

– Słucham?

– Chodzi o to, czy powinieneś nadal zabraniać Richardowi odwiedzin. Widziałem, że tylko raz pozwoliłeś córce pacjentki i synowi Richarda zerknąć na chorą. To było zaraz po operacji, a od tamtej pory nic... Minęły już siedemdziesiąt dwie godziny, Tony. Dlaczego nie dopuszczasz do niej najbliższych?

– Dlatego że parametry życiowe doktor Sullivan rosną gwałtownie, gdy tylko ktoś się zbliży, nie wyłączając mnie, a świeżo przyżegane naczynia nie wytrzymają...

– Ejże! Pamiętaj, z kim rozmawiasz. – Korona chłopięcych, ciemnych loków nie zmniejszała surowości, z jaką Ingram spoglądał na swych rozmówców. – Pacjenci oddziału intensywnej terapii potrzebują kontaktu z najbliższymi, zwłaszcza gdy są pobudzeni. Dlatego proponuję, żebyś powiedział członkom rodziny, co im wolno, a czego nie, i pozwolił im odwiedzać doktor Sullivan.

– Gordonie, to moja pacjentka. Myślę, że lepiej znam stan jej umysłu...

– Tylko nie cytuj mi danych o psychozach na oddziale intensywnej terapii. I nie zmuszaj, żebym oficjalnie zapytał o dawki środków uspokajających, które podajesz chorej. Nawet student zorientowałby się, że najbardziej prawdopodobną przyczyną chorobliwego podniecenia doktor Sullivan jest nadmiar tych leków. Pora wykorzystać kojący wpływ rodziny i odstawić prochy.

– Ale...

– Mogę pchnąć tę sprawę drogą służbową i uzyskać oficjalne zalecenia, Tony.

Na myśl o jeszcze wnikliwszym śledztwie Hamlin zamknął usta. Zielony strój, w którym przyszedł z sali operacyjnej, wydał mu się nagle ciężki i zbyt ciepły.

– Mam porozmawiać ze Steele'em czy sam to zrobisz?

– Zrobię – odparł neurochirurg. Nie zamierzał pozwolić, by Ingram zaangażował się w sprawę jeszcze mocniej.

– I przekazesz pielęgniarkom, że nie wolno im ograniczać kontaktów doktor Sullivan z najbliższymi?

– Tak.

– To dobrze. Jeżeli jeszcze dziś wieczorem zaczniesz ograniczać dawki midazolamu, powinniśmy zauważyć spore zmiany w zachowaniu pacjentki już pod koniec tygodnia. Wyznaczyłeś kogoś do tracheotomii?

Hamlin poczuł, że robi się jeszcze cieplej i że zaczyna sływać potem pod zielonym strojem chirurga. Ingram wiedział doskonale, że nadszedł czas na wycięcie otworu w tchawicy – dostarczanie powietrza tą drogą było dla chorych mniej uciążliwe niż przez rurę wprowadzaną do ust i gardła, zwłaszcza w przypadkach długotrwałego leczenia. Dodatkowa korzyść polegała na tym, że – jeśli w ogóle było to możliwe – pacjenci zaczynali mówić. Zdolność werbalnego porozumiewania się była jedną z pierwszych funkcji organizmu, które wracały po ciężkim udarze. Hamlin czuł, że nie może jeszcze podjąć tak wielkiego ryzyka.

– Naturalnie – odpowiedział, zbierając się do wyjścia. Ściskając w dłoni kartę Kathleen Sullivan, uśmiechnął się do Ingrama i przeklął go w duchu.

*godzina 12.10
bufet szpitalny*

– Chcesz powiedzieć Steele’owi teraz, nie wiedząc nawet, czy ona przeżyje? To kompletne szaleństwo! – szepnął Lockman. Pochylił się nad stolikiem tak nisko, że omal nie przewrócił nietkniętych kubków z kawą. – Jeśli Sullivan umrze, co jest cholernie prawdopodobne, a on będzie o wszystkim wiedział, na pewno pójdzie na policję.

Hamlin również się pochylił i poczuł w oddechu radiologa woń „specjału popołudnia”, czyli gołąbków.

– Gdybyś trzymał gębę na kłódkę, ona nie domyśliłaby się niczego.

– Co się stało, to się nie odstanie – wtrąciła Adele Blaine, rozglądając się nerwowo i gestem nakazując mężczyznom, żeby się uspokoili. – Ale faktem jest, Tony, mój skarbie, że nie myślisz logicznie. Tam gdzie się wychowałam, w Tennessee, mówiło się: „Nie rusz śpiącego psa”. Jeżeli Sullivan ma umrzeć, to niech tak się stanie. Nikt nie powinien znać szczegółów.

– Jesteś głupcem także dlatego, że nie zachowujesz zwykłych środków ostrożności. Nie powinniśmy pokazywać się razem w takim miejscu – dodał Edwards. Starał się mówić cicho, ale słysząc go było na drugim końcu stołu.

– To awaryjna sytuacja, na miłość boską – obruszył się Hamlin. – Przez Gordona Ingrama nie mogę już podawać Sullivan środków uspokajających. Gdy tylko się ocknie, zacznie gadać Steele’owi o tym, co zapamiętała z angiografii, a on jej uwierzy, bo będzie przytomna.

Downs nie odzywała się. Wciąż miała nadzieję, że zjawi się Norris i przywróci im wszystkim rozsądek, tak jak robił to do tej pory, gdy się kłócili. Wcześniej jednak problemy miały charakter czysto naukowy i zawsze znajdowało się jakieś rozwiązanie. Tym razem przeszkoda wydawała się nie do przebycia.

– Więc co proponujecie? – spytał Hamlin. – Mam czekać, aż on sam wszystkiego się dowie? Obudźcie się! Kiedy zdarzy się coś takiego, Steele na pewno nie będzie chciał nas słuchać, tylko od razu pójdzie na policję, bez względu na to, czy jego kobieta przeżyje.

Edwards wymienił spojrzenia z Blaine, nim zwrócił krągłą twarz ku neurochirurgowi.

– Powiem ci, jak postrzegamy tę sytuację, Tony. Jeżeli będziesz się upierał przy wariackim pomysle szczerzej rozmowy ze Steele’em, to Adele, Francesca, Matt i ja, a nie tylko ty, zostaniemy aresztowani. Ratując się przed więzieniem, będziemy musieli podjąć dość drastyczne kroki.

Hamlin zeszywniał.

– To znaczy?

– Albo będziesz milczał, albo od razu pójdziemy do glin, zanim z twoją pomocą zrobi to Steele. Ofiarujemy im ciebie w zamian za bezkarność.

Neurochirurg zdębiał. Jego twarz stała się niemal tak biała jak włosy.

– Nie zrobicie tego!

Blaine, Lockman i Edwards milczeli wymownie.

– Francesca? – szepnął z nadzieją. – Chyba nie mówicie poważnie.

Spojrzała na niego zdegustowana nie tylko postawą kolegów, ale i własną. Była jednak zbyt przerażona wizją więzienia, by się nie podporządkować. Po chwili doszła do wniosku, że słowa niczego nie zmieniają, po prostu wzruszyła ramionami.

Ten gest rozwścieczył Hamlina. Jego zastygłą dotąd twarz wykrzywił grymas pogardy.

– Wy... wy... nie ośmielcie się! – wyjąkał, czując, jak purpurowieją mu policzki, czoło i szyja. – Wszyscy dostalibyście zakaz wykonywania zawodu!

– Spróbuj się przekonać – odparła Blaine. Jej źrenice zrobiły się wielkie jak guziki, upodabniając małą głowę do główki lalki. – Lepsze to niż więzienie.

– Ty suko! – Hamlin poderwał się i pochylił gwałtownie nad drobną kobietą. Jego piskliwy szept był wystarczająco głośny, by uciszyć rozmowy w promieniu dwóch stolików.

– Zamknij się, Tony, i siadaj! – rozkazał Edwards. Wstał i pociągnął neurochirurga za ramiona, sadzając go na krześle. – Robisz sensację. A teraz słuchaj. Znalazłem inny sposób. Możemy kupić sobie jeszcze trochę czasu.

– Doprawdy? – mruknął Hamlin, próbując wyrwać się z rąk ginekologa.

– Doprawdy – odparł Edwards, nie puszczając.

Downs rozejrzała się niespokojnie. W ich stronę spoglądało co najmniej sześć osób.

Na wielkiej twarzy Edwardsa pojawił się wymuszony uśmiech.

Puścił Hamlina i poklepał go po plecach, jakby byli najlepszymi kumplami.

– A dlaczego nie miałbym zająć sali? Odwaliłbym tygodniową porcję skrobanek, zanim ty zrobiłbyś jedną operację. Nie skończymy tej dyskusji, póki nie zaakceptujesz mojego nowego, letniego planu wykorzystania sali. Mój oddział musi mieć do niej dostęp. – Tym razem podniesiony głos usłyszeli chyba wszyscy klienci bufetu.

I stracili zainteresowanie pięcioosobową grupką. Edwards pochylił się ku Hamlinowi i szepnął:

– Postaraj się, żeby Sullivan dodała do swojej historyjki kilka tak nieprawdopodobnych elementów, że nie uwierzy jej absolutnie nikt, nawet Steele.

– Niby jak mamy to zrobić? – spytał sarkastycznie Hamlin.

– Nie my – poprawił go Edwards. – Ty.

Mijając bufet, Richard wypatrzył charakterystyczną grzywę Hamlina. Próbował go złapać przez cały ranek, by dowiedzieć się, jak przebiegła rozmowa z Gordonem Ingramem, ale neurochirurg nie odpowiadał na sygnały wysyłane na pager. Steele postanowił poczekać, aż wymiana zdań przy stoliku dobiegnie końca.

Ze zdziwieniem patrzył, jak jej przebieg staje się coraz gwałtowniejszy.

– Szpitalna polityka – mruknął do siebie, rozpoznając prominentne postacie kilku oddziałów. Wiedział z doświadczenia, że takie rozmowy bywają długotrwałe. Zamówił kawę i usiadł przy stoliku między Hamlinem a wyjściem, zamierzając zagadnąć neurochirurga, nim zniknie za drzwiami. Dość szybko zauważył, że – jak na miejscowe standardy – spór przyjmuje dość gwałtowną formę. W pewnej chwili Hamlin wyglądał tak, jakby chciał się rzucić na Blaine, specjalistkę od rehabilitacji, ale Edwards jakoś go powstrzymał. Co mogło wywołać takie wzburzenie? Dziwna grupa, pomyślał. Lockman z radiologii i Blaine z jej instytutem rehabilitacji z pewnością współpracowali z Hamlinem w leczeniu przypadków neurologicznych. Lockman mógł pracować z Downs przy angiografii naczyń wieńcowych. Ale dlaczego towarzyszył im Edwards, szef ginekologii i położnictwa? I co takiego mógł powiedzieć, że Hamlin zbladł jak płótno? Konflikty między przedstawicielami tak odległych specjalności nie były częste.

Dziesięć minut później Hamlin wstał i ruszył w kierunku drzwi, tocząc dokoła cokolwiek mętnym wzrokiem.

Richard skoczył w jego stronę i zastąpił mu drogę.

– Tony, możemy zamienić słówko?

– Richard! – zawołał neurochirurg wyraźnie przestraszony i ukradkiem zerknął na grupkę, z

którą właśnie się rozstał. – Tak? A o co chodzi?

Pierwszy raz widzę go w takim stanie, pomyślał Steele.

– Jak poszła rozmowa z Ingramem?

Hamlin nie odpowiedział. Przez chwilę wyglądał tak, jakby był zbyt zajęty własnymi myślami, aby zrozumieć pytanie. Wreszcie przełknął ślinę i odparł:

– Całkiem nieźle. Zgodził się ze mną, że nie będzie potrzebne oficjalne dochodzenie.

– Uff, co za ulga. Słuchaj, dziękuję ci...

– Tymczasem wyraziłem zgodę na twoje wizyty u Kathleen. Ingram nalegał, ja byłem przeciw. Naciskał też, żebyśmy zmniejszyli dawki leku uspokajającego i zezwolili na odwiedziny najbliższych... to także wbrew mojej opinii. Tylko nie przychodź do niej wcześniej niż jutro rano. Być może wtedy, choć szczerze w to wątpię, Kathleen będzie gotowa na spotkanie z tobą. – Umilkł i odszedł nagle.

Richard spoglądał za nim bez słowa. Neurochirurg przystanął w drzwiach i obejrzał się raz. Wyglądał na przestraszonego. Jeszcze dziwniejsze było to, co Steele zobaczył, gdy odwrócił się, by zabrać kubek z kawą: posępne spojrzenia ludzi, z którymi Hamlin tak zażarcie dyskutował. Tylko Francesca Downs nie patrzyła na niego bykiem. Na jej twarzy malowało się obrzydzenie, jakby poczuła wyjątkowo przykry zapach.

Pewnie te gołąbki, pomyślał Richard.

Siedząc w przeciwległym kącie sali, Gordon Ingram również przypatrywał się niechętnym spojrzeniom, którymi zebrani odprowadzali Hamlina. On także uważał, że ma przed sobą dość dziwną grupę. Wydał w duchu tę ocenę jako statystyk uczulony na zjawiska wykraczające poza normę. Najbardziej osobliwe było to, jak ostry przebieg miała kłótnia cenionych specjalistów. Kłopoty, pomyślał, ale jakie? Co może łączyć tych ludzi?

Ktoś inny być może poprzestałby na tej obserwacji. Ingram był jednak urodzonym tropicielem skandali. Naturalna skłonność do solidnej pracy ułatwiała mu wypatrywanie wszelkich przejawów fuszerki – to dlatego zdołał zrobić karierę na wykorzenianiu mierności. Odkąd przeżył zawał, stał się jeszcze gorliwszy. „Jeżeli ja nie mogę praktykować medycyny, to prędzej mnie szlag trafi, niż pozwolę, żeby robił to jakiś partacz”, mawiał każdemu, kto oskarżał go o zbytnią surowość. W rzeczywistości jednak nie zrezygnował z praktyki – zmniejszył jedynie aktywność, ograniczając się do konsultacji. Niemalęj radości dostarczał mu fakt, że ci sami, którzy się skarżyli, na ogół pierwsi przychodzili po opinię, gdy przypadek przerastał ich umiejętności. Lecz nawet to nie mogło się równać z zadowoleniem, jakie dawało mu niegdyś kierowanie oddziałem intensywnej opieki medycznej. Każdego dnia żałował, że brakuje mu fizycznej wytrzymałości, by powrócić do tego zajęcia.

Po kilku minutach był już w swoim gabinecie. Otworzył dolną szufladę biurka i wyjął z niej komputer, którego naprawdę używał: czarnego laptopa, grubego najwyżej na dwa i pół centymetra i tysiakkroć potężniejszego od antycznej maszyny, którą zafundował mu szpital. „To moja księga tajemnic. J. Edgar Hoover też miał taką”, zwykł mawiać żartem do żony, nim znudziły jej się jego nieznośnie długie dni pracy i odeszła.

Przez godzinę analizował śmiertelność wśród pacjentów każdej z osób, które widział przy stoliku, nie wyłączając Hamlina. Szukał danych, które potwierdziłyby wyższą od przeciętnej liczbę

komplikacji lub zgonów.

– Ciekawe – mruknął.

Teczka Lockmana była jednym katalogiem błędów, dokładnie tak jak Ingram się spodziewał. Dane pozostałych mieściły się w normie, ale akta Hamlina i Downs były dziwne: liczba zejść okazała się znacząco niższa od średniej krajowej, co oznaczało, że neurochirurg i kardiolog z nowojorskiego szpitala – zwłaszcza ona – prezentują o wiele wyższy poziom umiejętności niż ich koledzy w całych Stanach Zjednoczonych.

Dlaczego więc nie wyglądali na szczęśliwych? Dlaczego kłócili się w bufecie? Sądząc po ich minach, byli głęboko wzburzeni jakąś sprawą. Ingram przypomniał sobie teraz dziwnie obronną postawę Hamlina podczas rozmowy o przypadku Kathleen Sullivan. A to, że podawał jej tak silną dawkę leku, zwłaszcza w kontekście ostrej psychozy, którą przejawiała, było z jego strony co najmniej błędem w ocenie sytuacji.

Ingram wpisał hasło, by wejść do szpitalnej bazy danych zawierającej informacje o zużyciu leków. Wybrał folder Hamlina, szukając środków uspokajających i narkotyków.

Dane wyglądały normalnie. Faszerowanie Sullivan midazolamem musiało być odosobnionym przypadkiem.

Skąd więc ta scena w bufecie?

Ingram skupił się na innym wskaźniku, który często oznaczał kłopoty: na częstotliwości ponownych przyjęć do szpitala w krótkim czasie po wykonaniu zabiegu. Dane Hamlina i Downs prezentowały się wręcz wzorowo. Tylko dwa przypadki Hamlina przykuły uwagę specjalisty od etyki lekarskiej – były podobne do siebie i względnie świeże. Chodziło o mężczyzn, których przyjęto ponownie z objawami udaru krwotocznego, ale od operacji przeprowadzonych przez Hamlina u obu minął ponad rok. Za coś takiego nie można było winić neurochirurga, zwłaszcza że pierwotnie w obu przypadkach zdiagnozowano dziedziczne wady naczyń krwionośnych: tętniaka wewnątrzczaszkowego oraz naczyniaka torebkowego, czyli tę samą deformację, którą wykryto u Kathleen Sullivan. Bez względu na to, co wywołało pierwszy krwotok, z pewnością drugi nie miał z nim żadnego związku. Jeżeli tkanka obciążona wadą dziedziczną została usunięta, nie mogła się odrodzić.

W takim razie skąd ponowne krwawienie? Krwotoki wewnątrzczaszkowe stanowiły zaledwie dwadzieścia procent wszystkich udarów, a wrodzone wady naczyń były raczej rzadko spotykanymi ich przyczynami. A tu nagle dwaj mężczyźni o podobnych problemach...

Być może obaj cierpieli na nadciśnienie, pomyślał Ingram. To najczęstsza przyczyna udarów mózgowych. Nie mógł jednak potwierdzić tej hipotezy, ponieważ komputerowy rejestr zawierał tylko diagnozy główne. Dodatkowe schorzenia, takie jak nadciśnienie, również powinny zostać opisane, ale pod presją czasu pracownicy szpitala często nie dopełniali tego obowiązku. Nawet krytyk tak surowy jak on nie dopatrywałby się poważnego wykroczenia w braku uzupełniających zapisów.

Zastanowił go natomiast osobliwy zbieg okoliczności: miał przed sobą dane dwóch pacjentów, u których wystąpiły dwa udary krwotoczne, za każdym razem o innej przyczynie.

Odsunął się od biurka i przetarł oczy. Od wpatrywania się w ekran w białym blasku świetlówek rozboleła go głowa. Nie przestał jednak analizować danych, które właśnie poznał.

Lata doświadczenia w ujawnianiu błędów lekarskich nauczyły go czegoś bardzo ważnego: im

lepiej prezentowały się czyjeś osiągnięcia, tym mniej krytycznie były analizowane. W ten sposób poważne problemy mogły uchodzić uwagi obserwatorów przez długi czas.

Może warto by było przyjrzeć się bliżej jednej z naszych supergwiazd, pomyślał, wyłączając komputer. Kłopotem był jedynie brak czasu; jeszcze tego dnia Gordon Ingram miał przewodniczyć trzem posiedzeniom komisji dyscyplinarnej.

godzina 20.20

Srebrne igły deszczu tańczyły na asfalcie, gdy Richard Steele z kurtką narzuconą na głowę biegł do samochodu.

– Hej, Richardzie! – rozległ się z tyłu głos ledwie słyszalny w szumie ulewy. – Zaczekaj.

Steele obejrzał się i zobaczył szczupłą postać z parasolem zbliżającą się znajomym, niespiesznym krokiem.

– Dobry wieczór, Gordonie – powiedział. – Znajdzie się dla mnie trochę miejsca?

– Wchodź – odparł z uśmiechem Ingram.

Richard pospieszył w jego stronę, by schronić się pod czarną czaszą parasola. Nie musiał się schylać – obaj byli wysocy. Zwolnił tylko kroku, żeby nie wyprzedzać Ingrama, idącego wolno i oddychającego z pewnym wysiłkiem, jak starzec.

– Dogadałeś się jakoś z Hamlinem? – spytał Gordon.

– Tak. Zamierzałem podziękować ci jutro, że tak wyprostowałeś tę sprawę...

– Na Boga, Richardzie. Jaki byłby sens zajmowania się na co dzień etyką, gdybym nie mógł raz na jakiś czas narzucić komuś swojego zdania? Wiesz, dobrzy muszą niekiedy zwyciężyć. Nie mam wątpliwości, że ty jesteś jednym z nich, a także jednym z niewielu, z którymi mogę rozmawiać jak równy z równym. Dlatego nie ma sprawy. Tylko opiekuj się Kathleen. Jak sobie radzi?

– Zgodnie z oczekiwaniami, jak sądzę. Jest dość oszołomiona.

– No, to powinno się wkrótce zmienić. Pamiętam jeszcze, jak się czułem jako pacjent intensywnej terapii: jakbym dostał kopa w zęby.

Richard wrócił myślą do nocy sprzed trzech lat, kiedy Ingram trafił na jego oddział z rozległym zawałem serca.

„Połowę wysiłku przy ratowaniu twojego tyłka poświęciliśmy na uspokajanie rezydentów i pielęgniarek – powiedział mu kilka tygodni później. – Zgłupieli z wrażenia, mając na stole jednego z własnych ludzi, a ty, gdy tylko doszedłeś do siebie, zacząłeś nimi dyrygować. Byli tak przyzwyczajeni do wykonywania twoich poleceń, że omal nie zaczęli cię słuchać”.

Zachichotał na samo wspomnienie.

– Pamiętam, że jako pacjent byłeś niezłym sukinsynem. Na zwykle nieprzeniknioną twarz Ingrama wpłynął szeroki uśmiech.

– To fakt – odparł z dumą.

– Najgorszego sortu.

– Cóż, nie życzyłbym nikomu tego, co sam przeszedłem, ale sporo się wtedy nauczyłem o byciu lekarzem. Wiem na przykład, jak wiele znaczy obecność kogoś, kto choćby potrzyma chorego za rękę.

Richard skrzywił się lekko, usłyszawszy ostrzejszą nutę w jego głosie. W całym szpitalu

mówiło się swego czasu o tym, że koledzy i rezydenci odwiedzali Ingrama tłumnie lub wysyłali mu kwiaty, natomiast jego żona złożyła mu jedynie kilka wizyt, a nawet gdy się pojawiała, prawie go nie dotykała. Rok później złożyła pozew rozwodowy.

– Wielu tutejszych głupców, takich jak Hamlin, mogłoby się choć raz znaleźć po przeciwnej stronie stetoskopu – ciągnął Ingram. – Byłeś jednym z nielicznych, którzy nie tylko traktowali mnie kompetentnie, ale także po ludzku. Nawet w stanie śmierci klinicznej słyszałem twój głos. Zapewniałeś mnie, że wszystko będzie dobrze. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– A jak się teraz czujesz, skoro już o zdrowiu mowa? – Zdaniem Steele’a Ingram dyszał tego dnia jakby mocniej niż zwykle.

– Ja? Nie narzekam. Tyle że przy takiej pogodzie jak dziś oddycha mi się ciężiej. To tylko astma... Ale brakuje mi prawdziwej pracy.

Ingram, jak większość lekarzy, nie lubił rozmawiać o własnym zdrowiu i lekceważył niepokojące sygnały. W sumie więc Richard nie miał pojęcia o stanie jego serca i ogólnej kondycji. Nie naciskał jednak, szanując prywatność kolegi.

– Wciąż robisz wiele dobrego, Gordonie. Widzę to na swoim oddziale. Sam fakt, że istniejesz, zmusza wszystkich do lepszej pracy. Nikt nie byłby lepszym poganiaczem lekarskiego stada niż ty. – Ingram potrafił być uciążliwy, ale w całym szpitalu nie znalazłby się nikt, kto skutecznie egzekwowałby jakość pracy. Potrafił dosłownie wskrzeszać umarłych; niejedną raz osobiście ratował pacjentów, których reanimację wstrzymałby każdy inny lekarz, nie wyłączając Steele’a. – Wiesz, że rezydenci nazywają cię Łazarzowcem?

Ingram uśmiechnął się szeroko.

– Wiem. I nawet mi się to podoba.

– Zasłużyłeś na takie przezwisko – stwierdził Richard.

– Dzięki.

– To mój samochód... Właściwie to ja dziękuję tobie.

Etyk lekceważąco machnął ręką.

– Daj mi znać, gdybyś miał jeszcze kłopoty z Hamlinem.

Siadając za kierownicą i uruchamiając silnik, Richard obserwował lekko przygarbioną postać Ingrama, który wolnym krokiem oddalił się w stronę swego srebrnego mercedesa – spory kawałek od miejsca, w którym się zobaczyli. A niech mnie, pomyślał, zdawszy sobie sprawę, że Gordon musiał zaaranżować to spotkanie, zapewne po to, by sprawdzić, czy Hamlin rzeczywiście zezwolił na odwiedzanie Kathleen. Wrzucił bieg, przejechał wolno przez rozległą kałużę i skręcił w stronę wyjazdu z parkingu. Masz za swoje, Hamlin, pomyślał z odrobiną satysfakcji. Tym razem, dla odmiany, dobrzy zwyciężyli.

Śniła o tym, że kocha się z Richardem.

Czuła, jak głaszcze jej piersi i uda. Wizja była tak realistyczna, że przez moment zdawało jej się, iż wrócili do łóżka w mieszkaniu, a wszystko, co zaszło później, było tylko złym, koszmarnym snem.

Choć z drugiej strony... Odkąd nie podawano jej potężnych dawek leku uspokajającego, jej umysł pracował znacznie sprawniej. Nie powinna mieszać fantazji z rzeczywistością.

Nagle znajomy zapaszek wody po goleniu przebił się przez mgłę spowijającą jej świadomość.

Gwałtownie otworzyła oczy.

W klitce panował półmrok, a zasłony były zaciągnięte.

Zobaczyła nad sobą Hamlina, który wsunął dłoń w rękawiczki między jej uda, sięgając w krocze. Palcami drugiej ręki ścisnął jej sutek. Patrzył prosto przed siebie, a jego twarz, ledwie widoczna w słabym świetle, pozostawała absolutnie nieruchoma.

Niedowierzanie, odraza i wściekłość ogarnęły Kathleen. Narastały, a ona nie mogła nic na to poradzić; zdawało jej się, że lada chwila eksploduje. To, co robił z nią Hamlin, wydało jej się tym potworniejsze, że czynił to z absolutną obojętnością. Czując, że serce bije jej jak oszalałe, zerknęła na monitory, zdumiona faktem, że jeszcze nie odezwał się sygnał alarmowy.

Neurochirurg wyłączył system.

Nadal ją obmacywał, na zimno, klinicznie, wpatrując się niezmiennie w jeden punkt zdecydowanie nie należący do jej ciała.

Zaczęła płakać. W myślach wstrząsało ją potężne łkanie, ale w rzeczywistości tylko łzom udało się uciec z pułapki ciała i spłynąć po policzkach.

Za parawanami dostrzegła światła sali.

Pielęgniarki i pacjenci rozmawiali normalnie, jakby nic się nie działo.

– Czy potrzebuje pani teraz leku przeciwbólowego...?

– Tak, proszę...

– Może gliceryna do ust...?

– Byłoby dobrze...

Hamlin nie przestawał.

Ktoś podniósł słuchawkę telefonu.

Z głośnika rozległ się komunikat: godziny odwiedzin dobiegły końca.

Kathleen czuła, że zaraz oszaleje.

Proszę, niech ktoś mi pomoże! – wrzeszczała z głębi lochu, którym stała się jej czaszka.

Kobieta z sąsiedniej klitki poprosiła o dodatkową poduszkę.

Przeżyję to, powtarzała sobie w duchu Kathleen. Dopadnę cię, żaloszny sukinsynu. Dopadnę cię.

Wreszcie Hamlin spojrzał na nią.

Teraz, mimo wątłego oświetlenia, widziała go wyraźniej. Oczy sprawiały wrażenie martwych, a twarz, w zestawieniu z białą grzywą, była szara.

Gdy tylko zauważył, że jest obserwowany, ściągnął rękawiczki, wrzucił je do kosza na śmieci i zniknął za zasłoną.

– Dajcie jej kilka minut, zanim włączycie sprzęt – rzucił w stronę pielęgniarek. – Obudziła się w połowie badania neurologicznego i na mój widok natychmiast dostała szału.

Rozdział 6

*wtorek, 19 czerwca,
godzina 7.10*

Kiedy Richard zobaczył ją następnego ranka, wyglądała na pozbawioną sił: leżała na boku, ponownie zwinięta w kłębek. Jej ręce i nogi były mocno ugięte, nawet palce zakrzywiły się jak szpony. Wiedział, że powinien się spodziewać takich skurczów, lecz mimo to czuł lęk, gdy klękał przed nią tak, aby mogła go zobaczyć.

– Cześć, Kathleen – rzekł, zmuszając się do uśmiechu, który miał ukryć strach. Wiedział, że to dość żalсна próba.

Jej policzki i usta obwisły tak, jakby była martwa. Wargi otaczały przewód wprowadzony do tchawicy, a z nosa wystawała plastikowa rurka. Lecz oczy, we wspaniałym kontraście wobec bladej i jakby za luźnej skóry, płonęły zielonym blaskiem podpowiadającym Richardowi, że jego kobieta jest bardzo, bardzo żywa. Gdy tylko go zauważyła, zaczęła mrugać z zapalem.

– Przestań, Kathleen! – rozkazał, zerkając na monitory. – Nie próbuj więcej literować. – Ku jego uldze i zdziwieniu odczyty pulsu i ciśnienia krwi ani drgnęły. Kiedy zniżył wzrok, powieki Kathleen trzepotały jak oszalałe. Złapał ją za rękę, z trudem wsuwając dłoń w kurczowo zaciśnięte palce. – Nie, kochanie. Uspokój się. W tej chwili nie musisz mi o niczym mówić.

Uspokoila się na sekundę, a potem zamruęala ponownie. Tak, tak, tak.

Boże, pomyslał, głašzcząc jej czoło.

– Posłuchaj mnie. Jeżeli znowu włączą się alarmy, Bóg jeden wie, kiedy pozwolą nam na następne spotkanie, więc przestań!

Nie.

– Do licha, Kathleen, ja nie żartuję. Cztery dni temu miałaś operację. Przerwane naczynia jeszcze się nie zasklepiły i nie zniosą twoich...

Przerwała mu, sygnalizując długim ciągiem znaków. Szybkie spojrzenie na ekrany upewniło Steele'a, że odczyty utrzymują się w normie.

– O nie – mruknął. – Nie przestaniesz, dopóki nie odszyfruję?

Tak.

Niechętnie sięgnął po papier i długopis.

– Zrobię to tylko pod jednym warunkiem. Obiecuj mi, że przestaniesz, jeżeli zmienią się wskazania przyrządów. Umowa stoi?

Tak.

Zaczął liczyć.

– Hamlin? – zgađł, kiedy zapisał „ham”.

Tak.

Gdy dodała „t” do „moles”, poczuł się bardzo dziwnie. Czyżby kolejny przejaw paranoi? Zanim skończyła mrugać „Hamlin mnie molestował”, zastanawiał się już nad najłagodniejszym sposobem przekonania jej, że to nie może być prawda. Głašzcząc ją po twarzy, chciał opowiedzieć o psychozie i zapewnić, że to typowa i przejściowa reakcja organizmu. Biedna Kathleen, myślał,

dla niej to musi być istny koszmar. Halucynacje to ostatnia rzecz, jakiej jej teraz potrzeba.

Zanim zaczął, przemówiły jej powieki. Może będzie lepiej, jeśli wysłucham, co ma do powiedzenia, pomyślał Steele, sięgając po kartkę i długopis.

Nie wierzysz mi, prawda?

– To nie tak, Kathleen. Po prostu sędzę, że nie pojmujesz, jak głęboki wpływ na twój umysł mogą mieć zaistniałe okoliczności oraz leki, które dostajesz. – Tłumacząc spokojnie skutki uboczne intensywnej opieki medycznej, stwierdził nagle, że w oczach Kathleen pojawiły się niebezpieczne błyski. Była wściekła na niego. Nie próbowała więcej rozmawiać powiekami, nawet gdy zadawał jej pytania.

Siedząc na łóżku, ściskając sztywną dłoń i gładząc policzek chorej, Steele z każdą chwilą czuł się bardziej bezradny. Nie przestawał jednak mówić – opowiadał, że Lisa i Chet jakoś sobie radzą, że przyjdą wkrótce z wizytą, że operacja przebiegła doskonale... Wspominał o wszystkim, co mogło być pozytywnym sygnałem. Kiedy wszakże zjawił się fizykoterapeuta, by popracować nad przykurczonymi nogami i rękami Kathleen, Richard poczuł nieomal ulgę, mogąc wrócić do codziennych zajęć.

Gdy tylko wyczuwała zapach Hamlina, otwierała oczy i patrzyła prosto przed siebie.

Chociaż prosił, żeby mrugała „tak” lub „nie” w odpowiedzi na jego pytania, ani razu nie poruszyła powiekami.

Przede wszystkim jednak starała się zachować lodowaty spokój. Za wszelką cenę musiała kontrolować puls i ciśnienie krwi, by nie dać neurochirurgowi powodu do zwiększenia dawki środka uspokajającego.

Prędzej czy później Richard mi uwierzy, powtarzała sobie w duchu.

Prędzej czy później.

Szczególną przyjemność sprawiały jej bojaźliwe spojrzenia Hamlina, które rzucił w jej stronę, odkąd zauważył, że jest świadomie ignorowany podczas obchodów.

Prędzej czy później cię dopadnę, myślała.

Ale Richard wciąż jej nie wierzył.

Niczego nie zmyśliłam, powtarzała mu za każdym razem, gdy się pojawiał.

Na jego zmęczonej twarzy malowała się wtedy troska, ale z uporem mówił, że nie wydarzyło się absolutnie nic niewłaściwego.

Niekiedy myślała, że gdyby nie była sparaliżowana, chyba zdzieliłaby go w łeb. Na ogół jednak panowała nad frustracją i wskaźniki milczały. Nie zamierzała dać się ponownie nafaszerować ohydnymi prochami.

Prędzej czy później Richard musi uwierzyć.

Następnego dnia zobaczyła w jego oczach zwątpienie i od razu wiedziała, że jej upór zaczyna przynosić efekty.

Dzień później Hamlin zastał Richarda przy jej łóżku. Do tej pory unikał takich spotkań. Niepokój w jego spojrzeniu mówił Kathleen bardzo wiele. Kiedy neurochirurg odciągnął Steele'a na bok, nie miała wątpliwości, że czyni to wyłącznie po to, by nie usłyszała, o czym rozmawiają.

– Wykazuje jeszcze symptomy paranoi? – Jego szept był wystarczająco głośny dla nadwrażliwego słuchu Sullivan.

Richard zawahał się i kilkakrotnie przełknął ślinę, jak zawsze, gdy nie był pewien, jak powinien odpowiedzieć.

– Nieliczne, ale na szczęście nie, jest już tak pobudzona – odparł w końcu. – Puls i ciśnienie utrzymują się w normie... Chyba zaczyna rozumieć, że to mózg płał jej figle.

Kathleen zauważyła, że na twarzy Hamlina pojawił się wyraz ulgi.

– Och, to cudownie! – powiedział.

Akurat, pomyślała, pragnąc dopaść drania bardziej niż kiedykolwiek.

Gdy kończył badanie neurologiczne, jej nieruchome spojrzenie zdążyło popsuć mu humor. Co ważniejsze, Richard uważnie śledził każdy jego ruch, nieznacznie marszcząc brwi. Zadaje sobie pytanie, czy to może być prawda, pomyślała. Zaczyna coś podejrzewać.

Tej nocy ruszyła palcami prawej dłoni.

Rankiem, kiedy zrobiła to samo w obecności Hamlina, wyglądał tak, jakby chciał z wrzaskiem wybiec z sali.

*piątek, 22 czerwca,
godzina 13.10*

– Ona mnie załatwi. Im zdrowsza będzie, tym bardziej przekonujące będą jej oskarżenia. Dlaczego, do ciężkiej cholery, dałem się wam zaszantażować? Po co ją ruszałem?! – Hamlin wrzeszczał do mikrofonu, spacerując nerwowo w tę i z powrotem tak daleko, jak pozwalał mu na to przewód słuchawki.

– Spokojnie, Tony – rzekł Edwards. – Nie masz pojęcia, ile skarg tygodniowo wnoszą kobiety, które podobno były molestowane przez moich ludzi. Połowa z tego to czyste brednie, a reszty i tak nie daje się udowodnić, więc niezadowolone prędzej czy później po prostu się zamykają.

– A ja ci mówię, że ona nie ustąpi! – Rozmawiając z ginekologiem, Hamlin po raz trzeci w ciągu trzech dni złamał zasadę niekontaktowania się z członkami grupy w murach szpitala.

– Co z tego?! Najważniejsze, że Steele jej nie wierzy, dokładnie tak jak przewidziałem. Nie uwierzy jej też, gdy ponownie wypłynie temat „czegoś, co włożyłeś do jej mózgu”.

– Ale jeśli będzie uparta...

– Jeżeli wciąż będzie cię oskarżać, równocześnie cudem wracając do zdrowia dzięki twoim, tak mówi cały szpital, fenomenalnym zdolnościom, to przyłgnie do niej opinia niewdzięcznej suki. Wystarczy, jeśli zachowasz spokój i będziesz trzymał język za zębami. Opanuj się i nie dzwoń do mnie więcej.

– Ty jej nie znasz. Musi być cholernie twarda, skoro potrafi utrzymać nerwy na wodzy w mojej obecności. Gdy tylko odzyska mowę lub zdolność pisania, będzie po mnie.

– Zamknij się i weź się w garść!

– Ty żłobie! Łatwo ci mówić. Byłem głupcem, że...

Edwards odłożył słuchawkę.

Sygnal zajętej linii brzęczał jak irytująco natrętna mucha. Hamlin cisnął słuchawkę na widelki. Wybiegł do sąsiedniego pokoju badań i zwymiotował do umywalki.

Mężczyzna w białym kitlu narzuconym na długą koszulę pacjenta tkwił przed drzwiami

gabinetu Hamlina. Tuż obok, na przenośnym stojaku, wisiała kroplówka połączona rurką z przedramieniem siedzącego. Nikt nie zwracał na niego uwagi; na tym samym korytarzu, przed pokojami sześciu innych lekarzy, czekało co najmniej piętnastu pacjentów – wielu w podobnych szpitalnych koszulach. Był gładko ogolony i miał bardzo krótkie, strzyżone maszynką włosy. Ten wizerunek ostro kontrastował z dawnym: bujną czupryną i brodą, którą nosił, gdy pracował na patologii i, później, na położniczym, zanim te sukinsyny wyrzuciły go z pracy. Teraz nawet nazwisko miał inne, dzięki fałszywemu dowodowi tożsamości i takiejż karcie ubezpieczenia. Był pewien, że nie rozpozna go nikt, kto znał go w dawnych czasach.

Z informacji zawartych na pasku, który założono mu na nadgarstek, wynikało, że został przyjęty tego samego dnia jako Robert Lowe. Skarżył się na objawy, które miały wywołać podejrzenie kolki nerkowej. Kiedy poproszono go o próbkę moczu, ukradkiem nakłuł palec specjalnie przyniesioną agrafką i wycisnął do pojemnika kilka kropel krwi. Gdy tylko pielęgniarka zobaczyła wydruk z wynikiem badania, wysłała go do pracowni ultrasonograficznej. Wiedział, że tu będzie musiał czekać kilka godzin, najprawdopodobniej bez nadzoru. Pchając przed sobą stojak z kroplówką, mógł dotrzeć stąd do każdego niemal zakątka szpitala.

Bez trudu odnalazł gabinet Hamlina i zajął miejsce przy drzwiach. Chciał przyjrzeć się dobrze człowiekowi, o którym doniesiono mu w anonimowej wiadomości. Owszem, znał go – nie było chyba nikogo, kto pracowałby w ostatnim dziesięcioleciu w nowojorskim szpitalu miejskim i nie kojarzył białej grzywy neurochirurga – ale nie widział od dwóch lat i wołał odświeżyć pamięć. Nie spodziewał się wielkich zmian. Bardziej martwiło go to, czy informacje, które otrzymał na temat Hamlina, nie są elementem pułapki, przynętą mającą wprowadzić go wraz z resztą bojowników o sprawę wprost w ręce policji. Uznał, że rozsądnie będzie rozpoznać teren, poczynając od potencjalnego celu.

Hamlin wyglądał fatalnie, kiedy wreszcie się pojawił, wpadł do swego gabinetu i z hukiem zatrzaskał drzwi. Był wystraszony. W takim stanie nie stanowił zagrożenia. Zaciekawiony mężczyzna przesiadł się z krzesła stojącego naprzeciwko wejścia na znacznie bliższe miejsce, z którego mógł podsłuchiwać to, co się działo za drzwiami. Kilka minut później usłyszał stłumione krzyki jednostronnej rozmowy – wzburzony Hamlin dyskutował z kimś przez telefon. Po chwili rozległ się trzask słuchawki rzuconej na widelki.

Hamlin jest autentycznie przerażony, pomyślał fałszywy Rob Lowe. Ale czy jest celem naszej krucjaty, czy tylko przynętą?

Trzy piętra wyżej Paul Edwards położył plasterek wędzonego łososia na kawałek podpieczonej bułki z kremowym serkiem. Kiedy ugryzł pierwszy kęs, wraz ze smakiem ryby poczuł nagle gwałtowny skurcz żołądka.

– Cholera – mruknął, odrzucając jedzenie na tacę, którą przyniosła mu sekretarka. Przykre uczucie nie minęło. Odsunął czarny skórzany fotel od mahoniowego biurka, podniósł tacę i ruszył po zielonym dywanie w stronę drzwi.

– Dziś też nie ma pan apetytu? – spytała zza biurka wyraźnie przestraszona sekretarka, kiedy odstawił tacę. Była w średnim wieku, miała na sobie kanarkowy żakiet.

Edwards pokręcił głową, cofnął się, zamknął na klucz drzwi gabinetu i wrócił za biurko.

Wbrew faktom miał dotąd nadzieję, że Hamlin będzie w stanie zachować się twardo wobec tej

Sullivan i przynajmniej tym razem oddalić widmo katastrofy. Teraz był już pewien, że neurochirurg pęknie.

Rozejrzył się po gabinecie. Omiótł wzrokiem regały pełne książek i artykułów, które opublikował, tabliczki na ścianach upamiętniające jego wysiłki badawcze na polu położnictwa oraz bardzo, bardzo liczne fotografie z ceremonii wręczania czeków, którymi wdzięczni pacjenci wspierali szpital. Biznes przyjmowania porodów dostarczał firmie więcej pieniędzy niż leczenie wszystkich chorób razem wziętych. Ludzie potrafili być wdzięczni za rozmaite kuracje, ale za przedłużenie rodu, za pomoc w przyjściu na świat swego dziedzica gotowi byli oddać wszystko. Luksusowy gabinet, który szpital podarował szefowi oddziału ginekologiczno-położniczego, był w istocie nagrodą za skuteczność w eksploataowaniu tej żyły złota, jaką był podstawowy ludzki instynkt prokreacji.

A teraz Edwards miał wszystko to stracić.

Co gorsza, nie miał w zasadzie nic innego – ani dzieci, których zdjęcia mógłby zawiesić na ścianach, ani kobiety, która chciałaby być jego żoną. Był po trzech rozwodach i od pięciu lat żył samotnie. Czuł, że bez prestiżowego stanowiska w szpitalu będzie zgubiony.

Pora spieniężyć żetony i wycofać się z gry, pomyślał, z niechęcią sięgając do szuflady, w której trzymał prywatny telefon. Aparat podłączony był do bezpiecznej linii, odciętej od szpitalnej sieci, a Edwards używał go głównie wtedy, gdy musiał się kontaktować z prawnikami. Przyjmowanie porodów było nadzwyczaj zyskowne, ale położnictwo jako takie należało też do najbardziej konfliktogennych dziedzin medycyny. Właśnie ten telefon służył do załatwiania cichych porozumień pozasądowych, które nie psuły reputacji szpitala. Nawet dla odpornych uszu Edwardsa niektóre rozmowy bywały skandaliczne i nie chciał, by ktokolwiek dowiedział się o jego udziale w takich negocjacjach.

„Martwe dziecko warte jest najwyżej kilkaset tysięcy. Te z uszkodzeniami mózgu będą was kosztować miliony, więc, na miłość boską, od tej pory nie próbujcie już na siłę reanimować warzyw...”

Z tej samej linii Edwards korzystał podczas rozmów z nowym partnerem w interesach.

Wybrał numer zamiejscowy, którego zdążył już nauczyć się na pamięć.

– Fountainhead Pharmaceuticals – wyrecytowała telefonistka z silnym hiszpańskim akcentem.

– Proszę wewnętrzny dwieście sześćdziesiąt pięć.

Po kilku sygnałach odezwał się męski głos:

– Tak?

– Mówi Edwards. Chodzi o sprawę, o której rozmawialiśmy. Sądzę, że nadszedł czas na sfinalizowanie interesu.

*niedziela, 24 czerwca,
godzina 10.35*

– Doktor Sullivan robi fenomenalne postępy, doktorze Hamlin – stwierdziła Rachael Jorgenson, składając niedzielny raport telefoniczny.

Hamlin umierał ze strachu przez cały weekend. Unikał szpitala, pozwalając, by rezydenci wykonywali codzienne obchody.

– Jest gotowa do tracheotomii.

Neurochirurg poczuł ucisk w żołądku.

– Naprawdę? – rzucił, ocierając pot z czoła. Ćwiczył właśnie na elektrycznej bieżni, kiedy żona zawołała go na górę, by odebrał telefon.

– Tak. Doktor Ingram był u niej dzisiaj. Pytał, kiedy zamierzamy wykonać zabieg. Pacjentce byłoby wygodniej, a poza tym mogłaby spróbować mówić, zasłaniając otwór... Wprawdzie nie porusza jeszcze nadgarstkiem i nie podnosi ręki, ale potrafi już utrzymać kubek w palcach prawej dłoni, a i lewa zaczyna działać, więc...

– Zrobimy to w poniedziałek – oświadczył, skręcając się na samą myśl o tym, że Sullivan powtórzy swoje zarzuty w obecności całego personelu intensywnej terapii. Dopiero teraz przyznał w duchu, że Blaine i Lockman mieli rację: najlepiej byłoby, gdyby ta kobieta umarła. Nie myślał dotąd o tym, aby przyczynić się do jej śmierci. W końcu był lekarzem... Ale tracheotomia nie była łatwym zabiegiem, nawet dla doświadczonego specjalisty. Gdyby zaś przeprowadzał ją rezydent, wszystko mogłoby się zdarzyć. – Właściwie zamierzałem powierzyć operację tobie, Rachael. Przygotuj się na poniedziałek – powiedział pod wpływem impulsu. Ledwie to rzekł, ogarnęły go wątpliwości. Co ja robię?!

– Dobrze, doktorze Hamlin, ale...

– Coś jeszcze?

– Nie chodzi o pacjentów. Chciałabym prosić o spotkanie... prywatnie.

Hamlin zarumienił się i odwrócił tyłem do żony, która siedząc niedaleko, czytała niedzielną gazetę.

– W tej chwili nie mogę mówić – szepnął.

– Wcale nie chodziło mi o mówienie, Tony – odpowiedziała Rachael głosem, który stał się nagle kusicielsko chrapliwy. – Pomyślałam, że moglibyśmy spotkać się znowu w twoim gabinecie. Oceniałbyś, czy robię postępy pod twoim nadzorem.

Mimo żalostnej sytuacji – a może właśnie za jej sprawą – Hamlin poczuł, że nie potrafi odmówić.

– Oddzwonię.

Rachael odłożyła słuchawkę. Neurochirurg wciąż stał tyłem do żony, czekając, aż ustąpi wzwód.

– Kłopoty w szpitalu, kochanie? – spytała.

– Jak zwykle. Mówiłem ci nieraz... W tygodniu rezydenci skarżą się, że ciągle patrzymy im na ręce, a kiedy zaczyna się weekend, wzywają nas na pomoc.

– Tylko nie mów, że będziesz musiał pojechać do pracy. Myślałam, że spędzimy popołudnie w Plaza, na herbatce. Wiesz przecież, jak lubię te małe kanapeczki i ciastka, które tam serwują.

Niestety wiem, pomyślał Hamlin, spoglądając krytycznie na pulchne, żyłakowate uda wystające spod żółtej, kwiecistej podomki oraz na brzuch, który wypływał niemal spod fałd materiału. Machinalnie poklepał się po własnym, twardym i płaskim brzuchu, z którego w wieku sześćdziesięciu jeden lat był naprawdę dumny. Dobra forma była dowodem jego męskości, tak jak wysoka pozycja na oddziale neurochirurgii była wyznacznikiem poziomu jego lekarskiego kunsztu – nad jedną i nad drugą pracował równie ciężko. Żona natomiast irytowała go coraz bardziej, ponieważ wyglądała na pogodzoną z własną starością. On był inny. Wiedział, co robić, by czuć się

młodym – w tej chwili na przykład potrzebował solidnej dawki Rachael Jorgenson. Kiedy jednak godzinę później znalazł się w swoim gabinecie, w skrzynce e-mailowej znalazł niespodziewaną wiadomość.

Musimy porozmawiać na osobności o twojej pacjentce. Spotkajmy się na seansie w Bryant Park, w poniedziałek wieczorem. Zarezerwowałem stolik na twoje nazwisko. Dwudziesta trzydzieści, górny taras restauracji. Przyjdę tam, kiedy zacznie się film. Ważne, żeby nikt nie zobaczył nas razem.

P. E.

Wiadomość nadano w sobotę po południu, ale nie z komputera, którego Edwards używał w szpitalu, tylko z kafejki internetowej przy uniwersytecie, w East Village.

Hamlin mógł jedynie mieć nadzieję, że tym razem Edwards będzie bardziej pomocny. Kasował właśnie wiadomość, gdy Rachael bez pukania weszła do gabinetu. Miała na sobie zielony strój operacyjny i, jak się wkrótce przekonał, nic więcej.

*poniedziałek, 25 czerwca,
godzina 9.15*

– Mówię ci, Jo, halucynacje wywołane lekami mogą być tak realistyczne, że chorzy przez pewien czas nie odróżniają ich od rzeczywistości. W końcu jednak skłonni są przyznać, że to, co widzieli, mogło być wytworem ich wyobraźni. Tylko że Kathleen jest tak uparta, a jej wersja wydarzeń tak niezmienna, że zaczynam dopuszczać myśl o tym, co wydawało mi się nie do pomyślenia.

– Że naprawdę ją molestował?

– To takie niedorzeczne, że czuję się jak wariat, kiedy słyszę te słowa wypowiedziane na głos. Wygląda na to, że Kathleen wciąga mnie w swoją paranoję. A jednak nie mogę tak po prostu odrzucić tego, o czym mówi.

Richard zaprosił Jo O'Brien na kawę do swojego gabinetu, kazał jej przysiąc, że dochowa tajemnicę, a potem opowiedział o oskarżeniach, które Kathleen od tygodnia wysuwała pod adresem Hamlina. Rozmawiali, siedząc przy biurku, naprzeciwko siebie.

– Przykro mi, że obarczam cię swoim problemem, ale czułem, że jeśli z kimś nie porozmawiam, to chyba zwariuję.

Jo pochyliła się i poklepała go po ręku.

– Cieszę się, że to zrobiłeś, Richardzie. To nie jest sprawa, którą powinieneś trzymać w sekrecie.

– Ona musiała mieć przywidzenia – powiedział Steele. – Wmawiałem to sobie, ale teraz już nie jestem taki pewny. – Jeśli się mylić, to na korzyść Kathleen. Zgłoś tę sprawę!

– Wiesz chyba, jak to jest z oskarżaniem lekarzy o molestowanie seksualne. Nawet same pogłoski mogą oznaczać koniec kariery.

– A czy siedziałbyś cicho, gdyby inna pacjentka powiedziała ci coś takiego?

Wystraszyło go to pytanie.

– Nie, nie siedziałbym, ale też nie skoczyłbym Hamlinowi do gardła. Sprawdziłbym różne możliwości, tak jak robię to teraz.

– Ale dlaczego nie zaczniesz działać?

Steele nie odpowiedział. Odkąd Kathleen doniosła mu, że Hamlin z Lockmanem włożyli coś do jej mózgu, odruchowo odrzucał wszystkie jej rewelacje, bo wydawały mu się równie absurdalne. Lecz jeśli neurochirurg istotnie ją molestował, czy i w pierwszej informacji mogło tkwić ziarno prawdy? Nie, to stanowczo zbyt dziwaczne, pomyślał i postanowił, że nie będzie dyskutował o tym z Jo.

– Wiesz równie dobrze jak ja – ciągnęła O'Brien – że facet jest notorycznym podrywaczem. Nie zliczę, ile pielęgniarek i rezydentek przewinięło się przez jego łapska.

– To są sprawy między świadomymi, dorosłymi ludźmi. Czy kiedykolwiek doszły cię słuchy, że próbował napastować pacjentkę? Czy kobiety, o których wspomniałaś, nie były chętne i gotowe?

Jo zacisnęła usta i spojrzała w sufit, najwyraźniej sortując w pamięci pokłady szpitalnych plotek.

– Przyznaję, że nie słyszałam o zmuszaniu – odparła po kilku sekundach.

– Ja też nie. I dodam jeszcze, że po cichu sprawdziłem jego akta, korzystając z uprawnień szefa oddziału. Jest czysty jak łza. Nigdy nie pojawiła się skarga tego rodzaju.

– Więc co zrobimy?

– Chryste, sam chciałbym wiedzieć. Facet ocalił Kathleen życie, wykonując świetną operację, a my odplacimy mu...

– Widziałeś go ostatnio? Czy nie zachowuje się tak, jakby coś ukrywał? Nie zachowuje się dziwnie w twojej obecności?

– W ostatnim tygodniu było między nami pewne napięcie, ale możliwe, że to moja wina. Albo próbowałem złapać go za kark i spytać, co zrobił mojej kobiecie, albo wstydziłem się własnych myśli i tego, że w ogóle mogłem go podejrzewać.

– Kiedy rozmawiałeś z nim po raz ostatni?

– Dziś rano. Dzwonił, żeby mi powiedzieć, że po południu zrobią Kathleen tracheotomię.

– Porozmawiaj z nim otwarcie. Oczyść atmosferę albo doprowadź do konfliktu. A jeszcze lepiej zaczekaj, aż wyjmą rurę i Kathleen będzie mogła mówić. Wysłuchaj jej. Wtedy łatwiej będzie ci wyczuć, czy oskarżenia są prawdziwe. Potem skonfrontuj jej słowa z wersją Hamlina. Jeżeli stwierdzisz, że coś się nie zgadza, przyciśniesz go.

Nastał wieczór, a operację wciąż odkładano. Miała się zacząć o piętnastej, lecz seria nagłych przypadków sprawiła, że sala operacyjna była zajęta. Richard kręcił się w pobliżu całe popołudnie i wieczór, zdecydowany towarzyszyć Kathleen.

O dwudziestej pierwszej trzydzieści dostał wreszcie sygnał z intensywnej terapii. Wszyscy byli gotowi do operacji – oprócz Hamlina, który był obecny cały dzień, a teraz nagle zniknął bez śladu i nie odpowiadał na wywołania pagerem. Zazwyczaj w zabiegach tego typu brał udział ktoś z laryngologii, ale neurochirurg rutynowo rezygnował z pomocy. Nikt nie miał prawa tknąć jego pacjentów.

– Niech to szlag – mruknął Richard. – Sam mam to zrobić, czy jak?

Jorgenson niecierpliwiła się przez całe popołudnie. Widać było, że zależy jej na tej operacji równie mocno jak Steele'owi. Wreszcie stanęła przy łóżku Kathleen i oznajmiła, że Hamlin

zezwoił jej na samodzielne przeprowadzenie zabiegu, by nie przepadł wyznaczony termin. Neurochirurg miał się pojawić w trakcie.

– Anestezjolog będzie przez cały czas? – spytał Richard. Rezydenci przeprowadzali tracheotomie, ale różnie bywało z ich umiejętnościami. Prawo nakazywało im pracować pod nadzorem. Steele nie miał zamiaru pozwolić, by jakaś nowicjuszka naginała zasady, a w konsekwencji być może zabiła Kathleen.

– Już na nas czeka – odparła Jorgenson.

Kiedy ruszyli korytarzami ku sali operacyjnej, Richard zajął się wentylowaniem Kathleen za pomocą worka Ambu.

Gdy dotarli na miejsce i łóżko stało w silnym świetle lampy, między sprzętem anestezjologicznym z jednej a tacami z instrumentami z drugiej strony, wyjaśnił Kathleen, co ją czeka, akcentując zwłaszcza fakt, że za chwilę dostanie zastrzyk, który uspi ją na czas operacji. Nie wspomniał tylko, że będzie to midazolam, ten sam środek, który wywołał u niej objawy paranoi.

Mrugnęła „tak”, co przyjął za oznakę zrozumienia, a potem lekko ścisnęła jego dłoń.

– Ooo! – zawołał cicho, promieniejąc. Był zachwycony za każdym razem, gdy udawało jej się poruszyć palcami. Choć jej ręka wciąż bardziej przypominała zakrzywiony szpon, uścisk był z każdym dniem mocniejszy i coraz silniej przekonywał Steele’a, że możliwy będzie powrót Kathleen do zdrowia.

Kiedy anestezjolog przejął wentylowanie i zabrał się do usypiania pacjentki, Richard dyskretnie wycofał się do sali obok. Nie chciał się kręcić przy operujących, wprowadzając nerwową atmosferę. Dla zabicia czasu zaczął przeglądać czasopisma. Były tak stare, że najświeższymi tematami okazały się walka Busha z Gore’em oraz marzenia maklerów spodziewających się niebotycznego wzrostu indeksu Nasdaq.

Jorgenson rozmyślała o tracheotomii cały dzień. W rzeczywistości nie była to operacja tak łatwa, jak przedstawiano ją w filmach czy serialach telewizyjnych, gdzie George Clooney mówił po prostu: „Podaj mi ten długopis i znajdź jakąś słomkę”.

Była czymś wyjątkowym. Nieczęsto ją wykonywano i nie każdy szkolony lekarz miał szansę spróbować swoich sił, a ci, których spotkał ten przywilej, chwalili się tym w bufecie co najmniej przez kilka lunchów. Liczyły się osobiste statystyki, a wykonane operacje rachowano tak skrupulatnie jak punkty zdobyte przez baseballistów albo tenisistów. Ci, którzy Jeszcze tego nie robili”, milczeli lub śmiali się nerwowo podczas takich opowieści. Tylko niespokojne błyski w ich oczach zdradzały, że boją się, czy wystarczy im umiejętności, kiedy dostaną swoją szansę. Jorgenson wiedziała, że wśród całej ekipy oddziału nie ma ani jednego lekarza, który nie liczyłby na to, że Hamlin wyróżni właśnie jego. Tego dnia czuła na sobie zazdrosne spojrzenia zawiedzionych.

Właśnie dlatego skłamała, mówiąc, że szef oddziału pojawi się lada chwila. Woląла to niż utratę takiej sposobności. W zasadzie nie miała pojęcia, gdzie zniknął Hamlin i dlaczego nie odpowiada na wezwania. Ale jakie to ma znaczenie, myślała, skoro jest przy niej anestezjolog z równie bogatym doświadczeniem nauczycielskim? Nie miała wielkich oporów, kłamiąc: operacja miała potrwać najwyżej dziesięć minut, gdyby więc szef nie przyszedł, skończyłaby, nim ktokolwiek zacząłby się zastanawiać, dlaczego go nie ma. Tony oczywiście wymyśliłby później jakąś

historyjkę; tego była pewna.

Po raz ostatni opłukała dłonie pod kranem, wyszła z umywalni i bez lęku wkroczyła do sali operacyjnej. Maskę miała już na twarzy. Teraz szybko wsunęła się w podany przez pielęgniarki zielony strój chirurga i z trzaskiem naciągnęła sterylne rękawiczki. Poruszała się szybko i zdecydowanie, chcąc przekonać wszystkich, że tej nocy ona, zwykła rezydentka, obejmuje rządy w sali operacyjnej. Nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek podważał jej autorytet. Nie chciała też, by ktoś się domyślił, że po raz pierwszy wykonuje ten zabieg na żywym obiekcie.

Do tej pory przeprowadzała tracheotomie jedynie na zwłokach, w laboratorium patologicznym. I za pierwszym, i za drugim razem umieściła rurkę w złym miejscu – nie trafiła w tchawicę, lecz wcisnęła ją w tkankę podskórną, ku uciesze kolegów obserwujących jej wysiłki. Nie wspomniała o tym Hamlinowi. Po co? Żeby wyznaczył do zabiegu kogoś innego?

– Jest gotowa – oznajmił anestezyjolog, podłączywszy Kathleen do respiratora i ustaliwszy objętość i tempo podawania powietrza. – Wszystko gotowe. Będę w sąsiedniej sali.

– Pan wychodzi? – spytała wystraszona Jorgenson, stając nad odsłoniętą szyją Kathleen.

– Oczywiście. – Mrugnął do niej porozumiewawczo znad maski. – Nocą zawsze pracujemy na dwie sale. Technik pomoże pani przestawić maszynę z obecnego kanału na nowy. Poza tym mówiła pani, że Hamlin jest w drodze, prawda?

– Tak, ale...

– W takim razie wszystko gra. – Anestezyjolog obrócił się na pięcie i po chwili zniknął za drzwiami umywalni sąsiedniej sali operacyjnej.

Rachael Jorgenson poczuła nagłą suchość w ustach i oparła dłonie na jednej ze sterylnych płacht, aby ukryć nieznaczne drżenie palców. Daleki głos rozsądku podpowiadał jej, że nie powinna przeprowadzać operacji bez nadzoru, lecz znaczące spojrzenia pielęgniarek czekających na rozpoczęcie akcji oraz wspomnienie upokorzeń, których dostarczyły jej porażki w cięciu zwłok, spotęgowały tylko jej determinację. Odważnie sięgnęła po skalpel.

Stojąca naprzeciwko siostra zdezynfekowała miejsce cięcia i zmyła alkoholem brązowy preparat, a następnie ułożyła na szyi Kathleen sterylne płótno z otworem pośrodku.

Jorgenson szybko obmacała krtań pacjentki. Wyczuła blaszkę chrząstki tarczowatej, zwaną jabłkiem Adama, potem półkolisty kształt chrząstki pierścieniowatej i wreszcie pierwszy pierścień tchawicy. Przesunęła dłoń w dół, przyłożyła ostrze skalpela do skóry i nacisnęła, otwierając ciało poziomym cięciem długości dwóch i pół centymetra. Niestety, jak większość nowicjuszy, nie weszła dostatecznie głęboko – nóż nie przebił tchawicy. Teraz jednak, zgoła inaczej niż w przypadku cięcia zwłok, pojawiło się obfite krwawienie, które skutecznie utrudniało naprawienie błędu.

– Tampony! – zawołała zdecydowanie zbyt nerwowo. Pielęgniarki wymieniły zakłopotane spojrzenia. Jorgenson przycisnęła jałowe opatrunki do nacięcia, ale krew wciąż płynęła.

– Niech ktoś potrzyzyma tampony, ja dokończę otwarcie. Wprawne ręce wkroczyły do akcji i po minucie uciskania i wycierania rezydentka zobaczyła brzegi rozciętej skóry, a pod nimi nienaruszoną tchawicę. Przytrzymując ją lewą ręką, wyczuła w środku rurę podłączoną do respiratora. Może powinnam najpierw ją wyjąć, pomyślała. Ciała, na których się szkolili, nie były intubowane. Nie mając pojęcia, co robić dalej, posłużyła się starym jak świat wybiegiem rezydentów.

– Jak pracują miejscowi anestezjolodzy? Tną tchawicę z rurą w środku czy najpierw wyjmują rurę? – Taka forma pytania, która implikowała co najwyżej nieznamość procedur obowiązujących akurat w nowojorskim szpitalu miejskim, już nieraz uratowała jej tyłek.

– Proszę zostawić rurę, wykonać cięcie, a następnie wyciągnąć rurę powyżej otworu – odparł technik. – Wtedy będzie pani mogła wsunąć nową rurkę przez nacięcie. – Był potężnym mężczyzną o hebanowej skórze i łagodnych oczach. Przemawiał spokojnie i rzeczowo, ale szczegółowość odpowiedzi uświadomiła Jorgenson, że nie dał się nabrać i doskonale rozumie, jak bardzo jest niedoświadczona.

– Dzięki – powiedziała, rozcinając szare pasmo tkanki łącznej między dwoma połyskliwymi, białymi pierścieniami. W otworze pojawiła się jaskrawo-pomarańczowa rura. – Wyjąć – poleciła wciąż zbyt donośnym głosem.

Technik zrobił znacznie więcej: najpierw wyłączył respirator, by powietrze nie dmuchało przez świeżo wycięty otwór, a następnie spuścił powietrze z pneumatycznego mankieta, który utrzymywał rurę we właściwej pozycji – inaczej wykonanie polecenia nie byłoby możliwe.

Powinam zlecić to pielęgniarce, uświadomiła sobie Jorgenson, spoglądając, jak wyciągana wolno rura znika ponad nacięciem. Spokojnie, pomyślała, albo naprawdę schrzanisz tę robotę.

– Teraz szybko, doktorze – odezwał się technik. – Proszę pamiętać, że ona nie odycha.

Rachael poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz. Pomocnik anestezjologa mówił jej o sprawach, o których powinien wiedzieć nawet student medycyny. Zażenowana bardziej niż kiedykolwiek, uniosła końcówkę nowej rurki i spróbowała wcisnąć ją w otwór w tchawicy.

Nie pasowała.

Krople potu pojawiły się nagle między łopatkami i na czole Rachael Jorgenson.

– Nacięcie jest zbyt małe! – zawołała cokolwiek piskliwym tonem.

– Więc proszę je powiększyć! – warknął technik bez cienia dawnej łagodności.

Pielęgniarki zaczęły podawać niepokojące informacje.

– Nasycenie tlenem spada!

– Puls i ciśnienie spadają.

– Biegnę po anestezjologa! – dodała trzecia i zniknęła za drzwiami.

Jorgenson przyłożyła skalpel i ostrożnie powiększyła nacięcie. Rurka wciąż się nie mieściła.

– Pacjentka sinieje!

– Ciśnienie sześćdziesiąt na trzydzieści, puls czterdzieści.

– Szlag! – mruknął technik, próbując na powrót wsunąć rurę przez usta.

Nieudolnie wykonane cięcie sprawiło, że rura utknęła powyżej.

Drzwi otworzyły się ze świstem, gdy pielęgniarka, która pobiegła po pomoc, wróciła i popędziła w stronę wiszącego na ścianie telefonu.

– Obok mają pacjenta z kulą w sercu. Jest w stanie krytycznym, więc go nie zostawiaj. Sprawdź, czy jest jeszcze Steele. Wyślę sygnał na pager do wszystkich chirurgów, którzy są w pobliżu – wyjaśniła, po czym złapała słuchawkę i wcisnęła 0.

Ktoś uruchomił interkom.

– Doktorze Steele, jest pan pilnie potrzebny na sali operacyjnej C!

Drżącą dłonią rezydentka wykonała kolejne nacięcie tchawicy. Tym razem przycisnęła ostrze zbyt mocno, otwierając następny centymetr skóry. Z rany popłynęła krew, raz jeszcze zasłaniając

widok. Jorgenson spróbowała wcisnąć rurkę na wycucie. Napotkała opór, więc nacisnęła mocniej. Coś chrupnęło i końcówka wsunęła się w głąb szyi.

– Weszła!

Technik podłączył elastyczny worek do wystającego końca rurki i zaczął energicznie pompować.

Za każdym ściśnięciem worka w płynącej z rany krwi pojawiały się pęcherzyki powietrza.

Pielęgniarka przyłożyła końcówkę stetoskopu na wysokości podstawy płuc.

– Brak powietrza! – zawołała.

Rurka musiała wejść między skórę a tchawicę, dokładnie tak jak podczas dwóch prób na zwłokach.

– Chirurg potrzebny pilnie w sali operacyjnej! – zahuczały głośniki interkomu, powtarzając tę wiadomość w nieskończoność.

Jorgenson czuła się tak, jakby miała zemdleć. Richard wpadł do sali z przerażeniem w szeroko otwartych oczach.

– Coś ty narobiła, do ciężkiej cholery?! – krzyknął do rezydentki, widząc krwawiącą ranę na szyi Kathleen.

Pielęgniarki w ciągu paru sekund ubrały go w fartuch, maskę i rękawiczki.

– Przygotować się do ponownego intubowania – polecił technikowi.

– Gotów – odpowiedział Murzyn, trzymając w pogotowiu laryngoskop i rurkę o nieco mniejszej średnicy niż poprzednia.

Richard odepchnął Jorgenson, stanął przy głowie Kathleen i wziął garść tamponów z tacy z instrumentami.

– Dociśnij do tchawicy, żeby uszczelnić otwór – rozkazał, wręczając je rezydentce.

Nie zareagowała.

– Natychmiast!

Dopiero teraz usłuchała. Zanurzyła palce we krwi, odnalazła nacięcie i ułożyła tampony.

– Masz?

Skinęła głową.

– Puls trzydzieści. Brak ciśnienia – zameldowała pielęgniarka stojąca przy monitorach z opaską i stetoskopem w ręku.

Technik rozchylił usta Kathleen i jedną ręką wsunął laryngoskop wzdłuż krawędzi języka, a drugą zaczął wprowadzać rurkę do tchawicy.

Kiedy to zrobił, podłączył worek i nacisnął energicznie.

W pobliżu palców Jorgenson pojawiło się kilka bąbelków powietrza, ale znacznie mniej niż poprzednio.

– Powietrze w płucach – oznajmiła pielęgniarka osłuchująca Kathleen stetoskopem.

– Puls i ciśnienie rosną.

– Nasycenie tlenem rośnie.

W sali rozległy się ciche gwizdy i westchnienia ulgi.

W tym momencie w drzwiach stanął zasapany i czerwony z wysiłku Gordon Ingram.

– Co się dzieje? – spytał. – Prowadziłem spotkanie, kiedy usłyszałem, że potrzebujecie pomocy. Wezwanie powtarzało się, jakby nikt nie zareagował, więc pomyślałem, że się przydam.

Richard spojrział mu prosto w oczy.

– Potrafiłbyś jeszcze wykonać tracheotomię, Gordonie?

– Naturalnie. To jak jazda rowerem, takich rzeczy się nie zapomina.

– W takim razie, proszę, wyświadczyć mi przysługę i zajmij się Kathleen.

– Jasne – odparł Ingram. – Muszę się tylko umyć.

– A kiedy skończysz robotę, możesz od razu zacząć śledztwo w tej sprawie. Trzeba wyjaśnić na przykład dlaczego, u diabła, Hamlin się nie pojawił. – Steele posłał Jorgenson lodowate spojrzenie. – Pani los jest teraz w rękach doktora Ingrama – powiedział – ale zabraniam pani zbliżać się do Kathleen Sullivan. Jeżeli zobaczę panią przy niej, osobiście dopilnuję, żeby dostała pani licencję co najwyżej na obcinanie pacjentom paznokci, a nie operowanie mózgów.

Rachael z trudem przełknęła ślinę i bez słowa, na miękkich jak galareta nogach opuściła salę. Zamykając za sobą drzwi pokoju chirurgów, myślała uparcie o tym, że z pewnością potrafiłaby naprawić błąd. Nalała sobie zimnej kawy, opadła ciężko na krzesło i zaczęła się zastanawiać, jak wybrnąć z tej sytuacji. Przede wszystkim, to anestezjolog wbrew przepisom zostawił ją samą. W toku dochodzenia musiałby przyznać, że zaniedbał nadzór. Jeśli chodzi o kłamstwo, jakoby Hamlin miał się zjawić lada chwila i zlecił jej rozpoczęcie operacji, by „nie wypaść z kolejki”, to była niemal pewna, że Tony zrozumie jej położenie i potwierdzi jej słowa. Mogłaby na przykład powiedzieć mu, że uznała takie rozwiązanie za logiczną konsekwencję faktu, iż przez cały dzień niecierpliwili się wspólnie, czekając na wolny termin. I że zrobiła to, by dać mu czas na dotarcie do sali operacyjnej. Nie mógł przecież winić jej za to, że nie pojawił się w ogóle. Na szczęście, myślała, to on będzie dokonywał oceny moich postępów, więc ta sprawa raczej nie zaciąży na mojej karierze.

Kawałek po kawałku Rachael Jorgenson zbudowała strategię uniknięcia bolesnych skutków katastrofy, która spotkała ją przed chwilą. Ani razu nie pomyślała o największym swoim atucie w zbliżającej się bitwie: o tym, że przełożony pieprzył ją dość regularnie. Starannie omijała ten temat w swoich rozważaniach i nie przyznała w duchu wprost, że ani Tony, ani zarząd szpitala z pewnością nie zlekceważą własnego instynktu przetrwania, który każe im jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie, by uniknąć złej prasy. Nie myślała o tym, ponieważ bardzo chciała nadal uważać się za osobę niezdolną do manipulowania ludźmi i do innych cynicznych zagrań. Instynktownie wyczuwała jednak, że trzyma swych przeciwników w szachu. Niezmiernie praktyczna strona jej natury z precyzją radaru i kojącą jasnością postrzegała całą sytuację. Była to podświadoma reakcja obronna zaszcutego zwierzęcia, nie mająca w sobie nic racjonalnego. Mimo to intuicyjne poczucie zwycięstwa i prawie realnej nadziei uspokajało ją tak, jak bicie serca matki uspokaja małe dziecko.

Jednemu tylko nie mogła zaprzeczyć: szanse na to, że po zakończeniu stażu otrzyma propozycję stałej pracy w tym szpitalu, równały się zeru. Szeptane opowieści o tym, jak spaprła tracheotomię kobiety Steele’a, sławnej Kathleen Sullivan, z pewnością musiały trafić na wszystkie piętra gmachu jeszcze przed świtem. Ich następstwem mogły być jedynie plotki rozpowszechniane przez tych, którzy podejrzewali ją o romans z Tonym. Wszystko to przed końcem tygodnia nieuchronnie musiało wpleść się szkarłatną nicią w tkaninę szpitalnego życia.

Bryant Park, akr zieleni wklejony niczym znaczek pocztowy na tyłach nowojorskiej Biblioteki

Publicznej, między Czterdziestą a Czterdziestą Drugą Ulicą, był tego wieczoru pełen sympatyków wieczornych seansów filmowych na otwartym powietrzu. Hamlin ominął setki ludzi siedzących na trawie przed wielkim ekranem ustawionym specjalnie na tę okazję i poszedł prosto do restauracji wybranej przez Edwardsa. Był to najelegantszy z lokali usytuowanych pod imponującą kamienną fasadą i wysokimi oknami biblioteki. Jakżeby inaczej, pomyślał Hamlin. Edwards musi popieścić swój żołądek przy każdej nadarzającej się okazji.

Kelner zaprowadził go do stolika w rogu górnego tarasu, z doskonałym widokiem na tłum widzów kłębiący się w dole. Hamlin spojrzął przelotnie na menu i zamówił pierwszą z brzegu potrawę. Nie był wcale głodny, ale nie widział innego sposobu na splawienie nerwowego kelnera, który wisiał nad nim uparcie i paplał coś o rychłym zamknięciu kuchni. Edwards najprawdopodobniej i tak zje to, co zamówię, myślał neurochirurg.

Wieczorne powietrze było praktycznie nieruchome. Drzewa zatrzymały w parku upał dnia i brązowe opary samochodowych spalin. Wąchając je, Hamlin zastanawiał się, ile zanieczyszczeń wchłonie tej nocy jego organizm.

Czego chce Edwards? – rozmyślał niespokojnie, popijając wodę z lodem. W tym momencie na pewno już rozumiał, że jego kretyński plan zdyskredytowania zeznań Sullivan spalił na panewce i że jeśli chora przeżyje, jej słowa będą oznaczać koniec kariery Tony'ego Hamlina. Czy ten wielki dureń naprawdę sądził, że namówi go do wzięcia całej winy na siebie? Jeżeli tak, to powinien się spodziewać złej wiadomości.

Hamlin zerknął na zegarek. Dwudziesta trzydzieści pięć. Rachael zapewne zabrała już Sullivan do sali operacyjnej. Ale czy spartaczy zabieg?

Cały dzień zastanawiał się, czy warto nastawić ambitną rezydentkę tak, by w razie potrzeby odważyła się na samodzielną operację? Z jednej strony nie było to trudne: wystarczyło znaleźć jakiś pretekst, by się spóźnić, i mieć nadzieję, że gorliwość dziewczyny, a także niecierpliwość anestezjologa, któremu zależało przede wszystkim na zaliczaniu kolejnych pacjentów, popchną Jorgenson do działania. Z drugiej jednak strony brakowało mu odwagi, by zdobyć się na choćby tak skromną dozę premedytacji, ponieważ mimo wszelkich dotychczasowych przewinień nigdy nie zdecydowałby się na popełnienie morderstwa. Kiedy okazało się, że nagle przypadki spychają zaplanowaną operację na późniejszy termin, uświadomił sobie, że nie musi niczego aranżować. Wystarczyło pozostawić sprawy własnemu biegowi – wiedział już, że zanim Sullivan trafi na stół, miną przepisowe godziny pracy i znajdzie się poza szpitalem, na spotkaniu z Edwardsem. Gdyby wtedy rezydentka zdobyła się na coś tak głupiego jak przeprowadzenie tracheotomii bez nadzoru, a anestezjolog wzięłby na siebie odpowiedzialność, mimo iż spoczywał na nim obowiązek czuwania nad kilkoma salami operacyjnymi, ewentualna tragedia nie byłaby winą Hamlina.

Z czymś takim mógłby żyć, a przynajmniej zracjonalizować w duchu tę sytuację na tyle, by nie czuć się winnym. Początkowo usiłował przekonać się, że tak jest, bo rozpaczliwie pragnął uniknąć zniszczenia kariery przez rewelacje Sullivan. Teraz jednak nie był już tego taki pewny. Zabójstwo było zabójstwem, a sprytna semantyka moralna nie chroniła, jak się okazało, przed wyrzutami sumienia. Hamlin nie mógł też być pewien, że problemy rozwiążą się wraz ze śmiercią Sullivan – pozostawał przecież jeszcze Steele. Poza tym szanse na to, że anestezjolog będzie na tyle nieodpowiedzialny, by pozwolić Rachael na samodzielne działanie i nie towarzyszyć jej, były raczej marne. Neurochirurg wzięł jeszcze łyk lodowatej wody, by porozkoszować się przyjemnym

chłodem w rozpalonym emocjami żołądku.

O dwudziestej czterdzieści w tłumie rozległy się gwizdy i rytmiczne oklaski. Widzowie uznali, że ciemniej na Manhattanie już nie będzie, i zaczęli dopominać się rozpoczęcia seansu.

Hamlin nie zainteresował się projekcją. Wciąż spoglądał niecierpliwie na zegarek i szukał wzrokiem Edwardsa. Srebrzysty blask bijący od czarnobiałego obrazu zapewniał niezłą widoczność; wypatrzenie wchodzącego nie było problemem. Tylko gdzie, do wszystkich diabłów, podziewał się Edwards?

Ponury temat muzyczny rozbrzmiał nagle, przykuwając uwagę Hamlina. Na ekranie Fred MacMurray wbiegł do opuszczonego biurowca, by zostawić wiadomość dla człowieka nazwiskiem Keyes. Pojawiły się retrospekcje...

Hamlin pomyślał znowu o Sullivan. A jeśli operacja mimo wszystko się odbyła? Jeśli się udała? Spojrzał na ekran telefonu komórkowego, by upewnić się, czy jest włączony. Na pewno zadzwoniliby, gdyby pacjentka zmarła... Stwierdził nagle, że o jednym i drugim rozwiązaniu myśli z jednakową grozą.

O dwudziestej pierwszej trzydzieści zaczął podejrzewać, że Edwards już nie przyjdzie. Może spotkał się z pozostałymi?

Może postanowili wydać go glinom w zamian za odstąpienie od zarzutów? Nie! Nie zrobiliby tego tak wcześnie, skoro wierzą jeszcze, że jest szansa na odebranie Sullivan wiarygodności. Cena, którą mimo wszystko musieliby zapłacić, była zbyt wysoka.

Hamlin próbował patrzeć na ekran dla zabicia czasu, ale niespokojna muzyka stawiała się coraz głośniejsza, potęgując jego zdenerwowanie, a fabuła o mrocznych typach knujących plany morderstwa i zdrady skłaniała jedynie do najczarniejszych myśli.

Czuł, że zmierza do nieszczęśliwego końca dokładnie tak jak bohaterowie filmu. Obejrzał się raz jeszcze, daremnie szukając Edwardsa nad głowami gości restauracji. Wpatrywał się w ciemność i słuchał kwestii Freda MacMurraya: „Kiedy szedłem ulicą, nagle uświadomiłem sobie, że wszystko może pójść nie tak. Brzmi to idiotycznie, Keyes, ale taka jest prawda, więc pomóż mi. Nie słyszałem własnych kroków. To był spacer martwego człowieka...”

Leżał w ciemności, nad słuchując kroków stróża. Nawet tu, w samym sercu kamiennego budynku, słyszał dalekie tony muzyki i pomruk dialogów.

W piątek po południu, kiedy zakończył obserwację Hamlina, uznał, że bezpiecznie będzie przygotować grunt pod dalsze działania. Oskarżenia, o których dowiedział się z anonimowej wiadomości nadesłanej pocztą elektroniczną, były wystarczającym powodem. To że mogą być nieprawdziwe, jakoś nie przyszło mu do głowy.

Anonimowość była podstawową zasadą i kluczem do bezpieczeństwa jego armii. Normalną praktyką było to, że wiadomości i wskazówki napływały od nieznanych informatorów. Jeśli odpowiadały wewnętrznym przekonaniom jego towarzyszy broni i nie wyglądały na policyjną prowokację, przyjmowano je za prawdę. Oskarżenia przeciwko Hamlinowi pasowały do jego podejrzeń względem ogółu lekarzy, a szczegółowe instrukcje co do wykonania wyroku zaostriżyły jego apetyt na sprawiedliwość.

Jeszcze tego samego dnia wybrał odpowiednie miejsce. Uważnie zbadał cały budynek, choć wtedy nie był pewien, czy zrealizuje plan – gotów był wycofać się w razie jakichkolwiek trudności.

Niepotrzebnie się martwił; problemów nie było.

W rezultacie w sobotę akcja był już rozpoczęta. Korzystając z kafejki internetowej, wysłał e-mail z podpisem „P. E.”, który, jak go zapewniono, sprowadzi Hamlina w podskokach na miejsce spotkania. Niedzielę spędził na zbieraniu i przygotowywaniu ekwipunku. I tu nie napotkał żadnych trudności.

Cztery godziny przed seansem, około siedemnastej trzydzieści, wszedł do biblioteki bramą od Czterdziestej Drugiej Ulicy. Miał walizeczkę i płaszcz zarzucony na ramię, a w kieszeniach butelkę wody, małą latarkę i plan budynku, który dostał w informacji podczas poprzedniej wizyty. Pod podszewką płaszcza tkwiła wszyta lufa karabinu M4. Ułożył ją tak, by zwisała pionowo, nie rzucając się w oczy. Pozostałe części broni – kolbę, korpus z mechanizmem spustowym i magazynek – niósł w walizeczce wraz z dwiema sporymi przyssawkami, nożem do szkła i pudełkiem nabojów o naciętych kulach. Umundurowana strażniczka pilnująca drzwi siedziała w małej drewnianej budce, czytając periodyk. Nawet nie podniosła głowy.

Zamiast wchodzić po schodach do rozległego Astor Hall, skręcił w lewo i znalazł się w pomieszczeniu pełnym beżowych szafek, w których pracownicy biblioteki przechowywali rzeczy osobiste. Nie napotkał ani jednego znaku zakazującego wstępu. Kilkoro ludzi odpoczywało na ławkach, popijając kawę, gawędząc i zerkając w stronę przybysza. Nie niepokojony minął siedzących i znalazł się w trzewiach wielkiego gmachu.

Wreszcie dotarł do hali załadunkowej, w której zmieściłaby się wielka ciężarówka z przyczepą. W tej chwili nikogo tu nie było, a sporą przestrzeń oddzielały od ulicy ogromne stalowe wrota zdolne powstrzymać nawet King Konga. Zszedł na poziom parkingu i przemierzył go szybkim krokiem, omijając kałuże oleju, by nie zostawić za sobą śladów. Wbiegł po paru stopniach na rampę i stanął przed drzwiami z napisem WYŚYLKA I ODBIÓR. Zajrzał do środka. Żaden z robotników przenoszących skrzynki na tyłach dużego magazynu nie zwrócił na niego uwagi. Wśliznął się do pomieszczenia i zanurzył w wysoki labirynt skrzyń i kartonów. Na końcu sali odnalazł schody i po cichu wspiął się na półpiętro. Zobaczył pusty korytarzyk, a za nim drzwi do czytelnicy mikrofilmów. Szybko cofnął się między sterty pudeł i przycupnął pod ścianą, by zaczekać.

O osiemnastej światła zaczęły gasnąć. Rozmowy cichły z wolna w oddali, a kiedy za ostatnim z pracowników z hukiem zamknęły się drzwi, w magazynie zapanowały cisza i ciemność.

O dwudziestej pierwszej, świecąc sobie latarką, wspiął się ostrożnie po schodach na półpiętro. Tu przyczał się ponownie i słuchał dobiegającego z góry odgłosu kroków nocnego stróża.

Piętnaście minut później usłyszał je w sąsiednim korytarzu. Zaraz potem oddaliły się, tak samo jak w piątkową noc, kiedy ukrył się w budynku, by rozpracować rozkład obchodów. Odczekał jeszcze dziesięć minut, a potem w zupełnej ciszy wypełził z kryjówki na półpiętrze. Korytarz był lekko oświetlony, ale intruz pamiętał z poprzedniej wizyty w bibliotece, że nie ma tu kamer – nie musiał się obawiać wykrycia.

Drzwi czytelnicy zabezpieczono elektronicznym zamkiem, który najprawdopodobniej sprzężony był z systemem alarmowym. Na szczęście górna ich połowa okazała się przeszkłona. Wstał i przycisnął do szyby przyssawkę, a następnie wyciął całą tafelę z ramy. Dolną, ostrą krawędź otworu zasłonił płaszczem, by podciągnąć się bezpiecznie i prześliznąć na drugą stronę. Mahoniowa ściana za długim drewnianym kontuarem po prawej odpowiedziała blaskiem soczystej czerwieni, gdy skierował w jej stronę snop światła.

Omiótł promieniem całą salę. Miał przed sobą niezliczone rzędy ław, na których stały przegładarki, każda z nich wielkości monitora komputerowego. Był zadowolony, że nikomu nie przyszło do głowy dokonać rewolucyjnych zmian – na przykład przestawić którąś z ogromnych szaf z książkami w pobliże okna, do którego musiał się dostać. Wiedział już od piątku, że otworzy je bez trudu i będzie miał z niego widok na taras restauracji.

Nim jednak zajął pozycję, przyjrzał się oknom po lewej, od strony Czterdziestej Ulicy, a zwłaszcza piątemu od końca. Obserwując gmach z zewnątrz, zauważył aluminiowy daszek umocowany ledwie półtora metra poniżej parapetu tego okna. Stanąwszy na nim, mógł bez wysiłku skoczyć na kamienny mur, a potem już tylko dwa metry dzieliły go od chodnika. Spodziewał się istnego pandemonium w letnim kinie i wiedział, że w takich warunkach nikt nie zwróci uwagi na jego ucieczkę. Raz jeszcze użył przyssawki i wyciął duży otwór w szybie, następnie zaś na palcach przeszedł do miejsca, które wybrał na swe stanowisko strzeleckie, i wyjrzał na zewnątrz.

Widoczny w oddali srebrny ekran rozjaśniał wieczorne ciemności. Jego blask migotał nad tysiącem głów, ale intruz poszukiwał wśród nich tylko jednej. Uchylił wąskie okno, by lepiej widzieć cel. Natychmiast poczuł ciepłe powietrze i smród spalin.

Nie cichnące ani na chwilę buczenie klaksonów i warkot samochodowych silników były tłem ponurej prognozy dla wszystkich zabójców, którą Edward G. Robinson przedstawiał na ekranie Fredowi MacMurrayowi: „Popelnili morderstwo. To nie przejażdżka, podczas której każde z nich może wysiąść na swoim przystanku. Są na siebie skazani, muszą jechać razem aż do końca tej trasy, a jest to podróż w jedną stronę z metą na cmentarzu...”

Usłyszawszy ten dialog, natychmiast oszacował czas, jaki pozostał mu jeszcze na przygotowania. Oglądał ten film na kasecie sześć razy, starając się wybrać scenę, która najlepiej zamaskowałaby huk wystrzału. Nie spieszył się. Celowo powoli składał karabin, ogarnięty osobliwym przecuciem, że sukces jest nieunikniony, ponieważ jak dotąd operacja przebiegała bezbłędnie. Czuł się niemal tak, jakby kusił los – jak gdyby brak pośpiechu był próbą trwałości tej dobrej passy. Od kilku dni starał się myśleć o całym przedsięwzięciu tak, jakby było zaledwie próbą generalną, której celem miało być sprawdzenie, czy wystarczy mu determinacji, by doprowadzić sprawę do końca. I oto był na miejscu, a do zrobienia pozostała już tylko jedna, najważniejsza rzecz. Pracując niespiesznie, złożył karabin w ciągu pięciu minut.

Na ekranie Barbara Stanwyck w imponującej czerni i bieli wygłaszała swoje ultimatum: „Nikt się nie wycofuje. Weszliśmy w to razem i razem dotrzemy na drugą stronę. Oboje, jak po sznurku. Pamiętasz?”

Staął na ławce pod oknem, aby lepiej widzieć taras restauracji. Spoglądając przez celownik karabinu, zaczął przypatrywać się gościom. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl, że być może akcja zakończy się fiaskiem z tego prostego powodu, iż nie zdoła zidentyfikować Hamlina w tak gęstym tłumie. Nie mógł wykluczyć i tego, że lekarz po prostu się nie zjawi albo że był już w wyznaczonym miejscu i odszedł, zniecierpliwiony. Szkoda byłoby stracić okazję w ostatniej chwili, pomyślał, ale równocześnie poczuł coś w rodzaju ulgi. Owszem, gotów był służyć sprawie, ale wolał być raczej bohaterem oczekującym niż uciekającym.

Nagle znieruchomiał. Hamlin siedział przy jednym ze stolików w dalszej części tarasu; nie przy najbliższym, którego strzelec domagał się, dokonując rezerwacji. O pomyłce jednak nie było mowy: białe włosy lśniły w srebrzystej poświacie bijącej od wielkiego ekranu.

Przyklęknął w pozycji strzeleckiej, wolno uniósł broń do ramienia i ustawił linie celownika na wysokości potylicy neurochirurga.

Ni stąd, ni zowąd poczuł, że nocne powietrze dusi go, a ubranie zaczyna się lepić do skóry. Więc jednak muszę to zrobić, pomyślał. Pociągnąć za spust w precyzyjnie wybranym momencie, podczas sceny, która lada chwila miała się rozegrać na ekranie.

Od początku akceptował fakt, że ten jeden strzał zmieni na zawsze jego życie, będąc sygnałem do rozpoczęcia zabawy w kotka i myszkę z policją, utrudniającą zlikwidowanie pozostałych. E-mail oskarżający Hamlina zawierał bowiem również spis nazwisk i win innych osób, którymi należało się zająć. W razie potrzeby strzelec gotów był wymierzyć sprawiedliwość nawet ich potomstwu – wśród danych były między innymi adresy szkół, w których mógł znaleźć swe ofiary. Wiedział, że jeśli odniesie sukces, otworzy zupełnie nowy rozdział w wojnie, która pochłaniała go bez reszty. Z namaszczeniem ułożył na parapecie długą witkę i zamarł w bezruchu.

Barbara Stanwyck wyjęła pistolet.

Zacisnął palec na spuście.

Strzelili równocześnie.

Tony Hamlin nie zobaczył wyrazu zdumienia, który odmalował się na twarzy Freda MacMurraya, gdy Stanwyck wpakowała w niego kulę.

Przechylił się na bok, opierając głowę o ramię kobiety siedzącej przy sąsiednim stoliku.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest pijany. Potem zobaczyła, że brakuje mu tylnej części czaszki.

Rozdział 7

wtorek, 26 czerwca

Zabójstwo trafiło na pierwsze strony trzech najpoważniejszych nowojorskich gazet.

DOSKONAŁY NEUROCHIRURG ZASTRZELONY PRZEZ SNAJPERA
W BRYANT PARK.

*Nieznany strzelec zabija wybitnego specjalistę.
Morderstwo w letnim kinie!*

Nikt nie znał powodu, dla którego ktoś taki jak Hamlin miałby się stać celem zamachowca. Żona nawet nie wiedziała, że wybrał się na film.

– Nienawidził kina – oznajmiła dziennikarzom. – Ostatnim filmem, na który mnie zabrał, było *Żądło*, gdzieś w latach siedemdziesiątych.

Kiedy zapytano ją, co sądzi o zeznaniach kelnera, który powiedział, że Hamlin na kogoś czekał, była zdumiona.

Pielęgniarki miały własną koncepcję.

– Pewnie umówił się z którąś z rezydentek – stwierdziła jedna z nich, wyrażając powszechnie obowiązujący pogląd.

Niektóre nie ukrywały dezaprobaty w kontaktach z Rachael Jorgenson, nie szczędząc jej znaczących spojrzeń spod uniesionych brwi i lodowatych uśmiezków.

Ona jednak – przekonana o własnej wyższości, która wynikała, jak sobie wmówiła, z rozpacz po zamordowanym kochanku – nie zamierzała czuć wstydu. Z wysoko uniesioną głową wykonywała swoje obowiązki, gotowa ciętym językiem egzekwować przewagę, którą dawało jej nad pielęgniarkami stanowisko rezydentki. W normalnych okolicznościach doświadczyłyby skutków rzeczywistej szpitalnej hierarchii ważności – wbrew oficjalnym układom bowiem to od pielęgniarek zależało, czy rezydent z powodzeniem zakończy praktykę, czy zostanie wyrzucony, a ich nastawienie uzależnione było tylko od tego, na jakich zasadach młody lekarz chciał prowadzić grę. Sytuacja jednak nie była normalna, a krzywe uśmieшки co najwyżej zmieniały się w rechot, kiedy Rachael Jorgenson pojawiała się na oddziale.

Nikt jednak nie miał powodu, by wzywać policję.

Z jednym wyjątkiem.

– Jeżeli... nie sprowadzisz... detektywa... poproszę Lisę... Ona... albo Chet... pomoże... znaleźć McKnighta.

Kiedy Kathleen chciała przemówić, Richard musiał zatkać małym gumowym krążkiem wylot rurki wystającej z jej tchawicy.

– Dzięki temu wydychane powietrze opływa struny głosowe, umożliwiając krótkie wypowiedzi – wyjaśnił. Między fragmentami zdań odsuwał krążek, aby mogła z wysiłkiem zaczerpnąć powietrza i wydobyć z siebie kolejnych kilka słów. W napięciu obserwował rosnące wskazania

przysięgłoby monitorujących puls i ciśnienie krwi. Był zdania, że w tym stanie nie powinna rozmawiać z detektywem z wydziału zabójstw.

– Kathleen, nie dasz rady.

– Kłamca – szepnęła.

– Nie! Twoje gardło jest zbyt osłabione, żeby poddawać je długotrwałemu wysiłkowi.

Steele wysłuchał już cierpliwie opowieści o tym, jak Hamlin obmacywał Kathleen. Niczego nie ubarwiała, podała suche fakty zimnym, klinicznym językiem, który ostatecznie rozwiązał jego wątpliwości. Kiedy skończyła, z trudem panował nad furią i musiał z całej siły zacisnąć drżące dłonie na rurkach obramowujących łóżko.

– Nie... wierzę ci!

Kathleen wzięła głęboki wdech.

– Wciąż myślisz...

Oddech.

– ... że miałam halucynacje...

Słowa przychodziły jej z coraz większym trudem.

– ... kiedy mówiłam... że włożył coś... do mojego mózgu. Richard przełknął ślinę dwa razy, a potem jeszcze raz. – Przysięgam, że się mylisz. A za to, co z tobą robił, zabiłbym go gołymi rękami, gdyby się tu pojawił. Ale powtarzam: pozwól, że to ja będę rozmawiał z policją.

– Z tego, co mówisz... wynika... że wierzysz... że mnie obmacywał. .. ale nic poza tym.

Steele zerknął na monitory. Parametry znowu wzrosły nieznacznie.

– Kathleen, wierzę, że widziałaś i słyszałaś wszystko to, o czym mówisz. Ale czego to dowodzi? Ta historia jest tak dziwaczna, że absolutnie nikt, nie wyłączając policji, nie uzna jej za wiarygodną. Będą za to bombardować cię pytaniami, na które nie znajdziesz odpowiedzi. I dlatego to ja powinienem zająć się tą sprawą.

– Przekonam McKnighta... że to prawda.

Puls i ciśnienie krwi jeszcze wzrosły. Nie powinienem więcej mówić, pomyślał Richard. Za każdym razem, kiedy się odzywam, jest bardziej rozemocjonowana.

W oczach Kathleen pojawiły się łzy.

– Wynoś się...

– Kathleen... – jęknął Steele i opadł ciężko na krzesło, zabierając gumowy krążek. W groteskowej ciszy pogardzał sobą: umiał intubować, podłączać kroplówki, nawet uruchamiać zatrzymane serca, ale nie potrafił odzyskać zaufania kobiety.

Zacisnęła dłonie w pięści. Nie mogąc poruszyć nawet nadgarstkiem, nie mówiąc o całym ramieniu, była w pełni uzależniona od Richarda w kwestii zamykania i otwierania przepływu powietrza przez rurkę. Tak długo wpatrywała się w niego z gniewem w oczach, aż wreszcie pochylił się i docisnął gumowy krążek.

– Idź do diabła! – powiedziała.

Odsunął krążek tylko na moment, by mogła wziąć oddech, ale przekonał się, że rozmowa wyczerpała Kathleen i że wkrótce potrzebny będzie respirator. Jej mięśnie oddechowe, choć zaczynały funkcjonować, wciąż były zbyt słabe, by utrzymać ją przy życiu. Mogła mówić, ale dość niewyraźnie, wskutek paraliżu prawej połowy języka i ust. Serce pękało Richardowi, gdy słuchał bełkocącego, a niegdyś tak melodyjnego głosu. Wczesnym rankiem, kiedy usłyszał jej pierwsze

słowa, zdobył się na odpowiedni entuzjazm. Z klinicznego punktu widzenia postęp był naprawdę znaczący; zaczynała przecież od zerowej praktycznie sprawności, jeśli nie liczyć władzy nad oczami. Richard jednak nie mógł powstrzymać się w duchu od chłodnej lekarskiej refleksji nad szansami Kathleen na normalne mówienie. Były niewielkie.

Mimo wszystko szybko przytknął krążek na powrót do wylotu rurki. Nie chciał, żeby Kathleen czuła się jeszcze bardziej ubezwłasnowolniona.

– Chcę McKnighta!

Nabrała powietrza i zaczęła płakać. Rozległo się bulgotanie płynu w płucach. Steele wiedział, że gdyby nie ssanie, utonąłaby we własnych wydzielinach.

Jezu Chryste, pomyślał, sięgając po nieduży plastikowy cewnik wiszący na ścianie. Pielęgniarki nie oczyszczały jej układu oddechowego tak często, jak powinny, ale z drugiej strony obrażały się, kiedy je wyręczał. Cóż, trudno. Otworzył zawór wlotowy i wprowadził cienką rurkę do znacznie grubszej, sięgającej przez otwór w tchawicy aż do płuc. Omal nie przerwał odsysania płynu, ujrawszy gniew i ból w oczach chorej.

– Wytrzymaj jeszcze parę sekund, Kathleen – powiedział. – Trzeba to zrobić. Sprowadzę ci McKnighta. Obiecuję – dodał, nie mogąc znieść wyrzutów sumienia.

Kiedy skończył, jej usta i policzki były już szare z braku tlenu. Szybko podłączył respirator i napełnił mankiet mocujący rurę w tchawicy, by uszczelnić ewentualne przecieki. Odcięcie dopływu powietrza do krtani ponownie odebrało jej głos.

Skóra szybko odzyskała właściwą barwę, ale Kathleen nie chciała patrzeć na Richarda. Zamknęła oczy i nie odpowiadała zaciskaniem pięści „tak” lub „nie” na pytania, które jej zadawał. Gdy wsunął palce w jej dłoń, rozluźniła ją na znak odrzucenia.

– Powiedziałem ci przecież, że sprowadzę McKnighta – odezwał się po chwili. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. Wiedział, że policjant uważnie wysłucha zeznań, ale czy w nie uwierzy, to zupełnie inna sprawa. – Zadzwoń z mojego gabinetu. Kiedy będziemy na niego czekać, skoczę na radiologię i poważnie uszkodzę Lockmana, jeśli nie powie mi, co z tobą robili...

Zasłony rozsuneły się nagle i do łóżka podszedł Gordon Ingram.

– Witaj, Richardzie. Słyszałeś o Hamlinie? Teraz już chyba wiemy, dlaczego biedny gnojek nie pokazał się wczoraj na operacji – powiedział, stając przy Kathleen.

Otworzyła oczy.

– Dzień dobry, doktor Sullivan. To ja jestem odpowiedzialny za tę szramę na pani szyi. Pomyślałem, że sprawdzę, jak wygląda moje rękodzieło. – Wprawnie zdjął opatrunek otaczający wlot rury i odsłonił cienką linię szwów, które założył, naprawiając rzeźnickie cięcie Jorgenson.

Rana była nieco opuchnięta i wdał się lekki stan zapalny, ale Richard był zdania, że rzecz wygląda zaskakująco dobrze.

– Cholernie dobra robota, Gordonie.

– Blizna nie powinna być duża. Wystarczy odpowiednio drogi naszyjnik z brylantami, żeby ją zakryć.

Kathleen spojrzała pytająco na lekarzy. Ingram uśmiechnął się i odłączył respirator.

– Co pani na to, doktor Sullivan? Poślemy Richarda na poważne zakupy? Znam fantastyczny sklep jubilerski przy Piątej Alei – dodał, rozluźniając mankiet rury tkwiącej w tchawicy, tak by Kathleen mogła mówić.

– To pan... operował?

– Przyznaję się do winy.

– A co... z doktor Jorgenson?

– Richard nie mówił pani? Potrzebowała pomocy – odparł Ingram.

– Naprawdę... będzie blizna?

– Szczerze mówiąc, mało widoczna – szepnął. – Ale dlaczego nie mielibyśmy wysłać Richarda po czterdziestokaratowy kamień? Najlepiej niech zadzwoni do Elizabeth Taylor.

W oczach Kathleen pojawiły się błyski.

– Właśnie... się kłócimy.

– Naprawdę? To bardzo zdrowo. W takim razie nie przeszkadzam.

– Czy pan... będzie mnie leczył?

– Nie, zostaje pani w rękach neurologów. Ale mogę być pani specem od tracheotomii.

– Proszę.

– Świetnie. No, to miłej kłótni – rzekł Ingram i zniknął.

Zniknęła też lodowata cisza.

– Lubię go – powiedziała Kathleen, gdy Richard zasłonił wylot rurki.

– Ja też.

– Naprawdę... będę potrzebować... naszyjnika?

– Koniecznie.

Pół godziny później Steele zadzwonił do sekretarki Lockmana.

– Ach, szef – odpowiedziała z westchnieniem tak gorącym, że omal nie usmażyła linii telefonicznej. – Nie tylko nie przyszedł dziś do pracy, ale także nie ma go w domu.

– W takim razie, gdy tylko się zjawi, proszę mu powiedzieć, że szuka go Richard Steele. Niech natychmiast oddzwoni. – Jeżeli mu życie miłe, miał ochotę dodać.

– Doktor Sullivan, to raczej sprawa nie dla mnie – powiedział rosy czarnoskóry detektyw siedzący przy jej łóżku.

Uścisnęła lekko jego rękę. Jej palce były małe w porównaniu z jego wielką dłonią. Wraz z Richardem poznała McKnighta ponad rok wcześniej, w obliczu ataku bioterrorystycznego na Nowy Jork i tuzin stanów południowych, któremu próbowali zapobiec. Kraj wciąż jeszcze lizał rany po tamtej tragedii, ale po wspólnych przejściach Kathleen jednego była pewna: że będzie wiarygodna w oczach tego twardego, sceptycznego gliniarza. Fakt, że zjawił się już w kilka godzin po zawiadomieniu, świadczył o tym, jaką wagę przywiązuje do jej słów.

– Przede wszystkim jednak musi pani wiedzieć, że z wielką przykrością przeczytałem o pani udarze – ciągnął McKnight. – Kilka dni po tym nieszczęsnym zdarzeniu w „Timesie” ukazał się piękny artykuł o pani.

Lisa czytała jej ten tekst w zeszłym tygodniu.

– Moim zdaniem... brzmiał za bardzo... jak nekrolog – szepnęła. – Dziękuję... że pan przyszedł.

– Richard stał naprzeciwko detektywa pokorny jak sługa, miarowo odsłaniając i zatykając wylot rurki. – Będę... się streszczać.

– Zamieniam się w słuch. Doktor Steele mówił mi, że ma pani informacje, które mogą rzucić pewne światło na zagadkę zamordowania doktora Tony’ego Hamlina. Jak rozumiem, to ten sam neurochirurg, który panią operował?

Kathleen zerknęła na Richarda. Zastanawiała się, czy zdążył uprzedzić policjanta, o czym będą rozmawiać, zawczasu odbierając wiarygodność jej narkotykowym wizjom. Steele jednak patrzył jej prosto w oczy, uśmiechając się słabo. Wiedziała już, że nic nie powiedział.

– Tak... Mojej pierwszej nocy w szpitalu... umieścił mi coś w mózgu... przez naczynia krwionośne... i nie chciał... żeby ktokolwiek o tym wiedział... Robił to wcześniej... innym pacjentom... Niektórzy umarli... Jego radiolog mówił... że zostaną... oskarżeni o zabójstwo... jeśli Richard się o tym dowie.

– Ja? – zdziwił się Steele. O tym jeszcze mu nie mówiła. – A co ja mam z tym wspólnego?

– Sprzeczała się... jakby się bali... że domyślisz się, co robili... za sprawą martwych pacjentów... wracających na twój oddział.

– Jakoś nie zauważyłem, żeby ostatnio więcej było takich przypadków.

– Powiedział... „więcej martwych w chwili przybycia”... Większość... dopiero się zjawi... jak sądzę.

– Nie wiedział pan o tym? – spytał McKnight, spoglądając na Steele’a spod uniesionych z niedowierzaniem brwi.

– No, nie tak szczegółowo...

– Nie szczegółowo? – Zmarszczki na czole policjanta pogłębiły się. – Szczerze mówiąc, sądziłem, że wkroczy pan na wojenną ścieżkę na samą wzmiankę o tym, że oni potraktowali doktor Sullivan w niewłaściwy sposób. A pan nic nie zrobił?

– Ejże! Morfina, a nawet sam pobyt na intensywnej terapii może wywołać paranoję – bronił się Richard.

McKnight potrząsnął głową.

– Proponuję, żeby zaczął pan przeglądać akta martwych w chwili przybycia, doktorze. Zwłaszcza te, w których figuruje podpis Hamlina. – Wyjął z kieszeni na piersi notes i długopis. – Jak się nazywa ten radiolog? – spytał, pochylając się bardziej nad Kathleen.

Zanim odpowiedziała, przez chwilę rozkoszowała się zboląłą miną Richarda. Dobrze ci tak, pomyślała i z chęcią dodałaby słodki uśmiech z rodzaju „a nie mówiłam”, gdyby miała władzę nad mięśniami twarzy.

– Matt Lockman... Sugerował też... że i inni są w to zamieszani.

– Powiedział kto?

– Nie.

Poczuła nagle, że ręka, którą Richard dotykał jej szyi, sztywnieje. Spojrzała w samą porę, by zobaczyć w jego oczach błysk tak mocny, jakby ktoś w pobliżu użył flesza. Cokolwiek jednak przyszło mu do głowy, postanowił zatrzymać to dla siebie.

– Groził też... że zrobi wszystko... żeby Richard... nie doniósł na policję.

– Groził doktorowi Steele’owi?

– Powiedział, że uciszy... jego i każdą inną osobę... która zechce mówić.

– Mój Boże – mruknął McKnight, wstając z szybkością, której mało kto spodziewałby się po tak zwalistej postaci. – Muszę pogadać z tym gościem jeszcze dziś wieczorem. Co za trop! Nasi ludzie pracujący nad tą sprawą zaczynają już podejrzewać, że to jakiś psychopata z karabinem zabija przypadkowe ofiary.

– Sądzi pan, że Lockman zastrzelił Hamlina? – spytał Richard.

Detektyw spojrzał na niego jak na idiotę.

– Sądzę, że Lockman ma wiele do powiedzenia. I podejrzewam, że sam zadałby mu pan kilka pytań, prawda?

– To się zgadza. Jeśli chodzi o ścisłość, próbowałem już dziś go złapać. Nie przyszedł do pracy i nie odbiera telefonu w domu. Jego sekretarka ma do mnie zadzwonić, gdy tylko zdoła go namierzyć.

Detektyw odwrócił się i chwycił Kathleen za rękę. Zmrużył ciemne oczy, jakby już postawił krzyżyk na szczerobawym radiologu, choć jeszcze nie miał okazji zamienić z nim słowa.

– Cokolwiek nam powie, doktor Sullivan, obiecuję dostarczyć pani odpowiedzi. I dziękuję za informacje. Jest pani niezwykłą kobietą – dodał, odwzajemniając słaby ruch jej palców uściskiem potężnej dłoni.

– Jest coś jeszcze – powiedziała.

– Tak?

– W poniedziałek... osiem dni temu... Hamlin mnie molestował... Myślę, że zrobił to... żeby mnie zdyskredytować... żeby wszystkie moje opowieści... wyglądały na szalone wizje... wzbudzone lekami uspokajającymi... i morfiną.

McKnight obrócił się i spojrzał na Richarda.

– Powiedziała coś takiego, a pan jej nie uwierzył?

Twarz Steele'a pozostała nieruchoma i ponura, jedynie jej barwa zbliżyła się znacznie do purpury.

– Z początku nie. Ale teraz wierzę.

Kathleen miała wrażenie, że jego ręce, zazwyczaj tak pewne, drżą nieznacznie, kiedy zabrał się do podłączania respiratora, sygnalizując tym samym, że spotkanie dobiegło końca. Pochylił się i zbliżył usta do jej ucha.

– Tak mi przykro – usłyszała drżący głos. Musnął jej skroń pocałunkiem, a potem zobaczyła w jego oczach, które widziały już tyle bólu, smutek, jaki pragnęła ujrzeć. – Tak mi przykro – powtórzył, muskając ustami jej dłoń.

McKnight dyskretnie odwrócił głowę. Po chwili obaj zniknęli za zasłoną.

Moi aniołowie zemsty, pomyślała.

Lockman nie pojawił się na radiologii. Ci, którzy zostali po godzinach, twierdzili, że nie widzieli go od rana. Gdy Richard dotarł do szpitalnej centrali telefonicznej i zdobył jego numer domowy, odpowiedział mu sygnał „zajęty”. Zadzwonił do operatora i dowiedział się, że sieć jest sprawna, a słuchawka najprawdopodobniej podniesiona.

– Wie pan, gdzie on mieszka? – spytał McKnight.

– Mogę się dowiedzieć – odparł Richard, prowadząc policjanta do swojego gabinetu. Po długich poszukiwaniach w beznadziejnie nieuporządkowanych szufladach znalazł książkę adresową personelu szpitala.

McKnight gwizdnął z uznaniem, gdy zobaczył adres Lockmana.

– Dość ekskluzywna część Long Island – zauważył, notując dane. – Mam dziś wizytę jakiegoś ważniaka, więc muszę wracać na służbę, ale dam znać przez radio kolegom pracującym nad sprawą Hamlina. Na pewno będą chcieli pogadać z tym Lockmanem, może nawet jeszcze wieczorem.

Chciałby pan wybrać się z nimi?

– Za nic w świecie nie przegapiłbym takiej okazji – odparł Steele, wyobrażając sobie, jak pięknie byłoby, gdyby dostał Lockmana w swoje ręce choć kilka godzin przed policjantami.

– Będą potrzebowali trochę czasu, żeby załatwić odpowiednie wsparcie z miejscowego komisariatu, ale dam im numer pańskiej komórki. Zadzwoń, kiedy będą gotowi.

– Oczywiście – rzekł Richard, uśmiechając się przyjaźnie, ale miał już znacznie lepszy plan.

Podróż zajęła mu okrągłą godzinę. Choć dochodziła dopiero dziewiętnasta trzydzieści, za sprawą dorodnych drzew na ulicy Lockmana panował już półmrok. Wszystkie stare, bogate dzielnice ginęły w cieniu zwartych kopuł śródmiejskich lasów. I podobnie jak ubogie jest dno starej, dorodnej puszczy, tak potomstwo ludzi zamieszkujących stare, dobre domy rzadko kiedy dorównuje swym rodzicom. Matt Lockman nie był tu wyjątkiem.

Jego ojciec był onegdaj szefem radiologii w nowojorskim szpitalu miejskim i prawdziwym gigantem w swej specjalności. Zmarł krótko po tym, jak Richard Steele podjął pracę w tej instytucji, czyli przed dwudziestu laty. Lockman junior próbował pójść w ślady rodziciela, nie tylko zostając radiologiem, ale także dążąc w hałaśliwy, ostentacyjny sposób do objęcia stanowiska szefa oddziału – tyle że żaden z jego kolegów nie uważał, by był odpowiednim kandydatem do tej funkcji. Niejeden raz z jego winy oddział nagłych wypadków miał problemy natury prawnej: błędnie zinterpretował zdjęcia rentgenowskie zlecone przez rezydenta, nie zauważył nowotworu w płucach, przegapił złamanie i nie dostrzegł tak subtelnego znaku jak pęcherzyki powietrza pod przeponą, wskazujące na perforację jelita. A były to tylko niektóre z jego przewinień. W każdym z tych przypadków dochodzenie wykazało niekompetencję Lockmana. W rezultacie Richard zaczął odradzać swoim ludziom szukanie u radiologa fachowej opinii na jakikolwiek temat.

Z wyjątkiem pieniędzy.

Jako specjalista w dziedzinie słynącej z najwyższej opłacalności, Lockman bez wątplenia miał talent do wystawiania wygórowanych rachunków. Mimo to w szpitalu mówiło się żartem, że wszystkie zarobione pieniądze przeznacza na odszkodowania w przegranych sprawach sądowych i że choć mieszka w dawnej rezydencji „tatusia”, to musi obywać się bez służby. Zwłaszcza że był bodaj jedynym mieszkańcem tej dzielnicy jeżdżącym toyotą camry.

Po kilku minutach poszukiwań Richard odnalazł właściwy numer. Posiadłość była ogrodzona, jak większość podobnych, tyle że tu brama z kutego żelaza stała otworem.

– Świetnie – mruknął, wjeżdżając na zwirowy podjazd długości ponad trzydziestu metrów, rozszerzający się przed garażem na trzy samochody. Właśnie tu stał raczej zwyczajny wóz Lockmana. Jak zwierzę węszące u bram świata, do którego nie należy, pomyślał Steele. Dom przesłonięty był wysokim, zaniedbanym żywopłotem.

Wysiadł z samochodu i odnalazł przejście w gąszczu krzewów, za którym rozpoczynała się łagodnie wygięta ścieżka prowadząca do drzwi frontowych. Nawet w słabym, wieczornym świetle Richard widział, że stara rezydencja nie jest już tym, czym niegdyś była. Wybudowana z kamienia i utrzymana w kolorze kości słoniowej, rozmiarami nie różniła się od kolosów, które mijał po drodze. Ta wielkość mówiła wiele o kwocie, którą ojciec Lockmana musiał w nią zainwestować. Tu i ówdzie jednak biała farba odłaziła z ram i okiennic, odsłaniając poszarzałe drewno, pęknięcia zaś przypominały blizny na truchle żywego organizmu, którym kiedyś był ten dom. W ogrodzie od

frontu nie było kwiatów, a jedynie zimozielone rośliny ozdobne poprzerastane chwastami i równie zapomniane jak kosmaty żywopłot. Trawnik był przynajmniej skoszony, ale przypominał kiepską fryzurę – gdzieś tam straszły nagie placki zbyt krótko wystrzyżonej murawy, miejscami zaś zieleń odbijała zbyt mocno.

Dom bogaty, lokator biedny, skonstatował Richard.

Stanął przed drewnianymi, misternie rzeźbionymi drzwiami, które umieszczono pomiędzy dwoma wysokimi i bardzo wąskimi oknami. Gdy nacisnął klawisz, gdzieś w ciemnym wnętrzu domostwa odezwał się podwójny gong.

Czekał, słuchając śpiewu ptaków. Wiatru nie było, a przez cały dzień w mieście panował dokuczliwy upał, lecz tu, z dala od centrum, pod osłoną starych drzew, powietrze było przyjemnie chłodne.

Steele nacisnął klawisz dzwonka po raz drugi.

Bez odpowiedzi.

Ośloniwszy oczy dłońmi, zajrzał do środka przez jedno z wąskich okien. Zobaczył tylko kolekcję zabytkowych krzeseł oraz stoliki ustawione w holu.

– No, rusz się – mruknął, wyobrażając sobie, jak mały człowieczek kuli się gdzieś w kącie, zbyt przerażony, by otworzyć. Był pewien, że tak czy inaczej dopadnie go i zaciśnie dłonie na jego żylastej szyi, by wydobyć zeń prawdę. W przeciwnym razie, myślał, kiedy gliny i prawnicy zabiorą się do Lockmana, będzie mógł się zasłaniać rychłym procesem i nie powie, co takiego zrobił Kathleen do spółki z Hamlinem.

Nie widząc nikogo w pobliżu, załomotał pięścią w drzwi.

– Matt!

Nic.

Ze złością chwycił gałkę i przekręcił w prawo w nadziei, że zamek będzie w równie beznadziejnym stanie jak reszta domu.

Ku jego zdumieniu drzwi otworzyły się lekko.

Wszedł do środka.

– Matt?

Cisza.

Wnętrze z lekka zalatywało stęchlizną. Radiolog najwyraźniej nie dorobił się gospodyni, ale czy żył samotnie, tego Steele nie wiedział. Z całą pewnością nie przedstawił nigdy pani Lockman na żadnej z oficjalnych szpitalnych imprez, na które należało przyjść z partnerką. Kobiety, które przyprowadzał, przedstawiał jako swoje „towarzyszki”. Richard nie przypominał sobie, by spotkał którąś z nich więcej niż raz.

– Matt!

Przeszedł przez hol, któremu przyglądał się wcześniej, i skręcił w lewo, do obszernego, bogato umeblowanego salonu.

Pusto.

Salon łączył się z dużą jadalnią, której centralnym obiektem był błyszczący mahoniowy stół. Z łatwością mogło przy nim zasiąść dwanaście osób, lecz tego wieczoru nie było tu nikogo.

Steele ruszył w głąb rezydencji i znalazł kuchnię. Sądząc po nowoczesnym wyposażeniu, była niedawno remontowana.

Mijając zejście do piwnicy, spostrzegł dwie pułapki na szczury. Naładowane przynętą, strzegły domu przed nieproszonymi gośćmi z pogrążonych w ciemnościach podziemi. Starzy lokatorzy, pomyślał Richard, czy może raczej przybysze, podobnie jak świeżo upieczeni milionerzy ze spółek internetowych, którzy kolonizują tę okolicę z braku lepszych miejsc w Nowym Jorku? Mając w pamięci własną walkę z gryzoniami w domu przy Trzydziestej Szóstej, postanowił nie zagłębiać się w mrok piwnicy.

Zataczając krąg na parterze, trafił do wspaniałej, pachnącej skórą biblioteki. Panował w niej taki spokój, jakby nikt nigdy nie sięgał tutaj po książkę, nie mówiąc już o jej czytaniu. Sercem stojącego tu nader kosztownego systemu audio-wideo był błyszczący, czarny ekran telewizyjny wielkości bramy garażowej.

I tu jednak nie było Lockmana.

Steele wrócił do holu i ruszył w górę szerokimi schodami. Rozmyślał o tym, o ile korzystniej prezentuje się ten dom w środku niż na zewnątrz. Czyżby Lockman świadomie ukrywał swoje dobra?

Zbliżając się do piętra, wyczuł nagle znajomy zapach uryny i kału. Albo ktoś zapomniał spuścić wodę, pomyślał, marszcząc nos, albo Lockman powinien sprzedać parę z tych drogich cacek i zatrudnić sprzątaczkę, która zadbałaby o toaletę.

Pokonał ostatni stopień i zatrzymał się pośrodku długiego korytarza. Spoglądając w mroczne przestrzenie, dłuższą chwilę zastanawiał się, w którą stronę pójść. Podłoga zaskrzypiała, gdy skreślił w lewo i zrobił kilka kroków. Fetor, słodkawy i kwaśny zarazem, stał się zdecydowanie silniejszy. Steele przystanął, parę razy przełknął ślinę i odetchnął głęboko przez usta, by zapanować nad odruchem wymiotnym. Miał wrażenie, że wyczuł nowy znajomy zapach. Ciekawe, pomyślał, czy jeden z mieszkańców piwnicy nie zdechł tu w którymś kącie.

W pokojach, do których prowadził korytarz, panował złowrogi półmrok. Dwa pierwsze okazały się skromnie umeblowanymi sypialniami. Materace na łóżkach pozbawione były pościeli, a na krzesłach, niczym całuny, spoczywały pokrowce. Trzecie pomieszczenie było najpewniej główną sypialnią rezydencji: dowodziły tego imponujące rozmiary oraz fakt, że sporą jej część zajmowało wielkie łóże z czterema kolumnkami. Skotłowana pościel oraz części męskiej garderoby leżące na kanapie i fotelach świadczyły o tym, że ktoś spał tu stosunkowo niedawno. Richard jednak myślał teraz o przeraźliwym smrodzie, który nasilał się z każdą chwilą.

– Jezu! – mruknął, gdyż odór aż zatykał. W dalekim kącie zobaczył fragment oświetlonej łazienki: łuk muszli klozetowej, część umywalki i skrawek wanny; wszystko lśniące bielą. Za matowym szkłem kabiny prysznicowej dostrzegł zamazaną postać cielistej barwy, stojącą zupełnie nieruchomo.

Poczuł, że jeżą mu się włosy na karku, i nagle zdał sobie sprawę, że wstrzymał oddech.

Jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę było ćwierkanie ptaków za oknami sypialni, z których jedno, jak zauważył mimochodem, było uchylone.

Nie odrywając wzroku od postaci za szybą, zaczął się cofać, by dyskretnie opuścić to miejsce. Niech gliny się tym zajmą, pomyślał, wreszcie zidentyfikowawszy odór wczesnego stadium gnicia ciała.

Nagle zamarł.

Coś się poruszyło za szkłem. Na wysokości piersi stojącego w kabinie człowieka pojawił się i

zakręcił w kółko jakiś ciemny kształt. Po chwili zsunął się i zniknął u stóp, inny zaś pojawił się nad prawym ramieniem.

Co, u diabła, pomyślał Richard, wolno wypuszczając z płuc powietrze. Opanował się i ostrożnie ruszył w kierunku kabiny.

Gdy stanął w progu niedużej łazienki, nieobcy mu przecież fetor śmierci stał się tak przytłaczający, że omal nie wywołał torsji. Steele nie poddał się jednak; zacisnął rękę na uchwycie i pociągnął szklane drzwi.

Matt Lockman wisiał nago na tle kafelków, zaczepiony rękami wysoko o wspornik prysznic. Jego nogi zanurzone były po kostki w mieszaninie ludzkich odchodów i krwi. Z klatki piersiowej, otwartej po lewej stronie od góry do dołu, sterczały kikuty kości, odsłaniając wnętrze. Richard cofnął się odruchowo i w tym momencie z otworu wychynał szczurzy pyszczek o paciorkowatych ślepiach.

– Jezu Chryste! – wrzasnął w panice, odskakując o dobry metr.

Szczur wymknął się z ciała i błyskawicznie zniknął w otworze nie osłoniętym kafelkami.

W tej samej chwili coś musnęło nogawkę Steele'a. Spojrzał w dół i zobaczył drugiego gryzonia, o futerku pokrytym smugami czerwonej, ale skrzepniętej już krwi oraz długimi pasmami rozerwanej tkanki. Zwierz mijał go w pośpiechu, ciągnąc coś, co wyglądało na spory kawał surowej wołowiny.

Okrzyk i tupnięcie wystarczyły, aby szczur umknął, porzucając zdobycz, a wtedy Richard pochylił się, żeby obejrzeć ją z bliska. Wystarczająco dobrze znał układ żył i tętnic sterczących z tej bryły mięsa, by wiedzieć, że ma przed sobą ludzkie serce.

Rozdział 8

Richard poczuł, że nie może złapać tchu i że zaraz zwymiotuje.

Widok ludzkich zwłok nie był dla niego nowością, więc opanował się z wysiłkiem i zmusił do chłodnego, klinicznego myślenia. W końcu szkolono go przez lata po to, aby zachowywał spokój, pracując przy okaleczonych ciałach na oddziale nagłych wypadków i w prosektorium.

Tutaj jednak miał do czynienia nie z nauką, ale z wyczynem zwyrodniałego rzeźnika. Trudno było się zdobyć na zimny profesjonalizm, kiedy uczucia, zwykle w pełni kontrolowane, galopowały jak szalone.

Był poruszony barbarzyństwem, którego tu dokonano.

Czuł niesmak, widząc skutki tak niepojętego gwałtu zadanego człowiekowi, nawet jeśli był nim taki padalec jak Matt Lockman.

Kto mógł zrobić coś takiego?

Steele podszedł bliżej, aby zajrzeć do otwartej piersi. Zachowywał ostrożność na wypadek, gdyby miało się pojawić więcej szczurów.

Żebra przecięto dość zgrabnie, tak jak się to robi podczas sekcji. Nawet krzywa cięcia przypominała linię, wzdłuż której standardowo otwierano klatkę piersiową.

Spojrzał wyżej. Głowa Lockmana opadła na pierś, ale Richard miał wrażenie, że dostrzega błysk czegoś białego pod jego brodą. Pochylił się i zobaczył fragment plastikowej rurki sterczącej z tchawicy nieszczęśnika.

Nie była to zwykła rurka.

Miał przed sobą instrument używany na oddziale nagłych wypadków do przebijania krtani między chrząstką pierścieniową a tarczową – do swoistej awaryjnej tracheotomii. Zaprojektowano go tak, by nawet niedoświadczona osoba mogła jednym ruchem wykonać zabieg ratujący życie. Ale dlaczego ktoś, kto z zimną krwią zamordował Lockmana, zadał sobie trud dostarczenia mu tlenu w tak osobliwy sposób?

Odpowiedź wpłynęła do umysłu Steele'a powoli, jak ciarki wędrujące po jego kręgosłupie. Ktokolwiek to zrobił, miał gdzieś oddychanie Lockmana. Zależało mu na tym, aby nikt nie usłyszał krzyków dręczonego przez napastnika.

Zakładając, że był tylko jeden napastnik.

Steele spojrział na krew zakrzepniętą pod długą raną ciągnącą się od lewej skroni Lockmana aż za ucho.

Samotny intruz musiał najpierw ogłuszyć ofiarę, potem przebić jej krtani, by pozbawić ją głosu, a następnie uwiązać do prysznicza.

Richard zerknął w dół. Tuż nad kałużą ekskrementów i krwi zobaczył górną krawędź taśmy klejącej owiniętej wokół kostek.

Myśl o tym, że Lockman był przytomny, kiedy napastnik kroił go piłą do kości, przyprawiła Steele'a o nagły zawrót głowy. Poddał się i wreszcie pochylił nad muszlą klozetową, by zwymiotować.

I właśnie wtedy usłyszał skrzypienie desek na korytarzu.

Sukces oszałamiał go jak alkohol.

Mógł się zabrać do pracy nad trzecim nazwiskiem z listy. Nie przeszkadzało mu, że celem ataku będzie pacjentka – tacy jak ona także musieli płacić za złożenie w ofierze dziecka Bożego. Fakt, że była słynnym genetykiem, sprzyjał sprawie: tym większy strach miał paść na pozostałych, gdy prawda wyjdzie na jaw. Inaczej jednak niż w przypadku poprzednich egzekucji, instrukcje co do sposobu działania były precyzyjne. Wszystko musiało wskazywać na zgon z przyczyn naturalnych.

Trochę go niepokoiło to żądanie. Nie pojmował, dlaczego morderstwo nie miałoby się stać kolejną sensacją, i choć przysięgał ślepe posłuszeństwo Panu, wykonywanie niezrozumiałych rozkazów zwykłych śmiertelników sprawiało mu czasem trudność. Dał jednak słowo, że będzie wiernym żołnierzem, więc musiał wypełnić misję bez względu na to, jak bardzo wydawała się nielogiczna.

Wśród licznych przedmiotów, które udało mu się ukraść przez lata pracy w szpitalu, były stroje – salowych, pielęgniarzy, noszowych i nie tylko. Tej nocy zamierzał odegrać rolę sprzątacza, postaci najmniej widocznej w szpitalnej hierarchii. Oliwkowy uniform ukrył pod marynarką, kiedy rejestrował się przy wejściu jako odwiedzający. Przebrał się w łazience i przyczepił do koszuli plakietkę wzorowaną na własnym dawnym identyfikatorze. Wyszedł na korytarz już jako Harold Glass, dozorca. Ustawił identyfikator w taki sposób, by zdjęcie wsunęło się częściowo do kieszeni na piersi. Był pewny, że nikt nie zwróci na to uwagi, jeśli tylko plakietka będzie na swoim miejscu. Ruszył w stronę schowka, w którym personel sprząający przechowywał swe wózki, a po chwili mył już starannie podłogę przed wejściem na oddział intensywnej opieki medycznej.

Drzwi rozsuwały się od czasu do czasu, gdy przechodzili lekarze, rezydenci, pielęgniarki i odwiedzający. Za każdym razem ukradkiem zerkał do środka, szukając stanowisk personelu, pokoju przełożonej z centralnym pulpitem sterującym, a przede wszystkim klitki, w której leżała Kathleen Sullivan. Nie było to łatwe, ponieważ w zależności od stanu pacjentów układano bliżej lub dalej od stanowisk pielęgniarek. Parawany i zasłony, które zapewniały chorym odrobinę prywatności, sprawiały, że ze swego punktu obserwacyjnego widział jedynie nogi łóżek. Będąc musiał wejść do środka, żeby ją zlokalizować, pomyślał. Zaatakuję, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu.

Odłożył mop, wcisnął okrągłą płytkę otwierającą drzwi i ruszył w stronę szafy, w której przechowywano karty pacjentów. Wypatrzył kosz na śmieci, podniósł go i zawrócił w kierunku wyjścia, jakby zamierzał opróżnić pojemnik. Poszedł jednak nieco okrężną trasą, wolnym krokiem, spoglądając na każde łóżko, które mijał. Po południu kupił jedną z książek Sullivan, by przyjrzeć się jej zdjęciu na obwolucie. Przekonał się jednak, że rozpoznanie celu nie jest proste. Jedynie bujne kasztanowe włosy sprawiły, że zidentyfikował bladą, zmienioną bólem twarz kobiety, której fotografię studiował z taką uwagą.

Dotarł do wózka, wyrzucił papiery do większego pojemnika i ruszył w drogę powrotną. Machał swobodnie ręką, w której trzymał pusty kosz, tak aby nikt nie miał wątpliwości co do celu jego wędrówek. Drugą dłonią ścisnął prawą kieszeń, w której trzymał strzykawkę pełną chlorku potasowego.

- Mogę teraz zmyć podłogę? – rzucił w stronę pielęgniarki siedzącej przy biurku.
- Jasne – odpowiedziała, nie podnosząc nawet głowy znad papierów.

– Powinienem pozwolić, żeby pana zamknęli za to zakradanie się na miejsce zbrodni – rzekł McKnight, spoglądając gniewnie na Richarda.

– Przepraszam – odparł lekarz i poprzestał na tym. McKnight był wściekły jak diabli i wydawało się, że jakakolwiek próba tłumaczenia może jedynie pogorszyć sprawę.

Policjant z Long Island i dwaj detektywi z wydziału zabójstw, którzy zaskoczyli Steele'a, najpierw napędzili mu strachu, a potem odczytali jego prawa, podejrzewając, że udało im się złapać zabójcę.

McKnight musiał się pofatygować aż z Manhattanu, by przekonać kolegów, że powinni odpuścić.

A teraz czekali w kuchni – Richard siedział, policjant zaś przechadzał się niecierpliwie w tę i z powrotem – aż eksperci kryminalistyczni zakończą badanie miejsca przestępstwa.

– Kto wie, co by się stało, gdyby spotkał pan tu mordercę – ciągnął McKnight. – Niewykluczone, że znaleźlibyśmy pana w takim samym stanie jak tego radiologa.

– Lockman jest martwy co najmniej od rana. Ktokolwiek go zabił, dawno zdążył się ulotnić.

– Wie pan, o czym mówię. A w ogóle, dlaczego tak się pan pośpieszył?

– Wiedziałem, że policja postawi mu zarzut zabójstwa. Chciałem zmusić go, żeby powiedział, co zrobili z Kathleen. Doszedłem do wniosku, że kiedy zostanie aresztowany, adwokaci poradzą mu, żeby zamknął gębę na kłódkę.

– Ciekawe, jakim sposobem chciał go pan zmusić do mówienia.

– Proszę nie pytać.

Detektyw zatrzymał się w pół kroku, wyraźnie zaskoczony.

– Doprawdy, nie spodziewałem się, że był pan gotów użyć siły, doktorze...

– Zrobię wszystko, żeby pomóc Kathleen. Jeśli pozwoli mi pan odejść, zajmę się kartoteką Hamlina. Przyjrzę się wszystkim jego pacjentom, nie tylko tym, którzy wrócili do szpitala martwi. Może uda mi się dociec, co jest grane.

McKnight rozpromienił się.

– O, to rozumiem, doktorze. Zaraz powiem ludziom na górze, że jedziemy...

– Chwileczkę. Powiedziałem, że ja zajmę się kartoteką. Jako szef oddziału mam do tego prawo. To jeden z elementów kontroli jakości. Oddanie kart pacjentów w pańskie ręce byłoby już jednak złamaniem tajemnicy lekarskiej, o czym doskonale pan wie, detektywie. Zrobię to sam.

Murzyn wzruszył ramionami i odwrócił się.

Niemal wszyscy gliniarze – a Richard nieraz miał z nimi do czynienia na oddziale nagłych wypadków – próbowali zyskać wgląd w karty pacjentów, jeśli mogło to ułatwić ich pracę. Natychmiast jednak wycofywali się, gdy lekarz wspomniał o legalności takich praktyk. Była to gra, którą zawsze podejmowali, lecz nigdy otwarcie nie przekraczali granic prawa. Mieli nadzieję, że za którymś razem przemęczony, zajęty medyk nie zwróci uwagi na taki drobiazg jak tajemnica lekarska.

– To jak, mogę iść? – spytał Richard.

– Chyba tak. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, co pan sądzi o tej ręcznej robótce na piętrze.

– Wykonał ją ktoś wprawiony w posługiwaniu się piłą do kości. Serce wykroił ktoś, kto zna anatomię klatki piersiowej. Najważniejsze naczynia krwionośne zostały przecięte precyzyjnie, jak

na sekcji.

– Chce pan powiedzieć, że to robota chirurga?

Po raz drugi tego wieczoru Richard nie opowiedział detektywowi o dziwnym triu, które w poprzednim tygodniu wdało się w kłótnię z Hamlinem i Lockmanem w bufecie. Jeżeli tamci mieli coś wspólnego ze sprawą, to i do nich musiał dotrzeć wcześniej niż policja. Dlatego odparł:

– Albo patologa. Może nawet kogoś przyuczonego przez...

Na piętrze rozległ się głośny krzyk.

Steele wypadł z kuchni dwa kroki za McKnightem i razem popędzili na górę.

Kiedy wbiegli do sypialni, zobaczyli grupę policjantów pochylonych nad bladym jak płótno funkcjonariuszem, który siedział na krześle, ściskając lewą dłońią krwawiącą prawicę. Na podłodze leżały splamione krwią lateksowe rękawiczki, z których jedna była rozdarta.

– Co się stało? – spytał Richard, zbliżając się, by opatrzyć ranę.

– W piersi tego gościa siedział pieprzony szczur – odparł gliniarz, blednąc jeszcze bardziej.

Cholera, pomyślał Steele. W zamieszaniu, które wybuchło, kiedy policjanci z bronią w ręku nakryli go, przewrócili i skuli w sypialni Lockmana, zapomniał ich ostrzec o gryzoniach.

– Niech pan się położy, zanim zemdleje – poradził ugryzionemu, uznając, że nie ma sensu przyznawać się do kolejnego błędu, skoro i tak wszyscy są na niego wściekli.

– Ja nie z tych, co mdleją – odparł policjant, a pół sekundy później przewrócił oczami i padł twarzą w dywan.

– Jezu – mruknął Steele, sięgając do ust nieprzytomnego, by sprawdzić, czy nie udławi się własnym językiem. – Niech ktoś potrzyma w górze jego nogi.

Mężczyzna i kobieta z ekipy śledczej wykonali polecenie. Policjant niemal natychmiast zaczął odzyskiwać świadomość.

– Ma ktoś zestaw pierwszej pomocy? – spytał Richard, oglądając zranioną rękę. Ślad zębów był mały, ale najprawdopodobniej mocno zanieczyszczony, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę miejsce, w którym szczur ostatnio żerował. – Będą potrzebne zastrzyk przeciwtężcowy i dawka antybiotyków. Gdy tylko opatrzę ranę, zabierzcie go do najbliższego szpitala.

– Detektywie McKnight, proszę spojrzeć – odezwał się jeden z nie umundurowanych funkcjonariuszy, który od dłuższej chwili oglądał wnętrze klatki piersiowej Lockmana, posiłkując się małą latarką.

– Szczur jeszcze tam siedzi? – spytał McKnight.

– Nie, uciekł przez okno.

– A jesteś pewny, że więcej ich nie było?

– Zwiały, daję słowo.

Mimo to McKnight podszedł do zwłok z wielką ostrożnością.

Ktoś podał Steele'owi małe białe pudełko z bandażem i plastrem. Owijając rękę policjanta, lekarz przyglądał się temu, co działo się w kabynie prysznicowej.

McKnight zajrzał do ciała i nagle wysoko uniósł brwi. Skóra na jego czole zmarszczyła się jak akordeon.

– Co, u licha... – szepnął. Chwycił opakowanie z lateksowymi rękawiczkami i włożył świeżą parę. Ostrożnie sięgnął do wnętrza zwłok i wyjął coś, co wyglądało na zakrwawioną gałązkę czy witkę.

Z leżącej na podłodze walizeczki wyciągnął zapinany worek na dowody rzeczowe i umieścił w nim osobliwe znalezisko. Uniósł głowę i teraz dopiero zorientował się, że jest obserwowany. Zawahał się, ale po chwili przyniósł worek bliżej, żeby pokazać zdobycy Richardowi, który kończył opatrywanie w pełni już świadomego policjanta.

Tak, to rzeczywiście była cienka gałązka.

– Jak pan sądzi, co to może znaczyć? – spytał McKnight.

– Znaczyć?

– Tak.

– Pewnie to, że nasi mali, futrzaści przyjaciele zamierzali uwić sobie w Lockmanie przytulne gniazdko. Żartuje pan, prawda?

Detektyw nie odpowiedział ani się nie uśmiechnął.

– Naprawdę sądzi pan, że zabójca zostawił to celowo, by przekazać jakąś wiadomość?

– Owszem. Tak właśnie sędzę.

– Dlaczego?

– Skąd mam wiedzieć? Może to jakiś tępicieł lekarzy, którzy źle traktują rośliny?

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego uważa pan, że ta witka w ogóle ma związek z morderstwem?

– Dlatego że w bibliotece miejskiej znaleźliśmy bardzo podobną. Leżała na parapecie okna, z którego naszym zdaniem zastrzelono Hamlina.

Był już prawie przy jej stanowisku i dotąd nikt nie zwrócił na niego uwagi. Dokładnie umył podłogę przy sąsiednich łóżkach, aby nie wzbudzać podejrzeń przy Kathleen Sullivan. Nie przewidywał problemów – pielęgniarki w zasadzie nie interesowały się tą pacjentką.

Popchnął wózek w jej stronę i zaczął myć podłogę pod łóżkiem. Po kilku pociągnięciach mopem przesunął się w miejsce, w którym wisiała butelka z kroplówką. Cały czas starał się znaleźć taką pozycję, w której byłby niewidoczny dla personelu. W tej chwili było tu jednak zbyt tłoczno. Postanowił poczekać.

Pracując, zerknął na kobietę, którą miał wkrótce postawić przed obliczem boskiej sprawiedliwości. Zmylony nieruchomą twarzą bez wyrazu, nie spodziewał się myślącego, przytomnego spojrzenia, które napotkały jego oczy. Cofnął się zmieszany, lecz potem zebrał siły i uśmiechnął się szeroko.

W odpowiedzi mrugnęła kilka razy i poruszyła palcami prawej dłoni.

– Witaj – rzekł, nie przestając się uśmiechać. – Nie spodziewasz się dziś gości?

Mrugnęła raz.

– Czy to oznacza „nie”?

Mrugnęła dwukrotnie.

– A to było „tak”?

Znowu dwa mrugnięcia.

– No proszę, jaka spryciula.

Nienawidził takich kobiet. Niezależnych. Niezameżnych. Zbuntowanych przeciwko Panu i Jego planowi. Zwłaszcza jej prace w dziedzinie genetyki były dziełem szatana. Zabójca był niezmiernie szczęśliwy, widząc ją w takim stanie – słusznie ukaraną za grzechy przez potężnego Jahwe. Za nic w świecie nie można pozwolić, myślał, by ona lub ktokolwiek inny przeżył Jego wyrok, korzystając z nieczystych zdobyczy nauki, które same w sobie były bluźnierstwem przeciw woli Pana.

Odłożył mop i, stojąc tyłem do sali, wyjął z kieszeni strzykawkę. Odczekał kilka sekund, delektując się widokiem szeroko otwartych oczu Kathleen Sullivan, która nagle zrozumiała, że coś jest nie tak, że sprzątacze nie powinni zdejmować zatyczki ze strzykawki... Obserwował chorą także po to, by się upewnić, że nie wykonuje żadnych ruchów poza nerwowymi skurczami dłoni i trzepotaniem powiekami. Wolał sprawdzić, czy informacje o jej stanie, które mu podano, są prawdziwe. Musiał wstrzyknąć preparat w ciągu sekundy, jeżeli chciał uniknąć wykrycia, toteż nie mógł pozwolić sobie na walkę z ofiarą. Uśmiechnął się nieco szerzej. Palce zginały się w szpony, a powieki trzepotały jak oszalałe, ale reszta ciała ani drgnęła.

Odwrócił się i rozejrzał uważnie.

Dwoje rezydentów pochylało się nad kartą leżącą na centralnej konsoli, gdzie znajdowały się wszystkie monitory. Dyskutowali o czymś z przełożoną pielęgniarek. Gdyby któreś z nich podniosło głowę, zobaczyłoby, co się dzieje. Lepiej jeszcze zaczekam, pomyślał.

Zabezpieczył strzykawkę i na powrót wsunął ją do kieszeni. Zerkając ukradkiem na pogrążoną w rozmowie trójkę, zabrał się do zmywania podłogi, gotów działać, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Była zdana na jego łaskę.

Kim on jest? Co ma w strzykawce? I dlaczego, do ciężkiej cholery, nikt nie zauważył, że kręci się przy mnie bez końca?!

Niech ktoś go powstrzyma! Czy nikt go nie widzi? Na miłość boską, błagam, zatrzymajcie go, zanim zrobi mi ten zastrzyk!

Milczące prośby były jednak, co oczywiste, bezskuteczne.

Nikt nie zwracał na sprzątacza najmniejszej uwagi.

O Boże, jęknęła w duchu, czując, że ogarnia ją panika.

Czy ten człowiek był współnikiem Hamlina? Czy to Lockman nasłał go na nią? Czy ten, kto zabił Hamlina, chciał uciszyć i ją?

Umysł Kathleen Sullivan był zbyt sparaliżowany strachem, by szukać odpowiedzi. Koncentrował się na jednym zadaniu: jak powstrzymać tego człowieka.

Jako naukowiec potrafiła wyobrazić sobie, co może się znajdować w strzykawce.

Insulina? Wywołałaby wstrząs hipoglikemiczny, wyłączyła mózg i spowodowała konwulsje zakończone śmiercią.

Cyjanek? Krew straciłaby zdolność przenoszenia tlenu.

Może potas, który zatrzymałby jej serce?

A może coś, co uśmierci ją w znacznie dalszej perspektywie?

Na przykład wirus HIV.

Zresztą, co za różnica, w jaki sposób chciał to zrobić?

Ważne jest to, że trzeba go powstrzymać.

Pielęgniarki ułożyły w pobliżu jej dłoni kabel przywoływacza, ale samo urządzenie znalazło się gdzieś pod pościelą.

Przerażona, zaczęła przebierać palcami w nadziei, że uda jej się dotrzeć dłonią do klawisza.

Z początku nic się nie działo – czubki paznokci ślizgały się po prześcieradle, nie mogąc uciągnąć ciężaru ramienia. Wbiła je w materac z całą mocą i spróbowała jeszcze raz. Prawa ręka

popęzła nieznacznie naprzód, ale by dosięgnąć przycisku, musiała cofnąć dłoń pod pościel. Zebrała siły, oparła palce o podłogę i wyprostowała je.

Dłoń cofnęła się nieznacznie.

Mężczyzna wciąż lustrował wzrokiem salę.

Pewnie czeka, aż nikogo nie będzie w pobliżu, pomyślała, gorączkowo powtarzając próbę. Palce ześlizgnęły się nagle i dłoń opadła z cichym szmerem, ledwie słyszalnym przez buczenie respiratora.

Mężczyzna natychmiast spojrzał na nią.

Usłyszał! Dłoń Kathleen zastygła w bezruchu.

Po kilku sekundach napastnik ponownie wyrzwał z klitki.

Spróbowała jeszcze raz.

Palce ześlizgnęły się i znowu rozległ się cichy szmer, który przykuł uwagę mężczyzny.

Szlag, pomyślała, czekając, aż się odwróci. Wydawało się, że omiatają wzrokiem całą wieczność, ale w końcu na powrót zainteresował się salą.

Muszę wolniej przesuwając dłoń, powiedziała sobie i jedynie do połowy ugięła palce. Kiedy je wyprostowała, dłoń cofnęła się o pół centymetra.

Poruszyła palcami.

Znów pół centymetra.

Za trzecim razem palce poślizgnęły się i nic nie zyskała.

Mężczyzna posłał jej gniewne spojrzenie.

– Co ty wyrabiasz? – spytał półgłosem, podchodząc krok bliżej.

Na pewno nie mógł zauważyć tak nieznacznej zmiany w położeniu ręki, próbowała pocieszać się w duchu, wbijając wzrok w pościel. Furia, z jaką spoglądał na nią z góry, była nie do zniesienia. Dlaczego nikt go nie widzi? Dlaczego nikt mi nie pomoże? Była odcięta od świata i nie słyszała niczego poza biciem własnego serca. Tłukło się jak oszalałe, pomyślała więc, że ktoś wyłączył czujniki, bo już dawno powinny uruchomić alarm.

Nagle usłyszała, że intruz poruszył się, i zmartwiła z przerażenia. Czyżby wyciągał strzykawkę?

Gwałtownie podniosła oczy i zobaczyła go: mył podłogę u wylotu stanowiska, rozglądając się na prawo i lewo, jakby chciał przejść przez ulicę. Albo sprawdzić po raz ostatni, czy nikt nie patrzy w jego stronę.

Nie przejmując się już odgłosami, zaczęła raz za razem uginać palce i prostować je z największą siłą, na jaką mogła się zdobyć. Ręka powoli wsuwała się coraz głębiej pod kołdrę.

Mężczyzna rozejrzał się ostatni raz i oparł trzonek mopa o łóżko.

Sukinsyn zaraz to zrobi, krzyknęła w myśli Kathleen, poruszając palcami z taką siłą, że dłoń aż podskoczyła i zniknęła pod kołdrą niczym skaczący pająk. Przycisk przywoływacza otarł się o jej nadgarstek i przedramię. Czuła, że wystarczy jeszcze kilka ruchów, by przykryć go dłonią.

Napastnik sięgnął do kieszeni i wyjął strzykawkę, starannie zasłaniając ją własnym ciałem.

O mój Boże, pomyślała z przerażeniem, siłąc się na precyzyjne ruchy. Przycisk oparł się o mięsistą nasadę kciuka. Odepchnęła dłoń małym palcem, próbując umieścić ją w bardziej dogodnym położeniu, ale w pośpiechu jedynie odsunęła jeszcze dalej przywoływacz. Nie! Pracowała palcami z furją, usiłując zacisnąć je na urządzeniu. Skrobanie o prześcieradło było coraz

głośniejsze.

Mężczyzna pochylił się, zdjął zatyczkę i wprowadził igłę do bocznego wejścia przewodu kroplówki.

Kathleen wiedziała, że czas minął. Ostatnim wysiłkiem zdołała umieścić dłoń wprost nad przywoływaczem, a następnie ścisnąć go palcem wskazującym i kciukiem, desperacko poszukując klawisza.

– Co, u licha – mruknął napastnik, zaintrygowany gwałtownym ruchem pod kołdrą. Szybko uniósł jej skraj i wyrwał przywoływacz ze zmęczonej dłoni, zanim palce zacisnęły się na włączniku.
– Proszę, jaka sprytna z ciebie suka – szepnął, odkładając urządzenie w pobliże poduszki, zdecydowanie poza zasięgiem Kathleen.

To już koniec, pomyślała. Zostało mi tylko jedno: umrzeć. I patrzeć mu w oczy albo ukryć się pod powiekami jak pod opaską skazańca.

Nie, tak byłoby mu zbyt łatwo. Lepiej spoglądać hardo na sukinsyna. Niech widok mojej twarzy przesładuje go do końca życia.

Mężczyzna znowu pochylił się nad bocznym wlotem kroplówki.

Myśli o Lisie, Checie i Richardzie przemykały przez głowę Kathleen jak błyskawice. Zaopiekuj się nimi, kochany, modliła się w duchu.

– Co tam się dzieje? – rozległ się znajomy, władczy ton kolczastowłosej pielęgniarki z kolczykiem w nosie, siedzącej gdzieś przy głównej konsoli.

Zwykle głos tej żony przyprawiał Kathleen o ból zębów, teraz jednak brzmiał tak słodko jak dźwięk trąbek kawalerii przybywającej z odsieczą.

Mężczyzna, wciąż odwrócony plecami do sali, natychmiast nasunął zatyczkę na igłę i dyskretnie schował strzykawkę do kieszeni.

– Nic, proszę pani. Już kończę – odpowiedział przez ramię. – Tej pacjentce spadł przywoływacz. Właśnie go podnosiłem.

Po chwili pielęgniarka stanęła przy łóżku Kathleen.

– Nie śpi pani? – spytała. – Monitory wskazują nagły wzrost ciśnienia i przyspieszenie pulsu.

Kathleen gorączkowo poruszała palcami i w rekordowym tempie trzepotała powiekami.

– Spokojnie, doktor Sullivan, bo będę musiała podać środek uspokajający.

Nie!

– Powiedziałam: spokojnie. On mnie zabije.

– Ostatnio robiła pani wielkie postępy. Od czasu operacji ataki paniki prawie się nie powtarzały. Szkoda by było, gdybyśmy musieli wrócić do midazolamu.

Przestań pieprzyć, ty tępą, nadgorliwa krowo, i zajmij się lepiej typem, który stoi za tobą!

– Przykro mi, ale będzie pan musiał na razie przerwać – odezwała się kolczastowłosa jak na zawołanie. – Chora powinna odpocząć.

Mężczyzna wsparł się na trzonku mopa.

– A będę mógł wrócić i dokończyć, kiedy zaśnie?

– Tak, oczywiście – odparła pielęgniarka, rzucając w jego stronę przelotne spojrzenie. – Ale nie wcześniej niż za kilka godzin. Tuż przed końcem zmiany, kiedy nie będzie wielu odwiedzających. Wtedy najbardziej przyda się mycie podłogi. Ludzie nanoszą zawsze tyle kurzu. Jest dwa razy gorzej, odkąd przedłużono godziny wizyt.

Intruz stał absolutnie nieruchomo, wpatrując się najpierw w plecy kolczastowłosej, a potem w twarz ofiary. W jego źrenicach tliła się furia, a całe oczy wydawały się Kathleen tak wielkie, że mogłaby wejść przez nie do czaszki szaleńca i obejrzeć jego mózg.

– Jak pani woli – odezwał się po kilku sekundach, a potem obrócił się na pięcie i odszedł w stronę wózka.

– I niech pan nikogo nie zbudzi, wracając – zawołała za nim pielęgniarka. – I bez pańskiego tłuczenia się po kątach trudno ich wszystkich usnąć.

– Będę cichy jak duch – odparł mężczyzna, oglądając się przez ramię i patrząc prosto w oczy Kathleen. – Proszę się nie martwić, prędzej kogoś usnę, niż obudzę.

– Tak? To ciekawe, bo ja zawsze słyszę łomot opróżnianych koszy – mruknęła siostra i sięgnęła po znajomą, brązową fiolkę z lekiem. Odłamała szyjkę, włożyła do środka igłę strzykawki i naciągnęła kilka mililitrów przezroczystego płynu.

Błagam, nie, pomyślała Kathleen.

Pielęgniarka bez wahania podłączyła strzykawkę do bocznego wejścia kroplówki i wolno docisnęła tłok.

Sullivan poczuła znajomy, zimny ból ogarniający całą czaszkę, a potem ciemność nasunęła się na jej oczy jak wielki, czarny kaptur.

Richard pochylił się, próbując zobaczyć coś w strugach deszczu zalewających przednią szybę wozu. Zbielałe kłykcie palców zaciśniętych na kierownicy lśniły w półmroku jak podświetlany ornament na desce rozdzielczej. Ulewa towarzyszyła mu prawie przez całą drogę z Long Island na Manhattan.

Cholerne wycieraczki, pomyślał ze złością. Równie dobrze mógłbym próbować rozdzielić nimi wody Morza Czerwonego.

Spojrzał na zegarek. Złamał już bodaj wszystkie ograniczenia prędkości obowiązujące na tej trasie, a i tak dawno minęła dwudziesta druga trzydzieści. Czy Kathleen już śpi? Nie mógł się doczekać chwili, kiedy zagłębi się w archiwa pacjentów Hamlina, ale jeszcze bardziej chciał opowiedzieć jej o Lockmanie.

Jechał na północ estakadą drogi ekspresowej FDR, obiegającej Manhattan od wschodu. East River, którą miał po prawej stronie, była w tych warunkach ledwie widoczną, czarną smugą. Jądro miasta, które widział po lewej, jawiło się w deszczowym mroku jako sięgająca nieba siatka błyskających świateł.

Masakra, której skutki widział w domu Lockmana, zapadła mu w pamięć. Próbował wyrzucić z umysłu jej obraz, ale natrętne pytania powracały. Jaki był motyw? Dlaczego ciało zostało tak okaleczone? Kula w tył głowy doskonale zapobiega nadmiernej gadatliwości, po co więc kroić człowieka żywcem? Musiało chodzić o coś więcej niż tylko uciszenie potencjalnie niebezpiecznego współnika. I o co, do wszystkich diabłów, chodzi z tymi witkami?

Dotarłszy do zjazdu, skręcił i pojechał w dół, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że kieruje okrętem podwodnym.

– Chryste – mruknął, ściskając mocniej kierownicę, gdy samochód wpadł w kałużę u podnóża zjazdu i szarpnął w bok. Bryzgi wody chlusnęły w obie strony, ale po gwałtownym zygżaku wóz powrócił na kurs. Po krótkiej jeździe Trzydziestą Trzecią Ulicą Steele wysiadł na szpitalnym

parkingu.

Przeskakując po kilka stopni naraz, wbiegł prosto na oddział intensywnej terapii, huknął dłonią w metalowy dysk, zaczekał, aż hydrauliczny mechanizm rozsunie drzwi, i w kilku krokach dotarł do łóżka Kathleen.

Leżała na boku, prawie w tej samej pozycji, w jakiej zostawił ją przed ponad czterema godzinami. Poczł palącą złość na pielęgniarki, które najwyraźniej ani razu nie przełożyły Kathleen. Zaniedbanie tego zabiegu mogło doprowadzić do powstania w punktach najsilniejszego nacisku – na ramionach i biodrach – odleżyn, czyli rozległych obszarów martwicy skóry. Kucnął przy łóżku i pogłaskał leżącą po włosach.

– Cześć, kochanie. To ja.

Brak reakcji.

Respirator syczał rytmicznie, raz po raz unosząc pierś chorej, lecz oczy, które zwykle otwierały się na dźwięk głosu Richarda, tym razem pozostały zamknięte.

– Kathleen? – Chwycił ją za rękę i wsunął palce w bezwładną dłoń. Ostatnio dawała mu sygnał lekkim uściskiem, nawet gdy drzemała.

Nic.

Odruchowo zerknął na monitory. Instykt rozwinięty na oddziale nagłych wypadków kazał mu spodziewać się najgorszego.

Parametry życiowe Kathleen Sullivan były jednak w normie.

W koszu na śmieci stojącym przy łóżku dostrzegł brązową fiolkę.

Midazolam!

Cholera, pomyślał. Nie tylko zapomnieli przełożyć Kathleen, ale w dodatku znowu ją uspili.

Kipiąc z wściekłości, wstał, obrócił się na pięcie i ruszył prosto do stanowiska pielęgniarek, których pół tuzina pochylało się właśnie nad czarnymi segregatorami, notując coś skrupulatnie. O tej porze, przed jedenastą, był to zwyczajny rytuał: papierkowa robota na zakończenie zmiany. W tej chwili jednak dla Richarda widok piszących pielęgniarek oznaczał, że ważniejsze są dla nich dokumenty niż opieka nad Kathleen.

– To tak się tu pracuje? – warknął ochryłym szeptem. Jego struny głosowe były równie naprężone jak ścięgna w karku. – Napompować pacjentów prochami, żeby mieć święty spokój i zabawiać się wpisywaniem danych? A co z prawdziwą opieką? Na przykład z obracaniem chorych, żeby nie dostali odleżyn.

Sześć szczęk opadło równocześnie.

Przełożona podniosła się wolno, błyskając w świetle jarzeniówek licznymi spinkami podtrzymującymi siwy kok.

– Wypraszam sobie – odpowiedziała, marszcząc twarz w wyrazie głębokiej dezaprobaty.

Steele usadził ją machnięciem ręki i pochylił się nad stołem.

– Kto zajmuje się dziś doktor Sullivan?

– Ja – odparła młoda kobieta, z którą po starciu sprzed wielu dni zawarł chwiejny rozejm. Ładna twarz pochyliła się ku niemu, ukazując pod misternie ustawionymi kolcami blond włosów najbardziej intrygujący element: błyszczące oczy w kolorze akwamaryny.

Rekiny mieszkają w tych wodach, pomyślał Richard i postanowił działać ostrożnie, jako że najprawdopodobniej właśnie ta pielęgniarka skarżyła się na niego Ingramowi.

– Dlaczego doktor Sullivan podano środek uspokajający? – zapytał najuprzejmiej, jak tylko mógł.

Kąciki zaciśniętych ust młodej kobiety uniosły się nieznacznie.

– Dlatego, że doktor Sullivan znowu miała atak paniki, doktorze Steele – odparła beczelnie słodkim głosem. Ten ton kojarzył mu się z odzywkami ćpunów, którzy na jego oddziale ustawiali się w kolejce po upragnione prochy. Uśmiechali się podobnie, na poły sympatycznie, na poły złowrogo.

– A czy zadała pani sobie trud i zapytała, co było jego przyczyną?

– Czy zapytałam? To był atak, doktorze. Dlaczego miałabym pytać?

– Gdyż jej strach mógł mieć poważną przyczynę. Przyczynę, którą mogłaby pani poznać, gdyby chciało się jej zdjąć respirator, odłączyć rurkę i wysłuchać doktor Sullivan.

– Naprawdę, doktorze Steele, nie pierwszy raz widziałam atak paniki i...

– Doktor Sullivan nie miewała dotąd ataków paniki. Po prostu rozpaczliwie próbowała powiedzieć nam, że pierwszej nocy w szpitalu doktorzy Tony Hamlin i Matt Lockman zrobili jej coś złego podczas angiografii. Wszyscy, nie wyłączając mnie, myśleli początkowo, że to halucynacje wywołane morfiną.

Dziewczyna cofnęła się, spoglądając na niego z niedowierzaniem i drwiną, a następnie potoczyła wzrokiem po twarzach koleżanek. Kpiące miny powiedziały Steele'owi, że uważają go za świra. Kolczastowłosa oparła rękę na wypiętym biodrze:

– Chyba nie wierzy pan w te...

– Wierzę, podobnie jak policja. Hamlin zginął najprawdopodobniej dlatego, żeby jego działalność nie została odkryta.

– To niedorzeczność...

– Czyżby? Właśnie wracam z domu Matta Lockmana. Znalazłem go wiszącego w kabinie prysznicowej z rozciętą klatką piersiową i wyjętym sercem. Wszystko wskazuje na to, że zabiła go ta sama osoba, która zamordowała Hamlina.

Minęło kilka sekund, zanim sens tych słów dotarł do pielęgniarek.

Kolczastowłosa nie odezwała się.

Miny zrzedły kolejno wszystkim jej koleżankom.

Siedząca przy stole przełożona zeszytniała, odchyliwszy się pod dziwnym kątem, jakby odsunięcie się od Steele'a mogło pomóc jej zignorować to, co powiedział. Lepiej uważaj, pomyślał, bo wszystkie te spinki przeważą i wylądujesz na plecach.

– Pan... pan... chyba nie mówi poważnie? – wyjąkała.

– Niestety tak. Policja przesłuchuje każdego, kto miał styczność z pacjentami tych dwóch, więc radzę się przygotować.

Kobieta z trudem przelknęła ślinę i wzięła głęboki wdech, a potem bardzo powoli wypuściła powietrze. Richard poczuł od niej woń papierosów.

– O mój Boże – szepnęła.

Pielęgniarka Kathleen odwróciła głowę.

Pozostałe spoglądały jedna na drugą nerwowo, jakby miały nadzieję, że ktoś powie zaraz coś, co sprawi, że złe wiadomości przestaną mieć znaczenie.

– Chcę wiedzieć, co się działo, kiedy doktor Sullivan zaczęła się bać – oznajmił Richard. – Co

mogło ją przestraszyć?

Wszystkie spojrzenia spoczęły na kolczastowłosej. Uciekła wzrokiem gdzieś w głąb sali, jakby tam spodziewała się ujrzeć odpowiedź.

Steele zaczynał tracić cierpliwość.

– Czekam.

– Nic się nie działo – odpowiedziała pielęgniarka. – Wypadł jej przycisk przywoływacza, który przypięłam w pobliżu jej dłoni – dodała z nie skrywaną niechęcią.

– Ale nie chciało się pani nawet zapytać, dlaczego próbowała ją wezwać, prawda? Po prostu uśpiła ją pani i koniec.

Kolczastowłosa nie odpowiedziała.

Richard z trudem zwalczył chęć podniesienia jej z krzesła za kółko sterczące z nosa.

– Czy takich pacjentów najbardziej lubicie? Otumanionych prochami i podłączonych do maszyn, żeby nie sprawiali kłopotów?

Pielęgniarki chórem stęknęły z oburzenia. Kolczastowłosa zadarła głowę i spojrzała twardo w oczy Richarda.

– Doktorze Steele! – odezwała się przełożona. – Przesadził pan.

– O, nie, nie przesadziłem, i dobrze pani o tym wie. Ta kobieta od pierwszego dnia zachowuje się wrogo wobec Kathleen. Nie wiem, na czym polega pani problem – dodał, zwracając się do niebieskookiej blondynki – ale radzę przejawiać takie humory poza pracą. A jeżeli nie radzi sobie pani z tym, że powierzono jej opiekę nad znaną osobistością, albo z tym, że jest to osoba, za którą oddałbym życie, albo z tym, że jako szef oddziału nagłych wypadków mogę być wyjątkowo upierdliwy w trosce o zdrowie doktor Sullivan... to cholernie trudno. A teraz proszę się ruszyć i przełożyć pacjentkę, zanim dostanie odleżyn. – Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. – I proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko się ocknie – zawołał przez ramię. – Zamierzam spędzić noc w archiwum.

Był tak wściekły, że omal nie przewrócił się o sprzątacza, który mył podłogę tuż za drzwiami oddziału.

– Przepraszam – warknął, mijając go w ostatniej chwili, a potem zniknął w głębi korytarza.

Rozdział 9

– Gdzie ona może być? – mruczał Richard, szperając w czeluściach biurka. Zaszedł do swojego gabinetu, żeby zabrać kartę identyfikacyjną dającą dostęp do szpitalnej sieci komputerowej i bazy danych pacjentów przyjmowanych na jego oddział.

Pojedynczy sygnał syreny zaanonsował przyjazd ambulansu. Personel został postawiony w stan gotowości, ale wiadomo było, że nie należy się spodziewać pacjenta z zatrzymaniem akcji serca, ponieważ w takich przypadkach karetka pędziła na sygnale całą drogę. Nie, to musiał być ktoś zaledwie wpółmartwy, choć może dość szybko posuwający się ku krańcowi swej drogi.

Steele sprężył się instynktownie, dwudziestoletnie doświadczenie nauczyło go bowiem odruchowej reakcji na sygnał syreny. Tym razem jednak problem miał ktoś inny – jego zmiana już dawno dobiegła końca. Wrócił do przerwanych poszukiwań i po chwili znalazł w pudełku z drobnymi to, czego potrzebował. Umiał utrzymać porządek na swoim oddziale, ale zapanowanie nad chaosem własnego biurka było ponad jego siły.

Zamiast pójść wprost do windy, która zabrałaby go do podziemi gmachu, minął rozsuwane drzwi oddzielające względnie spokojne pomieszczenia administracyjne od właściwych, tętniących życiem pomieszczeń oddziału. Lepiej sprawdzę, kogo przywieźli, pomyślał, jak zwykle nieco nadopiekuńczy względem podwładnych.

Teraz przynajmniej radził sobie z sytuacją lepiej niż przed laty, kiedy Luana umarła po sześciomiesięcznej walce z rakiem trzustki. Wzdrygnął się, czując ukłucie tysiąca wspomnień nadlatujących z przeszłości i wbijających się głęboko, jak kolce, pod czaszką.

– Co z tego, że od czasu do czasu nachodzą mnie takie myśli jak wtedy – tłumaczył niedawno Jo O'Brien, pijąc z nią herbatę jak niemal każdego popołudnia. – Robiąc tych parę zmian w szpitalu, mając na co dzień do czynienia z bólem i tragediami obcych ludzi, przynajmniej przez kilka godzin mam poczucie, że kontroluję sytuację. Gdyby nie to, siedziałbym bezradny, stłamszony i trząśnięty ze strachu, że Kathleen umrze. Mówię ci, Jo, w takich chwilach nawet powietrze dusi jak całun.

Równocześnie zaś, tak jak czynią to ćpuny, wielokrotnie obiecywał sobie w duchu, że nie pozwoli już nigdy, by potrzeba stłumienia bólu wzięła górę i wymknęła się spod kontroli, że nie zawiedzie Cheta, Lisy i Kathleen, nie tym razem. Obraz sprzed lat – Chet spoglądający na niego oczami wypełnionymi smutkiem i strachem, szukający pocieszenia i odpowiedzi na pytanie, co takiego straszego zrobił, że ojciec woli spędzać czas w pracy niż z nim – trwał uparcie, nie pozwalając mu raz jeszcze szukać ucieczki. W spojrzeniu chłopaka i dziś było coś dziwnego; Richard miał wrażenie, że te oczy wciąż widzą linie, wzdłuż których pękł niegdyś, obracając w gruzy to, co pozostało jeszcze z rodziny.

Tej nocy wszakże to nie potrzeba ucieczki skłoniła Richarda do zajrzenia na oddział. Miał tylko jeden cel: zejść do piwnic szpitala i poszukać kilku odpowiedzi. Jako szef nie mógł jednak zapomnieć o swoich ludziach nawet po godzinach, tak jak rodzic nie zapomina zajrzeć nocą do śpiącego dziecka. Chciał się przejść po oddziale, aby dać znać pielęgniarkom i lekarzom, że jest na miejscu. Kiedy o tym wiedzieli, praca przebiegała jakby sprawniej. Trzeba to wykorzystać, pomyślał, skoro już jestem w pobliżu.

– Doktorze Steele – odezwała się Jo O'Brien. – Co pan tu robi? Wszystko w porządku z doktor Sullivan? – spytała, marszcząc czoło.

– Nie czuje się gorzej, jeśli nie liczyć tego, że nadgorliwa nowicjuszka znowu ją uśpiła – odparł, celowo nie wspominając o Lockmanie. Chciał, by była to krótka wizyta.

Bujny podbródek Jo zeszywniał.

– Poważnie?

– Niestety.

– Idę o zakład, że wiem która. Zdaje się, że będę musiała złożyć jej wizytę i uprzedzić ją, że ma do czynienia z moim przyjacielem.

Richard uśmiechnął się mimo wszystko.

– Będę wdzięczny, Jo. W tej chwili ona i jej koleżanki z góry są na mnie diabelnie wkurzone.

– Wkurzone na Mistra Dypłomacji? Niemożliwe – stwierdziła O'Brien, mrugając porozumiewawczo.

Kiedy wypowiadała te słowa, zerknęła nad ramieniem Steele'a w kierunku stanowiska selekcji chorych. Obejrzał się i zobaczył dwóch sanitariuszy wwożących pulchnego mężczyznę w średnim wieku. Siedział na noszach sztywno, ubrany w zielonkawą sportową kurtkę i słomkowy kowbojski kapelusz. Spod prześcieradła wystawały białe czubki butów, a twarz mężczyzny zakrywała maska tlenowa.

Jo pobiegła w stronę przybyłych.

Już z pięćdziesięciu metrów Richard widział, że pacjent oddycha z trudem i najprawdopodobniej czuje ból w piersiach, przyciskał do nich bowiem pięść. Z przyzwyczajenia zajrzał do pokoju pielęgniarek, żeby sprawdzić, kto ma dyżur na kardiologii. Ujrzawszy nazwisko Franceski Downs, pomyślał, że jeśli konieczna okaże się angioplastyka lub szybkie wykonanie bypassów, pacjent nie będzie musiał czekać. Francesca nie miała sobie równych. Zaraz potem przyszło mu do głowy, że może warto wpaść do niej i zapytać, czy nie wykonywała ostatnio jakichś niecodziennych operacji.

Wyszedł na korytarz w samą porę, by zobaczyć Jo prowadzącą nowego pacjenta na wózku do pokoju monitorowania kardiologicznego. Korpulentna paniusia wystrojona jak Dale Evans dreptała obok, mówiąc:

– Byliśmy właśnie na lekcji tańca, kiedy nagle poczuł zawroty głowy. Zadzwoiłam pod 911 i kazałam mu się położyć na podłodze. Wie pani, on jest pilotem, lata boeingami 747...

Już nie, pomyślał Richard.

Dwoje rezydentów wbiegło do pokoju zaraz za Jo, a chwilę później zjawił się dyżurny lekarz. Nikt nie zauważył przełożonego.

Steele rozejrzał się i stwierdził, że poza tym jednym przypadkiem sytuacja na oddziale jest pod kontrolą.

Zanim wyszedł, ze stanowiska selekcji zadzwonił jeszcze do Cheta i Lisy, w zasadzie tylko po to, żeby zakomunikować im, że stan Kathleen jest stabilny i że sam zostanie w szpitalu, by nadrobić zaległości w papierkowej robocie. O tym, co naprawdę przeżył tego wieczoru, nie zamierzał opowiadać przez telefon.

– Nie ma sprawy, tato – odparł Chet. – Lisa zrobiła popcorn i znowu wypożyczyliśmy *Mumię*.

Richard uśmiechnął się mimowolnie.

– Tylko pamiętaj, że jutro szkoła – upomniał syna. Zdaje się, że w domu raczej na mnie nie czekają, pomyślał.

Dobrze, że Chet czuje się z Lisa bezpieczny.

Pod szpitalem – podobnie jak pod większością gmachów śródmieścia wzniesionych w latach pięćdziesiątych – znajdowały się rozległe, wielokondygnacyjne piwnice. Archiwum kart pacjentów ulokowano najgłębiej; niczym osad na dnie zbiornika. W czasach, gdy prezydentem był Eisenhower, a w szkołach pokazywano filmy o tym, jak się kryć w razie nalotu, ktoś nazwał tę część piwnic schronem – i tak już zostało.

Jadąc windą w dół, Steele zastanawiał się, w jaki sposób zabrać się do akt Hamlina. Myśl o tym, że może stracić Kathleen, krążyła w jego głowie niczym wygłodniały sęp. Gdy wychodził na zielonkawy korytarz o niskim stropie, pod którym ciągnęły się rury i kanciaste tunele innych instalacji, zanurzył się w ciszę tak ciężką jak skała, w której osadzono głębokie na piętnaście metrów fundamenty. Ściany zdawały się zbliżać do niego, a powietrze było nieświeże i nieznośnie gorące. Surowe światło jarzeniówek raniło oczy. Skręcił w prawo i przyspieszył kroku, z głośnym echem kłapiąc skórzanymi podeszwami o betonową podłogę.

Stanąwszy przed solidnymi metalowymi drzwiami wbił na klawiaturze czterocyfrowy kod, który pamiętał równie dobrze jak własny numer telefonu. W zasadzie była to tajna kombinacja cyfr, lecz nie zmieniała się od lat i w praktyce chyba nie było w szpitalu osoby, która by jej nie знаła. Wszyscy – od urzędników, przez personel średni aż po lekarzy – mieli powody, by tu bywać: zwykle wynosili i przynosili karty choroby albo poszukiwali zapomnianych papierów. Ruch ludzi i dokumentów odpowiadał rytmem przyjęciom i wypisom na oddziale nagłych wypadków, w klinice i na dziesięciu piętrach budynku, z których każde mieściło osiemdziesiąt łóżek. Ćwierć miliona wizyt rocznie – w tych warunkach cudem było to, że ginęło tak niewiele dokumentów.

Za metalowymi drzwiami ciszę zastąpił pomruk klimatyzacji, a powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze, co Steele powitał z ulgą. Mocny, ostry zapach wywołujący łaskotanie w nosie uświadomił mu, że znalazł się w strefie, do której nie dotarł ruch zwolenników bezkwasowego papieru.

Przesunął dłonią po ścianie i naciskając po trzy równocześnie, przełączył długi rząd klawiszy. Światła z migotaniem budziły się do życia w kolejnych sekcjach, oświetlając nie kończące się rzędy półek i spoczywające na nich tony szarych segregatorów – historie chorób z ostatniego półwiecza, szczególną kronikę Nowego Jorku. Za każdym razem czuł, że przytłacza go ogrom zgromadzonych tu informacji, ludzkich losów definiowanych niepewnością diagnozy, nadzieją na wyzdrowienie i ostatecznym – nie zawsze pozytywnym – wynikiem leczenia. Niekiedy, pracując tu nocą, miał wrażenie, że słyszy szepty, i zastanawiał się, czy dusze ludzi, których podróż dobiegła końca w tych murach, nie próbują mu czegoś powiedzieć. Według starego szpitalnego dowcipu, gdyby internetowym guru udało się kiedyś wyeliminować papierowe karty choroby i spakować ich zawartość do pamięci komputerów, odzyskana przestrzeń w piwnicach rozwiązałaby problem miejsc parkingowych na Manhattanie. Zdaniem Richarda, naprawdę śmiesznie byłoby, gdyby tak utworzony podziemny parking na zawsze pozostał miejscem nawiedzonym, pełnym głosów z zaświatów.

Podszedł do grupy stanowisk komputerowych pośrodku sali i wsunął kartę do czytnika.

Program powitał go po imieniu.

Napisał „udar krwotoczny”, dodał „doktor Tony Hamlin” i zabrał się do pracy.

– Przekłęci – wymamrotał, zaglądając do sali oddziału intensywnej opieki medycznej i widząc pielęgniarki wciąż kręcące się przy Sullivan.

Harold Glass – bo tak nazwał się tej nocy – zmywał podłogę w głębi korytarza. Bał się, że kręcąc się zbyt długo w pobliżu drzwi, ściągnie na siebie czyjąś uwagę. I tak ryzykował już, wróciwszy tu na krótko przed nocną wymianą personelu. Siostry pochylały się nad pacjentką niemal bez przerwy, tak że dyskretny atak był praktycznie niemożliwy. Harold Glass nie miał pojęcia, dlaczego Kathleen Sullivan nagle znalazła się w centrum zainteresowania; wiedział natomiast, że w tych warunkach nie zrealizuje planu. Należało się zastanowić nad alternatywą.

Nie było to zresztą specjalnie trudne. Czwartą osobą do odstrzału był na liście Richard Steele. Dobrze się złożyło, że akurat znalazł się w pobliżu – jakby Bóg zaferował swą pomoc, i to do tego stopnia, że lekarz głośno obwieścił zamiar spędzenia nocy w archiwach. Ciężko wyobrazić sobie bardziej odosobnione miejsce niż szpitalne piwnice. Idealna sceneria morderstwa, zwłaszcza gdyby nie udało się załatwić sprawy po cichu.

Coraz bardziej podekscytowany zabójca odstawił w kąt wiadro z mopem. Energicznym krokiem ruszył w głąb korytarza, starając się zachować jasność umysłu. Niewykonanie rozkazu było poważnym występkiem. Ale czy Bóg nie stworzył mu tak cudownej sposobności dlatego, że śmiertelnik sporządzający listę skazanych popełnił błąd? Czy dla Pana miało jakiegokolwiek znaczenie to, że Steele umrze po Sullivan? Dobicie ciężko chorej – nawet gdyby zdołał upozorować śmierć z przyczyn naturalnych – nie miało zresztą wielkiego sensu taktycznego, ponieważ Steele i tak domyślałby się prawdy i, w gniewie podsycanym wolą szatana, zapewne stałby się trudniejszym celem. Czyż więc nie byłoby lepiej dla dzieła bożego, gdyby lekarz zginął pierwszy? Tak, bez wątpienia to Jego wola pokierowała biegiem wydarzeń tak, by naprawić ludzkie błędy w przygotowaniu misji.

Z mocno bijącym sercem zawrócił w stronę miejsca, w którym pozostawił ekwipunek sprzątacza. Ale co z bronią? Czy najpierw powinien pozbawić ofiarę przytomności, tak jak to zrobił z Lockmanem? Tamta akcja była inna... Głupiec nie zamknął nawet okna – wystarczyło wejść po pnączach i ogłuszyć go młotkiem we śnie. Fakt, że trzeba było parę razy poprawić, bo ocknął się po pierwszym ciosie i próbował bronić. Teraz, gdyby Steele nie padł od pierwszego uderzenia, skończyłoby się na wyczerpującej walce. Co gorsza, Harold Glass nie wziął ze sobą niczego ciężkiego i mogło się okazać, że nie znajdzie wystarczająco dużego narzędzia, by powalić ofiarę jednym ciosem.

Teraz dopiero pomyślał o szkoleniu, które przeszedł zaraz po wstąpieniu do ruchu, o miesiącu sprzed pięciu lat spędzonym z instruktorami walki w górach Blue Ridge. Właśnie. Mógł przecież skrócić Steele'owi kark, dokładnie tak, jak go nauczono. Wykonanie tego na prawdziwym przeciwniku zapewne różniłoby się od treningu na manekinach, lecz jeśli tylko zdołałby dopaść lekarza znienacka, od tyłu, powinno być dobrze. Zaraz potem mógłby wrócić i zająć się Sullivan, gdyby bowiem ukrył zwłoki gdzieś w bocznym korytarzu, nie zostałyby odnalezione przed przybyciem porannej zmiany, czyli przed siódmą. Miałyby mnóstwo czasu na rewizytę na oddziale intensywnej terapii, najlepiej około szóstej trzydzieści. Zaproponowałby, że posprząta jeszcze raz

tuż przed końcem nocnej zmiany. Pielęgniarki będą zbyt zajęte wypełnianiem papierów, myślał, żeby zwracać uwagę na to, co robię.

Oddychając szybko, dotarł do windy, którą zamierzał zjechać na dół, i nacisnął klawisz. Silnik dźwigu natychmiast zawył gdzieś w oddali, ale czekanie na kabinę ciągnęło się w nieskończoność. Harold Glass niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Muszę zwolnić, upominał się w duchu. Nie mogę tak się spieszyć. Mimo to perspektywa akcji go podnieciła.

Kiedy drzwi się rozsunęły, zawahał się nagle, a jego entuzjazm dla nowego zadania jakby zmalął. Czy odstąpienie od pierwotnego planu naprawdę było życzeniem Pana? Czy aby nie było tu ingerencji szatana sprytnie wykorzystującego niecierpliwość zwykłego śmiertelnika?

Drzwi windy zamknęły się przed nim na powrót, kiedy spoglądał na wiadro z mopem stojące pod ścianą. Korytarz był bardzo długi. Nikt nie okazałby zdziwienia, gdyby sprzątaczkę poświęcił zmywaniu jeszcze godzinę lub dwie. Tak, to było to. Zabójca postanowił zawierzyć Bogu. Podszedł do jeżdżącego wiadra i przeciągnął je na środek korytarza. Kółka zapiszczały. Chwycił drewniany kij, podniósł kłęb ociekających wodą włókien i pacnął nimi o linoleum. Jeżeli Bóg nie stworzy mi sposobności do zabicia Sullivan przed końcem pracy, pomyślał, będę wiedział, że Jego wolą jest uśmiercić najpierw Steele'a. Jakkolwiek będzie, mam na to całą noc.

Metalowe kółka zapiszczały ponownie, kiedy pchnął swój sprzęt ku drzwiom oddziału intensywnej terapii.

W ciągu ostatnich dwóch lat Hamlin operował cztery typy krwiaków wewnątrzczaszkowych. Niewiele.

Naczyniaki torebkowe – takie jak ten, który omal nie zabił Kathleen – stanowiły przyczynę zaledwie dwóch procent udarów krwotocznych. Inne, nawet te najpowszechniejsze schorzenia, jak wylewy podpajęczynówkowe czy wrodzone tętniaki mózgu, spotykało się na oddziale nagłych wypadków najwyżej kilkanaście razy w roku. Krwotoki w mózdzku, części mózgu znajdującej się nad rdzeniem przedłużonym, zdarzały się osiem, góra dziewięć razy. Nieco częściej widywano tu wrodzone wady tętniczo-żylnie (w takich przypadkach tętnice pompowały krew wprost do żył o słabszych ścianach, doprowadzając ostatecznie do ich pęknięcia), zwłaszcza u nadciśnieniowców, lecz bardzo rzadko można było ingerować w nie operacyjnie. Nie zawsze też zadanie to przypadało Hamlinowi. Na jego oddziale nie brakowało głodnych sukcesu pretendentów, z którymi musiał się dzielić wszystkimi „kaskami” trafiającymi pod nóż.

W każdej kategorii pacjentów Hamlin był jednak aż dwukrotnie skuteczniejszym neurochirurgiem niż jego koledzy w kraju. Jeżeli wraz z Lockmanem zajmował się zabijaniem ludzi, to z całą pewnością fakt ten nie miał odbicia w statystykach.

– W takim razie czym się zajmowali, do ciężkiej cholery? – mruknął Richard. Dźwięk własnego głosu wydał mu się nader przyjemny w zestawieniu z nieustającym, męczącym szumem klimatyzacji.

Uzbrojony w listę siedmiu przypadków z tego roku i trzynastu z poprzedniego, ruszył w głąb labiryntu sięgających sufitu regałów, by odnaleźć odpowiednie akta. Biegące górą rury zajęczały nagle, zagulgotały i zahuczały niczym trzewia wścieklej bestii.

Praca, której się podjął, była żmudna. Najpierw musiał zlokalizować właściwe karty, korzystając z siedmiocyfrowego numeru. Szukał ich, spacerując korytarzami między rzędami półek.

Niektóre akta były chude, inne miały po trzy tomy, z których każdy przypominał grubością nowojorską książkę telefoniczną. Lepiej będzie, jeśli zbiorę wszystkie, zanim zacznę czytać, postanowił. Odłożył pierwszych sześć kompletów dokumentów na stół i wrócił po resztę.

Kiedy zebrał wszystkie, podzielił je na cztery grupy według diagnoz: dziewięciu pacjentów miało wylew podpajęczynówkowy (u jednego doszło do ostrego krwotoku), sześciu doznało krwotoku w rejonie mózdzku, a trzech cierpiało na wrodzoną wadę tętniczo-żylną. Tylko u dwojga zdiagnozowano naczyniak torebkowy w obrębie pnia mózgu. Steele zaczął lekturę od tej części szpitalnej praktyki, którą znał najlepiej: od przyjęcia chorych na oddział nagłych wypadków.

Za każdym razem pacjenci byli szybko badani, stabilizowani przez jego ludzi i przekazywani pod opiekę Hamlina. Tylko jeden przypadek sprzed ponad roku – wylew podpajęczynówkowy, który zmienił się w krwotok – rzucił się Richardowi w oczy. Pamiętał go dobrze, ponieważ sam reanimował pacjenta. To był względnie młody, czterdziestodwuletni mężczyzna, który uskarżał się na najsilniejszy ból głowy, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Jego żona, drobna blondynka tak błada ze strachu, że jej twarz zmieniła się w porcelanową maskę, wybiegła z pokoju, w którym go położono, aby sprowadzić pomoc, gdy niespodziewanie opadł na szpitalne łóżko i przestał reagować.

Richard intubował go niemal natychmiast. Pracując, patrzył na wytrzeszczone prawe oko chorego, które zdawało się śledzić jego ruchy źrenicą rozszerzoną do rozmiarów dziesięciocentówki. Był to znak, że ciśnienie wywierane przez krwotok próbuje wypchnąć mózg otworem w podstawie czaszki tak, jak wyciska się z tubki pastę do zębów. Usta pacjenta wykrzywiły się groteskowo, a wydobywającym się z nich dźwiękom towarzyszyły erupcje spienionej śliny. Przez moment Richard zastanawiał się, czy mężczyzna próbuje mu coś powiedzieć – może zaprotestować przeciwko temu, że jego wspomnienia, zdolność myślenia, umysł, cała osobowość zmieniają się właśnie w białoszare puree.

Pozwoliłem, żeby ten przypadek zapadł mi w pamięć, pomyślał Steele, zaskoczony tym, jak wyraźnie go pamięta. Wiedział, że jeśli dopuści, by straszne chwile prześladowały go we wspomnieniach, wypali się przedwcześnie jak sporo lekarzy z oddziału nagłych wypadków. Doradzał już zbyt wielu niegdyś dobrym specjalistom, by nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa, o które ocierał się tak często.

Nie tylko chorzy powracali w snach. Wciąż jeszcze widział wyraźnie oczy żony tamtego człowieka. Równie wielkie czarne źrenice, pełne lęku o najbliższą osobę zdawały się zapadać w głąb czaszki, gdy kobieta próbowała przygotować się na najgorsze. A jednak, mimo nikłych szans, Steele i Hamlin zdołali uratować pacjenta. Jeszcze na oddziale nagłych wypadków skurczyli jego mózg o jedną czwartą, wprowadzając doń pół litra mannitolu. Hiperosmotyczny płyn wysuszył tkankę mózgową, zacieśniając ją wokół pękniętych naczyń i spowalniając krwawienie, a tym samym zmniejszając siłę nacisku dążącą do wypchnięcia białej materii poza czaszkę. Dzięki temu zyskali czas potrzebny na dostarczenie umierającego pacjenta na stół operacyjny. Tam Hamlin zrobił resztę. Sześć godzin później żona wróciła na dół z dobrą nowiną; bezdenną rozpacz w jej ciemnych oczach zastąpiły iskry nadziei. Niewykluczone, że właśnie widok tej transformacji pomógł Steele'owi wyrzucić z pamięci przypadek jej męża, jako że aż do tej chwili nie myślał o nim ani razu.

Otworzył teczkę na stronach poświęconych pobytowi mężczyzny w szpitalu. Jak zawsze

pierwsze wpisy dokonywane były przez lekarzy i rezydentów. Zwięzłe, datowane notatki kreślone różnymi charakterami pisma – zgodnie z rotacją kadr – opowiedziały mu historię powrotu do zdrowia. Miarą oddalania się pacjenta od śmierci były liczby dokumentujące wzrost stężenia tlenu we krwi i zmiany rozległości paraliżu, wyniki badań laboratoryjnych, kardiogramy, a wreszcie rezultaty prześwietleń – rezonansu, tomografii i angiografii – pozwalające określić kondycję mózgu. Chcąc się dowiedzieć czegoś o powrocie do zdrowia osoby, a nie ciała, Steele musiał jednak przeczytać notatki pielęgniarek: bardziej subiektywne, a więc dalekie od postrzegania człowieka jako zbioru wskaźników liczbowych.

„... odzyskuje władzę w rękach i nogach...”

„... pyta o żonę...”

„... pije wodę przez słomkę i nie dławi się...”

Richard czytał to wszystko z rosnącym podziwem. Nie wyobrażał sobie, że można naprawić tak ciężkie uszkodzenie mózgu do tego stopnia, by chory był w stanie wykonywać nawet te proste czynności. Jeszcze bardziej zdumiała go zapiski dotyczące drugiego tygodnia rekonwalescencji.

„... pacjent odżywia się samodzielnie...”

„... siedzi na krześle...”

„... mowa znacznie mniej bełkotliwa...”

Ostatnia notatka zawierała zalecenie przeniesienia pacjenta na oddział rehabilitacyjny, w tym przypadku do Instytutu Rehabilitacji Adele Blaine. W sumie w aktach nie było niczego niezwykłego, jeśli nie liczyć faktu, że nie zanotowano ani jednej wizyty kontrolnej rekonwalescencji w szpitalu. Według dokumentacji pacjent po prostu zniknął z radarów.

Dziwne, pomyślał Richard. Większość ludzi odwiedzała swego lekarza przynajmniej raz lub dwa po wypisaniu ze szpitala. Kto mógł wiedzieć, co się dalej działo z tym mężczyzną? Może nikt i dlatego statystyki Hamlina wyglądały tak dobrze? Nawet jeśli facet zmarł wkrótce po operacji, fakt ten nie został odnotowany w aktach.

Steele zapisał nazwisko pacjenta z zamiarem skontaktowania się z pracownikami instytutu Blaine. Planował odezwać się do nich z samego rana i poprosić o przekazanie wszelkich dokumentów dotyczących rehabilitacji tego człowieka. Był przekonany, że jeśli powie im, iż kontroluje efektywność pracy swojego oddziału, tamci nie będą mieli nic przeciwko udostępnieniu informacji.

Wstał, żeby pospacerować parę minut, bo przyjemny zrazu chłód podziemi wsączył się niepostrzeżenie w jego kości. Rozgrzewając się, spojrzał w górę i zobaczył, że dokładnie nad jego miejscem pracy znajduje się jedno z ujść instalacji klimatyzacyjnej.

– Nic dziwnego – mruknął, przesuając stolik ku ścianie oddzielającej stanowisko robocze od reszty sali. Nie tylko było tu cieplej, ale także jakby bezpieczniej, ponieważ czuł za plecami materialną barierę. Zawsze niepokoiło go siedzenie samotnie pośrodku wielkiej, otwartej przestrzeni. Tej nocy zaś był szczególnie nerwowy, wspomnienie makabrycznego odkrycia w domu Lockmana było bowiem jeszcze bardzo świeże.

Zabrał się ponownie do pracy i szybko stwierdził, że w pozostałych przypadkach następstwo zdarzeń jest bardzo podobne. Szybka i udana interwencja chirurgiczna, imponujące tempo rekonwalescencji, przeniesienie do instytutu Adele Blaine i brak wizyt kontrolnych w szpitalu.

W pozostałych przypadkach, ale z dwoma wyjątkami.

W pierwszym chodziło o mężczyznę, który półtora roku wcześniej został poddany operacji z powodu krwotoku podpajęczynówkowego, w drugim ofiarą była kobieta, której – podobnie jak Kathleen – w kwietniu tego samego roku usunięto naczyniak torebkowy. Oboje powrócili na oddział nagłych wypadków: mężczyzna przed dwoma miesiącami, kobieta kilka tygodni później. Oboje jako „martwi w chwili przybycia”.

„Krwotok wewnątrzczaszkowy”. Taki wyrok widniał na aktach zgonu podpisanych przez Hamlina. W żadnym z przypadków nie wykonano autopsji.

Ludzie Steele’a nie mieli zastrzeżeń. Zgodnie z notatkami pielęgniarek, rodziny wyrażały głęboką satysfakcję z dokonań Hamlina, dzięki którym chorzy szybko wracali do zdrowia po pierwszym udarze. Bliscy nie widzieli potrzeby potwierdzania jego diagnozy na temat przyczyny śmierci.

Richard uważał jednak, że dziwne jest, iż żaden z podległych mu lekarzy nie zadał sobie pytania, dlaczego osoba, której rok wcześniej usunięto wrodzoną deformację naczyń w mózgu, dostaje krwotoku po raz drugi. Przecież takie wady nie mogą się odnowić... Prawdopodobieństwo, że Hamlin przeoczył inną anomalię, operując pierwszą, było nader znikome.

Mogli mieć nadciśnienie, pomyślał Steele. Nie sposób wykluczyć, że w tych warunkach mogło dojść do krwawienia z naczyń zdrowych, ale osłabionych chronicznie wysokim ciśnieniem. Tyle że pomiary ciśnienia dokonywane podczas pierwszego pobytu chorych w szpitalu nie wykazywały takich zaburzeń. W kartach choroby zaś nie było żadnej wzmianki o nadciśnieniu.

Steele dodał dane dwojga pacjentów do listy niewyjaśnionych kwestii. Zamierzał sprawdzić, czy wzrost aktywności chorych podczas rehabilitacji w instytucie Adele Blaine nie wywołał u nich objawów nadciśnienia. Na szpitalnej karcie znalazł też nazwiska lekarzy rodzinnych, którzy na co dzień opiekowali się tymi pacjentami. Nie mógł wykluczyć, że nadciśnienie nie zostało wykryte w szpitalu z powodu uspokajającego wpływu morfiny i długotrwałego leżenia w łóżku, natomiast po wypisaniu chorych do domu – powróciło.

Coś zabulgotało gwałtownie nad głową Richarda i rury jęknęły w proteście.

Wciąż jeszcze sztywny od chłodu, przeciągnął się i zaplótł dłonie za głowę. Śmierć tych dwojga, myślał, nie miała bezpośredniego związku z operacjami wykonanymi przez Hamlina. W obu przypadkach między zabiegiem a zgonem minął ponad rok. Czy w tym czasie pacjenci nie mieli żadnych problemów ze zdrowiem?

Przejrzał dokumenty sporządzone na oddziale nagłych wypadków, by spisać nazwiska i numery telefonów członków najbliższych rodzin. Postanowił, że zadzwoni do nich rano i zapyta.

Odchylił się z krzesłem do tyłu. Czy działalność Blaine miała na celu krycie tajnych poczynań Hamlina? A jeśli tak, to po co? Przecież wyniki pracy neurochirurga nie mogły budzić niczyich zastrzeżeń.

Raz jeszcze Steele przypomniał sobie gwałtowną wymianę zdań między nią a neurochirurgiem w szpitalnym bufecie. Może warto porozmawiać z Adele, zanim McKnight dobierze się do całej grupy? Ale czy pytania o zamordowanych nie sprawiają, że kobieta zamknie się na dobre i zasłoni adwokatami, tak jak zrobiłaby to po konfrontacji z policjantem?

Po namyśle uznał, że lepiej będzie nie zgłaszać się do Adele Blaine z oskarżeniem o udział w niezrozumiałym i nie do końca odkrytym spisku. Większy pożytek mogło przynieść sprawdzenie kart pacjentów jej instytutu i poznanie przebiegu ich rekonwalescencji. Bez dowodów działania w

złej wierze ani Blaine, ani Edwards, ani Downs nie powiedzieliby słowa o prawdziwych przyczynach kłótni w bufecie. Ostatnią rzeczą, której Richard teraz potrzebował, była wrogość ze strony kobiety – zwłaszcza jeśli nie była zamieszana w żadną aferę – ponieważ zbadanie kartoteki w jej instytucie stanowiło być może klucz do rozwiązania zagadki wspólnego przedsięwzięcia Hamlina i Lockmana. Dlatego zdecydował, że porozmawia z nią po koleżeńsku: poprosi o pomoc w odkryciu tajemnicy, nie sugerując, że podejrzewa ją o konszachty z neurochirurgiem. Potem dokończył spisywanie nazwisk, dat urodzenia i numerów telefonów osób, o których akta chciał poprosić Adele Blaine.

Powinienem obejrzeć coś jeszcze, pomyślał, wracając do tej części dokumentów, która zawierała zdjęcia rentgenowskie.

Każdemu z pacjentów wykonano angiogram. Dyżurnym radiologiem był oczywiście Lockman.

Steele nie znalazł jednak na zdjęciach niczego nadzwyczajnego. Co takiego zrobili Hamlin z Lockmanem? Dlaczego tak bardzo się bali, że mógłby odkryć prawdę? Raporty z sali operacyjnej, opisujące krok po kroku poczynania neurochirurga, również nie zawierały wzmianek o praktykach, które mogłyby być szkodliwe dla pacjentów. Większość z nich tworzyli mozolnie, sprawdzali i podpisywali rezydenci, a to w zasadzie wykluczało ingerencję Hamlina.

Czy oznaczało to, że cokolwiek niezwykłego robiono z pacjentami, działo się to wyłącznie podczas angiografii?

Niekoniecznie, jeżeli neurochirurg był w stanie wykonać szybki manewr pod nosami rezydentów, w czasie operacji.

Ale jaki manewr?

Coś, co początkowo znacząco poprawiało stan pacjentów, a następnie sprowadzało na nich śmierć. Śmierć na skutek kolejnego krwotoku w mózgu, sądząc po tym, jak umarło dwoje ostatnich pacjentów.

A jeżeli tak, to czy i Kathleen czekał rychły koniec?

Gniew wezbrał w nim nagle niczym powódź. Co będzie, jeśli nie zdąży na czas? Jeśli nie odkryje, co stało się z innymi pacjentami, i nie zdoła w porę pomóc Kathleen?

Szalone myśli przyszły mu do głowy i nagle poczuł, że wcale nie jest pewien, czy warto cackać się z Adele Blaine. Godzina sam na sam wystarczyłaby mu, żeby wycisnąć z niej wszystko, co wie.

Jeżeli Blaine, Edwards i Downs byli tymi „pozostałymi”, o których mówił Lockman, to czy właśnie oni stali za śmiercią jego i Hamlina? Widok fachowo rozciętego ciała radiologa przekonał Steele'a, że to robota osoby z przygotowaniem medycznym. Z pewnością mógł ją wykonać ktoś taki jak Downs. Edwards też, bo przecież chirurg jest chirurgiem, nawet jeśli na co dzień interesują go wyłącznie kobiety, i to tylko od pępka do kolan.

Lecz mimo desperacji towarzyszącej poszukiwaniu odpowiedzi instynkt lekarza nakazywał Steele'owi wziąć pod uwagę wszystkie możliwe rozwiązania, tak jak postępowałby, stawiając diagnozę choremu. Znowu wahał się między podejrzeniami wobec całej trójki a uczciwym domniemaniem, że nie mają nic wspólnego z całą sprawą i że inny, niezidentyfikowany przeciwnik jest odpowiedzialny za to, co zrobiono z Kathleen. Nie mając dowodów, musiał powrócić do koncepcji, że Lockmana mógł zabić ktokolwiek przeszkolony w zakresie anatomii, jak powiedział McKnightowi.

Bóg mi świadkiem, że dopadnę drania i zmuszę, żeby mi powiedział, co Hamlin zrobił z

Kathleen, nawet gdybym miał po kolei smażyć na wolnym ogniu każdego pracownika szpitala. Poczul dreszcz, gdy przed oczami przemykały mu twarze i nazwiska współpracowników. Nagle zrobiło mu się niedobrze. O mój Boże, co ja wyrabiam?

Niech gliny zajmą się ściganiem mordercy, próbował przekonać się trzeźwą argumentacją. Mimo to poczucie, że jest osobiście odpowiedzialny za wykonanie tego zadania, jakoś nie chciało ustąpić. Wiedział, że potrafi sięgnąć po desperackie środki, ale tylko wtedy, gdy zawiodą wszelkie inne sposoby i gdy nie ma nic do stracenia. Rozumiał też, że w pewnych sytuacjach i one nie przynoszą sukcesu.

Muszę z rozwagą wskazywać McKnightowi podejrzanych, postanowił wciąż niepewny własnych zamiarów. Wiedział, że musi być otwarty na nowe możliwości, gotów spróbować wszystkiego, co mogłoby pomóc Kathleen, nawet gdyby miał pracować bez udziału policji.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem. Nie otrzymał dotąd wiadomości z intensywnej terapii, miał więc prawo sądzić, że Kathleen śpi – normalnie śpi, jako że środek uspokajający prawdopodobnie przestał już działać. Niech odpoczywa, pomyślał. Nie ma sensu jej budzić. Równie dobrze mogła powiedzieć mu rano, co ją tak wytrąciło z równowagi. Poza tym tutaj jego fachowość była bardziej potrzebna. Może jeśli skoncentruje się na danych z poprzednich lat, sprzed ery fenomenalnych wyników Hamlina, zdoła znaleźć jakąś na pozór nic nie znaczącą różnicę w procedurze? Może to będzie klucz do zidentyfikowania „szybkiego manewru”, czymkolwiek on był?

Richard wstukał sekwencję znaków, żądając listy pacjentów Hamlina z lat tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem i dziewięć. Znalezione przez komputer numery akt ułożył rosnąco, by poszukiwać teczek systematyczniej niż do tej pory. W rezultacie po każdą następną musiał dalej zagłębiać się w labirynt regałów. Nieustanny szum klimatyzacji i gruba wykładzina na podłodze tłumiły wszelkie dźwięki; miał wrażenie, że porusza się po podziemiach absolutnie bezszelestnie.

– Jak jeden z miejscowych duchów, o których tyle gadają – mruknął do siebie, kolejny raz szukając otuchy w brzmieniu własnego głosu. Powoli docierała jednak do niego prosta prawda: pomruk dobiegający z ułożonych pod sufitem rur i tuneli sprawiał, że równie niesłyszalne byłyby kroki każdej innej osoby. Owszem, rozmowa z mordercą mogła Richardowi wiele wyjaśnić, ale świadomość, że napastnikiem może być każdy pracownik szpitala, spowodowała, że zaczął raz po raz oglądać się przez ramię.

Do licha, jestem po prostu śmieszny, skarcił się w myślach. Albo się opanuję, albo będę wrzeszczał ze strachu na widok byle urzędasza z mojego oddziału, który zajrzy tu po kartę. Zaczął gwizdać – po części, by uspokoić napięte nerwy, a po części, by uprzedzić potencjalnych przybyszów, że jest gotów na spotkanie.

Kiedy zadzwonił telefon komórkowy, podskoczył mimowolnie, upuszczając na podłogę segregatory, które niósł pod pachą.

– Jezu Chryste – stęknął, wyławiając słuchawkę z kieszeni i przyciskając do ucha.

– Znalazł pan coś? – McKnight sprawiał wrażenie sennego.

– Wystraszył mnie pan na śmierć.

– Dzwoniąc? Nerwus z pana, doktorze.

Steele poczuł się dość głupio.

– Dałem się zaskoczyć, to wszystko. Zwykle mój telefon nie działa w tych piwnicach. Nie

spodziewałem się, że zadzwoni.

– Ma pan coś dla mnie?

– Już mówiłem, że nie zamierzam złamać tajemnicy...

– Dobrze już, dobrze. Nie muszę nic wiedzieć o pacjentach. Interesuje mnie tylko to, co kombinowali nasi dwaj truposze.

Richard przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tak, o tym możemy rozmawiać.

– Więc do czego się pan dokopał?

– Jak dotąd do niczego. Zatrzymała mnie przykra sprawa z Kathleen...

– Co z nią? – McKnight nagle przestał być senny.

– W porządku. To znaczy, fizycznie w porządku. Wieczorem coś ją bardzo wzburzyło, a jedna z pielęgniarek znowu wstrzyknęła jej środek uspokajający.

– Co to mogło być?

– Nie wiem. W tej chwili Kathleen śpi. Dlaczego pan pyta?

Detektyw nie odzywał się kilka sekund.

– Grupa funkcjonariuszy zjawi się w szpitalu z samego rana. Zaczną przepytować personel na temat Hamlina i Lockmana. A ja, jeśli wolno, chciałbym porozmawiać z doktor Sullivan. Będzie pan u niej?

– Oczywiście. Spotkamy się na intensywnej terapii. Jak rozumiem, został pan oficjalnie włączony do śledztwa?

– O siódmej? – zaproponował McKnight, nie odpowiadając na pytanie.

– W porządku – odparł Richard, zastanawiając się, czy policjant działa oficjalnie, czy tylko przez wzgląd na Kathleen. – I dziękuję – dodał. Bez względu na przyczynę, zainteresowanie McKnigha sprawą było mile widziane.

Wyłączywszy telefon, Steele przyklęknął, żeby pozbierać rozrzucone karty choroby.

Ułożył połowę z nich, kiedy nagle salę ogarnęły ciemności.

– Co, u diabła? – mruknął.

Widocznie wyłączyli prąd, pomyślał zaraz. Pewnie przez tę burzę.

Chwilę później uświadomił sobie, że z góry nadal płynie strumień lodowatego powietrza. Klimatyzacja nie działałaby, gdyby w całym budynku zabrakło prądu. Poza tym w przypadku odcięcia zasilania zapaliłoby się oświetlenie awaryjne.

– Hej! – krzyknął, zastanawiając się, czy któryś z jego ludzi rzeczywiście nie zszedł tu po dokumenty i, nie zauważywszy go, zgasił światło, wracając na górę.

Nikt jednak nie odpowiedział. Może przechodził tędy nocny stróż?

– Halo? – zawołał.

Cisza, jeśli nie liczyć szumu powietrza w rurach.

Czy mimo hałasu klimatyzacji ten, kto wyłączył światło, nie słyszał go rozmawiającego przez telefon? Szum nie był na tyle donośny, by go zagłuszyć.

Steele zaczął się niepokoić.

I jak właściwie można przełączyć tuzin klawiszy równocześnie?

Poczuł suchość w ustach.

Może wysiadł lokalny bezpiecznik? Generatory awaryjne nie włączyłyby się z tak banalnego

powodu. To wyjaśnienie nieco go uspokoiło. Wydawało się na tyle rozsądne, że uśmierzyło nieprzyjemne mrowienie pod czaszką.

Trochę.

Rury grały po swojemu, tym razem rytmicznie, jakby ktoś tukał w nie kluczem. Głuchy dźwięk zdawał się wprawiać mózg w drzenie.

Steele przykleknął i po omacku odszukał resztę rozsypanych teczek. Jeżeli w pozostałej części szpitala jest zasilanie, pomyślał, zabiorę papiery na górę i przejrzę w gabinecie.

Ruszył przed siebie, jedną ręką wodząc po półkach z aktami, a drugą przyciskając do piersi pokaźny ładunek dokumentów. W zasadzie nie był pewien, czy podąży w kierunku drzwi, ponieważ jeszcze podczas rozmowy z McKnightem spacerował machinalnie, nie zastanawiając się zbytnio nad tym, gdzie się znajduje. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż wszystkie „alejki” ułożone były prostopadle do osi, na końcu której znajdowało się wyjście z sali. Zamierzał iść aż do ściany, a potem skrócić w lewo i albo dotrzeć do drzwi, albo ponownie trafić na ścianę. W najgorszym wypadku mógł się posuwać w głąb sali, ale nawet wtedy wystarczyłoby po prostu zawrócić i prędzej czy później odnalazłby wyjście.

Szedł szybko, wiedząc, że na podłodze nie ma niczego, o co mógłby się potknąć. Gdy dotarł do przerwy między regałami, zwolnił i mocniej przycisnął teczek do piersi, a drugą ręką zaczął wodzić w powietrzu, aż napotkał opór – kolejny rząd regałów. Teraz przyspieszył tak bardzo, że kiedy wreszcie doszedł do ściany, omal nie rozbił sobie twarzy. Nie zrażony, skrzył w tę stronę, po której – jak sądził – znajdowało się wyjście, i ponownie ruszył przed siebie.

Rury podwieszane pod stropem zadrżały.

Steele pomyślał, że będzie wiedział, gdzie jest, kiedy znajdzie się na środkowej, otwartej przestrzeni. Wtedy półki nie będą zasłaniały drzwi – nie pamiętał, czy był nad nimi podświetlany napis „wyjście” z własnym zasilaniem, ale miał nadzieję, że zobaczy przynajmniej jasną szczelinę nad progiem. Zresztą i to nie miało wielkiego znaczenia. Był pewien, że ze środka sali trafi do klamki nawet po omacku, jeśli trzeba będzie.

Kilka minut później zaczął podejrzewać, że mimo wszystko poszedł w złym kierunku. Nie dotarł do otwartej przestrzeni, jak się spodziewał.

– Szlag! – warknął z cicha, coraz bardziej przygnębiony nieprzeniknącą ciemnością.

Minał kolejny regał i znowu zderzył się ze ścianą. Zdezorientowany, poczuł nagle gwałtowne bicie serca.

– Tylko spokojnie. Skup się na określeniu położenia – poradził sobie głośno, by podnieść się na duchu. – Ściana oznacza, że jesteś w głębi sali, w samym narożniku. Jeżeli skrysz w lewo i pójdiesz prosto, dojdiesz do przeciwległej ściany. Jeszcze raz w lewo i natrafisz na drzwi.

Zdażył zrobić trzy kroki, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś szmer.

Dźwięk był wystarczająco głośny, by przebić się przez nie cichnący ani na moment szum powietrza i płynów krążących w rurach.

Po tym, co widział w domu Lockmana, zamknięty w ciemnej piwnicy Steele w ułamku sekundy wyobraził sobie źródło podejrzanego szmeru.

Szczury!

– Precz! – wrzasnął i puścił się biegiem na oślep. – Precz, zawszone bydlaki!

Wyobraźnia podsunęła mu obraz nieprzebranej masy pędzących gryzoni. Kiedy dźwięk

dobiegający z ciemności nasilił się, Steele był niemal pewien, że depcze mu po piętach całe stado szczurów.

Niewiele myśląc, w panice cisnął za siebie naręcze ciężkich segregatorów.

– Aaa! – ryknął ktoś nagle, a zaraz potem rozległ się donośny łomot.

– Co jest...?! – Richard przebiegł jeszcze dobrych dziesięć metrów, zanim dotarło doń, że ściga go człowiek.

Najpierw pomyślał, że warto się zatrzymać i sprawdzić, kto to taki. Zanim jednak zwolnił kroku, stanął mu przed oczami obraz cuchnących zwłok Lockmana. Jezu, co ja tu robię?! Uciekać!

Przyspieszył w głębokim mroku, raz za razem objając się o krawędzie półek.

Rozdział 10

Gnał na oślep. Dłonie szukające rozpaczliwie kontaktu z metalowymi krawędziami półek prowadziły go jak para przerażonych ptaków. Ostre narożniki regałów boleśnie raniły skórę. Zwolnił i wsunął palce między kartonowe grzbiety teczek. Sięgnął głębiej, szarpnął i zrzucił zawartość półki na podłogę. Usłyszał stękanie i szelest, jakby ktoś ślizgał się, próbując biec po mokrych liściach.

Przyspieszył, w pędzie strącając kolejne rzędy segregatorów. Odpowiedziały mu stłumione przekleństwa i szelest gniecionej kartonu. Za następnym regałem skręcił ostro w lewo. Podejrzewał, że jeśli dotrze do otwartej przestrzeni pośrodku sali, drzwi będą po prawej, a jedną z szerokich „alei” biegnących równoległe do frontowej ściany będzie mógł gnać jeszcze szybciej. Wiedział, że kiedy znajdzie się na korytarzu, bez trudu dostanie się do schodów.

Nie widząc absolutnie nic i nie słysząc żadnych dźwięków z zewnątrz, biegł na złamanie karku. Serce pompowało do mózgu czystą adrenalinę, a chrapliwy oddech i łomot pulsu były jedynymi odgłosami, jakie docierały do jego zatkniętych wysiłkiem uszu i rozbrzmiewały echem pod czaszką.

Wyobraził sobie, że ktoś strzela mu w plecy.

Rozpruwa brzuch.

A może coś gorszego?

W pełnym biegu zderzył się z pulpitem archiwisty. Cios, jakby mierzony wprost w splot słoneczny, zgiął go wpół, a siła rozpędu wyrzuciła w górę z efektownym saltem. Wyciśnięte z płuc powietrze zamieniło się w ryk bólu, kiedy szybował przez ciemność. Nawet dla zatkniętych uszu był to okrzyk mrozący krew w żyłach, ale Steele wątpił, by ten, kto go ściga, dał się nastraszyć. Wrzasnął po raz drugi, kiedy rąbnął plecami o podłogę i zakończył poślizg na ścianie biurka.

Z trudem zmuszając płuca do pracy, chwiejnie stanął i zatoczył się – jak mu się zdawało – w kierunku wyjścia. Spodziewał się, że lada chwila pochwycą go ręce napastnika, choć fakt, iż jeszcze do tego nie doszło, wskazywał, że zgubił tego dupka, skręciwszy nagle w lewo między regałami.

Z niemałym rozczarowaniem stwierdził, że nie widzi podświetlanego napisu „wyjście”. Wyteżył wzrok, szukając choćby najsłabszej poświaty emanującej ze szczeliny pod drzwiami.

Nic.

Może poszukać klamki po omacku?

Zabójca mógł jednak czekać przy wyjściu, przewidziawszy ten ruch. Dwa głośnie okrzyki z pewnością wystarczyły, by zdradzić mu pozycję uciekającego.

Zmuszając się do równego oddychania, Steele przykucnął. Chwytał powietrze ustami, by zachować absolutną ciszę.

Potrzebował strategii.

Na początek musiał odzyskać słuch.

Zacisnął palce na nosie i dmuchnął mocno. Uszy odetkały się wreszcie i natychmiast zalał je szum klimatyzacji.

Intruz był bezszelestny.

Muszę wrócić między regały, pomyślał Richard. Na tyle daleko, żeby po cichu wezwać pomoc przez telefon. Potem znowu zaczęły uciekać, i to jak najszybciej.

Wstał, pochylił się i ostrożnie oddalił od miejsca, w którym mogły się znajdować drzwi. Uszedł najwyżej dziesięć metrów, gdy uderzył głową w ścianę, której nie powinno tu być.

Szlag!

Natychmiast zrozumiał, że znowu pomylił drogę. Odnalazł po omacku stolik, zaraz potem następny i zorientował się, że zatrzymała go ścianka zamykająca przestrzeń roboczą.

Siedząc absolutnie nieruchomo, próbował wyłowić z ciemności jakikolwiek dźwięk, który wskazywałby, że napastnik się zbliża.

Nie usłyszał niczego – być może szum tłoczonego powietrza zagłuszał wszelkie odgłosy. Wiedział jednak, że przeciwnik gdzieś tam jest i nasłuchuje zapewne równie uważnie. Muszę się ruszać, pomyślał i zaczął się posuwać ostrożnie w stronę wylotu alejki między regałami. Skręcił w prawo i przyspieszył, by znaleźć się na skrzyżowaniu przejść. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że lada chwila usłyszy za sobą kroki.

Nikt jednak go nie śledził. Na wszelki wypadek skręcił w lewo i minął kilka rzędów regałów, nim ponownie odbił w prawo, wracając na poprzedni kurs: jak najdalej od drzwi i – miał nadzieję – od prześladowcy. Wreszcie zatrzymał się, uznawszy, że znalazł się wystarczająco daleko od wyjścia, by wezwać pomoc. Sięgnął do kieszeni.

Telefonu nie było.

Nie!

Obmacał ubranie w nadziei, że schował aparat gdzie indziej.

Bez rezultatu.

O Boże. Musiał wypaść, kiedy robiłem salto.

Znieruchomiał. Czy warto wracać i szukać telefonu?

Poczuł, że ogarnia go przeraźliwy chłód, jakby dotykały go czyjeś lodowate palce.

A jeśli nie zgubił aparatu w pobliżu kontuaru? Może wysunął się z kieszeni podczas biegu, gdzieś między regałami? Nie usłyszałby tego, mając zatkane uszy.

Przełknął ślinę i poczuł suchość w ustach.

Gdzie mógł być napastnik? Do tej pory na pewno już rozszyfrował poczynania ofiary, więc może najlepiej byłoby nie siedzieć w miejscu?

Steele wyobraził sobie, jak wpada w ciemności na mordercę, i poczuł, że nie ma siły uciekać. Stał więc i nadśluchiwał w przekonaniu, że przeciwnik robi to samo. Walka na przeczekanie, w zupełnej ciszy, pomyślał. Jak dwa okręty podwodne, z których każdy czeka na błąd wroga, by namierzyć jego pozycję. Tyle, że czas działał na korzyść mordercy. Zachowanie absolutnej ciszy przez długie godziny w nadziei, że ktoś przybędzie na pomoc, było po prostu niemożliwe. Jakiś dźwięk musiał go w końcu zdradzić, zwłaszcza z bliska. Może skrzypnięcie kości, może burczenie w brzuchu, a może kichnięcie wywołane łaskotaniem w nosie.

Tymczasem łowca nie musiał być bezszelestny – wystarczyła mu cierpliwość.

Stojąc nieruchomo w niewygodnej pozycji, Steele usłyszał nagle gdzieś z prawej ciche szurnięcie.

Zamarł.

Od strony wylotu alejki, w której się ukrywał, z odległości najwyżej trzech metrów dobiegło go po chwili charakterystyczne burczenie pustego żołądka.

Wstrzymał oddech.

Co robić?

Jeżeli się zbliży, spróbuję położyć go jednym ciosem, a potem, jeśli się uda, pobiegnę w kierunku drzwi.

Naprężył mięśnie i, oddychając wolno przez usta, wyprostował się z pięścią gotową do uderzenia.

Przeciwnik jednak wycofał się i chwilę później stłumiony odgłos jego kroków rozległ się kilka rzędów dalej.

Steele pozostał na miejscu jeszcze parę minut, pozwalając, by ledwie słyszalne odgłosy napastnika ucichły całkowicie. Nagle poczuł, że ma przewagę. Od drzwi nie oddzielała go już żadna przeszkoda. Mógł zakraść się do nich i po prostu wyjść... Ale nagle przysłała mu do głowy nowa myśl. A gdyby tak zaatakować?

Kathleen ocknęła się, poczuwszy, że ktoś manipuluje przy wężyku kroplówki. Gwałtownie otworzyła oczy, spodziewając się, że znowu ujrzy tego przekłętego sprzątacza. Zamiast niego zobaczyła jednak pielęgniarkę, która właśnie podłączała nową butelkę z płynem.

– Obudziła się pani, doktor Sullivan? – upewniła się kobieta.

Kathleen nie odpowiedziała mrugnięciem. Gdyby zaczęła teraz opowiadać o sprzątaczu, który próbował ją zabić, wstrzykując jej jakieś świństwo, bez wątpienia znowu zostałaby uszpanowana. Potrzebowała Richarda!

Poruszyła palcami, usiłując wskazać rurkę, która sterczała z jej szyi. Miała nadzieję, że pielęgniarka zrozumie, odłączy respirator i pomoże jej wymówić kilka słów.

Niespodziewanie poczuła, że odzyskała władzę w nadgarstku.

Spojrzała ze zdumieniem na własną dłoń, poruszając nią kilkakrotnie w górę i w dół. Był to ruch niezdamny, ale poczucie sukcesu dawał tak wielkie, jakby wyzwoliła się ze stalowych kajdan.

– O, jak ślicznie – odezwała się pielęgniarka, jakby miała przed sobą dziecko, któremu po raz pierwszy udało się potrząsnąć grzechotką.

Poczucie triumfu zniknęło nagle, zgaszone protekcyjnym tonem siostry. Nastrój Kathleen wahał się w podobny sposób od kilku dni – w tej chwili na myśl o własnej przyszłości ogarnęła ją rozpacz tak bezdenna i czarna, że przesłoniła resztę świata: łóżko, oddział, szpital. Poczuli się tak, jak gdyby unosiła się w ponurym kosmosie beznadziei.

Może o tym nie wiesz, idiotko, ale mam prawie czterdziestkę, dorosłą córkę i jestem genetykiem, chciała wykrzyknąć prosto w twarz wykrzywioną chłodnym, profesjonalnym uśmiechem. Masz pojęcie, jak to jest stracić tyle, ile ja straciłam? Zostać nagle skazanym na bycie dzieckiem? Nie wiem nawet, czy będę żyć, a wszystko, co widzę przed sobą, jest totalną beznadzieją – chyba że zdołam nauczyć się na nowo każdego ruchu, każdej czynności, każdej prostej sztuczki, którą wykonywałam bez trudu, odkąd skończyłam trzy lata. Czy ty w ogóle wyobrażasz sobie, jak się czuję, kiedy pomyślę, że nie mam żadnej gwarancji? Że być może nie odzyskam tego wszystkiego, choćbym nie wiem jak się starała? Raczej nie, bo gdybyś mnie rozumiała, zachowałabyś te swoje infantylne zachwyty dla smarkaczy ze żłobka.

Chciała to wszystko wykrzyknąć, ale doszła do wniosku, że zbyt wiele treści i uczucia umknęłoby w urywanych, trzy- i czterowyrzowych fragmentach.

Spróbowała unieść przedramię, ale nie udało się. Szybki test drugiej ręki wykazał, że nie

zmieniło się nic – nadal mogła tylko ruszać palcami, tak jak przed zaśnięciem. Dopiero gdy spróbowała przesunąć stopy, zauważyła, że może kiwać wszystkimi dziesięcioma palcami. Udało jej się podnieść kołdrę, choć lewa strona reagowała jakby słabiej niż prawa.

A zatem miała do dyspozycji żywą dłoń na końcu martwego ramienia i palce stóp, którymi mogła rozkopać pościel. Niewiele, ale dobre i to, pomyślała.

Zdolność poruszania nadgarstkiem pozwoliła jej przesunąć całą rękę i chwycić rurę wprowadzoną do tchawicy. Nie była w stanie odłączyć respiratora, ale przynajmniej kilkoma szarpnięciami sprawiła, że z twarzy pielęgniarzki zniknął drętwy uśmiech.

– O nie – odezwała się kobieta, odtrącając rękę Kathleen i spoglądając na nią karcąco. – To moja robota, nie pani.

Więc zrób to i pozwól mi przemówić!

Irytująca opiekunka miała jednak inne plany. Zająła się dokładnie wszystkim, ale nie tym, o co chodziło pacjentce: wyregulowała kroplówkę, sprawdziła monitory, zanotowała parametry życiowe, a nawet poprawiła poduszkę.

Niech to szlag! – piekliła się Kathleen.

Potrzebowała Richarda. Potrzebowała detektywa McKnighta i całego cholernego Departamentu Policji Nowego Jorku. Na pewno nie poprawiania poduszki.

Richard bezszelestnie oparł stopę na brzegu półki, wywindował się w górę i wyciągnął ręce w poszukiwaniu umocowanych pod sufitem rur. Gdy nie znalazł ich, zrozumiał, że musi wejść wyżej. Wystarczył kolejny krok, by palce napotkały splot metalowych otulin. Wybrał jedną z nich, grubą jak pień drzewa, objął ją ramionami i zarzucił nogi na szczyt regału. Naparł nań, by rozkołysać go po cichu, ale nie przewrócić. Teraz był gotowy.

– Kim jesteś? – zawołał. – Czego chcesz?

Odpowiedział mu jedynie szum zimnego powietrza w rurach. Nie był pewien, czy w tych warunkach usłyszy kroki przeciwnika.

– Pytałem, kim jesteś! Dlaczego mnie ścigasz?

A jeśli nie połknie przynęty? Jeśli jest ostrożny i po prostu będzie czekał? Richard wiedział, że nie może w nieskończoność wisieć pod sufitem. Postanowił bluffować.

– Halo, policja? Mówi doktor Richard Steele – powiedział głośno, starając się jak najwierniej odegrać rolę ogarniętej paniką niedoszłej ofiary mordu. – Dzwonię z telefonu komórkowego. Jakiś człowiek poluje na mnie w piwnicach szpitala miejskiego... Tak, jestem pewien... Niewykluczone, że to ten sam typ, który zamordował doktorów Tony'ego Hamlina i Matta Lockmana... Gdzie dokładnie? W archiwum kart pacjentów, w podziemiu...

– Bądź przeklęty! – wrzasnął piskliwy głos, a zaraz potem niedaleko rozległ się stłumiony miękka wykładzina szybki tupot nóg.

Jasna dupa, pomyślał Richard, zaskoczony tym wybuchem emocji. Naparł silniej na górną półkę ciężkiego regału z aktami. Zakołysał nim rytmicznie, starając się nie wychylić zbytnio środka ciężkości.

– Nie powstrzymasz mnie! – ryknął zabójca, wpadając w alejkę, nad którą zawisł ścigany.

Richard przechylił mebel w jego stronę.

– Pomszczę twoje zbrodnie przeciwko bożemu dziełu!

To jakiś świr, pomyślał lekarz, popychając regał jeszcze kilka razy, by wreszcie, jednym mocnym ruchem posłać metalową konstrukcję i całą jej zawartość wprost na rozpędzonego napastnika.

Łomot nie zagłuszył donośnego okrzyku bólu i wściekłości.

Na wszelki wypadek Richard spuścił jeszcze swoje dziewięćdziesiąt pięć kilogramów na przewrócony regał, zadając uwięzionemu ostateczny cios.

Zrobiło się cicho.

Zbyt cicho.

Chryste, czyżbym zabił tego czubka?

Czuł pod stopami wyraźną pochyłość przewróconej konstrukcji, najpewniej spowodowaną tym, że spoczęło pod nią ciało. Steele przesunął się na brzeg regału i przyklęknął, nadsłuchując. Spodziewał się usłyszeć oddech powalonego mężczyzny.

Przez moment panowała głęboka cisza. Potem dobiegło go ciche skrobanie.

Więc jednak żyje, pomyślał Richard. Pora spadać. Choć z drugiej strony... to, co wie ten człowiek, może uratować Kathleen.

– Cały jesteś?

Ruch pod stertą segregatorów trwał jeszcze chwilę, nim ustał.

Może facet jest ranny i nie może mówić?

Richard wstał, wsunął palce pod górną półkę i spróbował dźwignąć regał. Nie był w stanie. Możliwe, że ciężar wyparł powietrze z płuc zabójcy, pomyślał z niepokojem. Wyciągnął ręce na boki i stwierdził, że przynajmniej część mebla oparła się o półki sąsiedniego regału, nie cała jego masa zatem spoczywała na uwięzionym mężczyźnie.

Nie można było jednak wykluczyć, że uderzenie pozbawiło napastnika przytomności, że połknął własny język i teraz miał problemy z oddychaniem. Do diabła! Sądząc po odgłosach, facet mógł się już dusić.

Albo wystawiał się na przynętę.

Richard wahał się, myśląc o Kathleen. Wraz ze śmiercią tego osobnika być może przepadłaby szansa na ustalenie, co właściwie Hamlin zrobił z jej mózgiem.

Niech to szlag! Lepiej sprawdzę, co z nim, postanowił Steele. Instynkt wyrobiony na oddziale nagłych wypadków zwyciężył.

Położył się na brzuchu i wśliznął w ciasną przestrzeń pod regałem. Był szczupły, więc nie miał wielkich problemów ze znalezieniem drogi.

– Odpowiedz, jeśli jesteś w stanie. Możesz oddychać?

Cisza.

Wpełzł głębiej w absolutną ciemność. Co pół metra zatrzymywał się i nadsłuchiwał. Nie docierał tu nawet szum klimatyzacji.

Zanim usłyszał zabójcę, wyczuł jego zapach. Kwaśny odór potu mieszał się z wonią płynu po goleniu, mniej więcej tak subtelny jak odświeżacz do klozetu w wychodku na stacji benzynowej.

Richard wsunął się nieco głębiej i teraz dopiero usłyszał oddech. Był cichy i regularny. Wcale nie wymuszony.

Zbyt regularny jak na kogoś w rozpaczliwym położeniu.

Cofnął się instynktownie i w tej samej chwili pięść śmignęła tuż przed jego twarzą, a zaraz potem rozcapierzone palce omal nie chwyciły go za gardło.

– Psiakrew! – wrzasnął, pełnząc wstecz najszybciej jak potrafił.

Przeciwnik ruszył za nim, stękając i sapiąc z wysiłku. Zdzierając skórę z kolan i łokci, Steele poruszał się nogami do przodu w kierunku szczeliny, przez którą wszedł pod regał. Z początku czuł powiew rąk, które raz po raz próbowały go chwycić, i ciepło oddechu napastnika na własnych dłoniach. Przyspieszył i stwierdził, że dość łatwo udało mu się zwiększyć dystans.

Drań musi być tłustszy ode mnie, pomyślał.

Kilka sekund później był już w przejściu między regałami i pędził w stronę drzwi. Dyszał ciężko, a każdy oddech palił go w płucach. Potrzebował pomocy; był zbyt wyczerpany, by walczyć. Biegając, usłyszał jękliwy głos.

– Nie uciekniesz mi, bo ja jestem żołnierzem Legionu Pana!

O co mu chodzi z tym Bogiem?

– Kiedy wykonuję Jego dzieło, On stoi po mojej stronie!

Facet jest kompletnym świrem.

– Słuchaj mnie! Szeźniesz, bo jesteś wrogiem Jego planu! Jako niszczyciel Jego nasienia otrzymasz sprawiedliwą karę z rąk Wszechmogącego.

Jasny gwint, pomyślał Richard, przypominając sobie wszystkich psychicznie chorych, którzy trafiali na jego oddział. Ci, którzy wpadli w osobliwe religijne delirium, zachowywali się dokładnie tak samo. A jeśli ten, który go ściga, jest uciekinierem z psychiatryka i tak naprawdę nie ma nic wspólnego z morderstwami?

Przyspieszył kroku, coraz poważniej zastanawiając się, czy nie popełnia grubego błędu.

– Hej! – ryknął napastnik. – Stój!

Steele był już myślą w sali sądowej, oskarżony o napaść na pacjenta.

– Spokojnie! – zawołał. – Sprowadzę ludzi, którzy ci pomogą. – Sześciu sanitariuszy ze strzykawką haldolu powinno wystarczyć, dodał w myśli. Drzwi muszą być niedaleko.

Teraz dopiero usłyszał za sobą szybkie kroki. Chryste, ten sukinsyn znowu mnie goni! Jest gdzieś pośrodku sali, pomyślał i jeszcze szybciej pomknął w stronę wyjścia.

– Będziesz się smażył w piekle! – wrzasnął napastnik. Jasne.

Steele zderzył się ze ścianą i natychmiast zaczął się posuwać wzdłuż niej, szukając po omacku klamki, ościeżnicy – czegokolwiek. Miał nie więcej niż dziesięć sekund przewagi. Wreszcie trafił palcami na gałkę, szarpnął ją i nagle oślepiło go jaskrawe światło. Wybiegł na korytarz i pognął w kierunku schodów.

– Jesteście agentami diabła! – ryczał mężczyzna z ciemnej sali. – Gniew boży zniszczy was oboje!

Oboje? Zdaje się, że gość widzi podwójnie, pomyślał Richard. Zanim wbiegł na górę, obejrzał się raz jeszcze, mając nadzieję, że zobaczy twarz przeciwnika. Nikt jednak nie pojawił się w drzwiach.

– Gdzie pan teraz jest? – spytał McKnight.

– Przy głównym wejściu, razem z ochroniarzami.

– Mogą zablokować wszystkie wyjścia?

– Raczej nie. O tej porze mają tu tylko szkieletową załogę. Obstawili jedynie te drzwi i wyjście z oddziału nagłych wypadków.

– Kiedy wrócił pan do archiwum z sanitariuszami, faceta już nie było?

– Nie było.

– Więc gdzie się podział?

– Podejrzewamy, że wymknął się wyjściem ewakuacyjnym.

– A niech to! Może pan go opisać?

– Ma cuchnący oddech i używa fatalnej wody kolońskiej.

– To wszystko?

– Przecież go nie widziałem. Światła zgasły, a kiedy wydostałem się na korytarz, już się nie pokazał.

– Na żadnym oddziale nie brakuje psychicznie chorego pacjenta?

– Nie.

– Chryste Panie! Trzeba będzie przetrząsnąć cały pieprzony szpital, żeby się upewnić, czy gdzieś się nie przyczaił. Niech pan posłucha: jadę do was i po drodze skieruję w ten rejon kilka wozów patrolowych...

– Jest coś jeszcze. Jestem pewien, że ten facet ma coś wspólnego z tym, co Hamlin i Lockman zrobili Kathleen.

– Skąd ten pomysł?

– Stąd, że Kathleen właśnie opowiedziała mi o mężczyźnie w stroju sprzątacza, który kilka godzin temu próbował coś jej wstrzyknąć.

– Co?!

– Właśnie to tak ją wzburzyło.

– Jasna cholera! Nic jej się nie stało?

– Nic. Ten sam babsztyl, który ją uśpił, przez przypadek raz w życiu znalazł się o właściwej porze we właściwym miejscu i nieświadomie spłoszył intruza. Facet był o kilka sekund od uśmiercenia Kathleen.

– Zaraz, zaraz – wtrącił McKnight. – Skąd pewność, że ten sam typ ganiał pana po piwnicy? Przecież nie widział pan jego twarzy.

– Nie. Ale oboje poczuliśmy jego zapach.

godzina 5.07

– Zapnijcie pasy. Tej nocy czeka nas ostra jazda...

Jim Norris ocknął się w chwili, gdy głos Bette Davis zmieszał się z brzęczeniem dzwonka. Poderwał się z głębokiego fotela i poczłapał w stronę telefonu. Znalazł go w srebrzystej poświacie telewizora ustawionego permanentnie na kanał nadający klasyczne filmy. Ostatnio tylko w obecności Gary'ego, Humphreya i Clarka mógł zasnąć. Ich znajome głosy dobiegające z oddali uspokajały go tak, jakby byli starymi przyjaciółmi czuwającymi w sąsiednim pokoju.

Dzwonek nie ucichł, kiedy Jim podniósł słuchawkę. Co dziwniejsze, z telefonu dobiegał ciągły sygnał. Po chwili natarczywe pukanie zastąpiło brzęczenie, a towarzyszył mu kobiecy szept zdecydowanie nie należący do Bette Davis.

– Obudź się, Norris. Wiem, że tu jesteś.

Zarzucił szlafrok na szczupłe, ładnie wyrzeźbione, nagie ciało i mocno zawiązał pasek. Wyłączył pilotem telewizor i podszedł do drzwi.

– Francesca? – spytał.

– Wpuść mnie, Jimmy.

Norris wziął potężny haust powietrza i wstrzymał oddech.

– Jesteś sama?

– Oczywiście. Otwórz. Musimy pogadać.

– Tak jak gadałaś ostatnio z Laurelem i Hardym? – spytał drwiąco, mając na myśli żartobliwe przydomki, które swego czasu nadał wątłej Adele Blaine i korpulentnemu Paulowi Edwardsowi. – Sądziłem, że nie masz mi wiele do powiedzenia.

– Tamtymi gardzę.

– I dlatego pędzisz do nich za każdym razem, gdy cię wezwą?

– Opowiem ci o tym w środku, Jimmy. Proszę cię grzecznie.

– Raczej budzisz moich sąsiadów.

– Jimmy, przestańmy się wreszcie ranić. Możliwe, że znalazłam wyjście z tej sytuacji dla nas obojga.

Uchylił drzwi, nie zdejmując łańcucha. Smutna twarz, którą zobaczył, wydała mu się tak zapadnięta, że mogłaby się zmieścić nawet w tej wąskiej szparze. Ciemne kręgi pod oczami Franceski pasowały do jego.

Ech, co mi tam, pomyślał, wyjmując z uchwytu stalowy skobel. Cofnął się o krok i machnął ręką w stronę salonu.

– Zdaje się, że rozpacz lubi towarzystwo.

Francesca Downs weszła i stanęła w korytarzu, otulona płaszczem przeciwdeszczowym. Szarawe światło poranka wpadające przez okna nadało jej jasnym włosom i bladej twarzy barwę popiołu.

Jak wiele innych mieszkań górnego West Side'u, lokal Jima Norrisa składał się z wysokiego i obszernego salonu będącego zarazem jadalnią, dwóch małych sypialni ulokowanych niczym apostrofy z obu stron jeszcze mniejszej kuchni oraz z łazienki niewiele większej od szafy. Osiemnaście miesięcy wcześniej, kiedy zaczęli się spotykać, Francesca zmusiła Jima do uprawiania seksu dosłownie w każdym kącie, aby „sprawić, żeby to miejsce stało się ich miejscem”. Norris odnosił jednak wrażenie, że rytuał ten był bardziej egzorcyzmem obliczonym na zatarcie śladów wszystkich jego dotychczasowych kobiet. Nie, żeby miał coś przeciwko wypędzaniu duchów przeszłości. Przez lata jego niewymuszony wdzięk i surowa uroda zwabiły w te mury tabuny kobiet. Każda z nich wszakże rezygnowała szybko, gdy tylko stawało się jasne, że największą miłością Jima jest laboratorium. System ten pasował Norrisowi. Zawsze znalazła się nowa rezydentka, laborantka czy pielęgniarka chętna do sprawdzenia jego łóżkowej reputacji.

Zgodnie z jego przewidywaniami, Francesca była inna: mądra, twarda i – podobnie jak on – pełna zawodowej pasji.

Rozglądała się teraz z twarzą wykrzywioną bólem. Norris pomyślał, że inwentaryzuje wspólne chwile, jakby wspomnienia o tym, jak krzywdzili się nawzajem, raniły ją równie boleśnie jak jego. To był inny czas. Wtedy Jim był pewien, że w sześcioro dokonają przełomu w medycynie, że życie

spędzone w laboratorium wreszcie zaowocuje. Marzenia rozpadły się jednak w pył i taki też był ich suchy smak.

– Napijesz się kawy? – spytał, rozpaczliwie próbując przerwać niezręczne milczenie.

– Tak, chętnie.

Wyjął ekspres z szafki, w której zamknął go przed sześcioma miesiącami, gdy odeszła Francesca. Wsypując porcję kawy dla dwojga, wspominał, jak jeszcze przez kilka tygodni machinalnie zdejmował z półki dwa kubki i nagle uświadamiał sobie, że jest sam. To wtedy przestawił się na herbatę.

Wygląda tak bezbronnie, pomyślał, spoglądając przez otwarte drzwi i czekając, aż ekspres przestanie pomrukiwać i gulgotać. A przecież wiedział, ile siły leży pod tą kruchą powierzchnią ciała – poznał jej niszczycielską moc, kiedy Francesca postanowiła z nim zerwać. Przestańmy ranić się nawzajem? Śmiechu warte! Zbytnią wprawę osiągnęli w tym rzemiośle, aby przestać.

– Więc czego sobie życzysz? – spytał kilka minut później, stając metr za nią z dwoma kubkami na tacy.

Drgnęła, najwyraźniej nieobecna myślami, i wolno obróciła się w jego stronę. Dziwnie się czuł, tkwiąc przed nią w samym szlafroku.

– Właśnie – odparła. Siedziała na skraju kanapy, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie i pochylona, jakby lada chwila miała wstać i wyjść. Kiedy Jim postawił przed nią kubek, spojrzała mu prosto w oczy. – Lockman nie żyje. Został zamordowany. Wezwano mnie w nocy do nagłego przypadku i cały szpital już plotkował o tej sprawie.

Czeka na moją reakcję, pomyślał Norris. Ale ja jestem na to przygotowany.

– Wiem – rzekł. – Jedna z moich laborantek słuchała wiadomości. Zadzwoiła do mnie około północy.

– Doprawdy?

Pytanie zawisło w powietrzu, sugestywne jak striptiz.

– Doprawdy. – Jim usiadł w fotelu naprzeciwko Franceski i zacisnął dłonie na gorącym naczyniu. – Wiesz przecież, że moje dziewczyny lubią słuchać radia, żeby nie czuć się samotnie w otchłaniach szpitala.

– Więc pewnie słyszałeś też, że Sullivan przekonała Steele'a i detektywa z policji, żeby uwierzyli w jej opowieść o Hamlinie i Lockmanie?

– Tak.

– Cholera, Jimmy. Jak możesz tak po prostu siedzieć w domu? Laborantka nie powiedziała ci, co jeszcze mówi się o tym morderstwie? – Ton Franceski był ostry jak skalpel.

– Owszem. Podobno ktoś zadał sobie trud wykrojenia Mattowi serca.

Downs poczuła dreszcz i jakby głębiej schowała się w połach płaszcza, ale nie oderwała wzroku od oczu Norrisa.

– Zdziwiająco chłodno do tego podchodzisz.

– Czy właśnie po to tu przyszedłeś, Francesco? – spytał. – Żeby zobaczyć moją reakcję?

– Jimmy, proszę cię, nie zaczynaj.

– Chcesz wiedzieć, czy go zabiłem? I Hamlina?

– Tego nie powiedziałam.

– I czy wycięcie Mattowi serca miało być specjalną wiadomością dla ciebie?

– Proszę cię... Przerażasz mnie.

– A może sądzisz, że zleciłem komuś zabójstwo?

– Jimmy, posłuchaj mnie...

– Nie, Francesco, to ty posłuchaj, żebyś wiedziała, że znajdujemy się w identycznym położeniu, jeśli chodzi o to, kto ma powody do nieufności. To ty możesz najbardziej skorzystać na śmierci Hamlina i Lockmana. Co więcej, gdybyś zabiła też pozostałych, byłabyś wolna i bezpieczna. Mogłabyś opublikować swoją pracę, zdobyć sławę i zgarnąć fortunę. Oczywiście teraz, jeśli dokonałaś tych dwóch zabójstw, musisz grać podejrzliwą wobec mnie i całej reszty. Wyjęcie serca z piersi Lockmana to zaaranżowany sygnał ostrzegawczy dla ciebie. „Biedna Francesca! Może będzie następna”, mieliśmy pomyśleć, tym samym stawiając cię poza wszelkim podejrzeniem.

– To jakiś absurd...

– Doprawdy? – Tym razem w powietrzu zawisła insynuacja Norrisa.

Przez chwilę Francesca przyglądała mu się w milczeniu.

– Jimmy – odezwała się w końcu – boję się. – Wstała, podeszła do niego, wyjęła kubek z jego dłoni i odstawiła na ławę. – Chodź do mnie – dodała, ciągnąc go za ramiona. – Nie uważam, że ich zabiłeś. Zbyt dobrze cię znam. Jesteś marzycielem, nie mordercą. Sądzę, że to Adele albo Paul, a może i oboje. Próbują ratować własną skórę. Jej głos był miękki jak światło świtu.

– Nie igraj ze mną, Francesco...

– Wstań.

Norris podniósł się z fotela.

– A teraz obejmij mnie.

– Nie. Odchodząc, rozpieprzyłaś moje życie i...

Uciszyła go, przyciskając palec do jego ust.

– Wiem. Wiem. Nienawidziłam cię. Czulałam, że uwiodłeś mnie i poprowadziłeś moje życie i karierę wprost ku katastrofie. Ale od tego czasu tęskniłam za tobą tak bardzo, że nie mogłam już tego znieść. I masz rację: teraz, kiedy Hamlin i Lockman nie żyją, mogę publikować i wyjść cało z tej sprawy. Ale chcę, żebyś był przy mnie.

Jej szczerość działała uspokajająco.

– Przez wzgląd na moją pracę?

Delikatnie ujęła w dłonie jego brodatą twarz.

– Chcę czegoś więcej niż twojej pracy, Jimmy. Znacznie więcej.

– A co z Blaine i Edwardsem?

– Nie potrzebujemy ich. Zresztą nie ośmielą się mówić.

– Skąd ta pewność?

– Za bardzo się boją, Jimmy. Glin, nas i siebie nawzajem. Jakkolwiek by było, mają więcej do stracenia. To daje mi przewagę nad nimi.

– I nade mną. Dlaczego nie powinienem się ciebie bać?

– Już ci mówiłam. Dlatego, że próbowałam żyć bez ciebie i było mi źle. Dlatego, że znacznie więcej mogę osiągnąć, trzymając dziób na kłódkę i po prostu kontynuując pracę. Dlatego, że jesteś genialny i potrzebuję cię w laboratorium. To, co zamierzałeś osiągnąć, było szlachetne i piękne, Jimmy. I nadal jest. Moim zdaniem, jeszcze nie jest za późno, żeby doprowadzić sprawę do końca. Jesteś ze mną?

Z wahaniem pozwolił, by położyła jego dłonie na swojej talii, i nie opierał się, kiedy rozwiązywała pasek szlafroka. Gdy wsunęła palce pod miękki materiał i przycisnęła się do niego, zaciągnął się mocno zapachem jej włosów i poczuł, że żelazna bariera urazy, którą nosił w sobie sześć miesięcy, zaczyna słabnąć. Nie pamiętał już, kiedy oddychało mu się tak lekko. Równie oszałamiający jak pragnienie jej bliskości był fakt, że oto rysowała się perspektywa dokończenia tego, co zaczął – zerwania owoców dzieła, które dzięki niej świat mógł uznać za szlachetne. Nadzieja na ukrycie wszelkich związków z Hamlinem i Lockmanem przywróciła mu odwagę, odnowiła w nim wojownika, za którego zawsze się uważał. Oczywiście przy założeniu, że Blaine i Edwards będą milczeć. I że Francesca go nie zdradzi. Wątpliwości stłumiły na moment rosnące pożądanie.

Jedyną częścią deklaracji Franceski, w którą wierzył bez żadnych zastrzeżeń, było to, że w jej najlepszym interesie leży milczenie i kontynuowanie pracy. Tego, czy potrzebowała go tylko z powodu jego umiejętności, czy też, jak twierdziła, przez wzgląd na „coś więcej”, nie umiał odgadnąć. Nie potrafił także stwierdzić, czy rzeczywiście jest niewinna. Może podejrzewała, że zabójstwa są jego dziełem, lecz mimo to chciała mieć go z powrotem? Cokolwiek myślała, chyba odepchnęła wątpliwości co do jego osoby, a wizja udanego seksu, końca samotności i zostania naukowym autorytetem na skalę światową pozwoliły Norrisowi zignorować – przynajmniej na razie – wszelkie odwzajemniane lęki.

Tak przynajmniej mu się wydawało, kiedy ulegał nastrojowi chwili.

Ale kto kogo próbuje oszukać tym razem? – spytał cichy, wewnętrzny głos.

Zapewne oszukujemy się wzajemnie, pomyślał Jim, gotów uwierzyć absolutnie we wszystko, byle tylko szybciej zsunąć płaszcz przeciwdeszczowy, włożyć ręce pod bluzę stroju z sali operacyjnej, zdjąć ją przez uniesione ramiona i wreszcie uciec przed samotnością między piersi Franceski – nawet jeśli była to ucieczka ledwie na kilka godzin.

Rozdział 11

*ten sam poranek środy,
27 czerwca, godzina 6.47*

Richard przyglądał się pracy policyjnego portrecisty, który według wskazówek Kathleen dodawał ostatnie cienie na twarzy powstającej na ekranie laptopa.

– To on? – spytał McKnight.

Spojrzała na wizerunek gładko ogolonego mężczyzny o szerokiej twarzy, błękitnych oczach i bardzo krótkich włosach. Mógł mieć dwadzieścia parę, może nieco ponad trzydzieści lat. Richard, spoglądając na wyświetlacz ponad ramieniem leżącej, nie umiał bardziej precyzyjnie określić wieku mordercy.

Kathleen wzięła głęboki wdech i prawą dłonią zatkała rurkę sterzącą z tchawicy.

– Tak – powiedziała. Niedawno odkryła nową umiejętność: mogła nieznacznie poruszać głową w prawo. Zrobiła to właśnie teraz, żeby spojrzeć na detektywa, a potem znowu popatrzyła na autora portretu.

– Co pan na to, doktorze? Czy to gość, na którego wpadł pan, wychodząc z intensywnej terapii? – spytał McKnight.

– Możliwe, ale jak już mówiłem, nie zwróciłem na niego specjalnej uwagi. Przeszedłem obok tak szybko, że nawet nie poczułem tego paskudnego płynu po goleniu.

McKnight spojrzał na zegar ścienny. Była szósta pięćdziesiąt jeden.

– Poproś ludzi z nocnej zmiany, by rzucili na to okiem, zanim rozejdą się o siódmej – polecił, zwracając się do młodego policjanta, który właśnie przegrywał na dyskiecie swoje dzieło.

– Tak jest – odparł funkcjonariusz, schował komputer do torby na ramię i odszedł w stronę stanowiska pielęgniarek. Po chwili otoczyły go kobiety co najmniej tak samo zainteresowane nim jak portretem jego autorstwa. Zwłaszcza ulubienica Richarda, o kolczastej fryzurze i niebieskich oczach, sprawiała wrażenie zafascynowanej policjantem. Steele zastanawiał się nawet, czy nie skończy się to rysowaniem jej portretu w znacznie bardziej intymnych okolicznościach.

– Uważaj, chłopcze, na jej ostre zęby – mruknął pod nosem.

– ... możliwie największa liczba świadków pozwala uzyskać maksymalne podobieństwo portretu – tłumaczył detektyw Kathleen. – Kopie roześlemy pocztą elektroniczną do wszystkich oddziałów szpitala i do mediów. Może ktoś rozpozna drania. Sprawdzimy też wózek sprzątacza i całą tę klitkę, a także teczki i półki, które doktor Steele zrzucił na niego w podziemiach. Zobaczymy, czy we wszystkich trzech miejscach znajdują się te same odciski palców. Choć z drugiej strony, to są miejsca publiczne i...

– Miał... lateksowe rękawiczki... kiedy tu był – przerwała mu Kathleen.

– I nie byłbym zdziwiony, gdyby pozostał w nich cały czas – zgodził się McKnight. – Dlatego sądzę, że bardziej pomoże nam portret pamięciowy. Oraz fakt, że motyw wydaje się zupełnie oczywisty.

Richard poczuł się nieswojo.

– Wie pan, sądząc po wrzaskach na temat „sprawiedliwej kary z rąk Wszechmogącego” i

załatwienia mnie jako „agenta diabła”, racjonalne działanie może nie być najmocniejszą stroną tego gościa.

– O czym pan mówi? To jasne, że próbował zabić doktor Sullivan, zanim zdoła przekonać otoczenie, że Hamlin i Lockman zrobili z nią coś dziwnego. Najwyraźniej nie wiedział, że zdążyła powiedzieć o tym panu i mnie. Facet zaczął się na pana, bo prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że grzebiąc w archiwach, zdoła pan ustalić, na czym polegał sekret Hamlina i jego „martwych w chwili przybycia”.

– Zatem wszystkie te gadki o Jezusie i mozolne krojenie Lockmana, nie mówiąc już o pozostawianiu witek na miejscu zbrodni, to tylko fałszywe tropy, które mają przekonać policję, że ma do czynienia z szaleńcem?

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że człowiek, który mnie gonił, nie kierował się raczej zimną logiką.

– Nie sugerujesz... chyba... Richardzie... że ten psychol... wybrał akurat... ciebie i mnie... zupełnie przypadkowo?

– Jasne, że nie.

– To dobrze... bo łączenie... ataków na nas... z zamordowaniem... Hamlina i Lockmana... jest jedynym... rozwiązaniem... które ma sens... jakkolwiek chory.

– Nie może być inaczej – dorzucił McKnight. – W tym szaleństwie jest metoda.

Spojrzenie Kathleen przeniosło się z Richarda na detektywa tak lekko, jakby zmieniała partnerów w tańcu.

– Właśnie... chodzi o czas. – Jej twarz, do tej pory nieruchoma jak pośmiertna maska, ożyła na moment: nieznacznie drgnęły kąciaki ust. – Zwłaszcza... jeśli wziąć pod uwagę... co by osiągnął... gdyby zabił mnie... tej nocy... zanim powiedziałabym... wam czy komuś innemu... o Hamlinie... i Lockmanie.

McKnight pokiwał głową entuzjastycznie.

– Otóż to!

– Gdyby zdołał... posłać mój sekret... ze mną do grobu... policja... poprowadziłaby śledztwo... w sprawie zamordowania... Hamlina i Lockmana... w zupełnie inny sposób.

Detektyw uśmiechnął się do Kathleen promiennie.

– Właśnie tak rozumię. Nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że ci dwaj prowadzili razem jakąś nieczystą grę. Nie mielibyśmy też powodu podejrzewać, że zostali po prostu uciszeni. Najprawdopodobniej uznalibyśmy, że jakiś psychopata morduje lekarzy tego szpitala z trudnej do wyobrażenia przyczyny, związanej być może z tymi wtkami, które po sobie zostawia. Dokładnie tak, jak zasugerował doktor Steele.

– Byłaby to... idealna... przykrywka.

– To prawda – przytaknął McKnight, potrząsając głową na myśl o problemach, których zdołał uniknąć.

– A wszystko to... się nie powiodło... bo cudem zdołałam... przekonać Richarda... żeby pana sprowadził... detektywie McKnight.

Steele nie był pewien, czy zobaczył coś w rodzaju rumieńca na czarnych policzkach policjanta, ale nie wątpił, że wymiana myśli między Kathleen a McKnightem wprawiła oboje w zachwyty.

– I co pan na to, doktorze? – spytał detektyw, obracając się ku niemu z owym głupawym

uśmiechem, który pojawia się na twarzy mężczyzny, kiedy piękna kobieta w pełni zgadza się z jego poglądami. – Nie sądzi pan, że to wystarczający motyw?

Richard miał ochotę powiedzieć, że miłość jego życia właśnie flirtuje z policjantem. To mogło oznaczać tylko jedno: w głowie Kathleen pojawił się pomysł, o którym z góry wiedziała, że nie zyska aprobaty Steele'a, i zamierzała zrealizować go za pomocą McKnighta.

– Sam nie wiem. Im dłużej myślę o tym, co słyszałem tam, na dole, tym bardziej wydaje mi się to... – Urwał, szukając właściwego określenia.

– Niedorzeczne? – podpowiedziała Kathleen. Kąciki jej ust znowu drgnęły, sugerując uśmiech.

– A jak inaczej... facet miałby... przekonać cię... że jest wariatem?... O to... właśnie chodziło.

– Nic dodać, nic ująć – stwierdził McKnight, szczerząc zęby do Kathleen.

– Dziękuję.

Może jeszcze zatrzepoczesz mu rękami, rzekł w duchu Richard, usilnie próbując rozszyfrować jej plan. Sekundę później Kathleen zatrzepotała rękami. Jezu kochany, pomyślał, uśmiechając się mimo woli.

– Może tak przestaniecie gratulować sobie nawzajem i wyjaśnicie mi, po co gość miałby udawać czubka, skoro i tak zamierzał mnie załatwić?

– Kto wie? Może jest wyznawcą metody Stanisławskiego i cały czas pozostaje w roli? – odparł drwiąco McKnight. – A swoją drogą, doktorze, jak pan sądzi, co mogło być w tej strzykawce? Jeżeli plan miał się powieść, śmierć doktor Sullivan musiała wyglądać na naturalną, aby nie istniało żadne ogniwo łączące ją z poprzednimi morderstwami...

Detektyw mówił dalej, a Richard nie spuszczał Kathleen z oka, zastanawiając się, czy nie powinna odpocząć; była odłączona od respiratora dłużej niż kiedykolwiek. Jednak jej policzki nie były sine z niedotlenienia, lecz raczej zaróżowione. Czegoś takiego nie widział od dwóch tygodni. Wydawało się to dziwaczne, ale intelektualna gra z McKnightem, której celem było rozszyfrowanie niedoszłego mordercy, jakby tchnęła w nią więcej życia. Może myśl o rychłym uwięzieniu napastnika przywracała jej choć odrobinę poczucia kontroli nad własnym losem?

– ... i musiałyby to być coś, czego nikt by nie zidentyfikował.

– Chlorek potasowy – odparł Richard, który już dawno przeanalizował tę kwestię. – Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać? – dodał, ściskając dłoń Kathleen. – Ja sam umieram ze strachu, kiedy pomyślę, jak niewiele brakowało.

– Tylko nie sądz... że sama... na to nie wpadłam.

– W porządku. – Steele wbił wzrok w McKnighta, bo patrząc w oczy Kathleen i rozprawiając o jej śmierci, czułby się cokolwiek nieswojo. – Dawka wprowadzona z kroplówką byłaby rozsądnym wyborem. Podłączenie i opróżnienie strzykawki zajęłoby kilka sekund. Mógłby to zrobić, udając, że sprząta przy łóżku. Serce przestałoby pracować po minucie. W tym czasie morderca zdążyłby wyjść z oddziału i nikt nawet by nie pamiętał, że go tam widziano. Atak serca wywołany hiperkaliemią byłby trudny do opanowania...

Richard miał wrażenie, że jego głos oddala się, jakby to ktoś inny opowiadał o niewesołym losie bliżej nieznaney kobiety. Przed oczami miał jednak obraz Kathleen: blado-sinej jak śmierć, otoczonej przez obcych ludzi uciskających jej klatkę piersiową i wbijających igły w ciało, które unosi się gwałtownie i opada bezwładnie po każdym wyładowaniu defibrylatora. Kathleen patrzącej wprost na niego jeszcze żywymi oczami.

– Zauważono by wysoki poziom potasu – ciągnął spokojnie, wyobrażając sobie, że przemawia do swoich rezydentów – lecz zaraz znalazłoby się co najmniej kilka wyjaśnień, od nagłej niewydolności nerek po błąd w sztuce pielęgniarstwa. Oczywiście żadne z nich nie byłoby satysfakcjonujące, ale nie byłoby też powodu dopatrywać się w sprawie znamion celowego działania. Wszystko to, rzecz jasna, przy waszym założeniu, że zabójca osiągnąłby cel, zanim Kathleen wyjaśniłaby komukolwiek motyw, który mu przyświecał.

– Gdyby nie łut szczęścia – mruknął McKnight.

– Czuję się tak... jakbym właśnie wzięła udział... we własnej sekcji – odezwała się Kathleen.

Richard ponownie uściskał jej dłoń i pocałował za uchem.

– Wiesz, że zaczynasz się uśmiechać? – szepnął.

Spojrzała na niego radośnie.

– Tak mi się zdawało... Czuję coś... I popatrz na to – dodała, poruszając palcami stóp tak żwawo, jakby myszy założyły gniazdo pod jej kołdrą.

Richard roześmiał się z zadowoleniem.

– Od kiedy?

– Udało się nocą... A jak długo... oddycham dziś... bez respiratora? – spytała.

Jej szept był pełen nie skrywanej dumy.

– Ponad półtorej godziny – odparł Steele, zerkając na wskaźnik nasycenia tlenem. Nie wierzył własnym oczom. – Dziewięćdziesiąt pięć procent?

– Co to oznacza? – chciał wiedzieć McKnight.

– Nasycenie jest prawie normalne.

– I nie czuję się... zmęczona.

– To niesamowite, Kathleen. To po prostu... cudowne. – Richard był zachwycony tym oszałamiającym postępem, dopóki nie przypomniał sobie własnych słów. „Coś, co początkowo znacząco poprawiało stan pacjentów, a następnie sprowadzało na nich śmierć”.

– Przepraszam, ale chciałbym zadać panu jeszcze kilka pytań, zanim zostawię was samych – wtrącił McKnight, wyraźnie zażenowany tą intymną wymianą zdań. – Chodzi o karty Hamlina. Nie powiedział pan, co w nich było. Jakież konkrety?

– Nie – skłamał Steele. Nie zamierzał opowiadać o nieboszczykach, ponownych krwotokach i całej reszcie problemów, które mogły zwalić się na głowę Kathleen, nawet gdyby jej stan zdecydowanie się poprawił. Zapewne i bez tego była wystarczająco przerażona. Kiedy czekali na McKnighta, wspominał jej tylko, że pacjenci Hamlina byli kierowani do instytutu rehabilitacji Adele Blaine. Zasugerował też, że nie warto na razie wspominać o możliwym udziale Blaine w sprawie, ponieważ nasłanie na nią detektywa mogło skłonić ją do przyjęcia defensywnej postawy, a wtedy nie miałby szans namówić jej na udostępnienie kart pacjentów.

McKnight jednak nie należał do ludzi, których łatwo zbyć.

– Absolutnie nic? – spytał, unosząc sceptycznie brwi.

Steele natychmiast poczuł się winny.

– Facet przerwał mi, zanim do czegoś doszedłem – powiedział, mając nadzieję, że to zniechęci detektywa. Postanowił, że wtajemniczy go w szczegóły – przynajmniej te, które nie dotyczyły Adele Blaine – później, nie przy Kathleen.

McKnight spojrzał na niego z jeszcze większym niedowierzaniem.

– Naprawdę?

– Nawet o martwych... w chwili przybycia? – dorzuciła Kathleen. – Hamlin wydawał się... pewny, że... załapiesz, o co chodzi... jeśli tylko... przyjrzyj się... ich danym.

– Właśnie, doktorze – naciskał detektyw. – Facet, który pana zaatakował, musiał być pewny, że rozszyfruje pan sprawę, i to bardzo szybko. Czy gdyby było inaczej, zrezygnowałby z ataku na doktor Sullivan?

– Zaatakował mnie, bo psuję dzieło boże.

Brwi McKnighta uniosły się jeszcze wyżej. Nie lubił takiego wymądrzania się.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Policyjny instynkt McKnighta pracował na najwyższych obrotach. Fakt, że z jakiegoś powodu nie może usłyszeć prawdy, działał gliniarzowi na nerwy, ale Richard nie zamierzał niepokoić Kathleen.

– To samo co przedtem. Moim zdaniem on nie udawał czubka. Spotkałem na swoim oddziale wystarczająco wielu maniaków religijnych, żeby nie mieć wątpliwości – odparł agresywnie. – I zdecydowanie nie podoba mi się pańska koncepcja, że morderca udaje wariata. Może wierzy pan, że to, co usłyszałem, było tylko na pokaz, ale dla mnie brzmiało to bardzo, bardzo prawdziwie.

– Co pan sugeruje? Że gość jest autentycznie chory, że atak na pana nie był częścią skomplikowanego planu-przykrywki i że nie ma związku z morderstwami...

– Nie, to nie tak – przerwał mu Richard. Był zdumiony tym, jak absurdalnie toczy się ta rozmowa. Przecież chciał tylko, żeby McKnight darował sobie chwilowo temat zarchiwizowanych kart pacjentów! – Oczywiście zgadzam się, że powinienem dokończyć szperanie w papierach. Rozumiem, że pańscy ludzie wkrótce skończą pracę w piwnicy?

– Powiem im, żeby pana wpuścili, nawet jeśli nie będą gotowi.

– Świetnie. Coś jeszcze?

– Tak. Podejrzewa pan może, kim mogą być ci „pozostali”, o których wspomniał Lockman?

Richard pomyślał natychmiast o Francesce Downs, Paulu Edwardsie i Adele Blaine, ale milczał uparcie. Miał wrażenie, że atmosfera gęstnieje.

– Przepraszam... panowie – odezwała się Kathleen. – Detektywie McKnight... jestem pewna... że Richard otwarcie... unika rozmowy o czymś... co jego zdaniem... mogłoby mnie... przerazić.

– Niczego nie unikam – zaprotestował Steele.

McKnight wbił w niego surowe spojrzenie gliniarza, ale nic nie powiedział.

– Richardzie, powiedz mu... Nic, co usłyszę... nie będzie gorsze od tego... co już sobie... wyobraziłam.

Richard wyrwał się spod hipnotyzującego spojrzenia detektywa i popatrzył na Kathleen. Obserwując jej bohaterские próby przywołania na twarz uśmiechu, wiedział, że racja jest po jej stronie. Przed niczym już nie mógł jej ochronić.

– W porządku – rzekł cicho, gładząc jej policzek. A potem opowiedział McKnightowi o wszystkim, czego Kathleen nie miała usłyszeć. Kiedy skończył, uparła się, żeby wtajemniczył też policjanta w plan dyskretnego dotarcia do kart pacjentów instytutu Blaine.

– Jeżeli jest winna, raczej nie pozwoli panu zaglądać do papierów – stwierdził po chwili detektyw. – Ale jestem pewien, że wymyślimy jakiś sposób.

– Ja już wymyśliłam – powiedziała Kathleen.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią bez słowa.

– Wyślecie mnie tam... jako pacjentkę.

– Roi się tu od gliniarzy – powiedział Paul Edwards do słuchawki prywatnego telefonu w swoim gabinecie, kilka pięter wyżej. Jego głos był piskliwy, jakby ktoś trzymał go za gardło. – Nie jestem pewien, gdzie Francesca Downs trzyma swoje protokoły i wyniki testów, ale moim zdaniem nie czas teraz szperać w jej biurze.

– Może lepiej wyciągnąć dane z jej twardego dysku?

– Próbowałem. Za dużo haseł.

– Policja już ją podejrzewa?

– Chyba nie.

– A co z badaniami Hamlina? Czy prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa nie natkną się na jego zapiski?

– Nie. Dzięki Bogu trzymał wszystko u Adele Blaine. Dane będą bezpieczne, dopóki nikt nie zacznie węszyć w centrum rehabilitacji.

– A ty będziesz miał do nich dostęp?

– Mam nadzieję, chociaż ostatnio nie jesteśmy już najlepszymi kumplami, a jeśli chodzi o komputery, Adele Blaine jest jeszcze większym geniuszem niż Francesca.

– Co z pracą Norrisa? Bez niej nie będzie transakcji.

– Jestem pewien, że znajdę wyniki w jego laboratorium, ale potrzebuję czasu.

– Nie masz czasu, przyjacielu. Moi mocodawcy chcą mieć materiał natychmiast, póki jest ściśle tajny. Przypominam ci, że cena, o której rozmawialiśmy, obowiązywać będzie tylko wtedy, jeśli zyskamy co najmniej dwuletnią przewagę nad resztą świata. To oznacza, że musisz zagwarantować nam milczenie kolegów. Jeżeli którekolwiek z was ujawni sprawę lub jeśli śledztwo będzie postępować zbyt żwawo i rzecz trafi do wieczornych wiadomości, umowa zostanie anulowana. Rozumiesz, że nikt nie zapłaci ci czterech milionów za coś, co za parę tygodni będzie dostępne w Internecie.

– Nie martw się, zajmę się wszystkim – odparł Edwards. Starał się mówić pewnie, ale czuł się dokładnie odwrotnie. Zerknął w ozdobne lustro, pasujące zdobieniami do krzeseł w stylu Ludwika XIV, które zapraszały w kącie gabinetu. Ujrzał twarz człowieka, który nie potrafi nawet dojść do toalety, nie mocząc sobie spodni, i nagle poczuł ulgę, że rozmówca nie może go zobaczyć.

Kiedy konwersacja dobiegła końca, spojrzął na tacę z croissantami, którą przyniosła sekretarka. Odsunął ją na bok. Jego żołądek był wielkim, spuchniętym workiem kwasu.

Igła porannego światła przebiła się przez okno w dalekim końcu wąskiego pokoju i przygwoździła go do ściany. Nie próbował uciekać przed bólem; wiedział, że nań zasłużył. Niech ruch niebios zadecyduje, czy kara jest już wystarczająca, pomyślał, po raz tysięczny szukając przyczyny porażki.

Był tak pewny siebie, kiedy zjawił się Steele! Nie wątpił, że oto nastąpiła boska interwencja, której celem była zmiana planu misji. Wierzył, że rozprawi się z parą agentów szatana, że ciśnie ich na powrót do piekła, w którym było ich miejsce. Ależ byłaby to noc dla Legionu Pana!

A jednak to diabeł zatriumfował.

To dlatego, że zgrzeszyłem nieposłuszeństwem. Nie wykonałem rozkazu.

Zaledwie godzinę wcześniej wpełzł po schodach do swej kryjówki, zamknął drzwi i padł na podłogę. Wysoki strop przypominał mu teraz wieko trumny. Skóra, lepka od potu po długiej ucieczce przez miasto, wydzielala kwaśny odór, którego się brzydził. Woń ta mieszała się ze smrodem tutejszego powietrza, a zwłaszcza fetorem uryny bijącym z drewnianych desek – który nie ustępował mimo niezliczonych prób doszorowania podłogi – i zapachem kapusty wypełniającym cały budynek.

– Wybacz mi, o Panie, że cię zawiodłem – szepnął po raz kolejny, szukając w tych słowach pocieszenia, które dawał mu katechizm. Nie znalazł.

Wstał i zaczął spacerować, mijając trójkątny blat wciśnięty w kąt pokoju tuż obok poczerńiałego zlewu. To była jego kuchnia, wyposażona w toster i zestaw talerzy dla jednej osoby. Na półce poniżej stały rondle i dzbanek do kawy. Na samą myśl o jedzeniu mężczyzna usłyszał basowe burczenie w brzuchu.

Po kilku nawrotach położył się na materacu okrytym pościelą poszarzałą od wielokrotnego prania i poplamioną bożym nasieniem, które uronił w chwilach słabości. Zapach mydła nie usuwał już ostrego odoru amoniaku, który uparcie trzymał się wytartej pościeli, nieustannie podsycając w lokatorze uczucie wstydu z powodu własnej słabości. Niekiedy, w szczególnie wilgotne dni, odór wydawał się nawet silniejszy od woni moczu i kiszzonej kapusty.

Spojrzał na zegarek, przewrócił się na bok i włączył mały telewizor z wbudowanym wideo, stojący na jednym z nielicznych krzeseł. Chciał wiedzieć, czy próby uśmiercenia Sullivan i Steele'a stały się już sensacją lokalnych wiadomości. Wybrał program *Good Day NY*.

Przeczekał doniesienia o mordujących się nawzajem Żydach i Arabach, reklamę szamponu oraz materiał o postępach w rozmowach burmistrza ze związkami. I wreszcie usłyszał.

„Mamy nowe informacje ze szpitala miejskiego dotyczące zabójstwa kolejnego lekarza, tym razem radiologa Matta Lockmana, którego zwłoki znaleziono w jego domu tej nocy. Według anonimowych źródeł, ciało zamordowanego było poważnie okaleczone. Policja odmawia komentarzy na temat ewentualnego związku tej sprawy z zastrzeleniem poprzedniej nocy neurologa z tego samego szpitala, doktora Tony'ego Hamlina. Od pielęgniarek, które wolą zachować anonimowość, dowiedzieliśmy się, że Lockman i Hamlin mogli być współnikami w nielegalnych zabiegach wykonywanych na pacjentach szpitala. Jeszcze bardziej intrygujące są pogłoski o zamachu na jedną z ich pacjentek, do którego miało jakoby dojść o północy. Domniemany zabójca zaatakował też ponoć lekarza pracującego nocą w archiwum, a ściślej przeglądającego karty choroby osób leczonych przez Hamlina i Lockmana. I tych opowieści nie potwierdzili nam funkcjonariusze policji. Władze jednak poszukują człowieka, który może być zamieszany w wydarzenia ostatniej nocy. Każdy, kto może pomóc w ustaleniu miejsca jego pobytu, proszony jest...”

Wpatrywał się z niedowierzaniem w portret na ekranie.

W pierwszej chwili próbował wmówić sobie, że wcale nie jest podobny.

Zaraz potem jednak wściekłość zastąpiła fałszywą nadzieję. To ta suka Sullivan musiała opisać go policji.

Trzeba będzie zabrać kilka przedmiotów i ukryć się.

Odwrócił się w stronę najcenniejszej rzeczy, jaką posiadał: komputera z drukarką stojącego na melaminowym biurku pod oknem. Monitor, za którym widział w dole ulicę pełną sklepów z krzykliwymi, tandetnymi towarami, był jego oknem na świat i nie mogło się z nim równać żadne ziemskie dobro, nie wyłączając prostytutek. Był jak beżowy ołtarz światła między ponurymi ścianami i pociemniałą ze starości drewnianą podłogą. Był jego centrum wywiadowczym, ogniwem łączącym go z rodziną, którą sobie wybrał – z ludźmi poświęcającymi życie misji powstrzymania rzezi. Był też miejscem, w którym mógł znaleźć wszystko, czego potrzebował do walki o sprawę.

A tego ranka potrzebował schronienia.

Poprzez sieć w ciągu kilku minut zawiadomił przyjaciół o swoim położeniu. Choć w tej organizacji nie było hierarchii, dowództwa czy list członków – dzięki czemu niełatwo było namierzyć ich i pokonać – towarzysze broni potrafili się zmobilizować w jednej chwili. Za niespełną godzinę ktoś miał się zjawić u jego drzwi z odpowiednim środkiem transportu.

Szybko odszukał śrubokręt, odsunął materac i zabrał się do odkręcania wkrętów. Po chwili uniosł sześć metrowych desek i zobaczył ukrytą w podłodze broń.

Cuchnący powiew oraz stado much uniosły się z małego płóciennego zawiniątka schowanego nieco głębiej. Kiedy je wydobyl, coś poruszyło się w środku: owady kłębiły się z taką złością, że wyczuwał wibrację ich skrzydeł przez cienki materiał. Wyjął też karabinek M4, z którego zastrzelił Hamlina. Kupił go przed wielu laty, w sklepie myśliwskim na północ od Buffalo w hrabstwie Niagara. Teraz przysła kolej na najcenniejszy depozyt: parę pistoletów Walther PPK stanowiących niegdyś dwie trzecie kompletu. Kiedy uciekał przez okno na tyłach motelu w Rochester, ojciec rzucił mu je, zostawiając sobie trzeci, by powstrzymać szturm policji. Ból tamtego dnia utwardził bożego wojownika tak, jak blizna utwardza skórę, i wykorzenił w nim wszelkie delikatne uczucia. Lecz za każdym razem, gdy zaciskał dłonie na tej broni, czuł się tak, jakby mężczyzna, który dzierżył ją na kilka minut przed bohaterką śmiercią, znowu trzymał go za rękę.

Sięgnął jeszcze głębiej, po amunicję, kolekcję młotków oraz specjalność organizacji: rurki wyładowane gwoździami i plastikiem. Każda z tych bomb zaopatrzona była w zapalnik czasowy lub radiowy – ten ostatni zbudowany domowym sposobem z urządzeń do zdalnego otwierania zamków samochodowych, działających nawet z pięćdziesięciu metrów. Fiolki z lekarstwami, które podkradał przez lata, włożył między skarpetki leżące w pudełku, aby zabezpieczyć je przed rozbiciem podczas przeprowadzki. Wreszcie wyjął ze schowka ulotki, których nie odważyli się zamieścić na swoich stronach internetowych, oraz materiały szkoleniowe dla rekrutów Legionu Pana, w tym instrukcję budowania bomb z dynamitu, plastiku lub saletry amonowej.

Zamierzał zabrać to wszystko, a także komputer z osprzętem, do nowej kryjówki przygotowanej przez towarzyszy. Jeżeli miał dokończyć zadanie, musiał atakować błyskawicznie, raz za razem i zrezygnować z narzuconego porządku działania, gdyż pozostanie przy nim oznaczało dodatkowe ryzyko. Nie mógł już pozwolić sobie na czekanie na cały ciąg sprzyjających okoliczności. Teraz musiał eliminować cele pojedynczo, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Aresztowanie wydawało mu się tylko kwestią czasu, skoro jego podobizna pojawiła się w telewizji, a najprawdopodobniej także w gazetach.

Im dłużej o tym wszystkim myślał, tym bardziej obawiał się, że nie wypełni swej misji do końca. Próbował się pocieszać, że nie toczy wojny z policją czy inną ziemską siłą. Żywy lub

martwy – jego los był w ręku Boga, a przeciwnikiem w tej walce był szatan.

Przebrał się w sportową bluzę z kapturem, spakował resztę rzeczy i włożył do ust kilka tabletek paracetamolu, żeby uśmierzyć ból mięśni po nocnym wysiłku. Opróżniając kieszenie stroju sprzątacza, znalazł dokumenty z archiwum. Wpatrując się w nie, rozmyślał, jak mógłby je wykorzystać, by naprawić to, co sknocił.

Ponownie usiadł przed klawiaturą. Tym razem wezwał na pomoc tych członków siatki, którzy mogli dostarczyć mu akcesoriów niezbędnych do dokończenia misji. Poprosił o maczetę, luźną kurtkę z pochwą na tę broń wszytą w podszewkę, rower, teatralny zestaw charakteryzatorski z kompletem doklepanych bród oraz kilka peruk.

Był gotowy. Podczas szkolenia przekonał się, że może funkcjonować siedemdziesiąt dwie godziny bez snu. Miał nadzieję, że jeśli dopisze mu szczęście, w nie dłuższym czasie wykona zadanie na chwałę bożą. Wiedział jednak, że bez względu na to, jak długo miałyby potrwać ta misja, nie wycofa się. Zdecydowanie nie.

Czekając na przyjazd przyjaciół, wyjął z portfela wyblakłe zdjęcie. Na pogiętym i wytartym papierze widać było jasnowłosego mężczyznę i chłopca z blond czupryną stojących przed namiotem na brzegu jeziora. Obaj trzymali na żyłkach ryby, prezentując je autorowi zdjęcia. Twarz chłopca promieniała szczęściem. Rysy mężczyzny sprawiały natomiast wrażenie drewnianych, wykrzywiona uśmiechem twarz miała barwę wosku, a z oczu ziała głęboka pustka.

Rozdział 12

ten sam poranek
środa, 27 czerwca, godzina 9.35
oddział kardiologiczny szpitala miejskiego w Nowym Jorku

Otaczały go monitory. W jego tętnice i żyły wpełzły cewniki podobne do korzeni chwastów. Każde uderzenie serca, każdy oddech i zmiana ciśnienia zamieniane były na strumień cyfrowych sygnałów, zbiory punktów na zielonych, fluorescencyjnych ekranach oraz nie kończące się piski głośników.

Francesca Downs wkroczyła do pokoju pacjenta w rozwianym białym kitlu. Tuż za nią wszedł Jim Norris.

– Poznaj pana Ralpha Coady’ego – powiedziała Downs.

– Cześć. – Norris wyciągnął rękę na powitanie.

Coady, oparty o wysokie poduszki, skierował ku niemu ziemistą twarz i spojrzał na wyciągniętą dłoń, jakby spodziewał się ciosu.

– Jakim cudem jest pan taki chudy? – jęknął. – Nie byłbym w tym stanie, gdybym umiał trzymać taką linię.

Norris uśmiechnął się.

– Trafił mi się ten cholerny atak serca, bo moja dziewczyna Bunny zażyczyła sobie, żebym schudł, ucząc się z nią tańca country.

– Pan Coady właśnie wraca do siebie po tym, jak tej nocy rozszerzyłam dwie z jego głównych tętnic – wyjaśniła Francesca.

Mężczyzna skrzywił się ponuro.

– Zabawiła się pani w hydraulika.

– Jak pański oddech?

– Parszywie! Podobnie jak reszta.

– Proszę się pochylić i głęboko oddychać – poleciła Downs, zakładając stetoskop i przykładając jego końcówkę do prawej strony piersi pacjenta. Przez chwilę słuchała z uwagą, a potem przesunęła aparat w lewo, jakby przestawiała wieżę na szachownicy. – Większość wody odeszła, ale tutaj trochę zostało – obwieściła w końcu. Wyjęła z uszu słuchawki, zawiesiła je na smukłej szyi i usiadła na brzegu łóżka. – Doznał pan niemałych uszkodzeń lewej komory i cierpi na coś, co nazywamy niewydolnością serca, ale dzięki lekom płynu pomału ubywa.

– To dlatego tak strasznie chce mi się sikać? Przez te wszystkie zastrzyki i piguły, które mi dajecie?

Downs położyła dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się ciepło.

– Tak – odparła. – Mają pana podsuszyć.

Norris nagle zdał sobie sprawę, że wpatruje się w nią i podziwia czyste piękno jej skóry wciąż jeszcze emanującej miękkim blaskiem nocnych igraszek. Jaka siła życiowa musi w niej tkwić, myślał, jaka pewność siebie, że daje nadzieję nawet tak bliskim śmierci.

– Co za ulga – mruknął Coady. – Już zaczynałem się martwić, że złapałem trypra albo że

znowu będą problemy z prostatą. Czy do śmierci będę musiał brać te zastrzyki i końskie pigułki?

– Zastrzyki – nie, leki doustne – tak. A jeśli chodzi o uszkodzenie serca, to nie poznam dokładnie jego rozmiarów, póki nie zrobimy echokardiogramu. Jestem jednak pewna, że nie będzie już tak silne jak dawniej.

Mężczyzna uśmiechnął się chytrze.

– To znaczy, że upiecze mi się ta szkoła tańca?

– Nie, chyba że chce pan koniecznie usłyszeć to z moich ust. Umiarkowanie intensywne ćwiczenia to część zdrowego stylu życia.

– Ja wolę wolniejsze tańce. Są bardziej seksowne.

Downs posłała mu perłowy uśmiech.

– Też tak myślę.

Coady kilka razy przełknął ślinę i odchrząknął, zanim spytał:

– A co z seksem?

– Sądzę, Ralphie, że martwi się pan tym nieco przedwcześnie. Z reguły zalecamy stopniowy powrót do aktywności seksualnej po trzech miesiącach od zabiegu.

Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego.

– Trzy miesiące? Jezu, my z Bunny ledwie wytrzymujemy trzy dni!

Downs zachichotała.

– Szczęściara z niej.

Coady chrząknął po raz drugi.

– Czy będę w stanie... no, wie pani... robić to jak dawniej?

– Prawdopodobnie. Tylko że za wcześnie o tym mówić. Zrobimy testy, żeby ustalić obciążenie, jakie pańskie serce będzie mogło znieść w najbliższych tygodniach.

– Prawdopodobnie? – powtórzył, jakby nie słyszał reszty wypowiedzi.

– Spokojnie, Ralphie. W dzisiejszych czasach panie lubią być na górze. Jestem pewna, że jeszcze się tym nacieszysz.

Coady nie odzywał się, nerwowo przetykając ślinę i chrząkając.

– A co z lataniem?

Downs spoważniała.

– Cóż, w tej sprawie nie mam dobrych wiadomości. Chyba nie muszę cytować przepisów prawa o ruchu powietrznym?

Nie odpowiedział. Niespokojnie przebiegł palcami po dobrze ostrzyżonych, szpakowatych włosach.

Norris, stojąc u szczytu łóżka, dostrzegł w jego oczach żar, którego nie było w nich kilka minut wcześniej.

– Nie mogę zmienić prawa, Ralphie – ciągnęła Downs, znowu zaciskając dłoń na barku pacjenta. – Co mam powiedzieć?

– Niech pani powie, że jest nadzieja. Jakakolwiek. Że coś możecie dla mnie zrobić. Pielęgniarki wspominały, że pracuje pani nad eksperymentalną metodą leczenia. Czy mogę liczyć na pomoc? Zgłaszam się na ochotnika, bez względu na ryzyko. Do diabła, mam tylko czterdzieści pięć lat, a latanie jest moją jedyną pasją. To całe moje życie. Dzięki niemu mam swoje miejsce w świecie. Dzięki niemu coś znaczę. Cholera, to mnie wzywają, kiedy trzeba nauczyć czegoś żółtodziobów.

Czym, u licha, miałbym zastąpić to wszystko?

– Jestem pewna, że rodzina i Bunny nie przestaną pana kochać, nawet jeśli nie będzie pan już pilotem...

– Jaka rodzina? Pierwsza żona opuściła mnie, bo za rzadko bywałem w domu. Dzieci nie mam. A jeśli chodzi o Bunny, nie będzie ze mną, jeśli zostaną uziemiony.

– Bzdura. Przecież widziałam. Ona pana uwielbia...

– Niech no tylko pomieszka ze mną non stop sześć miesięcy. Ślad po niej nie zostanie.

Downs nie odpowiedziała.

Idealny, pomyślał Norris. W odpowiednim wieku, z niespodziewanie przerwana karierą i, tak jak przewidziała Francesca, zdesperowany.

– Co z przeszczepem serca? – spytał Coady. – Może dacie mi nowe? Słyszy się o tym bez przerwy.

Downs pokręciła głową, zaciskając usta.

– W pańskim stanie lepiej pozostać przy starym sercu. Transplantacja to nie magia. Stosujemy ją tylko na umierających pacjentach.

– Ja czuję się martwy. To się nie liczy?

– Obawiam się, że nie.

– Ale z pewnością zna pani najnowsze metody leczenia. Może coś perspektywicznego, czego nikt jeszcze nie przetestował? Pieniądze nie będą problemem, stać mnie. Dobrze zarabiam, a Bunny ma własną firmę komputerową... – Urwał, a z jego błyszczących oczu popłynęły łzy. Błada twarz zmarszczyła się nagle jak zmięta chusteczka. Płakał bezgłośnie, od czasu do czasu potrząsając spazmatycznie ramionami, jakby siłą woli tłumił szloch w piersi, obok chorego serca.

Downs siedziała bez słowa, przesuwając dłoń po ramieniu chorego tak, jak głaszcze się i pociesza dziecko, które upadło.

Zdarzają się takie upadki, których przeżyć nie można, skonstatował Norris, wzdrygając się na myśl o tym, jak by się poczuł, gdyby tak nagle i brutalnie został odstawiony na boczny tor. Kiedy Francesca spojrzała na niego, skinała głową. To był sygnał, że może spróbować.

– Ralphie... Nie chciałabym robić panu fałszywej nadziei, ale też nie pozwolę na rozpacz. Doktor Norris i ja pracujemy nad czymś tak bliskim medycznemu cudu, że wątpię, czy zobaczymy jeszcze w naszym życiu coś równie zdumiewającego.

W pierwszej chwili Coady chyba nie zrozumiał, bo wciąż płakał bezgłośnie z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy wreszcie uniósł głowę, spojrzał na Downs i Norrisa z dziwnym grymasem na ustach, jakby rozpacz mieszała się z totalnym osłupieniem.

– Słucham?

– Musimy jednak nalegać, żeby zachował pan tę sprawę w ścisłej tajemnicy – ciągnęła gładko Downs. – W przeciwnym razie skończymy rozmowę i nigdy do niej nie wrócimy. Zgoda?

– Co to takiego?

– Opowiemy panu o tej metodzie dość ogólnie. Jak pan rozumie, to nasz oryginalny projekt i na razie musimy utrzymywać go w ścisłej tajemnicy, aby nie doszło do plagiatu, zanim opublikujemy wyniki. Ponadto będzie pan musiał wyrazić zgodę na upublicznienie pańskiego przypadku, to znaczy przedstawienie historii choroby i leczenia na konferencji prasowej oraz w mediach. A wszystko dlatego, że to, czego dokonamy, stanie się większą sensacją niż pierwsza transplantacja

serca.

– Tak, tak, ale proszę mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi.

– Będzie pan musiał ponieść wszystkie koszty zabiegów, które przewyższą sumę refundowaną przez pańskiego ubezpieczyciela za konwencjonalne leczenie – dorzucił Norris – a także koszty laboratoryjne. Zanim opowiemy o naszych planach, będzie pan też musiał podpisać umowę, w myśl której narazi się na poważne, podkreślam: poważne straty finansowe, jeżeli ujawni pan jakiegokolwiek informacje na temat nowej kuracji lub nie dostosuje się do wymogów procedury po jej rozpoczęciu.

– Tak, tak, tak. Proszę wreszcie powiedzieć, na czym polega ten cud.

– Możemy zrobić coś znacznie ciekawszego – stwierdziła Francesca. – Jeszcze dziś pielęgniarki zaczną pana sadzać. Na początek na dziesięć minut. Jeżeli nic się nie wydarzy, zabierzemy pana na dół, do laboratorium doktora Norrisa. Powinniśmy wtedy mieć gotową umowę, a kiedy ją podpiszemy, zobaczy pan pod mikroskopem coś, w co doprawdy trudno uwierzyć.

A więc zaczęło się, pomyślał Norris, opuszczając oddział kardiologiczny pół godziny później, gdy Downs pokazała mu wąską grupę kandydatów. Co roku milion Amerykanów cierpi na atak serca, a pół miliona umiera na choroby serca. Ja i Francesca pokazemy światu, że można to zmienić. Coady nadaje się idealnie. Czy będzie jeszcze latał, tego nie wie nikt, ale ktoś taki jak on, kto ma mnóstwo do stracenia i wszystko do zyskania, może dać nadzieję milionom ludzi i stworzyć popyt na nową technikę, którego nikt nie powstrzyma. Jezu, będzie nam się należała pieprzona Nagroda Nobla! I jeszcze do tego Francesca znowu jest ze mną. Boże! Jakbym zmartwychwstał!

Gdy stanął przed wejściem do windy, drzwi rozsunęły się i na korytarzu pojawiło się sześciu policjantów. Rozeszli się ku stanowiskom pielęgniarek z notesami i dyktafonami w rękach.

– Ty pokazuj im portret, a ja będę przesłuchiwał każdego, komu się zdaje, że widział faceta...

– Kto ma listę personelu obsługującego pacjentów Hamlina?... – Ja zajmę się lekarzami...

W drodze na dół kabina zatrzymywała się kilkakrotnie. Za każdym razem za rozsuniętymi drzwiami widać było melanz niebieskich mundurów nowojorskiej policji z białą i pastelami uniformów salowych, pielęgniarek, rezydentów oraz lekarzy. Skupieni grupkami, pracownicy szpitala i funkcjonariusze pochylali się nad czymś z uwagą.

Zaintrygowany Norris wysiadł na następnej kondygnacji i zbliżył się do kilkunastoosobowej grupy otaczającej drobną, jasnowłosą kobietę, której obszerny ciemny mundur i pas z ciężką kaburą na zasadzie kontrastu przydawały delikatności. Po chwili usłyszał jej głos.

– ... tak więc jeśli ktoś z państwa widział tego człowieka lub sądzi, że w ostatnich latach był świadkiem czegoś podejrzanego w zachowaniu doktorów Hamlina i Lockmana względem pacjentów...

W zasadzie spodziewał się, że prędzej czy później ktoś zacznie coś podejrzewać. Lecz teraz, gdy usłyszał na własne uszy, jak bliscy odkrycia tajemnicy są stróże prawa, i zobaczył na własne oczy, z jakim rozmachem pracują, natychmiast przeszła mu euforia. Strach przeszył go do szpiku kości, a nowe, cudowne życie, które zdążył już sobie wyobrazić, stało się nagle ulotną wizją czegoś, czego miał nigdy nie osiągnąć.

Umysł Norrisa jak w amoku analizował możliwe scenariusze, a każdy z nich wiódł nader mrocznym szlakiem wprost do fatalnego finału. Policjanci musieli kiedyś ustalić motyw morderstw,

to zaś doprowadziłoby ich bezpośrednio do niego. Czy Adele Blaine i Paul Edwards trzymaliby wtedy język za zębami? Niekoniecznie, myślał Jim. Równie dobrze już teraz mogli składać obciążające go zeznania. Przecież spotykali się ostatnio tak często! Wyobrażał sobie, jak planowali jego upadek przy wystawnej kolacji i drinkach. A Francesca? Raz jeszcze ogarnęły go najczarniejsze myśli. Czy i ona była w zмовie przeciwko niemu? Czy razem uknuli ten spisek? Zaśmiał się gorzko. Dlaczego nie miałyby teraz, kiedy on jeszcze jest na wolności, wykorzystać jego wiedzy, by odnieść piękny sukces w leczeniu Coady'ego?

Otrzeźwiał dość nagle.

Boże, jak mogę być tak w niej zadurzony, a równocześnie tak mało ufny? – zastanawiał się, z niesmakiem otrząsając się z paranoicznych myśli. Kolejnych parę minut spędził na upewnianiu się w duchu, że kobieta, która kilka godzin wcześniej oddała mu się tak bezgranicznie, nie byłaby zdolna do takiej zdrady. Łączyło ich to samo marzenie: chcieli sprawiać, by ludzie tacy jak Ralph Coady mieli szansę na powrót do normalnego życia.

Policjantka w za dużym mundurze rozkręcała się powoli.

– Wszelkie zeznania będą trzymane w ścisłej tajemnicy. W razie potrzeby mogą państwo dzwonić do mnie i umawiać się na prywatną rozmowę poza szpitalem...

Norris podszedł do jednej z pielęgniarek, aby przyjrzeć się bliżej portretowi, który trzymała w rękach. Zobaczył szeroką twarz nieznanego mężczyzny.

– Co to za jeden? – spytał szeptem.

– Nie widział pan porannych wiadomości? – zdziwiła się.

– Nie, byłem zajęty... – Jak błyskawica przemknął mu przed oczami obraz Franceski, pochylonej nad nim i ponaglającej go, by w nią wszedł.

– To facet, którego szuka policja. Podobno to on zabił Hamlina i Lockmana.

– Naprawdę? – spytał wciąż pewny, że nigdy nie widział twarzy z wydruku. – Jak się nazywa?

– Nie wiadomo. Właśnie dlatego rozdają te portrety. Może ktoś go rozpozna.

– Mają już coś?

– Na razie nie. Nikt go nie kojarzy.

Norris ciągle wpatrywał się w wizerunek podejrzanego. Kiedy skoncentrował się na oczach, nieokreślone wrażenie pojawiło się nagle gdzieś w głębi jego umysłu, jakby pamięć próbowała mu coś podpowiedzieć, ale brakowało jej konkretów.

– Poznaje go pan? – spytała pielęgniarka.

– Nie, raczej nie. Przez moment zdawało mi się, że widzę coś znajomego, ale musiałem się pomylić. Skąd policja ma ten portret?

– Rany, widzę, że naprawdę wypadł pan z plotkarskiego obiegu. To facet, który ostatniej nocy, na intensywnej terapii, próbował wstrzyknąć coś przez kroplówkę doktor Sullivan.

Norris poczuł zimne mrowienie na plecach.

– Co?!

– Tak, tak. Policjanci są też prawie pewni, że to on zaatakował doktora Steele'a w archiwum.

– Steele'a?

– Tak jest. Był na dole i przeglądał karty pacjentów, żeby sprawdzić, co Hamlin i Lockman zrobili z doktor Sullivan.

– Rozumiem – rzekł Norris, starając się sprawiać wrażenie równie zaciekawionego jak reszta

zgrupowanych na korytarzu. W istocie jednak ogarnęła go panika – nie tylko dlatego, że Steele był bardzo bliski odkrycia prawdy, ale i dlatego, że nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje.

godzina 10.30

– Doktor Sullivan, jestem Adele Blaine. Josephine O'Brien opowiadała mi o pani przypadku.

Kathleen otworzyła oczy. W zasadzie nie wiedziała, kogo się powinna spodziewać, ale widok niskiej, szczupłej kobiety stojącej przy łóżku zupełnie nie odpowiadał jej mglistym wyobrażeniom o Adele Blaine. Nie chodziło o to, że miała przed sobą Murzynkę, lecz raczej o posturę gościa. Nie wiedzieć czemu spodziewała się kogoś znacznie większego, może nawet groźnego. Tymczasem patrzyła na kobietę drobną, o starannie ułożonych czarnych włosach, ubraną w beżową garsonkę zasłoniętą częściowo luźnym kitem. Potrójny złoty łańcuszek na szyi upodabniał ją do kosztownej mahoniowej figurki na poły zakrytej ochronnym pokrowcem.

– Dziękuję za przybycie... doktor Blaine.

– Czy Richard także mnie rekomendował?

– Cóż, mówił mi... że to doskonały wybór... kiedy go pytałam... Biedaczysko... jest taki rozstrojony... tym, co się zdarzyło... Wątpię, czy w ogóle... wybiegał myślą tak daleko... by planować... moją rehabilitację... Wszyscy, łącznie z nim... wyglądają na zaskoczonych... że będę do niej gotowa... tak szybko... Sądzę, że przede wszystkim... czuje ulgę... Opuszczę szpital... i przeniosę się... w bezpieczniejsze miejsce... gdy tylko będzie to możliwe.

W rzeczywistości Richard był wściekły, kiedy o tym usłyszał.

– Nadal pozostaniesz celem ataku – pieklił się – zwłaszcza jeśli ona jest w to zamieszana, a ty będziesz się interesować kartami pacjentów leczonych przez Hamlina.

– To samo... dotyczy ciebie... panie Badaczu Archiwów – odparowała. – Blaine... nie kupi twojego tekstu... „Kontroluję jakość usług”.

McKnight rozstrzygnął spór obietnicą, że policjantka będzie strzec Kathleen przez okrągłą dobę.

– Jako stróż prawa naturalnie nie mogę zalecać włamywania się do kartotek medycznych – zastrzegł. – Ale ludzie, na przykład sekretarki, salowi, pielęgniarki czy terapeuci, lubią gadać. Niewykluczone, że z pani zachętą, doktor Sullivan, wymknie im się coś ciekawego. Może dowiemy się, co jest grane. Jak sam pan zauważył, Richardzie, nie możemy wejść tam z policyjnymi syrenami licząc, że coś znajdziemy.

Kathleen spodobało się to, że McKnight zwrócił się do Richarda po imieniu, jak starszy brat udzielający rady, a nie jak gliniarz wydający rozkaz.

Kiedy już Steele nie tyle zgodził się, ile wyczerpał dostępne argumenty, sam zaproponował włączenie do akcji Jo O'Brien.

– Blaine ma zwyczaj wpadać na oddział nagłych wypadków, żeby zrobić, jak my to mówimy, biopsję portfeli. Szuka dobrze sytuowanych pacjentów skłonnych skorzystać z jej usług. Czasem wygląda to tak, jakby ganiała za naszymi karetkami. Słowo od doświadczonej pielęgniarki – dodał – sugerujące, że Kathleen by się nadawała, nie wyglądałoby na coś niezwykłego. Nawet jeśli Blaine domyśla się, że mamy ją na celowniku, albo denerwuje się tym, że mogłabyś się u niej leczyć, i tak raczej nie odmówi. Dziwnie, wręcz podejrzanie wyglądałoby to w zestawieniu z faktem, że na co

dzień dba o powodzenie instytutu, sprowadzając dobrze sytuowanych i znanych ludzi.

Adele Blaine przysunęła sobie krzeselko i usiadła tuż przy łóżku.

– Jo opowiadała mi o nocnych atakach na panią i doktora Steele’a. To po prostu straszne!

Dość szczere oburzenie, pomyślała Sullivan. Oczy Blaine były jednak w wystudiowany sposób nieprzeniknione, jakby do tego, co się za nimi kryje, obcym wstęp był wzbroniony. Kathleen zauważyła też, że minimalne opóźnienie odpowiedzi – szukała bezpiecznych słów – nie umknęło uwagi gościa. Murzynka śledziła każde jej posunięcie równie uważnie jak ona jej.

– Rzeczywiście, ohydne... Nawet nie chcę... teraz o tym myśleć... Dziękuję, że zechciała pani... odwiedzić mnie... tak szybko... Jak pani rozumie... bardzo chciałabym wiedzieć... co jeszcze potrafię zrobić.

– Naturalnie, skarbie.

Cokolwiek surowe dotąd rysy Blaine złagodniały, a w oczach pojawił się cień smutku typowego dla doświadczonych lekarzy, którzy byli świadkami zbyt wielu chwil cierpienia i zbyt wielu strat. Ciekawe, czy jest w nich też ślad czegoś bardziej osobistego, zastanawiała się Kathleen.

– Proszę mi wierzyć – ciągnęła terapeutka – że wiem, jaki ciężar pani czuje. Udar to okropna sprawa. Okrada nas z tak wielu rzeczy... zwłaszcza gdy jesteśmy młodzi. Z drugiej jednak strony przeglądałam historię pani choroby i powiem szczerze, że zrobiła pani ogromne postępy.

Kathleen poczuła ukłucie gniewu.

– Doprawdy?... Ruszanie palcami u nóg... przekładanie dłoni... to ma być postęp?... Może pani zdaniem... ale nie moim.

W oczach Blaine pojawił się jeszcze głębszy smutek.

– Racja, dziewczyno. To nie takie łatwe.

– „Niełatwe” to o wiele... za małe słowo... a poza tym... mam dość ludzi... którzy mówią mi... że „wiedzą”, jak to jest... Do diabła... sikam do worka... i załatwiam się do michy... a pani nie... Te palce – ruszyła lewą dłonią, zmieniając ją w niezgrabny szpon – potrafiły kiedyś... wykonywać najbardziej precyzyjne... prace pod mikroskopem... a teraz... nie mogłyby nawet... unieść noża i widelca... Założę się... że zje pani dziś... kolację z jakimś przystojniakiem... Ja na pewno nie... A najgorsze jest to... że patrzę na mężczyznę... którego kocham... i zastanawiam się... czy wszystkim... co będę mogła mu ofiarować... jako kobieta... będzie rola dmuchanej lali...

– Doktor Sullivan – wtrąciła Adele Blaine, wstając i pochylając się nad łóżkiem, by zdecydowanym ruchem przycisnąć dłonie do policzków chorej. Nie było w tym goście czułości, a oprócz aromatu bardzo gustownych perfum Kathleen wyczuła w jej oddechu alkohol. – Moja droga, nie zamierzam składać obietnic, których nie dotrzymam, ale masz prawo do uzasadnionej nadziei na normalne odżywianie się, uprawianie seksu, a może nawet samodzielne chodzenie. Potrzeba jednak będzie tu pracy, niewiarygodnej cierpliwości oraz czasu. – Blaine cofnęła się i chwyciła dłonie Kathleen. – Ściśnij moje palce.

– Po co?... Pielęgniarki każą mi... robić to... cały czas... Mój uścisk jest... raczej żaloszny.

– Ściśnij!

Kathleen usłuchała. – Trzymaj mocno!

Blaine pociągnęła niespodziewanie wciąż jeszcze sparaliżowane ramiona wysoko w powietrze. Ruch wywołał skurcz mięśni-zginaczy. Palce, nadgarstki i łokcie Kathleen ugięły się nagle z tak wielką siłą, że szarpnęły ją w górę. Murzynka zachwiała się, próbując utrzymać w powietrzu jej

ciężar.

– W porządku, skarbie, teraz spróbuj rozluźnić mięśnie – powiedziała, schylając się i delikatnie kładąc Kathleen. Przykurczone ramiona wyprostowały się z wolna. – Widzisz? – dodała, gdy skurcz ustąpił. – Problemem nie jest siła, lecz brak kontroli. Poprawa będzie następować z dnia na dzień. Jeżeli nerwy są sprawne, mogłabym nauczyć cię siedzieć w trzy tygodnie, a chodzić w dwanaście.

Sullivan była oszołomiona brutalnym manewrem, którym Blaine przetestowała jej ciało, i w pierwszej chwili poczuła złość. Niespodziewanie jednak niechęć ustąpiła zainteresowaniu tym, co ta surowa kobieta ma do zaoferowania. Śmiała przepowiednia – siedzieć w trzy tygodnie, chodzić w dwanaście – brzmiała jak hejnał nadziei.

– Czy zechce pani... popracować ze mną... w instytucie? – spytała po chwili.

Oczy Adele Blaine wróciły na ułamek sekundy do poprzedniego stanu, a jej odpowiedź była niemal niezauważalnie spóźniona.

– Oczywiście, doktor Sullivan. Proszę się nie martwić – odparła głosem gładkim jak zimne szkło. – Zajmę się przygotowaniem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spróbujemy przenieść panią w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– Czterdziestu ośmiu godzin – powtórzyła z niepokojem Kathleen. Spodziewała się, że nie nastąpi to wcześniej niż w kolejnym tygodniu.

– Pewnie. Nasylenie tlenem utrzymuje się na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent, więc lada chwila odłączą panią od respiratora. Moje pielęgniarki nie są gorsze od tutejszych, a kto wie, może nawet lepsze. Zatrudniam wyłącznie weteranki, które potrafią zająć się pacjentami przeniesionymi prosto z intensywnej terapii, żeby możliwie najszybciej rozpocząć rehabilitację. Proszę mi wierzyć, że każdy dzień nieużywania mięśni oznacza dwa razy tyle ćwiczeń. – Poklepała Kathleen po ramieniu. – Na początek powiem pielęgniarkom, żeby zaczęły sadzać panią na krześle. Nie dłużej niż na dziesięć minut, oczywiście w uprząży ochronnej. Sprawdzimy, jak się spisują mięśnie tułowia.

Nietuzinkowa osoba, pomyślała Kathleen, i trudna do rozszyfrowania. Lubiała ją instynktownie, choć... wiedziała, że nie powinna.

– Doktor Blaine... twarda z pani babka... ale dobra.

Adele zachichotała z zadowoleniem.

– Racja, skarbie, ale nie dobra. Jestem najlepsza!

Tym razem Kathleen nie zauważyła wahania. Ośmielona nutą szczerości w jej głosie, zapytała:

– I zależy pani... prawda?

– Nie ma pani pojęcia, jak bardzo.

Sullivan popatrzyła na nią uważnie i, jakby pod wpływem tego spojrzenia, coś pękło w Adele Blaine. Odchrząknęła z cicha i przysunęła się bliżej.

– Powiem pani, dlaczego tak mi zależy – oświadczyła.

– Dlaczego?

– Przez wzgląd na matkę.

– Pani matkę?

– Tak. Ona też miała udar.

– Och, tak mi przykro...

– Miałam ledwie trzy lata.

– Ja...

– Mieszkaliśmy na wsi, w Tennessee. Ci dranie ze szpitala wystawili ją za drzwi na wózku, gdy tylko upewnili się, że nie umrze. Powiedzieli, że powinna być wdzięczna, że w ogóle żyje. To, że nie mogła mówić, jeść ani chodzić, nie miało dla nich najmniejszego znaczenia. Spędziłam z nią mnóstwo czasu. Widziałam, jak próbuje mówić, żuć, nawet poruszać nogami. Z czasem nabrałam pewności, że mogłaby osiągnąć więcej, ale nie miałam pojęcia, jak jej pomóc. Wreszcie nauczyłam ją jeździć na wózku.

– Jezu... teraz rozumiem... dlaczego tak pani zależy.

– Nie, nie rozumie pani. Co pani może wiedzieć o biednej, czarnoskórej kobiecie, która próbowała utrzymać rodzinę...

– Coś chyba wiem.

– Może. Tak czy inaczej... wykorzystwała to, czego ją uczyłam przez lata, żeby wjechać wózkiem prosto pod rozpędzony autobus.

– O mój Boże... – Kathleen poczuła łzy w oczach. Gdyby tylko mogła, uściskałaby tę „twardą”, drobną kobietę.

– Ano tak – mruknęła Blaine. – Dobrze, więc zobaczymy się za dzień, dwa. Na razie.

Jej szczupła postać przemknęła między zasłonami tak sprawnie, że ledwie się poruszyły.

– Wiesz... mam nadzieję... że jest niewinna – zwierzyła się Kathleen Jo O'Brien, gdy pielęgniarka wpadła, żeby spytać, jak poszła rozmowa. – Silna osobowość... takiej terapeutki potrzebuję... Wrednej dziewczyny... takiej jak ja... która będzie... kopać mnie w tyłek... aż zacznę chodzić, pracować i pieprzyć się... równie dobrze jak dawniej.

W głębi duszy była jednak niepewna. Dlaczego nie napotkała większego oporu? Nie spodziewała się, że Blaine tak ochoczo zechce przyjąć ją do swojego instytutu. Poza tym Kathleen wyczuła od niej alkohol – choć z drugiej strony rehabilitant nie musi mieć aż tak pewnej ręki jak chirurg. A historia o matce? Czy to możliwe, żeby Blaine wszystko zmyśliła?

*godzina 11.00
archiwum szpitalne*

– Jak pan śmie oczerniać nieszczęsnego doktora Hamlina, który tak pomógł mojemu ojcu? I niech pan więcej nie dzwoni. Moja matka tonie we łzach po tym, jak zaproponował pan ekshumację jej męża i wykonanie sekcji.

– Bardzo panią przepraszam. Naprawdę nie chciałem... – A jakiej reakcji mógł się pan spodziewać?! Idiota!

– Wiem, że wyraziłem się niewłaściwie...

– Niewłaściwie? Na miłość boską, ona wciąż jest w żałobie, a pan sobie dzwoni, żeby powiedzieć jej, że Hamlin być może umieścił w głowie jej męża coś, co go zabiło. Powinam poinformować władze szpitala o tym, co pan zrobił. I poinformuję! Jak można tak nękać wdowę?

– Rzeczywiście, to było głupie z mojej strony, ale rozpaczliwie próbuję dowiedzieć się, co Hamlin mógł zrobić bliskiej mi osobie...

– A co my mamy z tym wspólnego?

– Może zechciałaby pani chociaż powiedzieć mi, czy jej świętej pamięci ojciec cierpiał na

nadciśnienie?

– Kto jest pańskim przełożonym?

– Cóż... w zasadzie to jestem szefem oddziału nagłych wypadków, na który pani ojciec trafił po obu udarach...

Kobieta odłożyła słuchawkę.

Chryste! Tylko tego jeszcze potrzebował: kolejnej skargi do Ingrama. Tym razem w imieniu przerażonej, bezradnej staruszki.

Cały poranek spędził w archiwum, siedząc przy tym samym stoliku co w nocy i klucząc bez końca po ślepych alejkach między regałami.

Poprzednia rozmowa telefoniczna nie była bardziej udana – mąż kobiety, którą zbyt późno przywieziono do szpitala po drugim udarze, sugerował, że Richard stanowczo przekracza granice przyzwoitości. Zamiast jednak zawracać sobie głowę składaniem skarg oficjalnymi drogami, zapowiedział, że udzieli Steele'owi reprimendy za pomocą kija baseballowego, jeżeli tylko ktoś zbliży się z łopata do grobu żony". Na szczęście zdążył przyznać, że zmarła nie cierpiała nigdy na nadciśnienie. Zaraz potem zapragnął wiedzieć, dlaczego właściwie Richard wtrąca się w nie swoje sprawy.

McKnight słusznie ostrzegał, że niewielkie są nadzieje na skłonienie krewnych zmarłych do wystąpienia z wnioskiem o ekshumację.

– Ludziom generalnie nie podoba się pomysł wyciągania ich najbliższych z ziemi i krojenia na kawałki – oznajmił zwięźle.

Richard próbował też kontaktować się z prywatnymi lekarzami ofiar, lecz i oni nie byli specjalnie rozmowni. Oboje zasłonili się tajemnicą lekarską.

– Naprawdę nie zastanawia pani fakt, że nie ma wyjaśnienia drugiego krwotoku? – spytał lekarkę, która na co dzień opiekowała się kobietą operowaną przez Hamlina. – Doszło do niego osiemnaście miesięcy po usunięciu deformacji naczynia i nie ma dowodów na to, że podczas pierwszej operacji przeoczono inny niebezpieczny punkt w mózgu pacjentki. Jeśli wierzyć jej mężowi, nie chorowała na nadciśnienie, które mogłoby się stać przyczyną drugiego krwotoku.

– Nie zastanawia mnie, bo nie grozi mi sprawa w sądzie – odpowiedziała wyraźnie zniecierpliwiona lekarka. – Poza tym tu, w realnym świecie, w przeciwieństwie do waszych wień z kości słoniowych, wystarczająco często oglądamy przypadki nie związane z oczywistymi czynnikami ryzyka, które tak ładnie wyjaśniałyby przyczyny chorób i zgonów, a przy okazji uspokajałyby sumienia lekarzy. Medycyna to coś więcej niż tworzenie perfekcyjnych wzorów dla rezydentów.

Niechęć kobiety była aż nadto wyraźna, a Richard usilnie zastanawiał się, jak mógłby skłonić ją do współpracy. Wyobraził sobie tę lekarkę, samotną w ciasnym gabinecie przychodni i nigdy nie mającą dość czasu, by przyjąć wszystkich potrzebujących porady. Musiała tak bardzo oddalić się od medycyny akademickiej, że czuła się zagrożona, kiedy „atakował” ją ktoś z owego świata.

– Czy mimo to – nie ustępował Steele – zechciałaby pani w moim imieniu zapytać męża pacjentki o kilka spraw? – Postanowił pochlebić jej, odgrywając żalostnego uniwersyteckiego bubka, za którego i tak go uważała. – Na pewno lepiej niż ja wie pani, jak sobie z nim poradzić. Wygląda na to, że wyraziłem się bardzo niezręcznie i tylko go wkurzyłem.

– Ja? Chyba pan żartuje. Dzwonił tu parę minut temu, żeby mnie ostrzec, że pewnie odezwie

się jakiś lekarz od nagłych wypadków. Groził, że przemebluje mi gabinet kijem baseballowym, jeżeli powiem coś, co doprowadzi do zakłócenia spokoju szczątków jego żony.

To tyle, jeśli chodzi o umiejętność współpracy z ludźmi, pomyślał Steele.

Stare karty pacjentów Hamlina również mu nie pomogły. Po kilku godzinach lektury nadal nie wiedział, co zmieniło się w praktyce neurochirurga na przestrzeni dwóch lat. Równie dobrze mógłby próbować odczytać hieroglify.

Czy powinien zacząć dzwonić do żyjących pacjentów Hamlina operowanych w ostatnich kilku latach? Sugerować, że ich lekarz, który właśnie został zamordowany, być może umieścił w ich mózgach coś, co wkrótce sprowadzi na nich nagłą śmierć? Obiecować, że jeśli pozwolą mu przejrzeć karty w ośrodku rehabilitacji albo dadzą się przebadać na wylot, to może w porę rozwiąże tę zagadkę i ocali im życie?

Akurat.

Gdyby to zrobił – poddał ich tomografii komputerowej, rezonansowi magnetycznemu, wcale nie tak nieszkodliwej angiografii, pozytonowej tomografii emisyjnej, nie mówiąc już o strachu, który by w nich wzbudził – Jezus, dopiero by namieszał.

Prowadząc badania na ślepo, nie wiedząc, czego właściwie szuka, łatwo mógł pominąć to, co naprawdę ważne.

Z hukiem cisnął na blat listę nazwisk i numerów kart, płosząc umundurowanego policjanta, który czuwał przy drzwiach sali.

– Wszystko w porządku, panie doktorze? – zawołał funkcjonariusz.

– Przepraszam – odparł Richard, wpatrując się w smugi na papierze: ślad tuszu, którym zdejmowano jego odciski palców. Przez chwilę wsłuchiwał się w rozmowy kilkorga pracowników dochodzeniówki krążących między regałami. Gdziekolwiek zajrzeli, pozostawiali obłoczki rozprowadzanego pędzlami proszku. – Znaleźli już coś?

– Fragment odcisku palca nałożonego na pański, na wewnętrznej klamce. Do tego skrawki lateksu na krawędzi tej metalowej szafy, którą zwałił pan na niego. Przypuszczamy, że rozerwał rękawiczkę i w ciemności tego nie zauważył. Jeżeli szedł po omacku jak pan, być może znajdziemy więcej śladów.

– A na włącznikach światła?

– Nic. Przynieść panu jeszcze jedną kawę?

Policjant bardzo dbał, żeby Richardowi nie zabrakło kofeiny od samego rana, kiedy to spisał wyczerpujące zeznanie na temat napastnika i jego dziwnych haseł. Wydawał się szczególnie zainteresowany okrzykiem „jestem żołnierzem Legionu Pana”, ale nie chciał powiedzieć dlaczego. Później udało mu się jakoś uporać z tuzinami sekretarek, które usiłowały wykonywać swoje obowiązki i przychodziły po setki kart pacjentów potrzebnych na górze. Musiał z nimi współpracować, a równocześnie chronić miejsce przestępstwa. To oznaczało ograniczony dostęp do dokumentów, brak kart i ostatecznie wizyty zirytowanych lekarzy.

Jako że plotki rozeszły się lotem błyskawicy, wkrótce Richard był już centralną postacią tego, co się stało. Na nim też skupiały się ponure spojrzenia interesantów, którzy zaglądali przez szparę i widzieli go siedzącego przy stole pośród teczek z dokumentami. Dajcie spokój, miał ochotę powiedzieć, to nie moja wina, że macie kłopoty. Po pewnym czasie widok niemal identycznych nachmurzonych twarzy już tylko go rozśmieszał. Zaczął witać zaglądających toastem kawą i

szerokim uśmiechem.

Młody funkcjonariusz radził sobie z nimi doskonale, zachowując spokój i maniery tak nienaganne jak jego mundur i fryzura.

– Za mało panu płacą – mruknął Richard.

– Słucham?

– Nieważne. Oczywiście chętnie napiję się jeszcze kawy. Na drogę. – Czuł, że jest pobudzony, ale nie dziwiło go to specjalnie po takiej porcji kofeiny. Z drugiej strony, nie spał od ponad dwudziestu czterech godzin, więc dlaczego nie miałby trochę odpocząć? Wstając, przypomniał sobie o czymś.

– Czy pańscy koledzy znaleźli już moją komórkę?

– Jeszcze nie – odparł policjant znad stolika, na którym stały czajnik elektryczny i słoik z rozpuszczalną kawą.

– A może mógłbym sam go poszukać?

– Przykro mi, ale wie pan, że nie mogę na to pozwolić, póki nasi technicy nie uwiną się z robotą.

– Ja już skończyłem, a telefon jest mi potrzebny...

– Znajdziemy go prędzej czy później.

Nerwy Richarda, zazwyczaj bardzo napięte, zaczynały puszczać.

– Detektyw McKnight zapewnił mnie, że będę miał dostęp do archiwum...

– I miał pan, co najmniej przez trzy ostatnie godziny. Do wszystkich teczek, które znalazły się na pańskiej liście. – Młodzieniec podał mu styropianowy kubek z czarnym płynem, nad którym unosiła się siwa smużka pary.

– Mimo to chciałbym poszukać telefonu i...

– Jeszcze go nie znaleźliśmy.

– Jezu Chryste! – warknął Steele, podchodząc do najbliższego biurka z aparatem. Podniósł słuchawkę i z pasją wbił numer swojej komórki. – Zaraz zacznie dzwonić, więc z łaski swojej niech pan pójdzie za dźwiękiem i przyniesie mi ten cholerny telefon.

– W porządku. Cieszę się, że mogę panu pomóc.

Czekając na połączenie, Richard szukał na twarzy policjanta choćby śladu sarkazmu. Boże, jaki szczerzy chłopak, pomyślał, nie znalazłszy nawet cienia złośliwego uśmiechu. Albo kompletny baran.

Sygnal w słuchawce odzywał się rytmicznie, wskazując, że komórka powinna już dzwonić, lecz znikąd nie dobiegał najcichszy nawet dźwięk.

– Niech pan idzie dalej w głąb sali. Możliwe, że szum klimatyzacji zagłusza sygnał.

– Jasne – odparł jak zwykle grzeczny policjant, wchodząc między regały.

Jego uprzejmość była wręcz niesamowita.

Mniej więcej po trzydziestu sekundach w słuchawce odezwał się głos:

– Halo?

– No, znalazł pan. Wielkie dzięki – rzekł Richard.

Odpowiedzi nie było.

Sądząc, że policjant wyłączył już telefon, Steele chciał odłożyć słuchawkę, kiedy nagle ktoś odezwał się ponownie:

– Proszę, proszę, już zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle zadzwonisz. – Dość wysoki głos w niczym nie przypominał głosu młodego funkcjonariusza.

– Kto mówi?

– Lepszym pytaniem jest: Kim ty jesteś, Steele, że śmiesz bezcześcić Jego święty plan?

Czując, że nagle słabnie mu puls, Richard nieświadomie wstrzymał oddech. Rozejrzał się w poszukiwaniu policjanta, ale wszyscy zniknęli gdzieś między regałami.

– Chciałeś ze mną porozmawiać? – spytał gładko tym samym chłodnym tonem, którym zwykle przemawiał do pacjentów skłonnych do przemocy.

– To Bóg chce porozmawiać z tobą i tobie podobnymi. Ja jestem tylko Jego posłańcem.

– Podobnymi w czym? – W zasięgu wzroku nadał nie było ani jednego gliniarza.

– Mordujecie Jego nasienie.

– Niby jak?

– Czy wiesz, jakie to uczucie, kiedy ktoś morduje twoje nasienie?

Piskliwy głos sprawiał, że Steele miał ochotę odsunąć słuchawkę od ucha.

– Nie wiem, co masz na myśli. Słuchaj, może byś się chociaż przedstawił?

– Nie obrażaj mnie, Steele. Nie jestem jednym z tych twoich wariatów, których możesz tak łatwo podejść.

– Jasne, że nie. – Nie dążyć do konfrontacji, nie antagonizować, nie traktować protekcyjnie. Takich rad udzielał swoim rezydentom, kiedy uczył ich pracy z nie zrównoważonymi psychicznie. Można to powiedzieć w parę sekund, ale uczy się człowiek tego całe lata, pomyślał. Najważniejsze, by traktować pacjenta ze współczuciem i nie próbować oceniać, bez względu na to, jak jest dziwaczny, odrażający czy wręcz przerażający. – Zdaje się, że masz w sobie sporo determinacji.

– Jeszcze nie wiesz, jak wiele.

– Powiedz mi.

W słuchawce zabręczał dość piskliwy śmiech.

– Nie jestem pewien, czy chcesz tego słuchać, doktoru.

– Jasne, że chcę.

– Wiesz, gdzie teraz jestem?

Znienacka dał się słyszeć hałas jadących samochodów. Musiał odwrócić mikrofon w kierunku ulicy, pomyślał Richard.

– W dowolnym dużym mieście. Zapewne w Nowym Jorku.

– Mądrze gadasz. Pozwól, że uściślę. Jestem na rogu Lexington i Trzydziestej Szóstej Ulicy.

Steele'owi nagle zaschło w ustach.

– Zapomniałeś języka w gębie, doktoru? Lepiej się otrząśnij, bo było mnóstwo telefonów do ciebie i powinieneś na nie odpowiedzieć. Miło się było pobawić w twoją sekretarkę.

– Telefonów? – Padalec nie może być tam, gdzie twierdzi, że jest. Nie może być w moim domu! Steele modlił się w duchu, żeby róg Lexington i Trzydziestej Szóstej był tylko przypadkowym miejscem wybranym ze względu na bliskość szpitala.

– „Zadzwon na oddział”. „Zadzwon na oddział”. „Zadzwon na oddział”. Nie prowadzisz zbyt urozmaiconego życia telefonicznego, co?

– Owszem.

– Wiesz, twój syn ma miły głos.

Jezu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dzwonił, żeby zapytać, jak się miewa doktor Sullivan.

Lodowate palce zacisnęły się wokół serca Richarda. Chet zazwyczaj nie dzwonił w ciągu dnia. Drań musi kłamać. Musi! Steele usiłował wmówić sobie, że tak jest, ale nie potrafił, i nagle strach przebił się przez ochronną barierę profesjonalizmu. Z wściekłością wcisnął włącznik głośnika.

– Słuchaj no, popaprany kutasie, trzymaj się z daleka od mojego syna...!

– Ty, morderca nasienia Pana, chciałbyś, żeby On błogosławił twoje? – Teraz piskliwy śmiech wypełnił echem całą salę.

Młody funkcjonariusz wybiegł spomiędzy regałów z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy. Zaraz potem pojawili się jego koledzy. Richard przywołał ich gwałtownym ruchem ręki, sięgnął po pióro i pospiesznie nagryzmołił na leżącej obok karcie: „To on! Chyba w moim domu. Róg Lexington i Trzydziestej Szóstej. Wyślijcie wozy”.

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi...

– Ależ wiesz. I założę się, że główkujesz teraz, dlaczego twój syn pytał o Sullivan. Dlaczego miałby zawracać głowę tatusiowi takimi sprawami, zwłaszcza kiedy ta suka radzi sobie tak świetnie?

Machając wiadomością przed oczami struchlałych policjantów, Richard starał się kontrolować oddech i ton.

– Może mi powiesz?

– Kiedy znowu nie wiem, czy chciałbyś słuchać.

Funkcjonariusze przez moment wpatrywali się w Richarda szeroko otwartymi oczami. Potem najmłodszy oddalił się w pośpiechu i zaczął wydawać gorączkowe rozkazy przez krótkofalówkę. Inny skoczył do telefonu stojącego na sąsiednim biurku i błyskawicznie wybrał numer. Trzeci szepnął: „Sprowadzę McKnighta”, po czym pobiegł w stronę drzwi.

– Zadzwoiłem do jego szkoły, Lexington High – ciągnął mężczyzna – i zostawiłem dyrektorowi wiadomość, że Chet ma się z tobą natychmiast skontaktować, dzwoniąc na komórkę. W pilnej sprawie rodzinnej, ma się rozumieć...

Richard miał wrażenie, że słowa mordercy zapierają mu dech w piersiach. Jakim cudem ten człowiek mógł tyle wiedzieć o Checie?

– Kiedy oddzwonił, był bardzo zmartwiony. Myślał, zdaje się, że coś się stało doktor Sullivan. Owszem, odpowiedziałem. To kolejny krwotok, a ja mam telefon komórkowy twojego ojca, który jest przy niej. Ale nie przyjeżdżaj do szpitala, chłopcze. Tata chce, żebyś wrócił do domu i dotrzymał towarzystwa Lisie. Jest w strasznym stanie i nie może znieść czekania na wiadomość w szpitalu. Oczywiście powiedziałem to wszystko bardzo szczerze i z przejęciem. Ona cię potrzebuje, Chet, mówiłem. Spiesz się. Z jej matką nie jest dobrze... Wiesz, takie tam bzdety. No, ale kupił je bez wahania...

– Ty skurwielu! Porwałś mojego syna? I skąd tyle wiesz o Lisie?

Młody funkcjonariusz, wciąż rozmawiając półgłosem przez radio, gapił się na głośnik telefonu, jakby nie wierzył własnym uszom. Pozostali, równie przerażeni, natychmiast sięgnęli po krótkofalówki. Drżącą ręką Richard napisał: „Zadzwoń do Lexington High. Sprawdź, czy Chet jeszcze tam jest” i pokazał kartkę młodemu gliniarzowi.

Mężczyzna kiwnął głową, cofnął się kilka kroków i wznowił rozmowę przez radio.

– Ładny domek, Steele. Podoba mi się ten czerwonawy kamień.

– Gdzie mój syn, draniu?!

– W domu. Czeka na ciebie. Widzisz, mam przy sobie tę strzykawkę z chlorkiem potasowym, której nie zdążyłem użyć, i...

– Nie! Proszę, nie rób tego! – Richard zaczął spacerować w kółko, w panice analizując setki możliwości. Biec do domu. Ratować Cheta. A jeśli facet kłamie? Może nie złapał chłopaka? Może przetrzymuje go gdzie indziej?

– Twoje nasienie za nasienie Pana, Steele.

Gliniarze byli już w drodze. Richard postanowił, że przeciągnie tę rozmowę, by zdążyli dotrzeć na miejsce.

– Dlaczego mi to robisz? – zawołał łamiącym się głosem.

– Ty i ta twoja pani genetyk zabijacie boże niewiniątka.

– Co takiego?

Policjant zbliżył się cicho i pochylił nad uchem lekarza.

– Mam łączność z sekretariatem dyrektora Lexington High. Nie ma tam pańskiego syna.

Zimne palce, które do tej pory przesuwaly się po ciele Richarda, zacisnęły się wokół jego gardła.

– Hej, Steele, kto tam z tobą jest? – spytał głos. – Puszczasz mnie przez głośnik? I ktoś zadzwonił do szkoły, żeby sprawdzić, czy nie kłamie?

Skrzeczący śmiech raz jeszcze rozniósł się echem po sali. Richard wyciągnął rękę po policyjną krótkofalówkę.

– Mogę rozmawiać przez to?

Młody funkcjonariusz skinął głową i wyjął z gniazda wtyczkę słuchawki, której używał do cichej konwersacji z centralą. Głośnik przenośnego radia obudził się z trzaskiem.

– Jak to nie ma tam mojego syna? – spytał Richard bez wstępów.

– Doktor Steele? – odpowiedziała mu kobieta. Strach przebijający z głosu nauczycielki był równie wyraźny jak same słowa. – Dostaliśmy pilną wiadomość od jednego z pańskich rezydentów. Chet miał się skontaktować z panem, dzwoniąc na telefon komórkowy, podobno w pilnej sprawie rodzinnej.

Steele ścisnął krótkofalówkę tak mocno, że plastik zatrzeszczał ostrzegawczo.

– Wypuściła pani Cheta?

– Tak, z powodu wyjątkowej sytuacji. Kiedy przyszedł do sekretariatu, żeby zatelefonować, odpowiedział pański rezydent. Oznajmił, że doktor Sullivan miała kolejny udar. Wiem, jak bardzo Chet jest z nią zżyty. Sama miałam okazję poznać ją na jednej z wywiadówek...

– Co, do diabła, stało się z Chetem?! – przerwał jej Richard.

– Jako że młody lekarz, który do nas dzwonił, używał pańskiej komórki, nie przyszło mi do głowy, że może nie być tym, za kogo się podaje. Wsadziłam Cheta do taksówki i wysłałam do domu, żeby dołączył do Lisy. To było godzinę temu. A teraz bardzo proszę wyjaśnić mi, o co w tym wszystkim chodzi.

– O co w tym wszystkim chodzi – szczydził cienki głos mężczyzny. – Lepiej wracaj do domu, tatuśku, i zobacz, co zrobiłem z twoim nasieniem.

Żalossne strzepy tego, co do niedawna było samokontrolą Richarda, nie wytrzymały napięcia. Odepchnął młodego policjanta, wciskając mu w ręce krótkofalówkę, i puścił się sprintem w stronę wyjścia.

– Idź do diabła! – wrzasnął przez ramię.

Z głośnika telefonu dobiegł jeszcze trzask odkładanej słuchawki, a potem już tylko przerywany sygnał.

– Nie, nie miał na myśli pani – powiedział do słuchawki uprzejmy policjant.

– Wasi ludzie są już przy moim domu? – krzyknął Steele, zatrzymując się w drzwiach.

– Przepraszam panią, muszę iść – zakończył rozmowę młodzieniec i popędził śladem Richarda.

– Powinni być – odkrzyknął jeden z jego kolegów.

– Karetka jest w drodze – dodał inny.

– A my lepiej zostanmy tutaj. Trzeba zabezpieczyć do końca miejsce przestępstwa – dorzucił trzeci.

– Dojechał już ktoś na róg Lexington i Trzydziestej Szóstej? – spytał w biegu młody policjant, pędząc korytarzem o krok za Richardem.

– Potwierdzam – zachrypiał czyjś głos wśród trzasków i szumów eteru. – Nikt nie odpowiada na dzwonek. Mamy wejść?

– Tak! – krzyknął Richard, przeskakując po dwa stopnie w górę. – Powiedz im, że jedna z cyfr numeru domu jest ruchoma i wisi pod nią klucz umocowany magnesem. Tylko, na miłość boską, niech pamiętają, że tam jest mój syn!

– Przyjąłem – zatrzeszczał głośnik krótkofalówki.

Rozdział 13

W okolicy tego wyjścia ze szpitala, które znajdowało się najbliżej Drugiej Alei, ulice wypełnione były uwięzionymi w korku samochodami.

Biegając kilka kroków przed młodym policjantem, Richard zmierzał w stronę Trzydziestej Czwartej Ulicy. Minał ją i już po dwudziestu sekundach znalazł się w połowie drogi do Trzydziestej Piątej. Przechodnie patrzyli na niego dziwnie i ochoczo ustępowali z drogi. Teraz dopiero dotarło do niego, że wygląda jak zbieg w białym kitlu ścigany przez policjanta. Postanowił wykorzystać ten fakt – mógł przyspieszyć kroku.

Z baru po drugiej stronie ulicy wyszedł mężczyzna o szerokiej twarzy ubrany w strój do joggingu i luźną kurtkę. Odpiął rower od parkometru i zaczął pedałowac w tym samym kierunku, w którym poruszał się Richard. Choć było pochmurno, zasłaniał oczy okularami przeciwsłonecznymi. Mimo że kończył się czerwiec i było bardzo ciepło, naciągnął na głowę kaptur. Pozwolił, by Steele i policjant wyprzedzali go nieznacznie.

Właśnie. Nie spodziewał się policjanta.

Tylko raz na jakiś czas spoglądał w kierunku biegnących. Częściej jednak odwracał wzrok, kryjąc twarz pod kapturem. Teraz, gdy jego podobiznę nadawały wszystkie lokalne stacje telewizyjne, rower wydawał mu się idealnym środkiem lokomocji w zakorkowanym mieście, na wypadek gdyby ktoś rozpoznał jego lub ofiarę, którą ścigał. Wiedział, że poczuje się bezpieczniej, kiedy opanuje sztukę doklejania bród i dopasowywania peruk.

Pokonanie chłopaka było łatwe. Zapukał do drzwi, gdy tylko dzieciak zjawił się w domu. Reszta poszła jak z płatka.

A teraz udało mu się wysłać Steele'a sprintem do domu, ciężko przerażonego i myślącego tylko o niebezpieczeństwie zagrażającym synowi. Atak nie powinien być trudny: wystarczy podjechać rowerem od tyłu, wyciągnąć maczetę i jednym uderzeniem rozplatać kark.

Ale ten pieprzony glina wszystko zepsuł.

Dwaj biegnący skręcili już w Trzydziestą Szóstą Ulicę. Zanim wyjechał zza węgła, byli w jednej czwartej drogi do kolejnej przecznicy. Musieli jeszcze minąć Trzecią Aleję i Lexington. Dopiero tam znajdował się dom Steele'a.

Morderca zaczął pedałowac energiczniej i szybko skrócił dystans. Planował zaatakować przy następnym skrzyżowaniu: podjechać od tyłu, uderzyć i uciekać ile sił w nogach. Uważał, że to bardzo odpowiednia, bo publiczna egzekucja.

Ale co zrobić z gliniarzem?

Może wyeliminować go najpierw? Wtedy któryś z przechodniów zacząłby wrzeszczeć, a Steele zatrzymałby się i odwrócił. W tym momencie wystarczyłby drugi cios... Mężczyzna uśmiechnął się złowrogo. Dobry plan.

Już tylko trzydzieści sekund biegu dzieliło Steele'a i policjanta od skrzyżowania.

Napastnik przyspieszył jeszcze bardziej. Mknął wąskim przelotem między stojącymi w korku samochodami a linią wozów parkujących wzdłuż krawężnika, poza zasięgiem wzroku swych ofiar. Powietrze wibrowało kakofoniczną symfonią klaksonów, a każdy z uwięzionych w autach kierowców wydawał się gotów do rękoczynów. Kierując lewą ręką, zabójca sięgnął pod kurtkę, by

wydobyć broń. Zaciśnął palce na rękojeści maczety i znowu przyspieszył, zrównując się z biegnącymi.

Piętnaście sekund do skrzyżowania, ocenił.

Sprężył się i zaczął wysuwać klingę.

Spostrzegł, że Steele zerka na południe, sprawdzając, czy nie nadjeżdżają samochody.

Jeszcze dziesięć metrów.

Hałas panujący na ulicy sprawił, że mężczyzna nie usłyszał przed sobą cichego kliknięcia. Drzwi samochodu zaparkowanego nieomal na skrzyżowaniu otworzyły się niespodziewanie. Zobaczył je w samą porę, by nieznacznie skorygować kierunek, lecz kolanem zahaczył o metalową krawędź i runął na jezdnię.

Starzec z cygarem w ustach wysiadł z wozu i wybałuszył oczy na leżącego.

– Jezu, co wy wyprawiacie, cholerni rowerzyści?! – przemówił i zaraz zaczął szukać ubytków lakieru na drzwiach wozu.

Dłonie i kolana szczypały mężczyznę po brutalnym kontakcie z asfaltem, ale w duchu dziękował Bogu, że nie zdążył do końca wysunąć maczety z pochwy. Teraz dyskretnie umieścił ją na powrót za podszewką kurtki, jęcząc podniósł się i pokuśtykał w stronę roweru. Nie wyczuwał złamań, mógł poruszać bez trudu kończynami. Znacznie gorszy był stan przedniego koła roweru: zapadło się, jakby było z ciasta.

Niedoszłe ofiary dawno minęły Trzecią Aleję. Bogu niech będą dzięki, że kazał mi pomyśleć o planie zapasowym, stwierdził zabójca. Wsunął rękę do kieszeni, żeby się upewnić, czy zdalny sterownik nie wyleciał podczas upadku.

Trzy biało-niebieskie wozy policyjne o szeroko otwartych drzwiach stały przy krawężniku pod dziwaczными kątami. U wylotu ulicy, gdzie czwarta jednostka zablokowała ruch, pulsowało teraz czerwone światło. Kobieta w mundurze stała na schodkach przed frontowymi drzwiami domu Richarda. Rozmawiała półgłosem przez krótkofalówkę, a niepokój w jej oczach i napięcie na twarzy sprawiły, że strach ścisnął żołądek Steele'a.

– Znaleźliście go? – zawołał, biegnąc w jej stronę.

Policjantka przerwała połączenie radiowe.

– Pan jest ojcem?

O Boże, nie! – pomyślał Richard, wyczuwając, że zadano mu pytanie tylko po to, by zyskać na czasie przed podaniem złej wiadomości. Dokładnie tak samo postępował, gdy zrozpaczeni rodzice umierającego dziecka wpadali do niego na oddziale nagłych wypadków. Robił tę pauzę instynktownie, ogarnięty irracjonalnym przeczuciem, że tak długo, jak będzie zwlekał z wyznaniem prawdy, nadzieja matki i ojca będzie trwać. Zaraz jednak zwyciężało w nim poczucie lekarskiego obowiązku. Wypowiadał wyrok, którego najbardziej się obawiali, i patrzył, jak ich twarze kurczą się i marszczą, jakby słowa wysysały z nich życie.

Nie zamierzał pozwolić, by policjantka zrobiła to samo.

– Stać! Proszę tam nie wchodzić! – Wyciągnęła rękę w stronę jego ramienia, ale zrobił unik i wpadł do holu.

– Chet! – krzyknął nieprzytomny ze strachu.

W tym momencie dwaj mundurowi wybiegli z piwnicy, kierując się korytarzem w głąb domu. Jeden z nich zawrócił w miejscu i ruszył ku Richardowi.

– Już jest – zawołał.

Drugi pobiegł dalej i zniknął za wahadłowymi drzwiami, w kuchni. Kiedy niesione impetem odchyliły się ponownie, Richard zobaczył go już przy wyjściu na tyły domu.

– Dokąd on biegnie? Co się stało? – krzyknął do tego, który zbliżał się doń coraz wolniej, wykonując otwartymi dłońmi uspokajające gesty, jakby próbował oswoić wściekłego psa.

– Proszę się opanować. Niech pan wyjdzie ze mną na ulicę.

– Gdzie Chet?

– Wyjdźmy, doktorze Steele – dodał funkcjonariusz, wyciągając rękę w stronę Richarda.

– Gdzie on jest?! – Steele odepchnął go mocno, lecz w tym momencie pochwyciła go od tyłu policjantka, którą minął przy drzwiach, oraz młodzik, który biegł za nim ze szpitala.

– Spokój! – wrzasnęła. – Jeszcze go nie znaleźliśmy. Jest pan pewien, że wrócił do domu?

– Chcecie powiedzieć, że ten drań go zabrał?

– Jeszcze nic nie wiemy. Sprawdziliśmy górę i przeszukujemy piwnicę, ale jak dotąd nic nie wskazuje na to, że tu był. Czy są tu jakieś zakamarki, może spiżarnia albo schodki na poddasze, które mogliśmy przeoczyć?

Richard miał wrażenie, że jego mózg pogrążył się w hibernacji.

– Nie... chyba nie.

– Możliwe, że pański syn przyszedł tu i wyszedł – kontynuowała policjantka. – Może zadzwoni pan do szkoły, żeby sprawdzić, czy się tam nie pojawił? Będzie pan wykonywał nasze polecenia czy nie?

– Przecież ten maniak mógł go porwać i...

– Najpierw telefon do szkoły – ucięła.

Steele kiwnął głową i ramiona, które go trzymały, natychmiast zwolniły uchwyt. Starając się nie myśleć o najgorszym, dwoma krokami dotarł do telefonu leżącego na małym stoliku przy drzwiach frontowych. Słuchając sygnału, uświadomił sobie jednak, że to kolejna sztuczka gliniarzy. Dali mu zajęcie, by móc w spokoju przeszukać dom i potwierdzić to, co uważali za nieuniknione: śmierć Cheta. Wycie nadjeżdżającego ambulansu przyprawiło go o dreszcze.

– Tu Steele. Dzwonię z domu. Nie ma tu mojego syna. – Zmusił się do zachowania spokoju, jakby traktowanie nieobecności chłopaka jako coś, co daje się wyjaśnić w zupełnie niewinny sposób, mogło zmienić rzeczywistość, wymazać koszmarny scenariusz. – Może wrócił do szkoły? – spytał łamiącym się głosem, z wysiłkiem powstrzymując łzy.

– Nie, doktorze Steele. Nie wrócił – odpowiedział dyrektor.

Richard nie pamiętał jego nazwiska, ale kojarzył, że rozmówca jest łysy, nosi wielkie okulary w drucianej oprawie i ma tendencję do zbyt długich przemówień na spotkaniach z rodzicami uczniów.

– Zadzwonimy do pana, gdy tylko się pojawi.

– Bardzo proszę to zrobić. I dziękuję, że... – Zamarł, jakby mróz ściał jego krew.

Tuż przed nim, na wieszaku na płaszcze, wisiał powycierany plecak, w którym Chet nosił do szkoły książki.

– O Boże, nie – wyszeptał, upuszczając telefon.

– Doktorze Steele?... Doktorze Steele! – słyhać było głos dyrektora ze słuchawki leżącej na podłodze.

– On tu był – powiedział Richard. Zerwał plecak z haczyka i otworzył gwałtownym ruchem. –

To jego rzeczy. Zawsze zabierał je ze szkoły, kiedy wracał do domu.

Ciszę przerwał trzask krótkofalówki policjantki.

– Kapitanie, szybko na dół.

– Macie go?

– Tak i potrzebujemy pomocy. Tkwi w zsypie na węgiel.

– Nie! – wrzasnął Richard i skoczył w stronę schodów. W ułamku sekundy odezwał się chór głosów.

– Czekaj!

– Stać!

– Wróć!

Steele był już na schodach. Piwniczny chłód i znajomy, lekki zapach wilgoci wydawały mu się teraz bardziej wyczuwalne niż zwykle. Po chwili znalazł się w komórce o surowych ścianach, w której gromadka policjantów z latarkami stała półokręgiem przed szerokim na sześćdziesiąt centymetrów otworem w ceglanej ścianie. Zsyp, pamiątka po czasach, w których nie było elektrycznego ogrzewania, tkwił tu, kiedy Richard kupił dom. Odkąd zamknął klapę na kłódkę i zaizolował wlot od środka, nie zwracał uwagi na ten szczegół konstrukcji. Teraz otwór wydał mu się złowrogi jak wielka dziura po kuli. Zbliżając się, widział tylko jego ponurą czerń. Ledwie wyczuwał dłonie, które próbowały go zatrzymać. Miał wrażenie, że biegnie pod wodą, z wysiłkiem stawiając każdy krok, by zobaczyć to, na co patrzyli policjanci.

Zagłębił się w ciemny otwór i wyciągnął ręce do góry, jakby wynurzał się z głębin stawu. Otoczyło go echo metalicznych uderzeń dobiegających z przeciwnego końca stalowej rury.

Zacisnął dłonie na parze stóp w skarpetkach.

– Chet! – zaszlochał. – Mój biedny, mały Chet.

Stopy poruszyły się nagle, mocno i dość energicznie, a ciszę piwnicznej komórki przerwała seria stłumionych, jękliwych odgłosów. Teraz dopiero Steele zaczął słyszeć i rozumieć słowa policjantów.

– On żyje!

– Wygląda na to, że jest cały.

– Ale zanim go wyciągniemy, musimy zajrzeć od drugiej strony zsypu.

Rozległ się głośny, metaliczny brzęk i klapa uniosła się, zalewając ciasną przestrzeń jaskrawym światłem dnia.

– Jest zakneblowany – krzyknął jeden z funkcjonariuszy pochylonych nad zsypem.

Po chwili dobiegł ich trzask odrywanej taśmy klejącej.

– Nie ruszajcie mnie! – zawołał przerażony Chet. – Powiedział, że przyczepił do mnie bombę, która wybuchnie, kiedy się ruszę!

Teraz wszyscy zaczęli mówić równocześnie.

– Chryste!

– Sprowadzić saperów!

– Widzicie tam coś?

Richard, który zdążył już odbyć podróż z dna rozpaczy na wyżyny radości, poczuł, że grunt znowu usuwa mu się spod nóg.

– Wyciągniemy cię, Chet – wykrztusił.

Czuł, że to słowa równie fałszywe jak jego nadzieja.

– Tato! Nie ruszajcie mnie!

– Nie ruszymy, dopóki nie będziemy pewni, że jesteś bezpieczny.

– Stąd nic nie widać! – krzyknął z góry jeden z policjantów. – Żadnych przewodów, mechanizmów, nic. Widzę tylko jakieś patyki.

Czyjeś ręce pociągnęły Richarda w tył.

– Pozwoli pan, że tam zajrzę – odezwał się młody funkcjonariusz z niezmienną uprzejmością, choć stanowczość jego ruchów sugerowała, że to coś więcej niż prośba. – Chet, nazywam się Ted Mallory – zawołał głośno. – Za chwilę spróbuję obmacać twoje nogi i tułów. Czy ten drań wsadził ci coś pod ubranie? A może wcisnął coś jeszcze po tym, jak umieścił cię w zsypie?

– Przywiązał mi ręce do rurki i powiedział, że jeśli się ruszę, ona wybuchnie.

– Związał ci je za plecami? – spytał Mallory, wślizgując się pod chłopca i za pomocą małej latarki uważnie oglądając jego nogi.

– Tak. Bolą mnie już. Kostki też.

– Jasne. Teraz dotykam twoich stóp. Mam nadzieję, że nie masz łaskotek.

– Nie – odpowiedział Chet nieco mniej piskliwie.

Rozmowa z policjantem wyraźnie go uspokajała.

– To dobrze, bo nie chciałbym zarobić w twarz. Richard poczuł, że ktoś staje za nim i chwytą go pod łokieć.

– Lepiej niech pan wyjdzie na zewnątrz – szepnęła policjantka.

Dopiero w tym momencie Steele spostrzegł, że wszyscy pozostali opuścili piwnicę.

– Nie! Ja zostaję.

Kobieta przełknęła ślinę, skinęła głową i uśmiechnęła się blado.

– Rozumiem – powiedziała i odeszła w pośpiechu. Spoglądając teraz na Mallory'ego, Richard doceniał w pełni jego odwagę. Młody policjant mógł zaczekać na ekipę saperów, a tymczasem tkwił do połowy w stalowym kanale, który w każdej chwili mógł się stać wyrzutnią torped, i usiłował uspokoić przerażonego nastolatka.

– Wiesz, Chet, nie widzę niczego podejrzanego przy twoich nogach – odezwał się z nadzieją Mallory. – Przetnę teraz taśmę, która trzyma twoje kostki, ale postaraj się nie ruszać nogami.

Richard patrzył, jak policjant wyjmuje scyzoryk z zasobnika przy pasie.

– Tak lepiej? – spytał Mallory po paru sekundach.

– Pewnie.

– Pozwól, że zajmę się nadgarstkami. Doktorze Steele, zechciałby pan znaleźć jakieś pudło, na którym mógłbym stanąć? Wystarczy wysokie na trzydzieści centymetrów. – Funkcjonariusz odzywał się z takim spokojem, jakby naprawiał kominek.

Richard wykonał polecenie.

Po kolejnych kilku sekundach policjant powiedział:

– Teraz jestem przy twoich rękach i... szlag!

Steele wstrzymał oddech.

– Co się dzieje? – jęknął Chet.

Ton jego głosu znowu powędrował ku wyższym rejestrom.

– Nic – odrzekł Mallory w tym samym gładkim, fałszywym stylu, w jakim Richard wygłaszał

swoje „wszystko w porządku” pacjentom, których stan pogarszał się gwałtownie. – Chodzi o to, że facet przyczepił rurkę do twoich nadgarstków, prawdopodobnie by mocniej skręcić taśmę. Zaraz ją wyjmę, muszę tylko znaleźć lepsze narzędzie do cięcia.

Wysunął się ze zsypu, zeskoczył z podwyższenia i odprowadził Richarda parę metrów dalej.

– Jeżeli to jest to, co myślę, to musimy natychmiast wyciągnąć chłopaka z dziury.

– Ale...

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Powiem tylko, że już wiem, kto to robi. Nie mam pojęcia, dlaczego ścigają właśnie pana, ale jeśli się nie mylę, tym razem użyli bomby rurowej. W środku prawdopodobnie znajduje się odbiornik do zdalnego sterowania, taki jak w alarmach samochodowych. Zwykły pilot wystarczy do odpalenia ładunku. Dlatego niech pan się stąd zabiera i powie chłopakom na górze to, co właśnie usłyszał. Tylko po cichu, żeby nie płoszyć Cheta. Spróbuję odciąć od niego tę bombę, a kiedy powiem „teraz”, wyciągniecie go i będziecie spieprzać najszybciej jak się da!

– Nie, nie zostawię...

– Niech pan idzie, do cholery. Ten sukinsyn może być gdziekolwiek w promieniu pięćdziesięciu metrów od nas i prawdopodobnie szykuje się do zdetonowania bomby!

– Ale...

– Ta bomba jest dla pana. Facet zwabił pana tutaj i na pewno odpali ładunek. Tacy jak on nie dbają o to, kto zginie przy okazji. – Ochryply szept Mallory’ego brzmiał jak trzask rozdieranego płótna.

– Kto...

– Jazda! – uciał policjant, odwrócił się i wskoczył na podwyższenie. – Dobra, Chet. Twój tata idzie na górę, żeby pomóc ci wyciągnąć, gdy tylko uwolnię ci ręce.

– Nie! Ten gość mówił, że jeśli poruszę bombą...

– On kłamał, Chet, żeby cię nastraszyć. Chciał, żebyś tu siedział bez ruchu. Zaraz poczujesz, jak rozcinam taśmę na twoich ramionach...

Spokojny głos Mallory’ego ucichł w oddali, gdy Richard wbiegł na schody. Przemknął przez kuchnię i wypadł na podwórze, napędzając strachu dwóm policjantom, którzy zaglądali w ciemność zsypu przez otwartą klapę. Obaj mieli na sobie coś, co wyglądało jak kamizelki myśliwskie, ale Steele domyślał się, że wykonano je raczej z kevlaru. Wiedział jednak, że gdyby bomba wybuchła, nic nie uratowałyby dwóch funkcjonariuszy. Klęknął przy nich i spojrzał w dół. Mniej więcej metr niżej zobaczył głowę Cheta, który próbował uśmiechać się dzielnie.

– Cześć, tato.

Richard zmusił się do uśmiechu.

– I pomyśleć, że tyle razy ci mówiłem, żebyś się tu nie bawił.

– Co się dzieje? – szepnął jeden z policjantów.

Steele nie mógł odpowiedzieć szczegółowo tak, żeby Chet go nie usłyszał.

– Kiedy Mallory powie „teraz”, wyciągamy chłopaka – odparł krótko. – A potem biegniemy jak wszyscy diabli, jeśli wiecie, co mam na myśli – dodał półgłosem.

Gliniarz zacisnął usta i spojrzał na niego z ukosa, ale nic nie powiedział. Skinął tylko głową na znak, że zrozumiał. Ponura mina jego partnera wskazywała, że i on pojął groźbę sytuacji.

– Na pewno wszystko w porządku, tato?

Głos Cheta był cichy, w tonacji prawie męski, lecz przetykany nieco wyższymi dźwiękami, reliktem niedawnego dzieciństwa. Richardowi chciało się płakać, kiedy patrzył na jego bezradność.

– Będzie dobrze, Chet. Przygotuj się do wyjścia. – Sięgnął w dół i zmierzwił ciemne włosy syna, a potem chwycił go za ramiona.

– Jak idzie, Mallory? – zawołał jeden z policjantów.

– Jeszcze parę małych cięć – odpowiedział głos z dołu.

– Wy trzymajcie chłopaka, a ja pociągnę was – odezwał się drugi gliniarz.

– Teraz! – zawołał Mallory.

Richard i klęczący obok funkcjonariusz szarpnęli z całej siły, ale Chet ledwie się poruszył.

– Boli! – krzyknął.

– Zaprzyj się o moje barki, Chet. Odepchnij się nogami – poradził Mallory.

I nagle chłopak wymknął się ze stalowej rury tak, jak dziecko wymyka się z łona matki.

– Odjazd! – rzucił policjant, który ciągnął Richarda za pas. Trzymając Cheta pod ramiona, puścili się biegiem w stronę ogrodzenia, za którym zaczynała się sąsiednia posesja.

– Tutaj możemy przeskoczyć – krzyknął Richard. – Potem przejdziemy przez...

Z otwartego zsypu dobiegł ogłuszający huk eksplozji.

Steele odwrócił się w samą porę, by zobaczyć salwę drobnych srebrzystych pocisków, które wystrzeliły z piwnicy, przecięły powietrze i odarły z liści stojące opodal drzewo. Następnie z łoskotem wbiły się w ścianę sąsiedniego budynku. Tam gdzie trafiły w okna, najpierw rozległ się głośny brzęk, a potem rumor szklanych drobin spadających deszczem na ziemię. Na koniec zadzwoniły o bruk duże fragmenty szyb.

Najgorsze jednak było to, co pojawiło się w głębokiej ciszy, która wtedy zapadła.

Krzyk był z początku cichy, prawie niepewny, jakby cierpienie, które było jego źródłem, nie objawiło się jeszcze z całą mocą. Szybko wszakże przybrał na sile i Richard nie miał już wątpliwości, że ból odczuwany przez Mallory'ego wziął górę nad chwilowym szokiem. Od eksplozji minęło kilka sekund i policjant otrząsnął się na tyle, by zobaczyć i poczuć, co się stało. Dźwięk przybierał na sile, jakby z każdą chwilą rosło przerażenie Mallory'ego. Zapewne powoli docierało do niego, ile ciała stracił i ile pozostało, choćby w strzępach. Jego krzyk przywodził na myśl wycie potępionych, dolatujące z przepastnej otchłani piekła.

Rozdział 14

Richard zbiegł do piwnicy jako pierwszy.

W powietrzu wyczuwało się smród spalenizny, ale zaskakująco mało było dymu. Uszkodzenia ścian nie były znaczące, posadzka jednak usiana była odpryskami betonu. Widniały też na niej ślady gwoździ, które odbiły się rykoszetem, nim wykonały swoje zadanie: porwały ciało na strzępy.

Od pasa w dół Mallory był galaretowatą masą drżących mięśni najeżonych stalowymi kolcami. Ciągnęły się za nim pasma rozerwanej tkaniny i skóry, a dalej kilkumetrowy ślad rozmazanej krwi – ranny policjant próbował odpełznąć od miejsca eksplozji. W głębokim wstrząsie, Mallory był jednak przytomny. Leżał wsparty o ścianę, szeroko otwartymi oczami wpatrując się z niedowierzaniem we własne, straszliwie okaleczone ciało.

– Nie! Tylko nie to! Tylko nie nogi! – dał się słyszeć jego płacz, przeplatany nieartykułowanymi dźwiękami i okrzykami bólu. Policjanci, którzy zjawili się zaraz po Richardzie, słuchali tego ze zgrozą lub cofali się odruchowo.

– Ted, słyszysz mnie? – spytał Steele, klękając przy nim. Mdlący zapach przypalonego ciała wypełnił jego nozdrza.

– O Boże! Pomóż mi! Pomóż mi! Pomóż miiii...

Krzyk Mallory'ego przeszywał do szpiku kości.

– Sprowadźcie ratowników – rzucił przez ramię Richard, zastanawiając się usilnie, jak podnieść z podłogi zmasakrowane kończyny policjanta, by nie dopuścić do ześlizgnięcia się resztek mięśni z kości podudzi i ud. – Niech wezmą zestaw ze środkami znieczulającymi i sterylne koce. A potem oczyśćcie drogę do szpitala! – Wiedział, że kroplówka, tlen i leki przeciwbólowe, czyli wszystko, co mogli zapewnić chłopakowi na miejscu, to za mało.

– Daj mi coś... o Boże... coś na ten ból...

Richard delikatnie otoczył dłońmi twarz Mallory'ego.

– Jeszcze parę sekund, Ted. Już idą. Jeszcze chwila i sprawię, że ból minie. Potem zabiorę cię na mój oddział. Wytrzymaj kilka minut, a wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie? Będzie dobrze.

Mallory raczej nie rozumiał. Próbował sięgnąć wzrokiem za plecy Steele'a, jakby bał się spuścić z oczu dolną część swego ciała.

– Gdzie moje nogi? Muszę je zobaczyć...

– Są tam, Ted. Twoje nogi są na miejscu.

– Nie pozwól, żeby je zabrali... Daj mi coś, zrób coś... Boże, moje nogi...

– Trzymaj się, Ted. Połatamy cię, zobaczysz – powiedział Richard, próbując zwrócić na siebie uwagę zszokowanego młodzieńca. Doskonale wiedział, że nikt już nie będzie w stanie „połatać” zmasakrowanych kończyn, ale lata pracy na oddziale nagłych wypadków nauczyły go kłamać. Tu nie chodziło o nogi Teda, lecz o jego życie. Nawet jeśli chłopak szalał teraz z bólu, mógł jeszcze chwycić się nadziei... choćby i fałszywej. Śmierć zbliżała się szybko. Obietnica, że ktoś poskłada go w całość – uśmierzy ból, powstrzyma krwotok, naprawi rozerwane na strzępy nogi – dawała pocieszenie. Niech szlag trafi książki o lekarzach zawsze mówiących prawdę.

– Spójrz na mnie, Ted – ciągnął Richard. – Słuchaj, co do ciebie mówię. Wytrwaj jeszcze chwilę, a wszystko będzie dobrze.

Mallory znowu zaczął płakać. Jego wzrok na chwilę skupił się na twarzy Steele'a.

– Złap mnie za rękę – wyjąkał, szcękając zębami. – Nie puszczaj mojej ręki.

Richard zamknął w dłoni rozpaczliwie rozcapierzone palce. Drżały nieznacznie i były tak słabe, jakby Mallory już nie żył.

Dwaj ratownicy medyczni zbiegli po schodach z noszami, na których spoczywała niepewnie walizeczka z lekami i sprzętem.

Nareszcie!

Steele otworzył walizeczkę, znalazł fiolkę z dziesięcioma miligramami morfiny i wciągnął jej zawartość do strzykawki.

– To będzie to, Ted. Zaraz ci ulży...

– O Jezu... tak...

Richard podciągnął rękaw munduru, odnalazł żyłę i wolno wtłoczył w nią połowę porcji narkotyku, uważnie obserwując oddech rannego. Po paru sekundach Mallory zaczął mówić.

– O tak... tak... dziękuję... Boże... Jezu... dziękuję... Doktorze – szepnął kilka sekund później – wstrzyknij resztę. Wszystko. Skończ. Nie chcę tak żyć.

Steele zignorował tę prośbę.

– Wsuniemy pod niego płótno i podniesiemy – zwrócił się do ratowników, wyciągając igłę.

– Nie... Doktorze, proszę.

– Dostyc gadania, Ted. Wyjdiesz z tego, i to w jednym kawałku. Jesteś żonaty?

– Zaręczony.

– Jak ma na imię?

– Cathy.

– W takim razie pomyśl o Cathy. Pomyśl, jaka dumna będzie z ciebie, kiedy opowiem jej, jak uratowałeś mojego syna. – Układając Mallory'ego w bardziej dogodnej pozycji, Steele poczuł nagle, że buty lepią mu się do posadzki. Spojrzał w dół i zobaczył gwałtownie powiększającą się kałużę krwi wypływającej gdzieś spod pośladków mężczyzny. – Niech to szlag – mruknął do siebie, sięgając do walizeczki po rękawiczki. Naciągnął je z trzaskiem.

– Trzymaj mnie za rękę – poprosił Mallory. Jego słowa były teraz mniej wyraźne i znacznie cichsze niż poprzednio.

– Muszę znaleźć źródło krwawienia, Ted – odparł Richard, ostrożnie wsuwając palce w krwawą miazgę, która była niegdyś krocem młodego policjanta.

– Neeeeee! Nie dotykaj mnie... – Mallory zaczął się wic tak, jakby w ogóle nie dostał morfiny.

Steele wyczuł pod palcem główkę gwoździa pulsującą niczym główica wiertarki udarowej. Metal musiał przebić tętnicę udową. Prawdopodobnie przeszedł na wylot, stąd krwawienie wystąpiło po przeciwnej stronie.

Richard raz jeszcze pochylił się nad walizeczką, wyjął i rozpruł paczkę sterylnych tamponów. Wcisnął je wszystkie w krwawiącą ranę.

– Ty sukinsynu! – zawył Mallory, próbując odpełznąć od lekarza.

Steele dał mu jeszcze morfiny. Medycy wsunęli pod leżącego sterylny koc i razem umieścili go na noszach.

Mallory był coraz głośniejszy, a krew z przebitej tętnicy siknęła daleko. Richard wcisnął w ranę jeszcze kilka tamponów z gazy, ale sterczący gwóźdź nie pozwalał mu odpowiednio ucisnąć

naczynia. Próbując tego dokonać, naruszył całą grupę wbitych obok gwoździ i wywołał kolejnych kilka krwawień. Wiedział, że musi odciąć główne źródło, czyli zablokować tętnicę udową, ale do tego potrzebował skalpeli i specjalnego zacisku, to jest rutynowego wyposażenia oddziału nagłych wypadków. Problem polegał na tym, że chłopak nie miał szans na przeżycie krótkiej podróży do szpitala – wykrwawiłby się na śmierć. Pozostałoby jedynie zmówić za niego Zdrowaś Mario.

Gdy ratownicy z noszami dochodzili do schodów, Steele chwycił pierwszy gwóźdź.

Wrzask Mallory'ego był niemal nie do zniesienia.

Gwóźdź tak głęboko wbił się w kość udową, że Richard nie mógł go ruszyć. Fontanny krwi tryskały rytmicznie spod jego palców.

– Czekaście – rozkazał noszowym, zanim weszli na schody, i podbiegł to szczątków stołu roboczego. Przez chwilę przerzucał zawartość skrzynki z narzędziami, nim znalazł kombinerki. Wróciwszy do rannego, zwiększył mu dawkę morfiny, nieomal ryzykując zatrzymanie oddechu. To, co zamierzał zrobić, było bolesne. – Przytrzymajcie go – polecił.

Jeden z ratowników złapał ramiona i tułów Mallory'ego, drugi obłożył poszarpane nogi sterylnym kocem i przycisnął je do noszy tuż nad kolanami.

Szło równie ciężko jak wyciąganie gwoździa wbitego w drewno. Krew tryskała na wszystkie strony, mokry lateks ślizgał się po uchwytach kombinerek. Krzyki Mallory'ego stały się tak rozpaczliwe, że Richard omal nie zrezygnował. Znajomy chłód ścisnął jego żołądek; czuł w nim pustkę świeżo wykopanego grobu. Za trzecim pociągnięciem gwóźdź wyszedł.

Nowy strumień krwi obryzgał Steele'a i pół piwnicy. Wyjąwszy jeszcze kilka kawałków żelaza, lekarz docisnął do tętnicy kolejną garść gazy. Tym razem nic już nie przeszkadzało w zatamowaniu krwotoku.

– Idziemy – zakomenderował.

Kiedy wyszli na ulicę, zobaczył Cheta. Ten zbladł i wzdrygnął się odruchowo na widok skapanej we krwi procesji pośpiesznie zdążającej w stronę karetki. Stojąca obok policjantka otoczyła chłopaka ramieniem.

– Chet, pojedź z kimś do szpitala – zawołał Richard. – Zostań przy Kathleen, tam będziesz bezpieczny.

Policjantka, która towarzyszyła chłopakowi, przytuliła go mocniej.

– Sama go zawiozę.

W oczach Cheta pojawił się cień.

– Co z Tedem?

– Panuję nad sytuacją. Wyjdzie z tego – odparł Richard. Pomógł załadować nosze do ambulansu i wskoczył do środka za jednym z ratowników. Spojrzał po raz ostatni na smutną twarz syna, a potem drzwi się zatrzasnęły i wóz ruszył na sygnale.

Kiedy pędzili Trzydziestą Szóstą Ulicą i skręcali w Drugą Aleję, ruch musiał rozszerzyć pęknięcia tętnic, ponieważ krwawienie nagle stało się intensywniejsze. Richardowi i ratownikowi brakowało rąk, by dociskać opatrunki do wszystkich strumieni krwi, które pojawiały się na szczątkach nóg Mallory'ego, moczyły koce i bryzgały na umocowane do ścian wieszaki ze sprzętem. Nie mieli też czasu, by podłączyć kroplówkę i monitor.

– Schodzę – szepnął Mallory.

Jego głos był ledwie słyszalny na tle wycia silnika.

– Chyba że ci nie pozwolę – odparł Steele, w pośpiechu szukając źródła kolejnego krwawienia.

– Powiedz McKnightowi, że to Legion Pana.

– Jesteś katolikiem? – spytał Richard. – Mamy w szpitalu księdza. Wezwę go, jeśli będziesz chciał.

– Nie! Powiedz McKnightowi, że to Legion Pana! Cholera, chłopak majaczy, pomyślał Steele, mając świeżo w pamięci ranne przesłuchanie, podczas którego Mallory uparcie wypytywał o dziwne słowa niedoszłego zabójcy.

– Spokojnie, Ted, niedługo sam będziesz mógł mu o tym powiedzieć.

Mallory chwycił go za ramię i ścisnął mocno.

– Powiedz mu! – ryknął, siadając gwałtownie, jakby nagle odzyskał siły. – I przestań mnie, kurwa, okłamywać! – Czarne oczy mierzyły Richarda wściekłym wzrokiem przez kilka sekund, a potem Mallory opadł na nosze, mamrocząc coś niezrozumiale. Chwila w pozycji siedzącej wystarczyła, by z mózgu odpłynęła ta niewielka ilość krwi, która krążyła jeszcze w jego żyłach.

Dopiero gdy minęli drzwi oddziału, ludzie Steele'a podłączyli rannego do dwóch dużych zasobników z krwią. Minutę później reszta sprzętu znalazła się na miejscu.

Tylko że ciśnienie krwi nie wzrosło.

– Cholera, za dużo dziur – mruknął Richard.

Jego zespół robił wszystko, by utrzymać Mallory'ego przy życiu, a chirurdzy naczyniowi pracowicie zamykali kolejne poszarpane arterie. Steele mógł teraz już tylko chwycić młodego policjanta za rękę. Pochylił się nad nim i ani na chwilę nie przestawał mówić. Z relacji wielu bliskich śmierci osób wiedział, że słuch wyłącza się jako ostatni ze zmysłów.

– W porządku, Ted, nie będę dłużej chrzanił. Ktokolwiek jest ci bliski, może liczyć na moją pomoc, bo ty oddałeś mi syna, który jest mi najdroższy. Powiem twojej Cathy, jaki byłeś odważny i że myślałeś o niej...

Ciśnienie krwi spadło poniżej poziomu wykrywalności. Puls zanikł. Krzyki ucichły z wolna, zmieniając się w pomruk.

– Legion Pana... Legion Pana... Legion Pana... – szeptał Mallory. A potem umarł.

Jedna z lekarek podjęła ostatnią próbę: rozcięła klatkę piersiową policjanta i zaczęła ręczny masaż serca. Richard odszedł. Wiedział, że to już koniec.

– Co z jego narzeczoną?

– Jest w Los Angeles w podróży służbowej – odparł McKnight.

– Miał jeszcze kogoś?

– Ojca. Jest już w drodze.

– Wie?

– Nie. Kiedy go wzywaliśmy, Mallory wciąż żył. Richard wpatrywał się w kubek nietkniętej kawy stojący na biurku w jego gabinecie. Pół godziny wcześniej to on gnał do swego syna, pełen najgorszych myśli. Teraz ten sam los spotkał innego ojca. Drgnął, targany mieszaniną ulgi, winy, żalu i wdzięczności.

– Ja z nim porozmawiam – powiedział.

McKnight, siedzący naprzeciwko, spojrział na niego ołowianym wzrokiem, ale nie odezwał się. Steele spróbował uporządkować myśli.

– Ted Mallory powiedział mi na chwilę przed eksplozją, że chyba wie, kto podłożył bombę, ale nie miał czasu na wyjaśnienia. Od razu się zorientował, że to bomba rurowa odpalana zdalnie, a nie przez ruch Cheta.

– Zdalnie?

– Tak. Takim samym pilotem, jakim się otwiera zamek samochodu.

Detektyw pochylił się w jego stronę.

– Mówił coś jeszcze?

– Chyba nie. Dopiero po wybuchu, ale ja uznałbym to za bełkot. Mówił bez przerwy o „Legionie Pana”.

– Co takiego?

– Prosił też, żebym przekazał panu właśnie te słowa. Mówił: „Powiedz McKnightowi, że to Legion Pana”. Bardzo się interesował tą sprawą kilka godzin wcześniej, spisując moje zeznanie.

– Jak to?

– Wypytywał mnie o te bzdury, które wykrzykiwał napastnik w archiwum. Powiedziałem mu, że wrzeszczał: „Jestem żołnierzem Legionu Pana”, i to właśnie bardzo go zaciekało. Chciał wiedzieć, czy ten maniak użył dokładnie takich słów.

– A niech mnie! – mruknął McKnight.

Błysk w jego oczach natychmiast zatarł ślad zmęczenia, które wyzierało z nich jeszcze przed kilkoma sekundami.

– O co chodzi? Czy te słowa coś znaczą? Moim zdaniem nie różniły się niczym od innych głupot, które wykrzykiwał ten świr.

– Znaczą! Tylko że wszystko to jest bez sensu – dodał ciszej McKnight, wpatrując się intensywnie w przestrzeń, jakby pędził pośród własnych myśli z prędkością tysiąca mil na godzinę.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Jo O’Brien zapukała i otworzyła drzwi.

– Pan Mallory już jest – oznajmiła, wpuszczając szczupłego, żyłastego mężczyznę o białych, krótko ostrzyżonych włosach wokół pokażnej łysiny.

– Co z Tedem? – spytał, rozpaczliwie wodząc wzrokiem od Steele’a do McKnighta i z powrotem.

Takich chwil Richard bał się najbardziej. Wstrzymany oddech i oczekiwanie.

– Proszę usiąść, panie Mallory. Obawiam się, że mam dla pana złe wieści.

Dochodziła czternasta, gdy – upewniwszy się, że pielęgniarki umyły ciało i zakryły zmasakrowane nogi – powiódł ojca na ostatnie spotkanie z synem. Prowadził go z Jo O’Brien pod ramiona, drżącego i jakby niezdecydowanego. McKnight szedł tuż za nimi. Kiedy sędziwy mężczyzna spojrzał na bladą cerę i obwisłe rysy Teda, jego twarz jakby się zapadła, a z gardła wyrwał się okrzyk rozpaczy tak przeszywający, że dotarł do każdego zakątka oddziału, uciszając naraz wszystkie rozmowy.

Po chwili McKnight odprowadził Mallory’ego do poczekalni, gdzie otoczyła go grupa funkcjonariuszy w granatowych mundurach. Wyrazy współczucia i słowa pocieszenia, wypowiedane półgłosem i z powagą, przypominały modlitwę.

Richard zastanawiał się, czy powinien powiedzieć coś jeszcze Mallory’emu. Może o tym, komu Ted uratował życie? Rozstrzygnął ten dylemat, gdy postawił się na jego miejscu. Jak by się czuł,

przyjmując kondolencje od ojca, którego syn przeżył za cenę śmierci jego syna? Umysł podpowiadałby mu może, że nie była to kwestia wyboru, ale w głębi serca targałaby nim bezsilna wściekłość. Nie, zdecydowanie lepiej będzie nie próbować, pomyślał. Po co pogłębiać jego rozpacz? Jeszcze będzie czas na rozmowę, kiedy szok minie. Wtedy może i Chet gotów będzie pocieszyć jakoś Mallory'ego, jeśli w ogóle można pocieszyć ojca, który stracił dziecko.

Był coraz bardziej przygnębiony. Zastanawiał się nawet, czy przypadkiem nie stchórzył. Czy naprawdę próbował chronić ojca Teda Mallory'ego, czy może raczej siebie? Może usiłował się ukryć, zamiast stawić czoło sytuacji? Jakkolwiek było, raz już pokazał, że ma problem ze zdarzeniami, które ranią aż do kości. Uciekał wtedy, oszukując samego siebie na każdym kroku, a teraz wcale nie był pewien, czy nie powtórzy się tamten scenariusz.

W końcu otrząsnął się z ponurych myśli. Dostyc tego, do cholery, stwierdził stanowczo. Skoro mnie tak poraziła śmierć Teda Mallory'ego, to jak przyjmie wiadomość Chet? Lepiej powiem mu sam, zanim usłyszy coś od pielęgniarek. Niech mnie diabli, jeśli pozwolę mu czuć się winnym, że przeżył.

Nie zapowiadało się na to, że McKnight rychło pożegna Mallory'ego seniora. Rozmowę o Legionie Pana trzeba będzie przełożyć, pomyślał Steele. Dał detektywowi sygnał, że zadzwoni później, i wyszedł. Nie pojechał windą. Pobiegł na górę schodami i po paru minutach mijął już drzwi oddziału intensywnej terapii.

Chet spojrzał na niego, nie ruszając się z miejsca. Siedział przy łóżku i trzymał Kathleen za rękę. Pomału wracały mu rumieńce, ale oczy miał czerwone od płaczu. Tuż za nim stała Lisa. Jej oczy wyglądały podobnie; szczupłe ręce oparła na ramionach chłopaka. W pobliżu klitki z parawanów spacerował policjant.

– Mówiłeś, że nic mu nie będzie, że go uratujesz – odezwał się Chet, gdy Richard podszedł bliżej. W jego głosie nie było wyrzutu, a jedynie niedowierzanie, jakby chłopak myślał jeszcze, że jego ojciec jest niepokonany, przynajmniej jako szef oddziału nagłych wypadków.

Kathleen uniosła sprawniejszą rękę na powitanie, palce drugiej zamykając wokół dłoni Cheta. Jej biała twarz, wciąż jeszcze prawie nieruchoma, wyrażała głęboki smutek. Richard podszedł do nich, objął oboje i sięgnął ręką ponad wąskimi ramionami Cheta, tak by przytulić i Lisę. W ciasnym kręgu znalazły się wszystkie osoby, które były mu naprawdę bliskie. Po tym, co się stało z Tedem Mallorym, nie był jednak pewien, czy policja zdoła ochronić je przed mordercą, któremu najwyraźniej obojętne było, kogo zabija. Bez względu na to, jaki cel mu przyświecał, nie można było wykluczyć, że raz jeszcze użyje Cheta lub Lisy w charakterze przynęty.

– Kto to zrobił, tato? I dlaczego? – spytał chłopak drżącym głosem.

Odkąd umarła Luana, Richard nie widział w jego oczach takiego przygnębienia. Dziwnie poblada Lisa wyglądała na równie zagubioną.

– Nie mam pojęcia – odparł, uświadamiając sobie zniechęca, że żadne z nich nie wie jeszcze o wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich dwudziestu czterech godzinach. – Ale dopóki policja nie dowie się czegoś i nie schwyta tego drania, będzie nas strzec lepiej niż Fortu Knox. – Opowiadając o policyjnej ochronie, obserwował, jak drobniutkie zmarszczki wokół zaciśniętych ust Cheta i w kącikach oczu Lisy znikają powoli. To był barometr skuteczności jego perswazji. Uznał, że o nocnych atakach i ich związku z morderstwami może opowiedzieć kiedy indziej. Teraz wywołałby jedynie niepokojące pytania, a nie mógłby udzielić na nie satysfakcjonujących odpowiedzi. Nie

wiedział na przykład, dlaczego ten maniak wciąż próbował go zabić, mimo iż sprawa przestała być tajemnicą – przecież niczyja śmierć nie mogła już zmienić faktu, że prowadzone jest śledztwo w sprawie dawnych pacjentów Hamlina i podejrzeń o stosowanie na nich nielegalnych praktyk.

Wzdrygnął się mimowolnie. Ostatni atak wydawał mu się szczególnie podły, bo zupełnie pozbawiony sensu. A może w tej grze chodziło o coś innego? Może zabójca chciał wyeliminować Richarda tylko po to, żeby nie próbował go tropić? Dlaczego? Czy umiałby dostrzec coś, co z pewnością ujdzie uwagi policjantów? Co takiego? Steele nie miał pojęcia. Mogło chodzić o sprawę typowo medyczną. Cóż, pomyślał, jeśli sukinsyn sobie wyobraża, że mnie nastraszy, to się grubo myli. Kimkolwiek jest i cokolwiek zamierza, próbował zabić ludzi, których kocham. Znajdę go i jeśli prawo nie wymierzy mu kary, zrobię to sam.

Teraz chciał przede wszystkim porozmawiać z McKnightem i dowiedzieć się czegoś o Legionie Pana. Kusilo go, żeby poszukać telefonu, ale opanował się, ujrawszy błagalne spojrzenie Cheta, które wołało: „Nie zostawiaj nas!”

– Tato, gdzie będziemy mieszkać? – spytał chłopak po chwili. Jego głos drżał jeszcze, ale zdecydowanie mniej niż do tej pory. – Nie chcę wracać do domu.

– Nie martw się. Nieprędko tam wrócimy.

– Nie mogę przestać myśleć o Tedzie, o tym, co go spotkało. Ciagle widzę jego krew i słyszę te krzyki... – Chet urwał, a po jego piegowatych policzkach spłynęły łzy.

Richard przytulił go mocniej.

– Cii... Wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale to minie...

– A jeśli nie? – Oczy chłopaka były tak szeroko otwarte, jakby raz jeszcze zobaczył wszystko to, co niedawno przeżył.

– Już dobrze, Chet – odezwała się Lisa, głaszcząc jego czarne loki.

Kathleen uniosła rękę tak wysoko, jak tylko mogła, i pogłaskała go po policzku. Richard spojrzał na syna bezradnie.

– Chet, być może nadszedł czas, żebyśmy ty, ja, Lisa i Kathleen pomyśleli o zamieszkaniu pod jednym dachem.

Dwoje nastolatków spojrzało na niego z niedowierzaniem. Źrenice Kathleen zwężyły się gwałtownie.

– Mówisz, że mamy się przeprowadzić do ich mieszkania? – spytał Chet. Radosne zdumienie wygładziło na moment zmarszczki wokół jego ust.

– Super! – ucieszyła się Lisa. – Tylko ciasno nam będzie jak diabli.

Kathleen nie odezwała się, a jej spojrzenie stało się nagle bardziej puste niż jej prawie nieruchoma twarz.

– Mówię, że znajdziemy nowy dom dla nas wszystkich – uściślił Steele. – Jesteście dla mnie najważniejsi i chcę mieć was przy sobie na zawsze.

Teraz Lisa uśmiechnęła się szeroko.

– Hej, Chet. Moja mama i twój tata będą żyć w grzechu, a my będziemy rodzeństwem z konkubinatu. Skandal!

Chet uśmiechnął się niepewnie i spojrzał na ojca.

– Naprawdę, tato?

– Jeżeli Kathleen nas zechce – odpowiedział i popatrzył na nią, spodziewając się jakiegokolwiek

oznaki przyjemnego zaskoczenia.

Kathleen odwróciła wzrok.

Wolał nie ryzykować. Nie został na miejscu, by obejrzeć skutki eksplozji, tylko w pośpiechu wycofał się do nowej kryjówki: szarej, nie oświetlonej klitki przy Wooster Street, niewiele różniącej się od tej, którą opuścił rankiem. Następnie spędził kilka godzin, doskonaląc umiejętność przyklejania małych wąsików znakomicie pasujących do czarnej peruki, którą mu dostarczono. I właśnie kiedy uznał, że efekt jest zadowalający, usłyszał w radiu relację:

– „Jedna osoba nie żyje, ale jej tożsamości jak dotąd nie ujawniono...”

Przyszło mu do głowy, że znowu spała robotę.

– Spokojnie – powtórzył kilkakrotnie, słuchając warkotu wiertarek udarowych dobiegającego z ulicy. Wiedział, że prędzej czy później dowie się, czy wykonał zadanie, i że nic więcej nie może w tej chwili zrobić. Jeżeli Steele został zlikwidowany, na liście znajdowały się już tylko trzy nazwiska i wypadało skupić się właśnie na nich.

Przebrał się w zielony strój sprzątacza sali operacyjnej, włożył kurtkę i wyszedł.

Mimo wzmożonej aktywności glin wślizgnięcie się do szpitala nie sprawiło mu wielkiego problemu. Funkcjonariusze obstawili przede wszystkim główne wejścia, sprawdzając tożsamość pracowników przychodzących na kolejne zmiany i wszystkich odwiedzających. On jednak znał inne sposoby na wejście do budynku; pamiętał obowiązujące procedury i umiał je wykorzystać.

Pralnia. Odbiór o siódmej, dostawa o siedemnastej. Ciężarówka zjeżdża tyłem do szpitalnych podziemi i staje przy rampie, stałym miejscu spotkań najbardziej zatwardziałych palaczy – tych, którzy nie umieją wytrwać do przepisowej przerwy bez choćby kilku rozpaczliwych haustów papierosowego dymu. Tacy jak oni wypatrują raczej przełożonych niż intruzów, myślał.

Kilka minut przed siedemnastą stanął na chodniku Trzydziestej Trzeciej Ulicy i sam zapalił papierosa, przyglądając się, jak wóz z praniem cofa pomału i zjeżdża w dół, ku wielkiej bramie z blachy falistej. Kiedy kierowca dał sygnał klaksonem i drzwi otworzyły się z chrzęstem, po prostu wszedł do środka. Palacze o ziemistych twarzach odsunęli się grupą jak spłoszone myszy, gdy pojazd zaczął wjeżdżać do podziemia. Nikt nawet nie spojrzął na człowieka, który wśliznął się obok.

– Mój Boże, pani siedzi! – powiedział McKnight, gdy zajrzał do Kathleen i zobaczył ją siedzącą na krześle.

Odpowiedziała ledwie zauważalnym uśmiechem. Wpływ grawitacji podkreślał – nieuniknioną przy sztucznym odżywianiu – utratę masy ciała widoczną przede wszystkim za sprawą fałdów skóry pod kośćmi policzkowymi.

Richard stał za jej plecami doskonale świadomy faktu, że Kathleen nie tyle siedzi sama, ile jest przypięta do krzesła, i że to jej trzecia dziesięciominutowa sesja tego dnia. Widział, jak siostry ustawiały ją w tej pozycji i jaka była cena tego ćwiczenia: mięśnie grzbietu Kathleen, targane skurczami, przeżyły się pod skórą jak postronki. Raz po raz z rurki pod brodą chorej wydobywały się stłumione jęki, a jej twarz wykrzywił grymas ogromnego bólu. Jednak cały czas Kathleen nie spuszczała Richarda z oka; czuł się tak, jakby leżał pod mikroskopem. Badała jego reakcję, chciała wiedzieć, czy zniesie to, co widzi, czy może ucieknie, jak zrobił to kiedyś. Bóg jeden rozumiał, że miała prawo wątpić.

Wyglądała na wyczerpaną, kiedy podnosiła z kolan prawą rękę i samodzielnie zasłaniała rurkę sterczącą z tchawicy. Ruch ten wymagał znacznie większego wysiłku niż jego odmiana wykonywana w pozycji leżącej, lecz gdy Richard pochylił się, żeby jej pomóc, odpędziła go stanowczym ruchem głowy.

– Kazali mi... używać mięśni – odezwała się z irytacją. – O ile mam... jeszcze jakieś.

McKnight gwizdnął z uznaniem.

– Twarda z pani kobieta – powiedział. Wstawił do klitki drugie krzesło i zasunął za sobą białe parawany, jakby dzięki temu rozmowa miała mieć bardziej prywatny charakter. – Gdzie dzieci? A skoro już o nich mowa – dodał, rozglądając się – to gdzie moja policjantka?

– Zabrała Cheta i Lisę do bufetu na kolację – odparł Richard.

– Rozkazałem jej nie odstępować ani na krok doktor Sullivan...

– A ja zmusiłem ją, żeby poszła z dziećmi, więc to moja wina. Niech pan lepiej powie, o co chodzi z tym Legionem Pana. – Steele nie miał ochoty dłużej czekać.

Jego stanowczość zaskoczyła McKnighta. Detektyw spuścił głowę i przez moment wpatrywał się w niego tak, jakby chciał powiedzieć: „Uważaj, do kogo mówisz”. Potem pochylił się w stronę Richarda i Kathleen i rzekł:

– Najpierw muszę państwu zadać osobiste pytanie – szepnął.

Steele nie przypominał sobie, by zwalisty policjant kiedykolwiek mówił tak cicho. Zazwyczaj słyhać go było w każdym kącie pomieszczenia, w którym się znajdował.

– Zgoda – odparł Richard. – Najpierw mi.

– Czy kiedykolwiek brał pan udział w zabiegach aborcyjnych?

– Co?!

– Ciszej – syknął McKnight, przyciskając palec do ust.

– Chodzi panu o przerywanie ciąży z przyczyn medycznych?

Policjant skinął głową.

– Nie. Co najwyżej asystowałem przy paru jako rezydent, dwadzieścia lat temu. Dlaczego pan pyta?

– A może publicznie wspierał pan organizacje domagające się prawa wyboru dla kobiet? Uczestniczył pan w marszach czy innych formach protestu?

– Nie.

– A uważa pan, że wypowiadał się na ten temat dobitniej niż inni lekarze z oddziału nagłych wypadków?

– Nie, choć może jako szef jestem bardziej widoczny. Z całą pewnością jednak dzieliłem się swoimi poglądami z rezydentami.

– A jakie to poglądy, jeśli wolno spytać?

– Takie, że to sprawa czysto medyczna, między kobietą a jej lekarzem. A co, do ciężkiej cholery, ma to wspólnego z tym wszystkim, co się wydarzyło?!

– Proszę z łaski swojej wytrzymać jeszcze chwilę. – McKnight zwrócił się teraz do Kathleen. – A pani, doktor Sullivan? Czy pani nazwisko może być kojarzone z klinikami aborcyjnymi lub przypadkami usuwania ciąży?

– Nigdy nie wypowiadałam się... publicznie na ten temat... ale oczywiście zgadzam się... z Richardem... że kobieta... w niechcianej ciąży... ma prawo do bezpiecznego wyboru... Co nie

znaczy... że zadawałam sobie trud... głoszenia takich poglądów.

Detektyw wyprostował się na krześle i potarł palcami czoło.

– To bez sensu – mruknął i przez chwilę mamrotał coś niewyraźnie.

Steele nie wiedział nawet, czy policjant mówi do siebie, czy do nich.

– Proszę, niech pan nam wreszcie powie, o co chodzi – zażądał, gotów nawrzeszczyć na gliniarza, jeśli raz jeszcze powróci do niedorzecznych pytań.

McKnight znowu pochylił się w stronę Richarda i Kathleen, tym razem siedząc na samym skraju krzeselka.

– Pamiętają państwo tę klinikę aborcyjną w East Village, którą wysadzono w powietrze dwa lata temu?

– Boże, oczywiście, że tak – odparł Richard, zaskoczony, że McKnight ni stąd, ni zowąd przypomina to koszmarnie wydarzenie. Wybuch nastąpił w nocy, a jedyną ofiarą była sprzątaczką, która przebywała w budynku po godzinach. To, co z niej zostało, przywieziono na oddział nagłych wypadków. Była niemłodą kobietą. Jej syn mówił w kółko o tym, że nie miała nic wspólnego z polityką czy aborcjami, a nawet że nie popierała kontroli urodzeń w ramach małżeństwa – jakby to mogło ją ocalić. Została praktycznie żywcem odarta ze skóry, ponieważ dranie, którzy podłożyli ładunek, wypchali bombę gwoździami... A jednak przeżyła jeszcze trzy dni. Trzeba było cały czas utrzymywać ją pod narkozą, aby nie krzyczała z bólu. – Chyba nie chce pan powiedzieć, że... – Steele urwał. Dziwny chłód ścisnął go za gardło.

– Obawiam się, że tak. Ktokolwiek przeprowadził tamten atak, użył rurki wypchanej gwoździami i plastikiem. Odpalił tę bombę pilotem, wykorzystując samochodowy układ zdalnego sterowania centralnym zamkiem. Mallory wiedział o tym, ponieważ zajmował się tamtą sprawą. Cholera, pracowało nas nad nią ze stu, bo baliśmy się, że to początek kampanii terrorystycznej. Podobne ataki nastąpiły w Bostonie, Seattle i Los Angeles. Nikt jednak nie przyznał się do ich przeprowadzenia. Dopiero później, gdy w Internecie pojawiły się artykuły grupy nazywającej się Legionem Pana, nawołujące do aktów przemocy wobec klinik aborcyjnych i wychwalające zalety bomb tego typu, zrozumieliśmy, z kim mamy do czynienia.

– Jezu – szepnęła Kathleen. – W zeszłym roku... widziałam film... dokumentalny o nich... To banda ohydnych psychopatów... którzy mają wszystko... przeciwko niezależności kobiet... i nic przeciwko zabijaniu.

– Twierdzi pan, że facet, który na nas poluje, należy do tej grupy?

– Musimy poważnie wziąć pod uwagę taką ewentualność. Sukinsyna, który zaminował klinikę w East Village, nie złapaliśmy, ale mam już wstępny raport z laboratorium dotyczący ataku na pański dom. Ten, kto podłożył u pana swój mały prezencik, wypchał rurę identycznymi dziesięciocentymetrowymi gwoździami jak te, które znaleźliśmy w klinice.

– Ale dlaczego jakiś antyaborcyjny maniak miałby prześladować akurat mnie?

– I mnie? – wtrąciła Kathleen.

– Albo Hamlina i Lockmana? – dorzucił Richard.

– Jak powiedziałem, w waszym przypadku ataki wydają się pozbawione sensu. Jeśli Hamlin i Lockman nie uczestniczyli skrycie w wykonywaniu aborcji, oni także nie pasują do schematu. Ta organizacja nie poluje na lekarzy, którzy nie angażują się bezpośrednio w przerywanie ciąży. Trzeba jednak pamiętać, że owo „angażowanie się” nie musi być zbyt znaczące. Kilka lat temu

zastrzelili w Rochester ginekolog, która prawie wcale nie wykonywała aborcji, a jeśli już, to w szpitalu, na oddziale położniczym. – McKnight wzruszył ramionami. – Z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Chwileczkę – odezwał się Richard. – To była akcja tej samej grupy? – Ta sprawa odbiła się szerokim echem w całym kraju. Ginekolodzy we wszystkich stanach zaczęli nosić kevlarowe kamizelki.

– Bardzo trudno się dostać do tych typków. Nie wyznaczają przywódców i nie prowadzą list członków, a spotykają się wyłącznie w Internecie. Wydaje się, że nikt nawet nie wydaje rozkazu ataku. Po prostu zachęcają podobnych sobie, przesiąkniętych nienawiścią aktywistów do prowadzenia działań na własną rękę. Nazywają siebie „żołnierzami”, ale dla mnie to przede wszystkim tchórze. To, co robią, jest w gruncie rzeczy miejską partyzantką. I dlatego są tacy nieuchwytni.

Kathleen uniosła rękę, żeby zatkać wylot rurki.

– Czy to możliwe... że wzięli nas na cel... przez pomyłkę?

– Biorąc pod uwagę konsekwencję napastnika, który zaatakował doktora Steele’a po raz drugi, raczej nie. Nie mam wątpliwości, że poluje na was.

– A czy mogło być tak... że skopiował bombę rurową... nie mając nic wspólnego... z Legionem Pana?

– Mogło, ale to mało prawdopodobne. Z oczywistych powodów żaden z wydziałów policji prowadzących tamto śledztwo nie publikował szczegółów budowy bomby. Gwoździ tego typu też nie reklamowaliśmy w Internecie. Możliwe jest natomiast, że sprawca ostatnich wydarzeń był kiedyś członkiem Legionu albo dobrze znał kogoś z tej grupy.

– Teraz rozumiem, dlaczego tyle gadał o „niszczycielach bożego nasienia” i „zabójcach bożych niewinątek” – mruknął Richard.

– Tylko o co mu chodzi? – spytał McKnight. – Dlaczego nie zajął się sprawą pasującą do antyaborcyjnej działalności jego grupy, a skupił się na tajemniczym procederze Hamlina i Lockmana?

Richard zobaczył nagle grupę wykrzywionych złością twarzy. Zwłaszcza jedna z nich przykuła jego uwagę.

– Paul Edwards – powiedział głośno.

Zmarszczki na czole detektywa pogłębiły się nieco.

– Kto? – spytał.

Ale Steele był już myślami gdzie indziej.

– Do diabła! – mruknął, nareszcie uświadomiwszy sobie, co mogło łączyć lekarzy, których widział przy jednym stole w bufecie. I co mogli zrobić Kathleen. I skąd się wzięły przypadki cudownych uzdrowień. I dlaczego Legion Pana prześladował akurat tych ludzi.

– Chyba już wiem – powiedział, nie mogąc uwierzyć, że wreszcie odkrył ten element układanki, który być może pozwalał zestawić ją w logiczną całość. Domyślał się nawet, co mogły oznaczać witki pozostawiane przez zabójcę na miejscu zbrodni.

– Słucham? – odezwał się McKnight, spoglądając na Steele’a z rosnącym zaciekawieniem.

Kathleen wpatrywała się w Richarda równie intensywnie.

Zatopiony w myślach, pospiesznie analizował każdą możliwość, by zweryfikować swą

hipotezę. Czy pasowały do niej działania Hamlina? Czy pasowały dane z kart pacjentów? Co mogli zyskać kardiolog, specjalista od rehabilitacji i szef ginekologii mający do dyspozycji cały oddział? Kawałek po kawałku odkrywał obraz sytuacji... i wszystko się zgadzało!

Ale jak zdobyć dowody? Jak przekonać innych do poważnego potraktowania tej teorii?

Tego na razie nie wiedział.

Miał za to pomysł na jeszcze jeden test sprawdzający jej słuszność.

Możliwe, że było to zbyt mało, by skłonić McKnighta do działania, ale na pewno wystarczyło, by zachęcić do sprawdzenia hipotezy jeszcze jedną osobę w szpitalu. Steele wiedział już nawet kogo.

– Zostańcie tu! – rozkazał. – Muszę coś sprawdzić.

– Zaraz, zaraz. Nie powinienem iść z panem? – zaproponował detektyw.

– Nie! – odchrząknął przez ramię Richard. – To sprawa między lekarzami.

A potem wybiegł z sali, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami McKnighta i Kathleen Sullivan.

Rozdział 15

Paul Edwards siedział za biurkiem, wpatrując się w mahoniową postać ciężarnej. Dostał tę rzeźbę przed dwudziestoma trzema laty od męża jednej z pacjentek. Facet nazywał się Prillo i dziesięć lat starał się o potomstwo. Leki na niepłodność były w owym czasie mało skuteczne, a technika *in vitro* – w fazie eksperymentalnej. Prillo błagał, by wypróbować na jego żonie coś nowego, a na poparcie swoich słów przesunął po stole kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów.

Obietnice „czegoś więcej” skłoniły Edwardsa do zainteresowania się sprawą, a parę telefonów do znajomych wystarczyło, by nawiązać kontakt z młodym badaczem, który pracował nad metodą chirurgicznego wydobywania komórek jajowych z jajników. Kilka miesięcy później James Norris pomógł mu przy udanym zapłodnieniu jajeczka pani Prillo spermą pana Prillo i wprowadzeniu połączonych komórek do macicy. Niestety, „coś więcej” okazało się tylko rzeźbą, ale gdy Edwards zobaczył, że dumny ojciec przybył wyrazić wdzięczność w towarzystwie licznych „wujków” nowo narodzonego dziecięcia – kilkoma czarnymi limuzynami i w strojach jakby żywcem wziętych z planu musicalu *Guys and Dolls* – postanowił zachować rozczarowanie dla siebie.

Mimo to pan Prillo wyczuł jego zawód.

– Moim zdaniem, doktorze – powiedział, pochylając się nad biurkiem i opierając ciężar ciała na największych i najbardziej włochatych łapskach, jakie ginekolog w życiu widział – ten numer z zapłodnieniem, który wykonał pan dla mnie, opłaci się panu jak diabli.

I tak się stało.

Dobre czasy trwały do lat dziewięćdziesiątych, kiedy to prywatne kasy chorych zaczęły na nowo ustalać finansowe ramy leczenia, wypowiadając wojnę lekarzom w ogóle, a gwiazdom technik sztucznego zapładniania w szczególności. Honoraria spadły gwałtownie, czasem zaś w ogóle nie były uiszczane. Bez względu na to, ile zarabiał w szpitalu, ile zdobywał grantów i nagród okolicznościowych, jego dochody nie zbliżały się nawet do stratosferycznych wyżyn, do których przywykł przez lata. Dlatego też rozszerzył współpracę z Jimmym Norrisem i właśnie był tak bliski czegoś, co mogło się okazać najbardziej zyskownym przedsięwzięciem w historii medycyny.

Tyle że teraz musiał to wszystko rzucić i uciec. Tej nocy.

Po południu, o siedemnastej trzydzieści, do jego biura wpadła Mabel Brown, sekretarka.

– Paul – szepnęła. – Słyszałeś najnowsze plotki?

Mabel, jak zawsze ubrana w kombinezon o jaskrawych barwach – wojskowy drelich w wersji *haute couture* – była żołnierzem w stopniu porucznika, zanim podjęła pracę w służbie zdrowia. Edwards miał wrażenie, że siłą nawyku zachowuje się tak, jakby wciąż miała do czynienia z sytuacjami kryzysowymi. Nawet najbardziej błahe informacje przekazywała w taki sposób, w jaki na wojnie krzyczy się „Padnij!” Rzadko jednak jej dramatyczne zapowiedzi zwiastowały prawdziwe nieszczęścia, więc i tym razem nie spodziewał się bomby.

– Policja podejrzewa, że ataków na doktora Steele’a dokonała ta sama grupa antyaborcyjna, która wysadza w powietrze kliniki.

Edwards poczuł ucisk w żołądku.

– Co?!

– Mówili: „LP, czyli Legion Pana”. Podobno ci sami maniacy zamordowali Lockmana i

Hamlina.

– Przecież to bez sensu – zaprotestował, próbując ukryć jakoś przerażenie, bo w istocie taki scenariusz miał sens. Przerażający sens. – Steele nigdy nie miał nic wspólnego z aborcjami. Pozostali dwaj zresztą też nie.

– Może ta banda sądziła, że mieli? Wyszczepianie klinik to czyste wariactwo, dlaczego więc w innych sprawach ci maniacy mieliby wykazywać większą logikę? Biorąc pod uwagę, ile zamrożonych embrionów trzymasz w klinice leczenia niepłodności, to prawdziwy cud, że ktoś tu jeszcze nie wparował i nie rozprawił się z nami.

– Mabel, co chcesz przez to powiedzieć?! – spytał ostro, zdjęty strachem, że sekretarka odkryła prawdę o jego praktykach.

– Och, wiem przecież, że tacy jak oni powinni nas kochać za to, że pomagamy dzieciaczkom przyjść na świat, a nie zabijamy ich, ale skoro tak wiele mają przeciwko wykorzystywaniu embrionów do celów badawczych...

– Jakich celów badawczych? – Ledwie wypowiedział to pytanie, już pragnął je cofnąć. Stanowczo zbyt ostro reagował. Mabel nie mogła wiedzieć, że zaopatrywał Norrisa.

– Przecież wiesz, Paul. Mówię o społecznych kontrowersjach wokół pozyskiwania komórek macierzystych z embrionów. Skoro w okolicy grasują członkowie z Legionu Pana, kto wie, co może strzelić im do głowy.

Boże, domyśliła się. Ale jakim cudem? – zachodził w głowę Edwards.

– Ależ my nie prowadzimy żadnych eksperymentów z embrionami – stwierdził naiwnie, starając się panować nad głosem.

– Ja o tym wiem i ty o tym wiesz, ale cały świat myśli tylko o tym, że kliniki leczenia niepłodności rutynowo zaopatrują laboratoria w embriony, które i tak zostałyby zniszczone. To, że my tego nie robimy, raczej nie powstrzyma żadnego wariata przed rozwaleniem nas ot tak, żeby zmanifestować swoje poglądy. Wystarczy im to, że mamy możliwości pozyskiwania komórek macierzystych z embrionów. Dlatego mamy takie same szanse wylecieć w powietrze jak każda podobna placówka.

Od tej rozmowy minęło dwadzieścia minut. Kiedy sekretarka wyszła, Edwards znowu został sam na sam z myślami, tyle że teraz koszula lepiała mu się do mokrych od potu pleców. Gdyby policyjne plotki okazały się prawdą, byłby trupem, ponieważ fanatycy z Legionu Pana mogli się dowiedzieć o Hamlinie i Lockmanie z dobrze poinformowanego źródła.

Od kogo? Oczywiście od tej suki Downs. Zamiast dogadać się z glinami, jak już groziła, wolała napuścić na współpracowników sforę wściekłych psów. Zapewne wydawało jej się, że nikt nie będzie jej ścigał, gdyż od dawna już nie wykorzystywała ludzkich embrionów.

– Podła, krwiożercza pizda!

Edwards podniósł słuchawkę prywatnego telefonu i wpisał z pamięci jedenastocyfrowy numer. Godzinę później zakończył renegegowanie umowy z Fountainhead Pharmaceuticals. Odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta. Teraz pozostało mu jedynie ukraść zapasową kopię danych zebranych przez Norrisa i Downs, ukrytą w ich gabinecie w podziemiach budynku. Oczywiście pod warunkiem, że jeszcze jej nie przeniesiono. Z dokumentacji Hamlina zrezygnował, przekonawszy swych nowych partnerów z Fountainhead, że nie będzie potrzebna, ponieważ metoda zmarłego neurochirurga była nader zawodna.

Potem wypadło już tylko wrócić do domu, spakować się i z samego rana polecieć na wyspę – uzgodnione z kontrahentem miejsce, gdzie amerykańska policja, izba skarbowa oraz szurnięci terroryści nie mieli prawa go odnaleźć.

Jego personel, łącznie z Mabel, miał już tego dnia wolne, ale Edwards wolał poczekać jeszcze kilka godzin. Wiedział, że niektórzy badacze mają skłonność do nocnego czuwania nad swymi dziełami, podobnie jak niektórzy rodzice czuwają nad dziećmi. Mając sporo wolnego czasu, wymknął się na parking i wyjął z bagażnika swego wozu łyżkę do opon. Tej nocy zamierzał dokonać włamania.

godzina 19.30

dział badania komórek w nowojorskim szpitalu miejskim

Ralph Coady przycisnął oczy do okularu mikroskopu. Dość szybko zdołał ustawić ostrość tak, by dwa okrągłe obrazy połączyły się w jeden, a wtedy zobaczył coś, co wyglądało jak mata upleciona z cienkich włókien czerwonego mięsa. Mięsa, które pulsowało, kurczyło się i rozciągało w rytmie pracy serca.

– Co to jest? – spytał, spoglądając na Francescę Downs.

– Ty odpowiedz, Jimmy.

Uczony pstryknął przełącznikiem i obraz z mikroskopu pojawił się na zamontowanym obok monitorze.

– To sprawne ludzkie serce, Ralph. Zupełnie nowe, wyhodowane na płytce Petriego – powiedział. Tym razem jego głos brzmiał raczej obojętnie, zwłaszcza w porównaniu z entuzjazmem, który towarzyszył ich pierwszej rozmowie. – Słyszałeś kiedyś o komórkach macierzystych?

– Nie jestem pewien. Brzmi znajomo.

– To komórki embrionu mające zdolność przekształcania się w dowolną tkankę ludzkiego organizmu: serce, mózg, wątrobę, płuco, krew, kość, co tylko zechcesz. One to potrafią.

– Tak, teraz sobie przypominam – rzekł Coady. – Pisali o tym we wszystkich gazetach. Można będzie hodować nowe organy, zapomnieć o starości... – Urwał ogarnięty nagle falą podniecenia. – Jasny gwint! Czy możecie wyhodować dla mnie nowe serce? Norris, do tej pory raczej poważny, zachichotał z cicha.

– Nie, na razie nie, ale tak samo jak hodujemy komórki w tej kulturze, możemy wyhodować w tobie nowy fragment mięśnia sercowego.

– Widzisz, Ralph – odezwała się Downs – atak serca blokuje dopływ krwi do pewnej części mięśnia sercowego, powoduje jej obumarcie i powstanie sztywnej tkanki bliznowej. Jeżeli takiemu uszkodzeniu ulegnie odpowiednio duży obszar ściany serca, przestaje ono działać jak pompa. To dlatego w twoim płucu zebrał się płyn.

– Tak jak ścieki zalewają piwnicę, kiedy walnie zbiornik z pompą.

– Właśnie – przytaknęła z uśmiechem Francesca. – Tyle że w twoim przypadku wystarczy dawka komórek macierzystych wprowadzonych do blizny. Nowa tkanka połączy się ze starą i będzie pracować w harmonii z resztą mięśnia sercowego. Skutki ataku, który przeżyłeś, zostaną poważnie ograniczone, jeśli nie w stu procentach usunięte.

– Żartuje pani – szepnął Coady, wodząc oczami od Downs do Norrisa i z powrotem.

– Nie żartuję. Już to robiłam. Eksperymentalnie, ma się rozumieć. Na myszach. Możesz być moim pierwszym oficjalnym ludzkim pacjentem. Wierz mi, Ralph, wiem, co robię.

– Potrzebna będzie operacja?

– Nic, czego byś już nie doświadczył. Nie wdając się w szczegóły techniczne, mogę powiedzieć, że wprowadzimy do jednej z tętnic specjalny cewnik, taki jakiego użyłam poprzednio, kiedy „zabawiałam się w hydraulika”. Tym razem jednak, kierując się obrazem rentgenowskim, wstrzyknę porcję komórek macierzystych wzdłuż krawędzi uszkodzonej tkanki mikroskopijnymi igłami.

– Ale jakim cudem to działa? Mówiliście przecież, że te komórki mogą się stać wszystkim. Dlaczego więc nie miałyby się zmienić w kość albo trzecią stopę w samym środku mojej klatki piersiowej?

Francesca Downs uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a w jej oczach zapaliły się iskry niekłamane zachwyty.

– To właśnie jest cud komórek macierzystych, Ralph. Wygląda na to, że one same wiedzą, co mają robić.

– Ale jak?

– Istnieje kilka teorii na ten temat. Pozwól, że wyjaśnię to tak... Pamiętasz tę wielką fetę mniej więcej rok temu, kiedy ogłoszono zakończenie prac nad ludzkim genomem?

Coady wyraźnie spochmurniał.

– Tak. Obiecywali wielki przełom w medycynie, a potem wyszła na jaw cała prawda. Miną dziesięciolecia, zanim naprawdę uda się wykorzystać to odkrycie. Chyba nie powiecie mi, że z tymi komórkami macierzystymi będzie tak samo? Nie po tym, jak rozbudziliście we mnie nadzieję.

– Nie, Ralph. Ale jeśli chcesz zrozumieć, skąd komórki macierzyste wiedzą, co mają robić, musisz poznać jedną z największych niespodzianek, które wyszły na jaw dzięki badaniu ludzkiego genomu. Tę mianowicie, że w ciele człowieka znajduje się zaledwie trzydzieści tysięcy genów.

– Owszem, pamiętam, że tak mówili. I co z tego?

– To za mało.

– Co proszę?

– Każda komórka w naszym ciele ma tę samą strukturę genetyczną. Mimo to, jak już mówiliśmy, jedne komórki stają się tkanką serca, inne kością, a jeszcze inne skórą. Jednak dokładne instrukcje budowy komórki mózgowej, sercowej czy nerkowej są tak złożone, że w żaden sposób nie da się ich zawrzeć w kodzie trzydziestu tysięcy genów, którym dysponujemy. Te informacje muszą pochodzić z innego źródła. Uważamy, że są zawarte w komunikatach wysyłanych przez komórki znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie.

– Jak to?

– Komórki mięśnia sercowego każą komórkom macierzystym, które znalazły się w pobliżu, stać się nowymi komórkami serca. Tkanka mózgowa każe tym, które znajdują się nieopodal, stać się mózgiem. Co więcej, polecenia te są najprawdopodobniej przenoszone w substancjach chemicznych uwalnianych przez uszkodzone komórki. Sądzymy, że jest to coś w rodzaju wołania o pomoc, które przyciąga nowe komórki w te miejsca, w których naprawa jest najbardziej potrzebna. Tym sposobem komórki macierzyste wiedzą „dokąd pójść i co robić”. W efekcie mamy do

czynienia z wewnętrznym mechanizmem regeneracyjnym, a nasza rola ogranicza się do wykorzystania go do własnych celów.

– Mój Boże – mruknął Coady. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przerazenie, które czuł, odkąd chwyciły go te straszne bóle w piersi, jakby zelżało. Próbował coś powiedzieć, lecz ulga była tak wielka, że mimo woli się rozplakał. – Przepraszam – rzekł po długiej chwili. – Ale kiedy myślałem, że jakaś część mojego serca obumarła, wydawało mi się, że już jestem prawie trupem. Dlatego teraz, kiedy dowiedziałem się, że można pokonać to, co pokonało mnie, że mogę znowu być cały... To tak, jakby można było cofnąć czas, znowu być młodym. – Otarł łzy. – Kiedy to zrobimy?

– Niestety, nie od razu – odparła Downs. – Musimy zaczekać, aż wygaśnie reakcja zapalna i zakończy się oczyszczanie martwej tkanki po ataku serca. Gdybyśmy tego nie zrobili, twoje makrofagi, białe komórki pełniące funkcję odkurzacza uprzątającego organiczne resztki, zaatakowałyby również komórki macierzyste.

– Ile to potrwa?

– Trzy miesiące powinny wystarczyć. Entuzjazm Coady’ego osłabł raptownie.

– Niech to szlag. – Przez moment nie odzywał się i można było odnieść wrażenie, że skurczył się nieco na wózku. – Mimo to... po tym wszystkim, co mi powiedzieliście... umowa stoi – rzekł wreszcie, wyciągając rękę, by przypieczętować porozumienie.

– Nie usłyszałeś jeszcze wszystkiego, Ralph – wtrącił Norris. – Zobaczymy się mniej więcej za sześć tygodni, kiedy odwiedzisz mnie, by zostawić próbkę szpiku z kości udowej.

– Co?

– To z niej otrzymamy komórki macierzyste, które będą nam potrzebne. Wyhoduję kilka pokoleń nowych, aby doktor Downs miała wystarczającą ich liczbę, kiedy nadejdzie pora na zabieg.

– Mówiliście przecież, że komórki macierzyste pochodzą z embrionów.

– Tak było w dobie pierwszych eksperymentów. Teraz jest inaczej... przynajmniej do naszych celów embriony nie są potrzebne. Używamy specjalnej odmiany komórek, tak zwanych komórek zrębowych, które u dorosłych znajdują się w szpiku kości udowej. Sprawdzają się doskonale.

– Może u myszy. Skąd wiecie, że u ludzi też się sprawdzą?

– Zaufaj nam – odparła Downs, mrugając porozumiewawczo i posyłając Coady’emu uśmiech, za który poszedłby do piekła i z powrotem. – Po prostu wiemy.

– Jesteś pewna, że powinniśmy to zrobić? – spytał Norris, kiedy Coady powrócił na oddział kardiologiczny. – Ten maniak z Legionu Pana może zapolować teraz na ciebie albo na mnie. – Odkąd wieść o drugim ataku na Steele’a obiegła po południu szpital, a policjanci zaczęli opowiadać pielęgniarce, że napastnik może być członkiem grupy fanatyków antyaborcyjnych, nie myślał o niczym innym.

– Spokojnie, Jimmy. Rozmawialiśmy już o tym – odpowiedziała cicho, idąc pewnym krokiem w stronę jego laboratorium.

– Nie widzisz, co się dzieje? Kimkolwiek jest ten facet, na pewno wziął nas na celownik. A może znasz inny powód, dla którego sprzątnął już Hamlina i Lockmana? Moim zdaniem, to Edwards lub Blaine próbują posprzątać po sprawie i pozbyć się świadków, nasyłając na nas tego

maniaka. Już widzę, jak aktywiści Legionu Pana mają pianę na ustach na samą myśl o badaniach nad komórkami macierzystymi, dokładnie tak samo jak na myśl o przerywaniu ciąży. Próbuja sterroryzować badaczy tak, jak wcześniej zastraszyli lekarzy.

– Tym bardziej powinniśmy podać do publicznej wiadomości przypadek Coady’ego, Jimmy. Powiedzmy światu, że nie używamy komórek z embrionów. Kiedy to zrobimy, ten dupek i jego kolesie będą nas po prostu kochać.

– Całkiem możliwe, że nie mamy nawet dziesięciu godzin, nie mówiąc już o dziesięciu tygodniach, jeżeli ten, kto nasłał tego typu na Hamlina i pozostałych, wskazał mu i nas.

– W takim razie ogłosimy wstępne wyniki. Urządzimy konferencję prasową na temat dobrodziejstw stosowania komórek zrębowych i powiemy, że próby na ludziach wkrótce się rozpoczną, ale zachowamy w tajemnicy nazwisko Coady’ego, bo nie ujawnia się danych pacjentów. Tym sposobem zapewnimy mu spokój do czasu, aż wróci do zdrowia, a wtedy będzie już po wszystkim. Podkreślimy, że ten rodzaj terapii nie wzbudza żadnych kontrowersji, ponieważ pacjent otrzymuje własne komórki, a zatem sprawa embrionów w ogóle nas nie dotyczy. Jeśli chodzi o samą technikę, możemy śmiało twierdzić, że to nic nowego: autotransfuzja, cewnikowanie naczyń wieńcowych i wprowadzanie mikroigieł do mięśnia sercowego. Żaden z tych zabiegów nie wymaga zgody Federalnej Agencji do spraw Żywności i Leków. To po prostu tylko nowe ich zastosowanie.

Norris raz jeszcze dał się przekonać jej uspokajającym argumentom. Boże, jak ona umie czarować, pomyślał.

– Trzeba będzie pokazać jakieś dane – stwierdził.

– Świetnie. Zbiorę moje niepublikowane dokumenty na temat badań na zwierzętach, ty zrób to samo. Trzeba będzie tylko je przejrzeć, żeby wyniki niektórych eksperymentów wyglądały na świeże. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowy. – Pocałowała go w pośpiechu i oddaliła się korytarzem w stronę własnego gabinetu i laboratorium badań na zwierzętach.

Jest taka pewna siebie, pomyślał Norris, podziwiając jej sprężysty krok, wysoko uniesioną głowę oraz biodra kołyszące się łagodnie pod zielonym kitem.

Tak łatwo ulegał jej woli, tak łatwo oddawał jej inicjatywę – i w łóżku, i poza nim. Uświadamiając to sobie, poczuł, jak pieką go policzki. Po dziesięcioleciach dryfowania pośród kobiet, które nie dorastały mu do pięt, znalazł wreszcie siłę życiową, która poniosła go i dała energię do wspólnego sięgania granic możliwości. Kochał ją za to. Uwolniła go od marazmu, w którym nurzał się przez większą część życia. Nigdy nie czuł się bardziej wyzwolony niż teraz, gdy znalazł się pod jej kontrolą – z wyjątkiem tych chwil, kiedy zostawał sam. Wtedy wyłaniały się z mroku dawne wątpliwości. Czy oszukiwał samego siebie, ufając Francesce? Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, a już zaczął myśleć o tym, co przed chwilą wydawało mu się niewyobrażalne: że Downs zachowuje zimną krew, ponieważ sama steruje zabójcą. Że może wysłać go do każdego, kto mógłby zeznawać przeciwko niej.

Nawet w takim przypadku nie będzie źle, pomyślał Norris. Przynajmniej dopóki jestem jej potrzebny i nie uważa mnie za niebezpiecznego świadka.

Serce Richarda pracowało w przyspieszonym rytmie. Ponownie tkwił w sali archiwum, tym razem przeglądając statystyki śmiertelności pacjentów Franceski Downs.

Wiedział, że prowadzone na całym świecie doświadczenia na myszach dowiodły już, iż

komórki macierzyste są zdolne do wszystkiego: od naprawiania uszkodzeń po sztucznie wywołanym udarze mózgu, aż po regenerowanie mięśnia sercowego zniszczonego przez symulowany zawał. Imponująca – przynajmniej na wstępie – poprawa stanu pacjentów Hamlina mogła sugerować, że neurochirurg stosował nielegalnie komórki macierzyste. W żadnych oficjalnych eksperymentach nie testowano jeszcze tej techniki na ludziach i nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego tak skuteczna jest na myszach. Naukowcy badający mózg sugerowali, że komórki macierzyste mogą sprzyjać regeneracji uszkodzonych tkanek przez dostarczanie do nich znanych substancji stymulujących zdrowienie, takich jak czynniki wzrostu albo cytokiny. Ci, którym udało się zademonstrować, jak komórki macierzyste formują nowy mięsień sercowy w miejscu starego, podejrzewali, że to zdrowa tkanka znajdująca się wokół martwych obszarów zawiaduje procesem odbudowy.

Już na górze, na oddziale intensywnej terapii, Steele uświadomił sobie, że jeśli Downs z powodzeniem implantuje pacjentom komórki macierzyste, jej statystyki powinny pokazywać równie imponującą poprawę jak u Hamlina.

I tak było.

Dane prezentowały się zbyt dobrze, by mogły być prawdziwe. Liczba kolejnych ataków serca nie przekraczała połowy średniej krajowej. Na czym polegał sekret?

– Francesco, będziesz się gęsto tłumaczyć – mruknął do siebie Richard.

Wiedział, że jest na właściwym tropie, ale gwoli ścisłości musiał się upewnić, czy nie ma innych powodów, dla których pacjenci Downs radzili sobie tak doskonale. Jakkolwiek było, niemal bez przerwy wprowadzano do użytku nowe leki. Steele postanowił przejrzeć karty pacjentów, tak jak zrobił to z dokumentami Hamlina.

Problem polegał na tym, że udrożnienie lub obejście niedrożnych naczyń wieńcowych było zabiegiem znacznie mniej pracochłonnym niż usunięcie zdeformowanych naczyń z mózgu. Poza tym, ataki serca zdarzają się mniej więcej tysiąc razy częściej niż udary mózgu wywołane naczyniakami. W przypadku Hamlina trzeba było przejrzeć osiemnaście teczek. W przypadku Downs – pięćset trzy.

– Jezu – jęknął Richard. – Ależ robota.

Mimo wszystko ruszył między regały, by odnaleźć stosowne teczki, tak jak poprzedniej nocy. Być może czułby się nieswojo, gdyby nie uzbrojony policjant stojący u drzwi oraz wrażenie, że znalazł ślad tajemnicy, której odkrycie mogło ocalić życie Kathleen.

* * *

Obudził się nagle w zupełnej ciemności. Minęło kilka sekund, zanim przypomniał sobie, gdzie jest.

Kiedy wśliznął się do szpitala, poszedł od razu do tego skrzydła podziemi, w którym mieścił się dział badań komórkowych – rozległy labirynt olbrzymich, niskich laboratoriów i ciasnych gabinetów. Mijając liczne otwarte drzwi, widział naukowców w białych kitlach, pochylonych nad stołami i biurkami, niepozornych w cieniu gór sprzętu badawczego, którym się otaczali. Nikt nie podniósł głowy, słysząc odgłos jego kroków.

Wnętrza zmieniły się trochę, odkąd przed dwoma laty przestał tu bywać, ale umiał odgadnąć, co działo się w poszczególnych pomieszczeniach. Na korytarzu przed jedną z sal stała ściana klatek.

W niektórych mieszkaly szczury, lecz tylko nieliczne z bialych gryzoni stawaly na tylnych lappkach i wtykaly ruchliwe rozowe nozdrza w oczka drucianej siatki, by obserwowac przechodzacego. Nieco dalej, na stalowym stole na kolkach, umieszczono butle z przezroczystym plynem, chloroformem, a takze wielki szklany slój i solidny zapas wacików.

Komora straceń, pomyslal mężczyzna.

W następnym pokoju zobaczył coś, co wygladalo jak zestaw malego chemika – szklane kolby polaczone spiralnymi plastikowymi rurkami, w których krązyl ciemnoczerwony plyn. Pośrodku instalacji znajdował się laboratoryjny szczur zawieszony w powietrzu jak mucha w pajęczej sieci. Z jego klatki piersiowej sterczaly dwie igly. Przez dolną ciemna krew odpływala do zestawu kanciastych maszyn. Górną jaśniejszy plyn powracal do punktu ponizej szyi gryzonia, zapewne do początku aorty i całego układu krążenia. Coś w rodzaju płuco-serca, pomyslal intruz, spoglądajac na aparature.

Za kolejnymi drzwiami ujrzał rzędy ław, a na nich mikroskopy, duze monitory i tace, na których półkuliście ułożono skalpele. W stolach z nierdzewnej stali widać bylo zagłębienia służące do preparowania zwierząt. Nic dodac, nic ujac, pomyslal.

W przyległej sali zobaczył wirówkę wielkości sporej beczki, stojaki z automatycznymi pipetami raz po raz sączącymi krople do naczyń laboratoryjnych oraz gaszcz przezroczystych spiralnych rurek, którymi cyrkulowaly barwne plyny trafiające ostatecznie do samoczynnych analizatorów. To był koniec linii produkcyjnej. Tu szczatki gryzoni, zredukowane do plynow, zdradzaly swe sekrety, a zawarta w nich prawda przelewana byla systematycznie na szerokie arkusze papieru w postaci cyfr opisujacych sklad chemiczny.

Za wahadłowymi drzwiami zaczynal się zespól pomieszczeń dla ludzi. W niewielkiej sali operacyjnej dostrzegł stół do badan pod srebrną lampą chirurgiczną oraz tace z instrumentami na blatach z nierdzewnej stali, przykryte sterylnymi zielonymi chustami. Obok pietrzyly się stojaki pełne probówek o czerwonych, pomarańczowych i niebieskich zatyczkach. Puste pojemniki na próbki ułożono w szklanych gablotach zawieszonych na ścianach. Okapy wywietrzników ciągnęly się przez całe pomieszczenie, pod nimi zaś pietrzyly się stosy plytek posiewowych wielkości sztonów do pokera. Po przeciwnej stronie korytarza stalo kilka zamrazarek. Mijajac je, poczul chłód.

Biura na koncu korytarza nie zmienily się ani troche. Dobrze znal wszystkie kąty tej części podziemi. Bez trudu znalazł otwarty magazynek naprzeciwko gabinetu Norrisa. Tam postanowil zaczekac na swą kolejną zdobycz.

Oczy zamykaly mu się same – nic dziwnego, skoro nie spal juz dwie i pół doby. Mimo wysilków od czasu do czasu przysypial, siedzac w ciasnej i ciemnej dziupli.

Teraz jednak ocknal się, zapalil kieszonkową latarkę i ze zgrozą spojrzal na zegarek. Dochodzila dwudziesta pięćdziesiąt. Spal ponad trzy godziny.

O Boze, wybac mi! Spraw, zeby nie bylo za późno, modlil się bezgłośnie.

Wiedzial jednak, że najprawdopodobniej jest za późno. Norris słynal z tego, że spedzal w laboratorium niemal cały czas, ale o tej porze z pewnością byl juz w domu. Zabójca postanowil, że zaczeka jeszcze chwile. Moze Pan mimo wszystko odda Norrisa w jego ręce?

Około dwudziestej pierwszej Paul Edwards uznal, że juz czas.

Wciaz jeszcze wsciekly na Downs cisnal rzeźbę, która stala na jego biurku od tysiac

dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, wprost na panele z ciemnego drewna zdobiące ścianę obok regału z książkami. Uderzenie było mocne i głośne, niczym cios pałką baseballową. Figura z głuchym łoskotem wylądowała na dywanie, pod sporym wgłębieniem w deskach.

Rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na zawsze opuszczanym włościom, doszedł do wniosku, że trzydziestocentymetrowa rzeźba jest bodaj jedynym przedmiotem, który chciałby zabrać ze sobą. Podniósł ją z podłogi i schował do neseseru. Wymknął się cichcem z gabinetu i skręcił ku najbliższej klatce schodowej. O tej godzinie szanse na spotkanie z kimkolwiek były tu zdecydowanie mniejsze niż przy windach.

Dotarłszy na półpiętro jednego z poziomów piwnicznych, ostrożnie wyjrzał za drzwi.

Pusto.

Wyszedł na słabo oświetlony korytarz i ruszył w stronę kompleksu laboratoryjnego, przy którym znajdował się gabinet Franceski Downs. Kroki niosły się echem po pustych przestrzeniach, ale skoro nie słyszał innych odgłosów, mógł bezpiecznie założyć, że w pobliżu nie ma żywej duszy, i darować sobie chodzenie na palcach.

Minał drzwi pomieszczeń wielu zespołów badawczych – między innymi działów wirusologii, bakteriologii i patologii – a wszystkie były zamknięte na glucho. Dochodząc do sal, w których dokonywano sekcji, przyspieszył kroku, lecz mimo to jego nozdrza podrażnił zapach formaldehydu, który prawie – tylko prawie – skutecznie zatarał słodkawy zapach rozkładu.

Dotarł wreszcie do drzwi z napisem DZIAŁ BADAŃ KOMÓRKOWYCH i posłużył się kartą identyfikacyjną, którą Norris dał mu w lepszych, bardziej ufnych czasach. „Tym sposobem będziesz mógł wchodzić tu i wychodzić o dowolnej porze dnia i nocy”, powiedział mu wtedy Jim. „Łatwiej ci będzie znosić tu tyle embrionów wykradzionych z twojego oddziału, ile tylko się da”.

I tak właśnie było. Edwards bywał tu o najdziwniejszych porach i dyskretnie deponował w zbiornikach z ciekłym azotem zamrożone na swoim oddziale drobiny nowego życia. Dzieci najwyraźniej lubiły przychodzić na świat nad ranem, toteż szef oddziału ginekologiczno-położniczego często pracował między północą a świtem. W przerwach między porodami bez trudu wymykał się na dół, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Norris pozyskiwał z embrionów komórki macierzyste i rozmnażał je, by nie zabrakło „surowca” dla Hamlina i Downs. Doświadczenie, które zdobył przy prowadzeniu tych kultur, sprawiło, że mógł się przerwucić na pobieranie i hodowlę komórek zrębowych, gdy tylko w prasie naukowej pojawiły się doniesienia o ich unikatowym potencjale. Postępy, jakie robili pierwsi pacjenci odesłani do instytutu Adele Blaine – między innymi dzięki jej agresywnym technikom rehabilitacyjnym – były doprawdy oszałamiające. Sprawy układały się tak doskonale, że cała szóstka szykowała się już do zajęcia odpowiednio eksponowanego miejsca w historii medycyny... i głównie z tego wyszło.

Gorycz porażki, w którą przerodziła się ich wielka szansa, uderzyła Edwardsa z nową siłą.

Dobrze, że przynajmniej znalazłem sposób na wyciągnięcie zysków z tego przedsięwzięcia, pomyślał.

Poczuł zimny dreszcz, gdy przeszedł obok komór z ciekłym azotem, w których swego czasu złożył tyle cennych zarodków.

Stanąwszy przed drzwiami gabinetu Downs, ostrożnie chwycił gałkę.

Były zamknięte, tak jak się spodziewał, a karta identyfikacyjna tutaj nie działała.

Zdjął kitel, owinął nim rękę i tak zabezpieczony, wybił szybę łyżką do opon. Szkło rozprysło

się na drobne kawałki, które z brzękiem opadły na linoleum.

Raz jeszcze przekręcił gałkę.

Pokój był równie surowy, wręcz ascetyczny, jak jego lokatorka. Wzdłuż trzech ścian piętrzyły się przeszklone gabloty z książkami ułożonymi tak starannie, że nawet najcieńsza broszura nie ważyła się stać inaczej niż na baczność. Na kilku metrach ściany po obu stronach progu, na którym przystanął Edwards, ciągnęły się szafy z aktami. Komputer Downs stał na pustym metalowym biurku. Poza nim jedynymi meblami w gabinecie były trzy skromne metalowe krzesła obrotowe obite czarnym płótnem.

Szukał zestawu płyt kompaktowych, na których Francesca uwieczniła szczegóły własnej techniki wprowadzania komórek zrębowych do ciał pacjentów. Widział je kiedyś, gdy prezentowała swoje osiągnięcia pozostałym członkom nieformalnej grupy, i wiedział, że powinny się znajdować w pudełkach z napisem REGENERACJA. Otworzył łyżką do opon najbliższą metalową szufladę i zerknął do środka.

Mnóstwo papierów i ani jednej płyty.

Zamki ustępowały z głośnym trzaskiem, kiedy badał jedną szufladę po drugiej. Niczego jednak nie znalazł.

Był już w połowie poszukiwań, kiedy usłyszał trzask szklanych odłamków pod czyimiś butami.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył ciemnowłosego mężczyznę o szerokiej twarzy i niewielkim wąsie. Zaniemówił, widząc, że wchodzący trzyma nad głową maczetę.

– Doktor Edwards – odezwał się tamten. Uśmiech, który pojawił się na jego ustach, sprawił, że twarz wydawała się jeszcze szersza. – Cóż za urocza niespodzianka. Jak dobrze, że nie będę musiał pana szukać.

Edwards usłyszał własny krzyk, lecz miał wrażenie, że dźwięk wydobywa się nie z jego gardła. Umilkł szybko i pojękując, zaczął cofać się odruchowo. Zderzył się z szafą i instynktownie uniósł łyżkę do opon, aby się bronić, lecz wciąż kulił się ze strachu.

Znam ten głos, pomyślał, zanim ostrze wystrzeliło w jego stronę. Spojrzał w dół, jakby nie wierzył w ten atak, i zmusił się do skupienia wzroku na owalnej ranie, która była teraz końcówką jego przedramienia. Gładka powierzchnia szybko zniknęła w powodzi czerwieni, a strugi krwi trysnęły wysoko w powietrze.

Znowu zaczął krzyczeć, rozsiewając rubinowe krople po ścianach i suficie. Kątem oka spostrzegł, że mężczyzna ponownie unosi broń i szybkim ruchem kieruje klingę ku jego szyi. Spróbował uniknąć połyskliwego ostrza, lecz nagle potężny błysk rozjarzył jego czaszkę, a mocne uderzenie tuż pod szczęką sprawiło, że zakreśliło mu się w głowie. To nie było cięcie, pomyślał z głęboką ulgą. Musiał trafić tępą stroną. Paul Edwards stwierdził też, że już nie krzyczy. Otworzył usta, żeby błagać o darowanie życia, lecz choć poruszał nimi, nie słyszał żadnego dźwięku. Bardzo dziwne, pomyślał, czując, że jaskrawe światło, które go oślepiało, ustępuje miejsca ciemności. Raz jeszcze, na chwilę, zobaczył gabinet i stwierdził, że leży na podłodze, wpatrując się w spoczywające obok bezgłowe ciało.

Rozdział 16

ten sam wieczór
środa, 27 czerwca, godzina 21.45

Bez względu na to, jak często pielęgniarki zmieniały ułożenie jej ciała, bolały ją wszystkie te miejsca, którymi dotykała materaca. Wykonując drobne ruchy niesprawnymi rękami i nogami, mogła zmniejszyć nieco ucisk, ale ból nie ustępował. Chciało jej się wrzeszczeć, bo stała się niewolnicą własnego ciała i rozkładu zajęć obcych ludzi. I wrzeszczałaby, gdyby nie to, że zanim uniosłaby rękę do szyi, wzięła oddech i zakryła wylot rurki, wybuch wściekłości zatraciłby swą spontaniczność. A skoro tak, to po co zadawać sobie trud?

Frustracja i gniew. Przygnębienie i szal. Wszystko to zwiększało produkcję adrenaliny, a adrenalina dawała impuls do działania. W obecności Adele Blaine Kathleen czuła przyływ optymizmu. Bez niej traciła rezon.

A Richard tylko pogarszał sytuację. Przez tę jego gadaninę o zamieszkaniu pod jednym dachem znalazła się w położeniu, w jakim wcale nie miała ochoty się znaleźć. Mamy grać szczęśliwą rodzinę, pomyślała ze złością. Właśnie, grać, bo przecież Kathleen-mamuśka nie umie samodzielnie jeść, nie pójdzie sama do łazienki, ba, nie potrafi nawet porządnie mówić! A Kathleen-kochanka nie może nawet... Poczuć czegokolwiek?

Jej oczy napęłniły się łzami, ale zapanowała nad sobą. Przeżywała huśtawkę nastrojów i z każdym „dołem” czuła, że znajduje się bliżej otchłani – czarnej i głębokiej, być może nawet bezdennej. Tam były już tylko bezradność i beznadzieja. A przecież lepiej czuć gniew niż totalną rozpacz.

Naprawdę była wściekła na Richarda. Owszem, był lekarzem, ale przecież nie mógł przewidzieć, jak będzie się zachowywał, kiedy przyjdzie mu pielęgnować inwalidkę. Być może byłoby nawet gorzej niż wtedy, kiedy umarła jego żona, ponieważ tym razem męka nie miałaby rychłego końca. Richard był teraz tak cholernie pewny, że musi zrobić to, co do niego należy, że nie dostrzegał – bo nie chciał dostrzec – rzeczywistości. Gdyby spróbowała odsunąć go od siebie, wykorzystałby cały swój wrodzony upór, by zostać przy niej. W jaki więc sposób mogła zwrócić mu wolność tak, aby to zaakceptował? Właśnie na to pytanie usiłowała znaleźć odpowiedź, popłakując cicho i obserwując białą zasłonę poruszaną podmuchami za każdym razem, gdy w pobliżu przechodziła któraś z pielęgniarek. Nadstawiała uszu, próbując wychwycić obco brzmiące kroki, ale na szczęście docierały do niej wyłącznie odgłosy typowe dla oddziału intensywnej opieki medycznej. Ciche popiskiwanie monitorów stało się dla niej tak oczywistą muzyką jak trele ptaków. Dobrze, że pielęgniarki nie widzą moich łez, pomyślała. Jest nadzieja, że wezmą mokre plamy na poduszce za skutek niekontrolowanego ślinienia się.

Wreszcie usłyszała szum rozsuwanych drzwi i szybkie, tak dobrze jej znane kroki. Richard okazał identyfikator policjantce stojącej przed kłitką i po chwili zasłony rozchyliły się. Kathleen dostrzegła na jego twarzy ślady zmęczenia.

– Chyba wiem, co ci zrobił Hamlin – walnął prosto z mostu. Uścisnął jej dłoń, a wolną ręką przyciągnął sobie krzesło. Tak, bez wątpienia był wyczerpany, ale jego oczy płonęły ekscytacją. –

Chodzi o komórki macierzyste.

– Co?

– Hamlin użył na tobie komórek macierzystych.

Kathleen spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Komórek macierzystych?

– Wprowadził ci je prosto do mózgu. Zastrzyk z komórek macierzystych. To dlatego robisz takie postępy.

Tym razem prawie nie zwróciła uwagi na to uznanie dla jej „postępów”, które na co dzień doprowadzało ją do szewskiej pasji.

– Komórki macierzyste? Z embrionów?

– Właśnie. Sprawa nie dotyczy jednak tylko Hamlina i Lockmana. Paul Edwards, szef ginekologii, prawdopodobnie dostarczał odpowiednich tkanek embrionów, a Francesca Downs, kardiochirurg, używała tego samego materiału na swoich pacjentach, tyle że ze stuprocentowym powodzeniem, o ile się nie mylę...

– Zwolnij... I zacznij od początku.

Richard pochylił się nad Kathleen i zniżył głos.

– Przejrzałem najwyżej pięćdziesiąt teczek jej pacjentów, ale już widzę pewną prawidłowość. Każdy z chorych, którzy mieli atak serca, poddawany był dodatkowej angiografii mniej więcej trzy miesiące po operacji. To ten sam zabieg, któremu pierwszej nocy poddano i ciebie: wprowadza się do tętnic wieńcowych cewnik i wstrzykuje przezeń barwnik, by sprawdzić, czy występują gdzieś zatory. Zupełnie normalna rzecz w leczeniu chorób układu krążenia, tyle że zazwyczaj kardiolodzy wykonują taki zabieg wtedy, gdy u pacjenta pojawiają się powikłania, na przykład dusznica czy bóle w piersi. Tymczasem z notatek wynika, że większość chorych, którymi opiekowała się Downs, w ogóle nie odczuwała bólu, a w żadnym wypadku nie był to ból narastający.

– Zatem?

– Francesca przeprowadzała niepotrzebne badanie, i to najprawdopodobniej za darmo. Żadna kasa chorych nie zapłaciłaby jej za takie zaglądnienie do arterii pacjentów. Co ciekawe, kiedy chorzy wracali mniej więcej po trzech miesiącach, w ponad połowie przypadków echokardiogramy wykazywały znaczący wzrost siły skurczowej uszkodzonego mięśnia sercowego.

– Co takiego?

– Niewydolność serca zniknęła! Moim zdaniem, podczas drugiej angiografii Downs wprowadzała komórki macierzyste, a one naprawiały uszkodzoną ścianę serca.

– Potrafią zrobić coś takiego?

– Na to wygląda.

– Niech no zgadnę... Dyżurnym radiologiem był Lockman?

– Tak jest.

– Zatem wiemy już... co siedzi w moim mózgu.

– Na sto procent.

– Ale dlaczego zwlekała... tak długo... z leczeniem sercowców?... Hamlin wziął mnie... na warsztat natychmiast.

– Nie wiem. Zastanawiałem się nad tym i przeglądałem karty, ale nic nie wymyśliłem. Odkryłem za to jeszcze jednego uczestnika tej gry.

– Kogo?

– Badacza komórek, niejakiego Jimmy’ego Norrisa. To outsider i rozpustnik, ale w świecie mikrobiologii jest jednym z czołowych ekspertów w hodowli tkanek. Któż lepiej niż on nadawałby się do współpracy? Wszyscy wiedzą, że od jakiegoś czasu jest kochankiem Downs, zatem mamy tu wyjątkowo blisko związanych ze sobą partnerów w interesach. Nazwisko Norrisa pojawiała się w kartach pacjentów, których Downs operowała w ostatnim roku. Odwiedził niemal wszystkich, i to nie w oficjalnej sprawie. Nikt nie prosił o konsultację i w zasadzie nie ma jasnego wytłumaczenia tego osobliwego zainteresowania. A jednak znalazłem parę notatek personelu oddziału i wiem, że Norris bywał u pacjentów. Dwie lub trzy pielęgniarki meldowały też, że pacjenci wspominali coś o dodatkowych badaniach w laboratorium doktora Norrisa, które mieli odbyć na życzenie doktor Downs mniej więcej sześć tygodni po opuszczeniu szpitala. W danych chorych z poprzedniego roku nie było żadnego śladu wizyt u Norrisa.

– Rozumiesz... coś z tego?

– Nie wiem jeszcze nic pewnego, ale założę się, że on zaopatruje ją w komórki macierzyste potrzebne do zabiegów.

– Dlaczego nie oskarżysz... całej trójki... Edwardsa, Norrisa i Downs... o stosowanie eksperymentalnych metod leczenia... bez zezwolenia władz... i zgody pacjentów?

– Nie mogę. To, że karty pacjentów pasują do mojej teorii, nie znaczy jeszcze, że mamy dowody. Francesca Downs może powiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym mówię, i że nie rozumie, od kiedy wybitne wyniki w leczeniu są przestępstwem. Trzeba przyznać, że jest bezpieczna, ponieważ na mój oddział nie trafił ponownie żaden z pacjentów, których ostatnio leczyła. Podejrzewam też, że nikt nie będzie narzekał, kiedy zapytamy go o zdrowie. Wszyscy mają się doskonale. Jeśli więc Downs i jej kumple będą trzymać język za zębami, nikt ich nie ruszy... No, może poza mordercą, bo żołnierze Legionu Pana najwyraźniej nie kochają tych, którzy zajmują się komórkami macierzystymi.

Kathleen z trudem ogarniała wszystko, co usłyszała, lecz mimo to zdołała dostrzec coś, o czym Steele zapomniał.

– Chyba że Francesca Downs... i ten cały Norris... oraz inni, o których mówiłeś... kontrolują poczynania zabójcy.

– Co?

– Po co... fanatyczny wróg... wykorzystywania komórek macierzystych... miałby próbować... zabić mnie w taki sposób... żeby nie pozostał ślad... tego, co ze mną zrobiono?... I dlaczego... ten sam maniak... miałby próbować zamordować ciebie... skoro tropisz tych... którzy manipulują... komórkami macierzystymi?... To właśnie Downs... i jej kumple... a nie żaden wariat... szukający sławy... mają powód... żeby życzyć nam śmierci... zanim ja zacznę zeznawać... albo ty odkryjesz ich tajemnicę... Więc powiedz im ode mnie... „Za późno, dupki”. Umilkła, w ciszy trawiąc wściekłość na arogancję Hamlina i ledwie słuchając głośnych rozważań Richarda. Z drugiej jednak strony to, czego próbował dokonać neurochirurg, nappełniało ją podziwem i w pewien przewrotny sposób także nadzieją. Kiedy Richard skończył, objął ją i pocałował w usta pierwszy raz od wielu tygodni. Wrażenie było cudowne, zwłaszcza że zupełnie nieoczekiwane. Ku własnemu zdumieniu Kathleen przyjęła ten gest z rozkoszą i poczuła coś, co – jak sądziła – umarło w niej raz na zawsze: pragnienie. Pragnęła Richarda, chciała być blisko niego i czuć na sobie jego dłonie, tak jak dawniej.

Przeraziły ją te myśli. Tysiące pytań przemknęły nagle przez jej umysł wraz z impulsem irracjonalnej nadziei. Wreszcie odepchnęła go i zmusiła się do wyłączenia tumultu emocji i myśli. Powróciła do rzeczywistości.

– Proszę cię, Richardzie... Muszę teraz pospać... To, co mówiłeś... jest szokujące.

– Nie martw się, Kathleen. W tej chwili komórki, które otrzymałaś, najprawdopodobniej pomagają ci wrócić do zdrowia. Jeżeli inni pacjenci Hamlina mogą być przykładem, to należy się spodziewać, że twoja rekonwalescencja zakończy się pełnym sukcesem.

Uwagi Kathleen Sullivan nie umknęło to, jak starannie Richard unika wzmianki o tych pacjentach, którzy powrócili do szpitala martwi. Być może był to wpływ ostatnich frustrujących dni, ale nie zamierzała puścić mu tego płazem. W gruncie rzeczy nie zamierzała puścić mu płazem niczego, co gryzło ją od chwili, kiedy dostała udaru.

– Jakim znowu sukcesem? – spytała. – To, co widzisz... nazywasz sukcesem?... Chciałbyś tak żyć?... A ściślej, czy gdybyś... był w takim stanie jak ja... chciałbyś mieć przy sobie... kogoś jeszcze?... I jak będziesz się zachowywał... czekając na wyrok... czekając, aż zjawię się tu... martwa w chwili przybycia?... Uciekniesz?

Steele zbladł.

– Kathleen, przysięgam, że cię nie opuszczę...

– Przysięgam... że cię nie opuszczę – powtórzyła drwiąco. – Daj spokój, Richardzie... Kto może wiedzieć... co będziesz czuł... patrząc na mnie... za kilka lat?... Niby dlaczego... miałabym... liczyć na cokolwiek?

– Kathleen, nie...

– Dlaczego nie? To jest rzeczywistość... koleś.

Steele wyglądał na udręczonego.

Patrzyła w milczeniu, jak kilkakrotnie przetyka ślinę, i wiedziała, że trafiła go mocno.

– Mamy jeszcze czas, żeby dowiedzieć się, dlaczego umarli inni pacjenci Hamlina – odezwał się wreszcie. – Może da się coś z tym zrobić. Czy jest coś złego w tym, że będziemy mieć nadzieję?

– Otwórz oczy, Richardzie... Wiesz, co jest w tym złego?... To, że nie zniosłabym... twojego strachu... tego, że krążyłbyś wokół mnie... jak strażnik pod celą śmierci.

Nie chciała atakować, ale wewnętrzna potrzeba była silniejsza.

– Ależ...

– Proszę cię! Pozwól mi spać.

W półmroku klitki cienie na twarzy Richarda pogłębiły się.

Chciała podnieść rękę i wygładzić każdą z jego zmarszczek, ale wiedziała, że nie uniesie ramienia tak wysoko. Być może nigdy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, dodała:

– Idź już... do dzieci, Richardzie... Potrzebują cię dziś... Policjanci zabrali je do hotelu... Zrób to dla mnie... McKnight mówił... że cię odwiezie... Masz do niego zadzwonić... Tylko nie pozwól... żeby przesłuchiwał cię zbyt długo... Chet i Lisa... są najważniejsi.

Spojrzał na nią zmieszany.

– Oczywiście – rzekł i pocałował ją delikatnie w policzek.

Nawet nie próbowała odpowiedzieć. Tak musi być, pomyślała. Nie mogę żywić fałszywej nadziei. Nie pozwolę, żeby rozdarła mnie na strzępy.

Znowu pokpił sprawę.

Idąc za Edwardsem, nie zauważył tabliczki na drzwiach.

Zobaczył ją za to, wychodząc.

Doktor Francesca Downs była jedyną osobą, której według rozkazu miał darować życie. Nie miał pojęcia dlaczego, ale instrukcje były jasne: „Nie rób jej krzywdy, niczego nie ruszaj w jej gabinecie, nie wciągaj jej w tę sprawę”.

A on właśnie w jej biurze pozbawił głowy jednego z grzeszników.

Chryste! Trzeba będzie ukryć ciało i posprzątać.

Spojrzał na zegarek.

To mogło potrwać prawie całą noc, ale miał czas. Dobrze, że jako były salowy znał się na czyszczeniu plam po płynach ustrojowych, a zwłaszcza krwi. Pracował tu przez lata, dlatego wiedział też, gdzie można ukryć ciało, by nie zostało odnalezione co najmniej przed początkiem następnego tygodnia.

Zabrał się do pracy.

wtorek rano, 28 czerwca

Norris jak zwykle drzemał w fotelu przed telewizorem, kiedy obudził go dzwonek.

– Odznaki? Nie mamy odznak. Nie potrzebujemy odznak. Nie muszę ci pokazywać żadnej śmierdzącej odznaki – powiedział do Humphreya Bogarta wielki gość w sombrero i z pasem z nabojami przewieszonym przez pierś.

Norris zignorował film i sięgnął po słuchawkę.

– Jimmy, przyjedź do mojego gabinetu.

W głosie Franceski słychać było przerażenie. Spojrzał na zegar stojący na telewizorze. Była siódma dziesiąta.

– Po co? Co się stało?

– Po prostu przyjedź.

Do szpitala dotarł w niespełna piętnaście minut. Ulice nie były jeszcze całkiem zatkane; musiał jedynie osłaniać oczy przed blaskiem słońca, które wstawało właśnie nad Queens na drugim brzegu East River.

Wchodząc do działu badań, nie zauważył niczego niezwykłego. Niektórzy z jego ludzi już pracowali. Dopiero kiedy zbliżył się do gabinetu Franceski, zauważył wybitą szybę w drzwiach, a ściślej arkusz białego papieru, którym zasłonięto otwór. Od razu pomyślał o tajnych danych zapisanych w komputerze i na płytach.

Gdy stanął przed drzwiami, pod podeszwami zazgrzytały mu drobiny szkła. Ktoś sprzątał tu w pośpiechu, ale nie zamiótł zbyt dokładnie.

– Kto tam? – spytała drżącym głosem Downs, nim zdążył zapukać.

– To ja.

Zamek trzasnął cicho i drzwi uchyliły się na tyle, że Norris dostrzegł w szparze dwoje brązowych oczu i bladą twarz Franceski.

– Szybko, wejdź do środka.

W powietrzu czuć było silny zapach płynu czyszczącego. Norris zauważył rząd otwartych

szuflad z aktami i ich pogięte zamki. Potwierdziło się zatem to, co podejrzewał: doszło do włamania. Najbardziej jednak zaniepokoiło go napięcie na twarzy Downs. Jej usta i policzki były sztywne, jakby stężały w wymuszonym uśmiechu.

– Tylko mi nie mów, że ktoś gwizdnął wszystkie nasze dane.

– Nie, raczej nie. Ktokolwiek to był, otworzył tylko kilka szuflad i, o ile się nie mylę, wszystko jest na miejscu. Poza tym nasze materiały były dobrze zaszyfrowane i wątpię, żeby komuś udało się złamać kod.

– Wszystko da się odszyfrować – odparł zaniepokojony jej naiwnością. Podeszedł do jednej z szuflad, otworzył ją do końca i dodał: – Musimy mieć pewność, że nic nie zginęło. Po co ktoś miałby się tu włamywać, jeśli nie po to, żeby zdobyć nasze raporty badawcze? Założę się, że to Edwards albo Blaine chcieli zagarnąć i spieniężyć naszą pracę. – Zajrzał do wnętrza szuflady, a kiedy przekonał się, że jest w niej tylko kilka papierów, otworzył następną.

– Uwierz mi, kompakty są bezpieczne. A tutaj wydarzyło się coś jeszcze, Jimmy. Coś znacznie gorszego. Czujesz ten zapach alkoholu izopropylowego?

Norris przerwał poszukiwania.

– Tak. Poczulem, gdy tylko tu wszedłem. Sterylizowałaś gabinet?

– Ktoś próbował, ale mu się nie udało. Przysięgam, że na spodzie biurka widać krople krwi. Są też na ścianach, w kątach, w szczelinach między kafelkami... wszędzie, Jimmy. Zdaje się, że ktoś urządził tu komuś krwawą łaźnię.

– Krwawą łaźnię – powtórzył oszołomiony Norris.

– Sam zobacz, do diaska! – syknęła, wskazując biurko.

Francesca nie zartowała. Jim uklęknął, by przyjrzeć się bliżej dwóm szarym prostopadłościom, które służyły jako nogi niezgrabnego mebla. Zobaczył smugi po niedawnym myciu, a także drobniutkie brunatne krople tuż za krawędzią blatu. Pochylił się bardziej i dostrzegł podobne ślady w szparach między białymi i czarnymi kwadratami linoleum. Wstał i podeszedł do szklanych drzwiczek jednej z gablot na książki. W rowkach zawiasów odnalazł ten sam czerwony osad, a obok niego znacznie bledsze smugi – pozostałość po pospiesznym wycieraniu. Na szybach dwóch sąsiednich szafek zauważył podobne ślady.

– Jesteś pewna, że to krew? – spytał, z trudem przełykając ślinę.

– Tak. Zbadałam próbkę pod mikroskopem.

– Ludzka?

– Na to wygląda, ale nie mam zamiaru chodzić z nią do hematologa i zlecać badania DNA.

– Jak sądzisz, co się tu stało?

– Nie wiem. Ale stawiam na tego samego maniaka, który zabił Hamlina i Lockmana.

– Myślisz, że polował na ciebie, a przez pomyłkę załatwił kogoś innego?

– Może. Albo zwabił tu swoją ofiarę i posprzątał, zostawiając akurat tyle śladów, żeby policja zaczęła podejrzewać mnie.

– Tak?

– Jasne. To ma sens. Edwards albo Blaine... Jedno z nich próbuje mnie zrobić, sugerując, że to ja kieruję poczynaniami psychopaty.

– Uważasz, że to krew drugiego?

– Tak.

– Jezu. – Jima Norrisa przeszył dreszcz. – Gdzie może być ciało?

– Skończ wreszcie z tymi pytaniami, do cholery. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Może morderca wywiózł zwłoki na noszach, wpakował do bagażnika i wyrzucił do East River? Użyj choć raz własnego mózgu i przestań się zachowywać jak miękki fiutek.

W szpitalu nie brakowało pielęgniarek i rezydentów, którzy doświadczyli na sobie ostrej krytyki Franceski Downs. Jej brutalne riposty były stałym elementem lokalnego folkloru, nielubianym, ale tolerowanym przez wzgląd na wyjątkowy talent kardiochirurgiczny właścicielki ciętego języka. Aż do tej pory Jim Norris miał szczęście unikać tego doświadczenia. Teraz, w jednej chwili, ożył w nim strach, że Francesca porzuci go bez wahania, aby ratować własną skórę.

– Będziemy wiedzieli, które jest sprawcą, kiedy jedno z nich nie pojawi się dzisiaj w pracy, nieprawdaż? – dodała Downs. Jej blade usta zacisnęły się w wąską linię.

– Zamierzasz siedzieć tu i czekać, aż przekonasz się, kogo brakuje? – spytał Norris głosem tak zimnym jak pięść, która ścisnęła jego żołądek.

– Nie. Za chwilę chwycimy szczoteczki do zębów, przytargamy baniak izopropylu i wyszorujemy ten pokój tak, że nawet gliny nie znajdą śladów krwi.

Słuchanie jej rozkazów nagle przestało mu sprawiać przyjemność.

– Tak sądzisz, Francesco? Powinnaś czytać więcej czasopism na temat technik laboratoryjnych. Policja dysponuje chemikaliami wywołującymi fluorescencję nawet śladowych ilości krwi. I wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy już znajdą trop, do ustalenia kodu DNA wystarczy zaledwie parę komórek. Jeżeli odkryją zwłoki, trafią do twojego gabinetu, zanim się obejrzysz.

Downs znieruchomiała nagle tak, jak wąż zastyga w bezruchu na chwilę przed atakiem. Gniew, który Norris wyczuwał pod jej krzywym uśmiechem, skłonił go do ostrożności.

– Zgoda, Francesco – powiedział, postanawiając raz jeszcze ustąpić. I właśnie miał pójść po sprzęt, kiedy z korytarza dobiegł go odgłos kroków, a następnie rozległo się natarczywe stukanie do drzwi.

– Tak? – rzuciła Downs.

– Francesco, to ja, Richard Steele. Jest ze mną detektyw George McKnight z wydziału zabójstw. Chcemy z tobą porozmawiać.

Serce Norrisa przyspieszyło nagle do trzycyfrowej liczby uderzeń na minutę. Gdyby istniało inne wyjście z tego pomieszczenia, choćby okno, nie wahałby się ani chwili. Spojrzał bezradnie na Downs; jeszcze nigdy nie czuł się tak bezwolny jak w tym momencie.

Francesca wciąż stała nieruchomo. Wolno opuściła ręce wzdłuż ciała, wzięła kilka głębokich wdechów i przełknęła ślinę. Widywał już, jak robiła to na sali operacyjnej – zawsze wtedy, gdy zaczynało być nieciekawie i tylko zimna krew mogła uratować sytuację.

– Oczywiście – odpowiedziała chłodno uprzejmym głosem, choć równocześnie wściekłym gestem nakazała Norrisowi zachować milczenie.

Steele i potężnej postury detektyw, którego widywała w szpitalu od paru dni, stanęli w drzwiach jak wysłannicy śmierci, z twarzami równie nieprzeniknionymi jak oblicze Franceski Downs. Norris wolał nie myśleć, jak wygląda jego gęba.

– Proszę, panowie, tylko uważajcie na to szkło na podłodze. Ktoś włamał się tu dziś w nocy i pootwierał szuflady z aktami – uprzedziła, zdobywając się na uśmiech z taką lekkością, że Jim z wrażenia zapomniał oddychać. – Na szczęście coś spłoszyło złodzieja. Dzięki Bogu, niczego nie

brakuje.

Kiedy mężczyźni wkroczyli do skromnego gabinetu, natychmiast zrobiło się tłoczno.

– Pójdę już, Francesco, jeżeli nie jestem ci potrzebny – wydusił Norris, doskonale wiedząc, że nie zdoła nawet zbliżyć się do spokoju, jaki prezentowała jego partnerka. – Powiem konserwatorowi, co jest do naprawienia, a ochroniarze sprawdzą, jakim cudem ktoś mógł dotrzeć aż tutaj...

– Właściwie sprawa dotyczy i ciebie, Jimmy – wtrącił Richard, zastępując mu drogę. – Znacie już detektywa McKnighta?

– Dotyczy mnie? – stęknął Norris. Nie wiedział nawet, jak przywitać policjanta. Wyciągnął dłoń w jego stronę, ale McKnight nie wyjął ręki z kieszeni płaszcza wielkości cyrkowego namiotu.

– Przykro mi, ale nie wystarczy dla nas krzesel – zaszcebiotała Downs takim tonem, jakby dwaj niespodziewani goście zaszli do niej na herbatkę.

– Ja postoję – zadeklarował McKnight, opierając się o uszkodzoną szafę z aktami i spoglądając na pogięte języki zamków. – Jestem tu, żeby zapewnić bezpieczeństwo doktorowi Steele’owi. Jak zapewne państwo wiedzą, doszło już do dwóch zamachów na jego życie. Proszę, niech państwo spoczną.

Nikt nie usiadł.

– Tak, Richardzie, słyszałam o tym i pozwól, że powiem ci, jak bardzo szokujące...

– Posłuchaj mnie, Francesco. Po atakach na Kathleen i mojego syna jakoś nie mam ochoty być specjalnie delikatny, więc przejdę od razu do rzeczy. Wydaje mi się, że odkryłem powód śmierci Hamlina i Lockmana, i sądzę, że ty również go znasz. Zabawiali się komórkami macierzystymi, prawda? Podawali je nielegalnie pacjentom z udarem.

Norris miał wrażenie, że mdleje. Zerknął na Downs i zobaczył, że otworzyła usta i zastygła w bezruchu. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Cofnął się mimowolnie i oparł ciężko o jedną z gablot.

Ten ruch nie uszedł uwagi Richarda, który natychmiast spojrzał na Norrisa tak, jak tygrys patrzy na najśłabsze zwierzę w stadzie.

– Na pewno dostarczałeś im materiału, Jimmy – powiedział. – Nie znam tu nikogo innego, kto umiałby hodować takie ilości komórek macierzystych, jakich potrzebowali przez ostatnie dwa lata.

Norris poczerwieniał.

– Ja... ja... ja... przysięgam, że nie wiem, o czym mówisz.

– Więc dlaczego jesteś taki zmieszany, Jimmy?

– Richardzie! – wtrąciła Downs. – Oboje jesteśmy zmieszani, bo te twierdzenia są... są po prostu niewiarygodne. Nawet jeśli oskarżenia pod adresem biednych Tony’ego i Matta są prawdą, a zapewne masz powody, by w to wierzyć, nie rozumiem, na czym opierasz podejrzenia względem Jimmy’ego. A skoro już o tym mowa, dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

– Dlatego, że moim zdaniem robiłaś dokładnie to samo co tamci, tyle że z pacjentami chorymi na serce, Francesco. A twój przyjaciel Jimmy pomagał ci w tym wespół z Paulem Edwardsem i Adele Blaine.

Tym razem cały pokój zawirował przed oczami Norrisa.

– Co?! – pisnęła Downs. – Dopilnuję, żebyś stanął przed radą etyki zawodowej, oskarżony o celowe zniesławienie i...

– To dobrze, bo właśnie tam będziesz mogła wyjaśnić sprawę niepotrzebnych angiografii u pacjentów, którzy nie mieli objawów dusznicy...

– Kwestionujesz moje kompetencje po tylu latach pracy na twoim oddziale? – przerwała mu, nie tracąc pewności siebie. – Dobrze wiesz, że mam najlepsze wyniki w szpitalu, a może i w całym kraju. Co z tego, że ceną sukcesu jest być może kilka dodatkowych angiogramów? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie dostawałam za nie pieniędzy...

– Daruj sobie, Francesco. Myślę, że to wy nasłaliście tego szaleńca z Legionu Pana na Hamlina, Lockmana, doktor Sullivan i na mnie, żeby zatrzeć ślady własnej działalności. Więc nie marnuj czasu na wciskanie mi takich głupot.

– Nie! – Własny głos wydał się Norrisowi zduszony i daleki.

Downs na moment wstrzymała oddech.

– O Boże, chyba nie mówisz poważnie? – rzuciła, robiąc przerażoną minę. Niedowierzenie wyglądało tak autentycznie, że Norris bez trudu kupił jego szczerość. – Proszę cię, Richardzie, jak możesz myśleć, że mogłabym mieć coś wspólnego z zabijaniem ludzi? Odkąd pracuję, robię wszystko, żeby ratować im życie. Nie mogłabym uczestniczyć w czymś takim. Za nic w świecie.

– Za nic w świecie? A może po to, żeby ratować karierę? Albo po to, żeby być wśród pierwszych, którzy sięgną po cud medycyny regeneracyjnej? Bez względu na motywację, ty i twoi kołesie mogliście ściągnąć mi na kark tego maniaka, więc wybaczone, jeśli nie jestem dla ciebie dość miły.

Francesca złapała go za rękę.

– Richardzie, musisz mi uwierzyć. Gdybym mogła coś zrobić, żeby powstrzymać mordercę, żeby Chet i doktor Sullivan mogli się czuć bezpiecznie, zrobiłabym to.

– Więc powiedz mi, kim on jest.

– Nie wiem.

– Do diabła, Francesco, skończ wreszcie te gierki! Tylko w jeden sposób możesz wyjść cało z tego bagna, w które się wpakowałaś: musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o zabójcy.

Downs spojrzała mu w oczy, wciąż zaciskając palce na jego dłoniach. Wydawało się, że jest bliska łez, a na jej policzki wystąpiły mocne rumieńce. Wolno, niemal niezauważalnie twarz Franceski przybrała nieprzenikniony, obojętny wyraz.

– Dostyc tego – powiedziała chłodno. – Nalegam, żeby panowie natychmiast opuścili mój gabinet.

Neutralność jej głosu sprawiła, że Norris zdrzął.

Richard zignorował słowa Downs i zwrócił się właśnie ku niemu.

– A ty, Jimmy? Nie masz ochoty przyznać się teraz, kiedy jeszcze możesz jakoś się z tego wykaraskać? – Stanął bliżej i nachylił się tak, że ich nosy dzieliło najwyżej piętnaście centymetrów. – Jakkolwiek by na to spojrzeć, sprawa nie wygląda dla ciebie zbyt różowo. Zapisy w dokumentach potwierdzają, że odwiedzałeś tych pacjentów Franceski, u których po paru miesiącach następowała cudowna regeneracja serca. Wiele pielęgniarek widziało cię podczas tych wizyt. Pewnie wpadałeś na towarzyskie pogawędki, co?

– Czekaj na telefon od mojego adwokata – odciął się Norris, próbując naśladować oburzenie, które tak popisowo odegrała jego kochanka. Gdy tylko zamknął usta, wiedział już, że mu się nie udało i że jeśli w jego wypowiedzi zaznaczyło się jakieś uczucie, to był to przede wszystkim strach.

– O, doskonale. Tym razem straszycie mnie sądem? – odparł Richard. – Może więc podyskutujemy o narażeniu życia pacjentów, nieumyślnym spowodowaniu śmierci i o spisku? Zastanówmy się, jak to mogło wyglądać. Edwards dostarczał embriony. Ty, Jimmy, hodowałeś komórki macierzyste dla Hamlina i swojej dziewczyny. Potem wciągnęliście do gry Lockmana, bo potrzebny był wam ktoś znający się na angiografii, a równocześnie chętny do współpracy. Adele Blaine, rzecz jasna, zapewniła wam idealne miejsce dla pacjentów, których należało czym prędzej usunąć ze szpitala. Tam nie istniało ryzyko, że ktoś niewtajemniczony zainteresuje się cudownymi postępami w rekonwalescencji. W instytucie łatwiej było śledzić przebieg regeneracji i tuszować ewentualne przykre niespodzianki, prawda? Tylko że martwi pacjenci Hamlina zaczęli wracać na mój oddział. Po co wykonał zabieg na Kathleen? Może chciał uratować jej życie, licząc na moją wdzięczność i ukrywanie jego błędów?

– Oszalałeś, Richardzie – wycodziła Downs, kręcąc głową w perfekcyjnej imitacji smutku i współczucia.

Steele spojrział na nią badawczo.

– Czyżby? – odezwał się po paru sekundach. Nagły spokój Franceski wyraźnie wyprowadzał go z równowagi.

– Czyżby. I chyba można ci to wybaczyć, biorąc pod uwagę to, co spotkało ostatnio twojego syna i doktor Sullivan. Niestety, wpłynęło to na twoją ocenę sytuacji i sprawiło, że postrzegasz ją z gruntu fałszywie.

– Gówno prawda!

Teraz on się broni, pomyślał Norris. Francesca odzyskała znienacka poprzednią lekkość, jej słowa znowu były gładkie jak jedwab. Znalazła drogę ucieczki.

– Nie mam pojęcia, co kombinowali Hamlin z Lockmanem – ciągnęła obojętnie – ale w jednym masz rację: prowadziliśmy z Jimmym badania nad komórkami macierzystymi.

Niewidzialna ręka chwyciła Norrisa za gardło. Richard znieruchomiał.

Policjant przestał się opierać o szafę i z szeroko otwartymi oczami pochylił się nieznacznie ku rozmawiającym.

– Tyle że nasza praca dotyczy wyłącznie komórek zrębowych. – Francesca umilkła i przez kilka sekund napawała się zdumieniem Steele'a. – Rok temu zespół skandynawskich naukowców zdołał wyizolować je ze szpiku kości udowej pacjenta, a następnie wszczepić do jego serca. Nie chodziło o działanie lecznicze, a jedynie o potwierdzenie, że zabieg jest możliwy i bezpieczny. Od tamtej pory interesowało nas pobieranie komórek ze szpiku udowego dorosłych myszy i wstrzykiwanie ich do serc tych samych osobników, u których uprzednio sztucznie wywołano zawał. Uszkodzone serca regenerowały się w znacznym stopniu. Próby były tak udane, że jesteśmy gotowi do przeprowadzenia testów na ludziach. A co do wizyt Jimmy'ego u moich pacjentów, to owszem, przychodził do nich, ale po to, żeby szukać właściwego kandydata. Niedawno znaleźliśmy wreszcie kogoś, kto chce wypróbować na sobie nową technikę. I właśnie diskutowaliśmy o tym, czy nie warto zwołać konferencji prasowej, na której ogłosimy nowiny. – W jej głosie pobrzmiwała doskonale odmierzona dawka dumy i entuzjazmu.

Tym razem to Richard się zarumienił.

– Twoje statystyki wykazują fantastyczne rezultaty leczenia już od dwóch lat, Francesco. I założę się, że gdybyśmy przesłuchali pacjentów z ostatnich dwunastu miesięcy, dowiedzielibyśmy

się, że pobrano im próbki szpiku z kości udowej.

– Oczywiście, że tak. Niektórym. Pracujemy na myszach, ale chcemy też mieć pewność, że da się wyizolować i hodować ludzkie komórki zrębowe, kiedy nadejdzie czas, by sprawdzić naszą metodę na ludziach. Każdy, od kogo pobraliśmy próbkę, podpisał dokument o świadomej zgodzie na zabieg, w którym oświadczał jednoznacznie, że wie, iż pobieramy tkanki do celów badawczych, by pewnego dnia pomagać takim ludziom jak oni. Pacjenci sygnowali też umowę o zachowaniu tajemnicy.

Richard otworzył usta, ale McKnight nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Czy ktoś może mi to wyjaśnić po angielsku?

– Na pewno Richard – odparła słodko Downs. – A teraz, jeśli panowie wybaczą, chciałabym wrócić do pracy. Wydarzenie medialne takiego kalibru wymaga przygotowań, zwłaszcza wielu rozmów telefonicznych.

Podeszła do Steele'a i położyła rękę na jego ramieniu. Spojrzał na jej palce tak, jakby były odnóżami tarantuli.

– Richardzie, podobnie jak ty, jesteśmy z Jimmym zaniepokojeni tym, że w szpitalu grasuje jakiś psychopata. Kto wie, czy dzięki naszej pracy nie będziemy w stanie lepiej radzić sobie z takimi jak on.

Richard spojrział na nią wzrokiem tak twardym, że mógłby nim przewiercić diament.

– To jeszcze nie koniec, Francesco – zapowiedział półgłosem i wyszedł.

Norris odprowadził go wzrokiem i gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, jakby cały czas wstrzymywał oddech.

McKnight odepchnął się barkami od szafy.

– Powinna pani zgłosić nam włamanie – rzekł, wskazując pognieciony metal zamków. – Poszukalibyśmy odcisków, przepytali personel...

– Jestem pewna, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z morderstwami – odpowiedziała, podając mu rękę.

Zamknął wąską dłoń w swej wielkiej, czarnej łapie i błysnął zaskakująco niewinnym uśmiechem.

– Doprawdy? A skąd pani to wie?

– O co wam chodziło? – spytał McKnight, kiedy wracali na górę.

– Obroniła się. Nie mogłem jej ruszyć.

– A te komórki zrębowe?

– Wytłumaczę panu w moim gabinecie. Bez względu na to, co opowie nam Downs, wiem, że mam rację co do wzajemnych zależności w tej ich grupie. Jeżeli rzeczywiście używa komórek zrębowych, to w zasadzie nie musi się obawiać zemsty antyaborcjonistów.

– Czy to te komórki, które nazywa się inaczej dorosłymi? Te, do których używania zamiast embrionów nawołują pravicowi konserwatyści?

– Tak jest.

– Zatem Downs nie powinna być celem ataków Legionu Pana.

– Jeżeli ci maniacy odrobili lekcje, zostawiają ją w spokoju, ale kto wie, czego można się po niej spodziewać?

– Czy Hamlin też mógł używać tych dorosłych komórek macierzystych?

– Wątpię. Jego pacjenci wymagali szybkiej interwencji. Nie było czasu na hodowanie niezbędnej liczby komórek ze szpiku danej osoby. Norris musiał trzymać dla niego w pogotowiu kultury komórek pozyskanych z embrionów. Gdyby było inaczej, po co w ogóle angażowaliby Paula Edwardsa? Uważam, że nawet Downs używała komórek z embrionów, zanim rok temu dowiedziała się o skandynawskich osiągnięciach. Bardzo sprytnie postąpiła, namawiając pacjentów do oddawania próbek szpiku, których potrzebowała. Jej historyjka jest dzięki temu nie do ruszenia.

McKnight gwizdnął z cicha.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie możemy nic zrobić. Ale jeśli Legion Pana uważa Francescę Downs za wzorowego obywatela, to czy nie byłoby jej tym łatwiej skierować tych maniaków przeciwko Hamlinowi i Lockmanowi? Na pewno miałyby na to większe szanse niż Norris, Edwards lub Blaine.

– Chyba tak. Do czego pan zmierza?

– Niewykluczone, że Downs manipulowała fanatyzmem Legionu, przekonując jego aktywistów, że w ich interesie jest usunięcie pana i doktor Sullivan, aby sekret się nie wydał. Tym sposobem miałyby święty spokój i mogłyby dojść do mistrzostwa w wykorzystywaniu komórek macierzystych nie pochodzących z embrionów. Taka argumentacja powinna przemówić przynajmniej do niektórych „żołnierzy”.

– Prawdopodobnie. Mogła też bez trudu wcisnąć im, że i ja jestem członkiem grupy pozyskującej komórki, bo zgodziłem się nie ujawniać śmiertelnych przypadków Hamlina w zamian za wyleczenie Kathleen. Tylko że wciąż nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Francesca Downs jest jedyną osobą w tej grupie, która mogła zmobilizować Legion Pana do działania i mieć uzasadnioną nadzieję, że nie zostanie zabita. Norris, Edwards, Blaine sami mogliby się znaleźć na celowniku.

– To co?

– Downs może działać samodzielnie. Być może nasłaa mordercę nie tylko na pana i doktor Sullivan.

Richard zwolnił nieco.

– Interesująca hipoteza.

– Nic niezwykłego. Po prostu próbuję połączyć stałe elementy: sposobność, środki oraz motyw. Powiedziałbym, że Downs pasuje do schematu lepiej niż pozostali.

– Co więc zrobimy?

– Jej byli współnicy są teraz pewnie dość nerwowi. Może złożymy im wizytę?

– Chce pan powiedzieć, że są już na tyle wystraszeni, żeby zacząć mówić?

McKnight wyszczerzył zęby.

– Owszem. Mógłby pan spotkać się z nimi prywatnie i...

– Chodźmy! – Richard skreślił i ruszył w stronę wind.

– Ejże, kawiarnia jest tam!

– Najpierw zajrzę do Edwardsa. Zobaczymy, jak zareaguje na niespodziewaną wizytę.

McKnight przyspieszył kroku i po chwili dogonił Steele'a.

– Zgoda, ale niech pan nie przesadzi, tak jak z Downs i Norrisem. To, co pan zrobił, graniczyło z nękaniami przez policję...

– Pan się w ogóle nie odzywał.

– Ale byłem tam. Spokojnie mogliby złożyć na mnie skargę.

– Przysięgnę, że nie powiedział pan ani słowa. Poza tym nie zamierzam przyciskać Edwardsa. Zasugeruję po prostu, że Downs nie tylko spuściła ze smyczy sforę wściekłych psów, ale też poszczuła je przeciwko niemu. Może pan jeszcze raz oświadczyć, że towarzyszy mi tylko jako ochroniarz.

– To wymówka cienka jak wafel, doktorze. Moja obecność sprawia, że nękanie przez pana osoby srają ze strachu. Szczerze mówiąc, byłem prawie pewien, że ten cały Norris popuści.

– Albo ma rozwolnienie, albo nieczyste sumienie. Czy wasz dział skarg i zażaleń może winić pana za coś takiego? Jesteśmy na miejscu – dodał Steele, skręcając w odnogę korytarza.

– A skoro już o Norrisie mowa – ciągnął McKnight – facet wygląda mi na mięczaka. Chętnie przesłuchałbym go w cztery oczy.

– Możliwe, że jest przerażony, ale wątpię, żeby zdradził Downs, nawet jeśli tym sposobem miałby ocalić własną skórę. Są kochankami od ponad roku i z tego, co wiem, jest w niej zadurzony.

– Zdziwiłby się pan, co mogą zrobić z miłością nastrojowe wnętrza policyjnych posterunków.

Richard uśmiechnął się krzywo.

– Może. Ale moim zdaniem łatwiej będzie skłonić do mówienia Edwardsa. Jest znacznie bardziej uzależniony od uroków życia na dobrym poziomie. Idę o zakład, że będzie śpiewał jak z nut, jeśli tylko poczuje, że w zamian mógłby pan mu odpuścić. Downs z kolei, jeśli tylko zdołamy postawić jej zarzuty dzięki zeznaniom Edwardsa, przestanie może być Królową Śniegu, jaką widzieliśmy ją przed chwilą, i okaże się bardziej skłonna do współpracy. Kto wie, może nawet wyda nam zabójcę?

Z potężnej klatki piersiowej McKnighta wydobył się basowy chichot.

– Doktorze Steele, niech pan lepiej trzyma się spraw medycznych i pozwoli mi porozmawiać z Edwardsem. Ogląda pan stanowczo zbyt wiele filmów gangsterskich.

Korytarz doprowadził ich przed oblicze groźnie wyglądającej kobiety w pomarańczowym kostiumie, usadowionej za biurkiem na tle sięgających sufitu mahoniowych drzwi.

– Kto tam mieszka? – szepnął McKnight. – Godzilla?

– Doktora Edwardsa jeszcze nie ma – oznajmiła sekretarka.

– Kiedy możemy się go spodziewać? – zapytał Steele.

– Naprawdę nie wiem. Nigdy się nie spóźniał. Poza tym – dodała z nutą niepokoju – dzwoniłam do jego domu i gospodyni powiedziała mi, że nie wrócił na noc.

Zaalarmowany Richard spojrzął na McKnighta. Mina policjanta wskazywała, że i na nim słowa sekretarki zrobiły wrażenie.

McKnight odezwał się dopiero w drodze do szpitalnej kawiarni.

– W gabinecie Downs uderzył mnie zapach alkoholu. Czy to normalna woń w takim pomieszczeniu?

Rozdział 17

*ten sam poranek
czwartek, 28 czerwca, godzina 10.04*

Gordon Ingram przechadzał się nerwowo po swym skromnie urządzonej pokoju.

– Cholera! Domyślałem się, że coś jest nie w porządku ze statystykami Hamlina – powiedział.
– Powinienem się zastrzelić za to, że wcześniej nie poszedłem tym tropem.

– Wiedziałeś?

– Znałem tylko ogólne dane o śmiertelności pacjentów. Zainteresowało mnie dziwne zachowanie Hamlina względem doktor Sullivan. Zastanawiałem się, czy i w innych przypadkach przesadzał z podawaniem leków uspokajających. Przejrzałem dane. Potem była ta dziwaczna kłótnia w bufecie. Widząc jego minę po starciu, doszedłem do wniosku, że szykują się kłopoty. Wtedy sprawdziłem statystyki pozostałych.

Nic dziwnego, pomyślał Richard, czując, że kark cierpnie mu od śledzenia wędrówek Ingrama. Właśnie ktoś taki jak on, z natury podejrzliwy i uparty jak drapieźnik na tropie ofiary, był bodaj jedyną osobą w szpitalu, na której pomoc mógł liczyć.

– Szukałem złych wiadomości – kontynuował Ingram – więc doskonale wyniki Hamlina były dla mnie przyjemną niespodzianką. Musiałem jednak sprawdzić, czy nie ma mowy o błędzie, zwłaszcza w sprawie dwóch niedawnych przypadków śmiertelnych, przy okazji których pojawiło się jego nazwisko. Diagnozy Hamlina zdziwiły mnie tak samo jak ciebie. Niestety, ostatnio mam pełne ręce roboty. Każdy boi się zalecić aspirynę bez konsultacji, pacjenci skarżą się nieustannie i na wszystko... zresztą nie muszę ci o tym opowiadać. W każdym razie grzebanie w świętych statystykach w poszukiwaniu problemów było luksusem, na który brakowało mi czasu.

– Co teraz zrobimy? – spytał Richard, mając nadzieję, że konkretne pytanie pohamuje kaznodziejskie zapędy Gordona i każe mu skupić się na szczegółach sprawy.

Ingram usiadł na krześle, oddychając ciężko, i odsunął na czubek głowy okulary w drucianej oprawie. Rozcierając oczy, wyglądał na zmęczonego, może nawet bardziej niż wtedy, gdy większość czasu spędzał na oddziale intensywnej terapii. Zawsze ubierał się starannie – i tym razem ciemna marynarka oraz grafitowa koszula doskonale pasowały do czarnych oczu i włosów – lecz strój wisiał na jego szczupłym ciele jakby luźniej. Wygląda na to, że schudł, pomyślał Steele.

– Myślę, że możemy zwołać nadzwyczajne posiedzenie zarządu – odparł Ingram. – Zażądamy wezwania na badanie tych pacjentów Hamlina, którzy mogli otrzymać komórki macierzyste. Powiadasz, że jest ich tylko osiemnaścioro?

– Szesnaścioro, jeśli odejmiemy dwoje zmarłych w chwili przybycia.

– Nie powinno być problemu z opłaceniem rezonansu dla takiej grupy. Możemy też wystąpić o nakazy ekshumacji i autopsji dwojga zmarłych. Powiedziałbym nawet, że ustalenie przyczyny ich śmierci powinno być naszym priorytetem.

– Sądzisz, że prawnicy pozwolą, żeby szpital wziął na siebie taki problem?

– W dzisiejszych czasach prawdziwy problem zaczyna się wtedy, kiedy dostrzega się zarys problemu i nic się nie robi, żeby go rozwiązać. Powiemy, że grożą nam znacznie poważniejsze

konsekwencje, jeśli natychmiast nie ostrzeżemy pacjentów o potencjalnym niebezpieczeństwie. I będziemy się modlić, żeby udało się zaproponować tym ludziom coś, co nie pozwoli im skończyć tak jak tych dwoje.

Richard skrzywił się na myśl o Kathleen.

– Przepraszam – mruknął Ingram. – Nie chciałem być niedelikatny. Na pewno umierasz ze strachu o doktor Sullivan.

– W tej chwili najbardziej martwię się tym, czy uda nam się znaleźć mordercę, zanim ten spróbuje zaatakować ją ponownie albo uderzyć we mnie, robiąc krzywdę dzieciom. I dlatego potrzebna mi jest Francesca Downs. Sądzę, że to ona kieruje tym skurwysynem, starając się wyeliminować potencjalnych świadków.

Ingram spuścił okulary na nos i spojrzał na Richarda tak, jakby ten skaził powietrze przykrą wonią. – Że co?

– Słyszałeś.

– Francesca w komitywie z mordercą? Oszalałeś.

– Bynajmniej. Widziałeś jej statystyki. Wystarczy zajrzeć do kart pacjentów, żeby upewnić się, że musiała używać komórek macierzystych co najmniej od dwóch lat, z tym że w ostatnich dwunastu miesiącach były to najprawdopodobniej komórki zębowe.

Ingram zacisnął usta i ponownie odsunął okulary na czoło. Wyglądał, jakby kontemlował urodę pustego blatu. Po kilku sekundach skierował wzrok na Richarda.

– Przypuśćmy, że kupię teorię o stosowaniu przez nią komórek macierzystych, czego oczywiście nie zrobię do czasu, aż osobiście zbadam dokumenty. Nawet jeśli uznam, że jest prawdziwa, do oskarżeń o współpracę z maniakałnym mordercą w usuwaniu niewygodnych osób jest jeszcze bardzo, bardzo daleko. Masz jakiegokolwiek dowody?

– Nie. Jedyne tyle, że miała motyw, środki i sposobność.

– Gliniarskie gadanie. Tylko mi nie mów, że policja kupiła tę twoją teorię.

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? Czy zrobili cokolwiek, żeby ją sprawdzić? Wezwali Francescę na przesłuchanie? Jest oficjalnie podejrzana o współudział w morderstwach?

– Nie.

– Zatem i oni nie mają dowodów, tylko tak sobie myślą?

– Można tak powiedzieć.

Ingram rozparł się na krześle i westchnął ciężko, jakby z żalem.

– Rozumiem, że detektywi z wydziału zabójstw myślą o niej jak najgorzej. Taką mają pracę. Ale ty, Richardzie? Na miłość boską, przecież z nią pracowałeś! Nie popieram łamania oficjalnych procedur, jeśli rzeczywiście robiła z pacjentami to, o co ją podejrzewasz, ale ta kobieta ma duszę dziecka i gwiazdy w oczach. Może jest zdolna do marszu na skróty ku sławie i chwale. Rozumiem tę pokusę. Potencjalne korzyści dla pacjentów są wprost magiczne i dziwię się, że lekarze jakoś się nie spieszą. Uzyskanie aprobaty władz na pierwszą fazę testów klinicznych może potrwać nawet rok, a w czasach, kiedy Francesca zaczynała eksperymenty, konserwatyści w rządzie grozili całkowitym wstrzymaniem badań nad komórkami macierzystymi. Dlatego potrafię sobie wyobrazić, że zbuntowała się przeciwko przepisom. Ale czy popełniłaby morderstwo i próbowała zatrzeć ślady? Nigdy. Celebrowała życie we wszystkim, co robiła, i dobrze o tym wiesz.

Richard milczał. Słowa Ingrama współgrały z tym, co podpowiadał mu instynkt. Nie mógł jednak udawać, że nie ma i innych instynktów, wykształconych w toku pracy na oddziale nagłych wypadków. Wiedział na przykład, że w niektórych sytuacjach nie wolno dać się ponieść uczuciom, że trzeba chłodno analizować i brać pod uwagę wszystkie możliwe diagnozy, choćby nawet wydawały się najmniej prawdopodobne. Inaczej mogło dojść do błędu, którego ceną byłaby czyjaś śmierć. Cokolwiek mówił Ingram, sugestii McKnighta, że Francesca Downs miała motyw, środki i sposobność do popełnienia zbrodni, nie można było zignorować.

Z drugiej jednak strony wewnętrzny głos podpowiadał Steele'owi, że w tej chwili nie jest na swoim oddziale. Być może w tym wypadku poleganie wyłącznie na logice było błędem. Uśmiechnął się, przypomniawszy sobie, jak Luana ostrzegała go czasem przed mierzaniem zwyczajnego życia tą samą miarą, którą posługiwał się w szpitalu.

– Jeśli chodzi o Jimmy'ego Norrisa – ciągnął Ingram – to powiedziałbym, że jest trochę marzycielem, idealistą. Wszyscy wiedzą, że Francesca oczarowała go i może wodzić za nos, ale zdecydowanie nie jest on typem zabójcy.

Instynkt Richarda nie buntował się przeciwko temu stwierdzeniu.

– Za to Paul Edwards i Adele Blaine... ci poćwiartowaliby własne matki, gdyby miało się to okazać dobrym interesem. Każde z nich, moim zdaniem, mogłoby nasłać jakiegoś szaleńca na pozostałych dla ratowania własnej skóry. Zwłaszcza gdy stawką są takie pieniądze jak w tym przypadku.

Richard tak bardzo koncentrował się na pytaniach „kto?“, „co?“ i „dlaczego?“, że nie miał czasu zastanawiać się nad szczegółami finansowymi. Podejrzewał jedynie, że musi chodzić o wielką kwotę. Jeżeli ktokolwiek mógł mu wytłumaczyć handlowy aspekt tej sprawy, to właśnie Ingram, który jako strażnik etyki z natury i zawodu, spotykał się na każdym kroku z przekrętami finansowymi wszelkiej maści.

– Obawiam się, że jeśli chodzi o rynkowe pożytki z uprawiania naszej profesji, moje horyzonty są dość wąskie – powiedział.

Ingram uśmiechnął się od ucha do ucha, jak zawsze gdy oferowano mu sposobność błysnięcia erudycją w dowolnej dziedzinie. Był to uśmiech z serii „zrobię to z rozkoszą”.

– Zaufaj mi, ewentualne zyski z produktów związanych z leczeniem komórkami macierzystymi są wprost oszałamiające. Zasiadam w komisjach rozpatrujących wnioski o zezwolenie na próby kliniczne i powiem ci, że ostatnio laboratoria biotechnologiczne walczą o pierwszeństwo w rzuceniu na rynek rozmaitych typów komórek. Szykują się do regenerowania mózgow, nerwów, serc, nerek, kości, trzustek, wątrób. – Zresztą sam znasz potencjalne możliwości, bo czytało się o nich od lat. Wszystko to ma trafić wkrótce na rynek, i to jaki rynek!

Richard zaśmiał się lekko.

– Na wyż demograficzny, do którego należymy. Nie chcemy pogodzić się z własną śmiertelnością i gotowi jesteśmy słono zapłacić, żeby nie zestarzeć się i nie umrzeć.

Ingram odpowiedział uśmiechem.

– Właśnie. W rezultacie prywatne firmy farmaceutyczne szukają nie tylko ludzi takich jak Norris, którzy potrafią pobierać i skutecznie rozmnażać komórki, ale także lekarzy, takich jak Francesca czy Tony, chętnych do doskonalenia technik klinicznych. Biorąc pod uwagę fakt, że Paul Edwards i Adele Blaine zawsze byli żywo zainteresowani merkantylną stroną medycyny,

podejrzewam, że ich udział w tej sprawie wiąże się z planami cichego odsprzedania wyników badań któremuś z dużych laboratoriów. A kiedy wydała się afera z Hamlinem, postanowili być może wyeliminować świadków nie tylko po to, by uniknąć więzienia, ale i po to, by mieć szansę w pełni nacieszyć się pożytkami z interesu, który po cichu ubili.

Richard zastanawiał się przez chwilę, czy Downs i Norris mogli w istocie bać się nie tego, że zostaną złapani, lecz tego, że zostaną zabici przez Edwardsa i Blaine, ponieważ zbyt dużo wiedzieli.

– W porządku – odezwał się po namyśle. – Przypuśćmy, że jest tak, jak mówisz. Niewykluczone, że Edwards już przyszedł. Nie przyszedł dziś do pracy. Sekretarka rozmawiała z jego gosposią i twierdzi, że nie wrócił na noc do domu. W tym układzie zostaje nam Adele Blaine, ale ona nie ma powodu przyznawać się do czegokolwiek, ponieważ z pozostałymi łączy ją tylko to, że pacjenci trafiali do jej instytutu, kiedy było już po wszystkim. I dlatego potrzebna jest mi Downs. Mając jej zeznanie przeciwko tamtym dwojgu, policja mogłaby przynajmniej przycisnąć Blaine na tyle, żeby wydała nam zabójcę w zamian za lżejszy wyrok.

– Trochę to skomplikowane.

– Fakt – przyznał Richard, pochylając się na krześle i rozcierając twarz dłońmi. – Co gorsza, idę o zakład, że po naszym porannym spotkaniu Downs i Norris porozumieli się już z prawnikami i nie pisną ani słowa, dopóki nie będą musieli. I tu właśnie zaczyna się twoja rola.

– Moja?

– Tak. Mógłbyś przycisnąć Francescę na drodze oficjalnej. Oskarżyłbyś ją o wykonywanie nadliczbowych angiografii i zmusił do udzielenia odpowiedzi. Może wstrząsnąłbyś nią na tyle, żeby coś jej się wymknęło. Mógłbyś nawet odwołać się do jej poglądów o „świętości życia” i tak dalej. Powiedz, że może uda się powstrzymać zabójcę, jeśli będzie bardziej skora do zwierzeń.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że Francesca ma lód w żyłach, kiedy trafia się kryzysowa sytuacja. Nie będzie trząść się ze strachu tylko dlatego, że wysłucha mojej gadki o etyce.

– Wiem, ale w tej chwili nie mamy nic więcej. Jak powiedziałem, nikt nie wie, na co jeszcze poważy się ten maniak, jeśli go nie złapiemy.

Ingram skinął głową.

– Oczywiście. Zrobię, co będę mógł.

Osiągnąwszy to, po co przyszedł, Richard wstał, ale nie ruszył w stronę drzwi.

– A skoro już rozmawiamy... Wiedz, że jestem ci bardzo wdzięczny za tracheotomię Kathleen. Tyle się wydarzyło od tamtej nocy, że nie miałem czasu podziękować ci jak należy.

Ingram machnął ręką.

– Cieszę się, że mogłem się przydać. Operowanie to czysta robota w porównaniu z głowieniem się nad tym, co jest dobre, a co złe. Dla mnie to jak wakacje.

Steele uśmiechnął się smutno. Z bólem patrzył na tęsknotę Gordona za dniami, w których był niestrudżonym lwem panującym nad salą operacyjną i gotowym podjąć każde wyzwanie.

– A przy okazji – dodał Ingram – czy wśród pacjentów Hamlina zauważyłeś kogoś, kto powinien trafić do nas w pierwszej kolejności? Kogoś, na kim najłatwiej będzie ustalić, co właściwie zaszło?

– Raczej nie. Jest za to pewien przypadek, w którego leczeniu uczestniczyłem od początku. Skoro widziałem na własne oczy pierwotną przyczynę choroby, to może łatwiej mi będzie zauważyć na zdjęciach wszelkie odchylenia od normy.

- Słusznie. Pamiętasz nazwisko pacjenta? – Abraham Paxton.
- Dam ci znać, jak tylko go sprowadzimy.

godzina 14.10

Gdy drzwi oddziału intensywnej terapii rozsunęły się, Richard usłyszał basowe pohukiwanie McKnighta.

– Nie ma potrzeby teraz, kiedy wiemy już, co robił Hamlin... – A czy wiecie też... kim jest zabójca... i gdzie go znaleźć? Ku swemu zdumieniu Steele stwierdził, że głos Kathleen jest już tak silny, że słycać go na końcu sali.

– Nie, jeszcze nie. I właśnie dlatego powinna pani trzymać się z daleka – odparł McKnight.

– Z daleka od czego? – spytał Richard, rozsuwając zasłony i wchodząc do klitki. Zaskoczyła go obecność trzeciej osoby. Jo O'Brien siedziała na łóżku obok Kathleen i spoglądała na niego spod okularów w złotej oprawce zsuniętych do połowy nosa. Błyski w jej oczach sugerowały, że jest równie najeżona jak jej krótkie, siwe włosy. Kathleen także prezentowała się bojowo. Niedobrze, pomyślał, widząc przed sobą ten front.

McKnight odwrócił się do niego z wyrazem ulgi na twarzy.

– Doktor Sullivan wciąż uważa, że powinna przenieść się do instytutu Blaine jako pacjentka.

– Co?!

– A ja pójdę tam z nią – dorzuciła O'Brien. – Zaraz, zaraz...

– Wszystko już ustalone... Wynajęłam Jo... jako prywatną pielęgniarkę.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że nie zamierzam... czekać na kolejną... próbę zamachu... na nasze dzieci... Skoro ten potwór... nie może dostać się... do ciebie ani do mnie... zwabię go... w pułapkę.

– Przecież Chet i Lisa są już bezpieczni. Pilnuje ich policja.

– To nie zawsze działa.

– Są w bezpiecznym hotelu. Byłem u nich rano. Są dobrze strzeżeni.

– Wygląda na to... że ten facet... umie omijać policyjną ochronę.

McKnight zacisnął zęby, ale nie odezwał się.

– A ty zamierzasz użyć siebie jako przynęty? – ciągnął Richard, uświadamiając sobie nagle, że został sam na polu bitwy. – To szaleństwo.

– Zastanów się, Richardzie... Sam mi powiedziałeś... że Blaine będzie... jeszcze mniej rozmowna... niż Downs i Norris... Więc zmieńmy taktykę... Jeśli to ona steruje mordercą... to niech spróbuje... nasłać go na mnie... we własnym instytucie... Jeżeli to zrobi... ludzie detektywa McKnighta... będą mogli go zatrzymać.

– Aha! Przed chwilą twierdziłaś, że policyjna ochrona nie zawsze działa.

McKnight wyglądał na obrażonego, ale milczał uparcie.

– Jeśli ma się nie udać... to lepiej ze mną... niż z Chetem i Lisą.

Richard odwrócił się w stronę Jo O'Brien.

– Chyba nie zamierzasz wziąć w tym udziału?

– Myślę, że doktor Sullivan przeniesie się do Adele Blaine bez względu na to, czy się zgodzimy czy też nie – odparła niemłoda pielęgniarka głosem tak pełnym żelaznej determinacji, jakby od

dziecka służyła w marines. – Robię tylko to, co moim zdaniem leży w jej najlepszym interesie. Jako pielęgniarka nie będę rzucać się nikomu w oczy, a równocześnie, będąc blisko chorej, być może w porę zauważę coś niepokojącego.

– Jeżeli pojawicie się tam razem, Blaine nabierze podejrzeń.

– Nie sądzisz, że już nabrała? Zwłaszcza jeśli porozmawiała sobie z Downs i Norrisem. Z tego, co wiem, z całym należnym szacunkiem, obeszlście się dziś z nimi mniej więcej tak subtelnie jak pocisk manewrujący.

– Jezu – mruknął McKnight, przewracając oczami.

Kathleen najwyraźniej opowiedziała Jo o wszystkim.

– Być winnym nielegalnego stosowania komórek macierzystych w leczeniu pacjentów to jedno – mówiła dalej O'Brien. – Zupełnie inną sprawą jest manipulowanie psychopatą tak, by popełnił morderstwo. Jeżeli Blaine jest zamieszana tylko w to pierwsze przestępstwo, jej nerwowość na skutek obecności Kathleen, mojej i policji będzie niczym w porównaniu ze strachem przed nagłą śmiercią z rąk szaleńca. Być może zdołamy nawet przekonać ją, że będzie bezpieczniejsza, jeśli opowie o wszystkim i zda się na policyjną ochronę.

– A jeżeli prawdą jest to drugie... cóż... jak już mówiłam... policja będzie czuwać... Tak czy inaczej... to nasza największa szansa... na schwytanie zabójcy.

Richard spojrział na kobiety bez słowa. Miały przewagę liczebną, a jemu brakowało argumentów. Przeciwczyły to, pomyślał. Nie mógł uwierzyć, z jakim uporem Kathleen narażała się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiał jednak przyznać w duchu, że zrobiłby dokładnie to samo, gdyby uważał, że w ten sposób wywabi maniaką z ukrycia i doprowadzi do jego ujęcia.

– Posłuchaj, Kathleen – odezwał się po chwili. – Widzę, że w tym momencie nie jestem w stanie cię przekonać. Daj mi tylko trochę czasu, żebym zdążył wpaść na lepszy pomysł.

– Rób, jak uważasz... To nic nie zmieni... jeśli chodzi o moje plany.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Kathleen znowu oddalała się od niego, dokładnie tak jak ostatniej nocy. Pozostawiała w jego piersi palącą pustkę, jakby wolno wysuwała z rany ostrze noża.

– A zatem, detektywie McKnight, skoro mam czuwać nad doktor Sullivan, to może powinniśmy ustalić sposób wymiany informacji? – odezwała się Jo, litościwie przerywając lodowatą ciszę. – Kto do kogo dzwoni i w ogóle.

– Doprawdy, pani O'Brien...

– Panno O'Brien.

– A, tak. Chciałem właśnie powiedzieć, panno O'Brien, że w operacjach policyjnych nie ma raczej miejsca dla cywili i...

– Nonsens. Bez przerwy korzystacie z usług informatorów. Ja oczywiście nie jestem kapusiem, ale istnieje jeszcze coś takiego jak pomoc obywatelska. Proszę, można mnie zastać pod tym numerem – dodała, wyjmując z kieszeni na piersi świstek papieru i podając go policjantowi. – To telefon domowy.

Zapisała numer wcześniej, zauważył Richard. Kolejny detal starannie przygotowanego z Kathleen planu.

McKnight wyglądał tak, jakby chciał oddać karteczkę pielęgniarce, ale po krótkim namyśle wzruszył ramionami i wsunął numer do kieszeni marynarki.

– Do widzenia paniom – powiedział, kłaniając się lekko. – O trzeciej mam odprawę z moimi

ludźmi.

Jego zwałista postać na moment rozsunęła kotary, a potem zniknął.

Był w połowie drogi do wyjścia, kiedy Jo pochyliła się w stronę Richarda i mrugnęła do niego porozumiewawczo.

– Powiedz no – odezwała się teatralnym szeptem, który byłby słyszalny nawet w ostatnim rzędzie opery Lincoln Center – czy jest też pani McKnight?

godzina 16.00

sala wykładowa nowojorskiego szpitala miejskiego

Choć zorganizowane przede wszystkim dla mediów, spotkanie przyciągnęło bodaj wszystkich lekarzy, rezydentów i stażystów szpitala, którzy nie byli akurat pilnie potrzebni gdzie indziej. Stłoczeni w półkoleścu wznoszących się rzędach krzeseł stworzyli istną ścianę ciał przed Francescą Downs, która stanęła na niewielkim podwyższeniu u ich stóp. Miała na sobie laboratoryjny kitel, lecz nie wygnieciony, jak zwykle po dniu spędzonym na szpitalnych oddziałach, ale świeżo wyprasowany, niemal elegancki. Wystawała spod niego czerwona garsonka – efektowne tło dla blond włosów i orzechowych oczu.

Kamery ją kochają, pomyślał Richard, spoglądając na kordon reporterów otaczających smukłą lekarkę. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a głos nabrał nieco smutniejszego tonu podsumowania.

– Tak więc, panie i panowie dziennikarze, gdy stajemy na progu nowego świata medycyny umożliwiającej regenerację ludzkiego ciała, proponuję wam, abyście uruchomili wyobraźnię. Chorzy na serce, którzy dziś nie mogą przejść od ściany do ściany pokoju bez ciężkiej zadyszki, przypomną sobie rażny, młodzieńczy krok. Zdrowie i zdolność do efektywnej pracy w podeszłym wieku staną się normą, gdy tylko badacze opracują metody wykorzystywania komórek macierzystych do celów terapeutycznych w innych dziedzinach medycyny...

Richard musiał przyznać, że perspektywy były nader intrygujące. Pomyślał o niezliczonych pacjentach, którzy walczyli o każdy oddech i z powodu płynu pojawiającego się regularnie w płucach trafiali co parę tygodni na oddział nagłych wypadków, bo ich życie wisiało na włosku. Podświadomie zaczął szukać w tłumie twarzy Gordona, zastanawiając się, jakie też perspektywy musiał widzieć przed sobą szpitalny specjalista od etyki. Ingram siedział w całkowitym bezruchu, podpierając ręką podbródek, a jego szczupła twarz nie wyrażała żadnych emocji. Na pewno w głębi serca jest poruszony, pomyślał Steele. Praktyka na oddziale intensywnej terapii musiała być dla niego dobrą okazją do poznania wszystkiego, czemu mogły zapobiec komórki macierzyste. Ilu ludzi można by uchronić przed chorobami serca, nerek czy wątroby, zastanawiał się, popuszczając wodze fantazji. Ilu ocalić przed życiem w skazanym na śmierć, rozpadającym się ciele brutalnie infiltrowanym przez maszyny? Nawet losy Ingrama, utrwalone bliznami na jego mięśniu sercowym, mogłyby zostać napisane od nowa.

– ... szybszy i pełniejszy powrót do zdrowia po rozmaitych udarach krwotocznych, zatorowych czy miażdżycowych...

Przywrócony do rzeczywistości myślą o niezbyt jasnych perspektywach Kathleen, Richard przeniósł wzrok na Jimmy'ego Norrisa siedzącego przy pustym stole konferencyjnym za plecami Downs. Mężczyzna raz po raz zmieniał pozycję na krześle, wyraźnie skrępowany, i bez przerwy

wodził spojrzeniem po rzędach słuchaczy. Wyglądał tak, jakby nie był pewien, czego może się po nich spodziewać.

– ... regeneracja mieliny wokół nerwów uszkodzonych przez stwardnienie rozsiane, odbudowa powierzchni kości spustoszonych przez artretyzm, a być może też skuteczne leczenie chorób takich jak cukrzyca. Dziękuję państwu za przybycie.

Rozległy się oklaski, ale nie tak entuzjastyczne, jak Richard się spodziewał, biorąc pod uwagę sensacyjny charakter wiadomości, która przed momentem została ogłoszona. Brawa ucichły dość szybko, niepostrzeżenie zmieniając się w zbiorowy pomruk, gdy rzędy postaci w białych strojach ruszyły w stronę wyjść.

– Cholerna pokazówka – szepnął ktoś, mijając Steele'a. – Nie podała żadnych szczegółów. Słodkie naukowe sekrety...

– ... pieprzony cyrk. Słyszałem, że ci z zarządu nie są zachwyceni. Zwołała konferencję na własną rękę, zamiast puścić sprawę drogą służbową...

– ... dziwię się Downs, że urządziła tę szopkę. Lada chwila trafi do talk-show i...

Znacznie mniej dyskretnie zachowywał się tuzin osób w „cywilnych” ubraniach, który otoczył Francescę Downs, błyskając fleszami aparatów i kierując w jej stronę mikrofony. Podniesione głosy dziennikarzy wypełniły pustoszące audytorium.

– Czy komórki macierzyste odeprą ataki takich grup jak Legion Pana?

– Czy doktorzy Hamlin i Lockman współpracowali z panią?

– Czy śmierć tych lekarzy oraz atak bombowy na dom doktora Steele'a miały jakikolwiek związek z komórkami macierzystymi?

Ciepły uśmiech szybko zniknął z twarzy Franceski.

– O tych sprawach proszę rozmawiać z policją – powiedziała. – Ja wolę mówić o nauce.

Pytania stały się jeszcze bardziej natarczywe.

– Dlaczego nie podała pani bliższych informacji o przyszłym pacjencie?

– Dlatego, że jest bardzo chory i ma prawo do prywatności.

– Czy komórki zrębowe mają taki sam potencjał jak te, które pozyskiwano z embrionów?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że w regenerowaniu mięśnia sercowego sprawdzają się doskonale.

– Czy w związku z tym wzywa pani do zaprzestania wykorzystywania żywych embrionów jako źródła komórek macierzystych?

– Oczywiście, że nie.

Dyskusji o kwestiach naukowych raczej nie będzie, pomyślał Richard, gdy schodził pod prąd między rzędami. Przesuwając się w stronę Downs rozmawiającej z dziennikarzami, dostrzegł Norrisa, który śledził jego wędrówkę niespokojnym wzrokiem. Przez ułamek sekundy wydawało się, że ruszy ku Steele'owi, ale postawny reporter o gęstych, czarnych włosach, który zadawał mu pytania, położył rękę na jego ramieniu, przypominając o swojej obecności.

Downs zbladła, a jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, gdy tylko wypatrzyła Richarda. Nie przerwała dyskusji z reporterami, ale odpowiadała jakby z wahaniem, coraz częściej zerkając w jego kierunku. Wreszcie oznajmiła:

– Bardzo mi przykro, ale ktoś daje mi znak, że jestem potrzebna na oddziale nagłych wypadków. Na pozostałe pytania odpowie doktor Norris. – Zanim ktokolwiek zdążył

zaprotestować, wyrwała się z kręgu dziennikarzy, chwyciła Steele'a pod łokieć i poprowadziła go ku najbliższemu wyjściu. – Na miłość boską, Richardzie, nie tutaj! – szepnęła z naciskiem, przyspieszając kroku.

– Spokojnie. Przyszedłem ci powiedzieć, że wczoraj być może oceniłem cię zbyt surowo. Francesca, którą znałem, jak mi się zdawało, nigdy nie zabiłaby człowieka.

Downs stanęła jak wryta.

– Mówisz poważnie?

Kiwnął głową.

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

– Dzięki Bogu, nareszcie mi uwierzyłeś...

– Nadal uważam, że stosowaliście komórki macierzyste w leczeniu pacjentów, którzy nie mieli o tym zielonego pojęcia. Zmieniło się tylko to, że dziś podejrzewam raczej Blaine i Edwardsa o napuszczenie na pozostałych tego szaleńca, którego zadaniem jest zatarcie wszelkich śladów.

Kardiochirurg zmarszczyła brwi.

– Doprawdy, Richardzie...

– Halo, czy to doktor Steele? – przerwała jej kobieta z kamerą wideo stojąca poza kręgiem reporterów oblegających Jimmy'ego Norrisa.

– Nie, jestem salowym – odparł Richard, biorąc Francescę pod ramię i popychając ją w stronę drzwi. – Pilnie potrzebujemy kardiologa na oddziale.

Gdy tylko wyszli na korytarz, wciągnął Downs do wnęki, w której stał automat z kawą.

– Francesca, którą znałem, nie stałaby beczynną, tylko robiłaby wszystko co w jej mocy, by powstrzymać maniackiego mordercę – wyszeptał, wciskając do otworu maszyny tyle ćwierćdolarówek, by wystarczyło na dwa kubki cappuccino. – Powinnaś powiedzieć policji wszystko, co pomoże zmusić Blaine, lub Edwardsa, jeśli jeszcze go znajdziemy, do wydania tego szaleńca.

Sącząc kawę, którą jej podał, Francesca Downs rozglądała się na prawo i lewo. Wyglądało na to, że nikt nie może ich podsłuchać.

– W porządku, Richardzie. Przypuśćmy, że masz rację co do Hamlina, Lockmana, Edwardsa i Blaine. I tak nie mogę ci pomóc.

– Nie możesz powstrzymać zabójcy?

– Nie pójdę do więzienia za coś, z czym nie miałam nic wspólnego.

– Przestań pieprzyć, Francesco. Nie więzieniem powinnaś się przejmować, ale tym, że w szpitalu grasuje morderca. Nie myśl, że publiczne deklaracje na temat komórek zrębowych ochronią cię przed atakiem. Czy nie po to zorganizowałaś tę konferencję? Potrzebujesz ochrony policyjnej tak samo jak Kathleen i ja. Wystarczy przecież, że Blaine lub Edwards powiedzą zabójcy, że dawniej używałaś tkanek embrionów. Znajdziesz się na celowniku, jeśli jeszcze na nim nie jesteś.

– Możesz mnie straszyć, ale ja i tak nie zmienię zdania. Jeżeli mnie zabije, to trudno, byle tylko moje dzieło przetrwało w całości.

– Co?!

– Słyszałeś.

– Wolisz umrzeć, niż opowiedzieć mi o tym, co się wydarzyło?

Downs skrzywiła się z niesmakiem.

– Jasne, że nie chcę umrzeć. – Linie zmarszczek wokół jej oczu i ust wygładziły się nieco. – Próbuję tylko wytłumaczyć ci, dlaczego absolutnie nie mogę zgodzić się na to, o co mnie prosisz.

– Zamieniam się w słuch.

Francesca wzięła jeszcze jeden łyk kawy.

– Przypuśćmy, oczywiście w czysto teoretycznych rozważaniach, że zrobiłam to, o co mnie podejrzewasz. W przeciwieństwie jednak do Hamlina, który za bardzo się spieszył i skracał sobie drogę tak, że jego badań nie zaakceptowano by w żadnym zespole, ja przeprowadzałam testy na zwierzętach, ulepszałam sprawdzone procedury i wreszcie podejmowałam wszelkie inne kroki według zasady „Po pierwsze: nie szkodzić”.

– Tylko że zapomniałaś o świadomej zgodzie pacjentów.

Downs zignorowała przytyk.

– Gdybym jednak na chwilę przed objawieniem światu dobrodziejstw komórek zrębowych musiała zeznawać w sprawie grzechów Hamlina, w żaden sposób nie zdołałabym zapobiec łączeniu jego pracy z moją, przynajmniej przez tak zwaną opinię publiczną. Drogą skojarzeń jego bałagan rzuciłby cień podejrzeń na moje badania, bez względu na to, jak są nieskazitelne. Cudowna kuracja, która co roku mogłaby ocalić życie milionom ludzi, zostałaby być może odrzucona wraz ze śmieciami Hamlina, a przynajmniej jej premiera poważnie by się opóźniła. Do takiej sytuacji nie mogę dopuścić, nawet za cenę życia.

– Zatem przyznajesz, że używałaś komórek macierzystych na pacjentach?

– Nic nie przyznaję. Po prostu usiłuję przekonać cię, żebyś sobie darował, i tłumaczę ci najuprzejmiej jak potrafię, że nawet gdyby twoje fantastyczne historie były prawdziwe, i tak nie pozwoliłabym sobie na ugrzęźnięcie w bagnie cudzych pomysłów.

– Ten człowiek omal nie zabił mojego syna.

– Więc ścigaj go. Zmusz Blaine, żeby go wydała. Tylko nie próbuj zahamować tak fantastycznego przełomu w medycynie, oczerniając mnie.

– Bezlitosna suka!

– Owszem, jestem nią, z twojego punktu widzenia – odparła głosem tak spokojnym, jakby gawędzili o pogodzie.

Oszalała, pomyślał Steele. Pieprzona męczennica w kolejce do sławy. Primadonna w świętej misji! Nie miał pojęcia, jakich argumentów mógłby jeszcze użyć, żeby ją przekonać. Wobec tak stanowczego oporu pomysł straszenia Franceski radą etyki zawodowej wydawał mu się ponurym żartem.

– W takim razie powiedz mi przynajmniej, czy ostrzegłaś Blaine lub Edwardsa, że zamierzam ich przycisnąć? A może Norris ich ostrzegł?

– Dlaczego mielibyśmy to robić?

– Francesco!

– Oczywiście, że nie. W każdym razie ja nie. I wątpię, żeby Jimmy to zrobił.

– Wiesz, gdzie jest Edwards? – Nie. Skąd miałabym...

– Wiesz, dlaczego zmarło dwoje pacjentów Hamlina?

– Nie. I nie sądzę, żeby sam Hamlin to wiedział. A jeżeli już, i tak nie podzieliłby się ze mną tą wiadomością. – Posłała Richardowi uśmiech, którego pozazdrościłaby jej nawet Mona Lisa. – Spośród wszystkich do mnie zgłosiłby się na końcu. Wiedział, że nie jestem jego wielką fanką.

– Doktor Downs! – zawołał ktoś od strony sali wykładowej. Richard rozpoznał sekretarkę Edwardsa.

– Powiedziano mi, że wyszła pani właśnie tędy – wyjaśniła kobieta, stając przed Francescą. – Telefon do pani. Rozmowa międzynarodowa, ktoś z Mexico City.

– Do mnie? Nie rozumiem...

– Doktor Ramiros. Oglądał pani konferencję prasową na CNN, a teraz chciałby porozmawiać.

– Dlaczego ze mną?

– Początkowo prosił do telefonu doktora Edwardsa, ale gdy wyjaśniłam mu, że nie mamy pojęcia, gdzie jest, zdecydował się na rozmowę z panią. Powiedział, że jest dyrektorem generalnym Fountainhead Pharmaceuticals.

– Och, Francesco, tu jesteś! – zawołała inna kobieta, wyłaniając się zza drzwi sali. Richard widywał ją od lat w administracyjnej części oddziału kardiologicznego. – Mamy istny potop wiadomości dla ciebie i doktora Norrisa. Chyba wszystkie firmy farmaceutyczne w kraju chcą z wami rozmawiać.

Downs wyglądała na szczerze zdumioną.

– Gratulacje – odezwał się Richard. – Twój mały popis wywołał piękną licytację.

– Mój Boże, przecież wcale nie o to mi chodziło!

– W takim razie byłaś naiwna – rzekł Steele i obrócił się na pięcie. Z wypiekami na twarzy ruszył na powrót do sali wykładowej. Teraz nie był już nawet pewny, czy chociaż w chwilach przekonującej szczerości Francescą Downs nie próbowała go oszukać.

Najbardziej jednak wyprowadzała go z równowagi jej pewność, że nikt nie może jej tknąć – zwłaszcza że była to pewność całkowicie uzasadniona.

Stanąwszy na widowni, zaczął się rozglądać za Norrisem. Miał nadzieję, że tym razem sprowokowana konfrontacja przyniesie lepsze rezultaty. Wreszcie go wypatrzył. Naukowiec wymykał się dalekim wyjściem w towarzystwie kudłatego reportera, z którym wcześniej rozmawiał.

* * *

Wiedział, że nawet najwytrwalsi badacze nie zostają w swych laboratoriach dłużej niż do siedemnastej. Mimo to podtrzymał rozmowę z Norrisem jeszcze pół godziny, aby mieć absolutną pewność, że zostanie z nim sam. Naukowiec wydawał się bardzo spragniony zainteresowania, jakby zazdrościł Francesce Downs uwagi, jaką poświęcali jej dziennikarze. Na życzenie rzucił się do mikroskopu, by pokazać prawdziwe komórki zrębowe, i już po chwili na sprzężonym z nim monitorze pojawiły się pulsujące paski tkanki mięśnia sercowego w kolorze fuksji.

– Oczywiście nie pozwalamy im osiągnąć tego stadium rozwoju przed wstrzyknięciem do mięśnia sercowego – wyjaśnił. – Mimo to, gdy tylko porcja nie zróżnicowanych jeszcze komórek znajdzie się w tkance bliznowej, w kontakcie z leżącym dookoła normalnym, zdrowym mięśniem, dostaje od niego rozkaz uformowania nowej tkanki i zaczyna pompować, dokładnie tak jak widać...

Łatwo byłoby zająć go teraz od tyłu, szarpnąć za włosy i przeciąć tchawicę skalpelem.

Nie po to, żeby zabić. Po to, żeby uciszyć, tak jak uciszył Lockmana. A to dlatego, że dla Jimmy'ego Norrisa, seryjnego mordercy nasienia Pana, miał w zanadrzu coś specjalnego. I długie godziny na zrealizowanie planu.

– ... już po kilku tygodniach obserwujemy postęp, ale pełny sukces: zmiana w sensie klinicznym oraz widoczna poprawa wydolności żywego serca, następuje po paru miesiącach.

Obrócił palcami instrument, który włożył do kieszeni spodni. Delikatnie zsunął osłonkę z ostrza i podszedł bliżej, nie odrywając wzroku od karku Norrisa. Widział grubą skórę, jakby utwardzoną słońcem i wiatrem. Pomyślał, że zabieg nie będzie łatwy, także dlatego, że kosmyki siwej brody sięgały poniżej jabłka Adama, a to oznaczało, że mogły stanąć na drodze poprzecznego cięcia.

– Pacjent, którego poddamy kuracji – ciągnął Jimmy – powinien poczuć daleko idącą poprawę stanu serca już po dziewięćdziesięciu dniach od zabiegu.

Norris uśmiechnął się dumnie i podniósł głowę znad mikroskopu, żeby spojrzeć na swego gościa. Mężczyzna rozpromienił się w odpowiedzi i przysunął bliżej, jakby chciał objąć i uścisnąć badacza.

Jimmy nawet nie zauważył skalpela.

Gość uniósł instrument i przycisnął jego czubek do zagłębienia poniżej krtani. Ani na chwilę nie przestał się uśmiechać, kiedy wykonywał szybki ruch.

Ból przeszył Norrisa i rozszedł się w dół, ku klatce piersiowej, a także w górę, aż do uszu. Naukowiec próbował krzyczeć, ale z jego otwartego gardła wydostało się jedynie głośnie syczenie. Instynktownie uniósł dłonie do szyi i zacisnął wokół rany, nie bacząc na krew barwiącą koszulę.

Dziwnie mało tej krwi, pocieszył się w duchu, w panice badając palcami brzeży nacięcia. Czuł ciepło i wilgoć, ale zdawał sobie sprawę, że najważniejsze naczynia nie zostały uszkodzone. Może nie umrę od tego, pomyślał, spoglądając na rozradowanego napastnika. A może zostałem skazany na to, żeby męczyć się dłużej niż Lockman?

Nim zaczął walczyć o życie, szybkie szarpnięcie rzuciło go na podłogę wraz z laboratoryjnym stołkiem. Uderzył głową o linoleum i mimo zaciśniętych powiek zobaczył wszystkie gwiazdy, ale nie stracił przytomności. Usłyszał odgłos rozdierania i poczuł, że napastnik pęta mu ręce i nogi taśmą klejącą.

– Teraz już nie musimy się spieszyć – powiedział morderca. Był blisko, Norris wyczuwał przy policzku jego ciepło, a także kwaśną woń oddechu.

Gwałtownie otworzył oczy i zobaczył twarz przeciwnika kilkanaście centymetrów nad sobą. Spróbował zerwać więzy, szarpiąc zaciekle rękami i nogami. Usiłował też krzyczeć, ale z przeciętej tchawicy wydobyło się tylko charczenie.

– Rozumiesz, dlaczego musisz ponieść karę, doktorze Norris? – spytał mężczyzna, nie zmieniając pozycji.

Norris gwałtownie pokręcił głową i zdołał odpełznąć nieco dalej.

– W takim razie wyliczę twoje zbrodnie – ciągnął zabójca. Pochylił się jeszcze niżej, tak że nieomal stykali się ustami. – Jesteś winien zniszczenia nasienia Pana, wyrwania zeń komórek, które miały się stać sercami, mózgami, oczami, kończynami... – Urwał na moment. – To bardzo długa lista nie spłaconych długów.

Naukowiec poczuł, że dyszy coraz ciężiej i że po policzkach ciekną mu łzy. Ogień palący gardło rozszerzył się na twarz, a miedziany posmak wypełnił usta, dławiąc. Potrząsnął głową. Nie! Nie! Nie!

– Ależ nasz Pan mówi jasno, że trzeba wyrównywać rachunki. – Ostrze błysnęło we fluorescencyjnym świetle. – Poznajesz mnie z czasów, kiedy tu pracowałem?

Norris ponownie pokręcił głową.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął wymięte zdjęcie.

– A jego poznajesz?

Badacz długo studiował fotografię, zanim potrząsnął głową.

– Nie? Cóż, to i tak nie ma znaczenia. Wtedy był znacznie młodszy, a na zdjęciach, które mu zrobili, kiedy zginął, nie wyglądał za dobrze. Twardy był z niego żołnierz. To on nauczył mnie strzelać. Pomogłem mu rąbnąć z sześciu aborcjonistów, zanim go dopadli. To było koło Rochester, po naszej ostatniej wspólnej robocie. Zatrzymał gliny wystarczająco długo, żebym zdążył uciec, a potem odebrał sobie życie, żeby nie dostać się do niewoli. Byłby dumny, że zwalczam takich jak ty. Nazywał to „następną wojną”.

Norris zaczął tracić przytomność.

– Ejże! Obudź się. Czyżbyś miał dosyć? Chciałbyś umrzeć już teraz?

Ranny przełknął ślinę i w kącikach jego ust pokazały się kropelki krwi. Po kilku sekundach skinął głową.

– A to szkoda, bo nie odpuszczę ci tak łatwo. Zostaniesz pogrzebany żywcem razem ze swoim starym kumplem Edwardsem. Ty i kawałki twojego ciała. Minie wiele dni, zanim was znajdą. Będziesz miał mnóstwo czasu na żal, zanim staniesz przed Stwórcą. A wtedy już wszyscy z mojej listy będą martwi. Może pożyjesz na tyle długo, żeby zdechnąć ostatni? Będą na ciebie czekać i powitają cię w piekle.

Norris rozchylił usta i zaczął bezgłośnie powtarzać to samo słowo. Minęło kilka minut, zanim wreszcie stało się jasne, co chciał powiedzieć.

Kto?

– Kto mnie przysłał? Nie licząc Boga?

Naukowiec skinął głową.

– Tylko się nie martw, Jimmy. Ona też zginie, jeśli tylko załatwię sprawy po swojej myśli. Takie kobiety po prostu nie wiedzą, co to posłuszeństwo. Takie kobiety łamią Jego naturalny porządek rzeczy i próbują szukać dla siebie innego miejsca. Takie kobiety doprowadziły mojego ojca do śmierci. Zostałem sam. Dlatego pilnuję, żeby takie jak ona płaciły za swoje winy.

Usta poruszyły się raz jeszcze. Kto?

– Francesca, rzecz jasna. Wykorzystała cię, Jimmy. I założę się, że nie zawsze używała komórek zrębowych. Powiedz mi prawdę: czy ty i Edwards nie dostarczaliście jej komórek z embrionów, tak samo jak Hamlinowi?

Z oczu Norrisa znowu popłynęły łzy.

– Rany, wciąż chcesz jej bronić, chociaż cię zdradziła?

Norris zaczął się poruszać ze zdwojoną energią. Pełzł w kierunku przejścia między stołami roboczymi, gdzie znajdował się telefon. Kiedy próbował wstać, potężny kopniak w bark powalił go na podłogę.

Leżąc na plecach z mocno zaciśniętymi powiekami, kręcąc głową, dławiąc się krwią i czekając na nieuchronny cios, Jimmy usłyszał trzask zamków walizki, a potem pisk wirującej piły do kości.

Posprzątanie i pozbycie się Norrisa w uprzednio zaplanowany sposób zajęło mu kilka godzin. Kiedy skończył, zawiązał piłę do kości w białe prześcieradło i schował ją do walizeczki. Następnie

po prostu wyszedł ze szpitala drzwiami dla personelu.

Powróciwszy bezpiecznie do nowej kryjówki, sprawdził pocztę elektroniczną. Proszę, proszę, pomyślał rozpoznając logo kafejki internetowej w East Village. Tą drogą kontaktował się z nim informator. Zabójca kliknął na znak spinacza, by otworzyć załącznik. Znalazł w nim fragment szpitalne księgi wpisów i wypisów, a także szczegółowe instrukcje co do kolejnego zadania. Przeczytał też pochwałę za zlikwidowanie Edwardsa.

Francesca Downs, pomyślał, wciąż jeszcze niezbyt pewny dalszych planów. Wszystko, co powiedział Norrisowi na jej temat, zmyślił w nadziei na to, że przed śmiercią doprowadzi faceta do szaleństwa. Bez względu na to, kim jest tajemniczy informator, najciekawsze było to, jak wyobrażał sobie wykonanie ostatniego zadania.

Przeczytawszy instrukcje, żołnierz Legionu położył się na łóżku i długo zastanawiał nad najlepszą metodą zorganizowania akcji. Wprawdzie podejrzewał, że informator przynajmniej po części działa z prywatnych pobudek, ale musiał przyznać, że jego plan był jak zwykle dobry – pozwalał dopaść trzy ostatnie ofiary i zakończyć akcję w efektowny, publiczny, niejako symetryczny sposób. Teraz wreszcie Jego przesłanie będzie krystalicznie czyste, pomyślał morderca. Już ja się postaram, żeby dziennikarze to zrozumieli. Poszukał w myślach odpowiedniego sposobu przekazania im wiadomości o działaniach ukaranych już winowajców oraz ostrzeżenia o dalszych wyrokach na lekarzy, pacjentów i instytucje, które z dowolnych pobudek odważą się niszczyć ludzkie embriony. Do swoich planów włączył też spotkanie z informatorem.

Jeżeli była nim Francesca Downs, i ją czekała śmierć.

Nastawił budzik na szóstą rano i zapadł w głęboki, pozbawiony wizji sen.

Rozdział 18

*piątek, 29 czerwca, godzina 08.00
oddział intensywnej opieki medycznej*

– Doktor Sullivan, przyjechała karetka, która zabierze panią do instytutu doktor Blaine.

Kathleen z wysiłkiem otworzyła oczy. Drzemała z przerwami od godziny, to jest od chwili, kiedy podano jej śniadanie: butelkę beżowej brei, która spłynęła rurą do żołądka.

– Już? Zdawało mi się... że doktor Blaine mówiła o późniejszej porze... Nie minęło jeszcze... czterdzieści osiem godzin...

– Wyniki są dobre. Rano rezydenci omówili je z lekarzami i mam już wypisane papiery. Myślałam, że ucieszy się pani z przeniesienia.

– Owszem... cieszę się, ale...

– Ja też jadę? – spytała policjantka, która zaczynała właśnie poranną zmianę. Kiedy potrząsała rudymi włosami, wyglądały jak płomienie nad kołnierzem granatowego munduru.

– Chyba tak... Detektyw McKnight nalegał... żebyśmy przyjęła ochronę... również w instytucie.

– Zapytam go. – Policjantka włożyła czapkę i poszła do stanowiska pielęgniarek, żeby zatelefonować.

– Zawiadomię doktora Steele'a – powiedziała pielęgniarka, w pośpiechu pakując nieliczne przedmioty higieny osobistej, które pozwolono Kathleen trzymać przy łóżku.

– Tak, prosilibym... Richard na pewno chce wiedzieć... Mogłaby pani... zawiadomić też Jo O'Brien?... Powinna być... na oddziale.

– A co z formularzem wypisu na własne życzenie? Doktor prosił, żeby nie załatwiać niczego bez jego wiedzy. Mam poczekać, aż podpisze za panią zgodę na przeniesienie?

Pytanie zirytowało Kathleen.

– Nie... nie trzeba... To ja jestem pacjentem... Teraz już sama decyduję... o swoich sprawach.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– To dobrze. Nie wiem, skąd wytrzasnęlibyśmy ambulans, gdybyśmy stracili ten, czekając na jego podpis. W weekend wozy mają mnóstwo roboty. – Pomogła Kathleen podpisać formularz. – A co z rzeczami osobistymi? Mam je wysłać z panią czy zostawić doktorowi?

To pytanie rozdrażniło Sullivan jeszcze mocniej.

– Ze mną, proszę.

Kiedy przenoszono na ruchome łóżko jej kroplówki, rurki i monitory, zastanawiała się, skąd właściwie wzięła się w niej ta niechęć do pozostawiania wszelkich spraw w rękach Richarda. Na początku, kiedy trafiła do szpitala, cieszyła się, że pilnuje wszystkiego, co przy niej robią. Teraz jednak już tego nie chciała. Dziwne, jak szybko emocjonalne odruchy dostosowały się do jej decyzji o... No właśnie, o czym? Nie o zerwaniu z Richardem, ale raczej o stworzeniu dystansu, który skłoni go do odejścia. Dalej, Kathleen, skarciła się w duchu. Bądź konsekwentna. Przecież postanowiłaś, że będzie tobą rządzić umysł, dlaczego więc teraz miałyby być inaczej? Uczucia wyłączą się same, kiedy dystans stanie się zbyt duży. Muszą.

Westchnęła ciężko. Podejrzewała, że wszystkie te myśli są częścią procesu, który sama

przecież zaplanowała. A jednak była przygnębiona. Kochała go również za to, że tak się troszczył.

Pielęgniarka przypięła do stelaża łóżka komplet zbiorników z tlenem – na wszelki wypadek.

– Gotowa? – spytała.

– Gotowa.

*godzina 08.15
oddział radiologiczny*

– Czołem, doktorze – powiedział młody człowiek w szpitalnej koszuli leżący na kozetce. – Dawnośmy się nie widzieli – dodał, podnosząc się na łokciach.

Richard miał kłopoty z dopasowaniem tego przyjemnego uśmiechu do zniekształconej twarzy, którą zapamiętał z bardzo trudnych chwil sprzed roku, kiedy intubował tego pacjenta. Dostrzegał wprawdzie drobne asymetrie w fałdach wokół ust mężczyzny, ale w ruchach głowy i oczu już nie. Dowodem istnienia innych, być może nieodwracalnych zmian były za to dwie laski oparte o stojącą opodal szafkę.

– Proszę, proszę – wykrzyknął Richard. Podeszedł bliżej i uściśnął rękę pacjenta. Odwzajemniony uścisk był mniej więcej połowę słabszy od normalnego. Na opasce zapiętej na nadgarstku mężczyzny widniał napis ABRAHAM PAXTON.

– Nieźle, prawda? A terapia jeszcze nie skończona. Coraz lepiej chodzę, chociaż postępy nie są już tak szybkie jak na początku.

Richard pokręcił głową.

– Uważam, że odwalił pan cholernie dobrą robotę. Nie miałem pojęcia, że jest aż tak dobrze, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Muszę raz jeszcze podziękować, że zgodził się pan przyjść na badanie.

– Gdyby nie pan, nie miałbym już szans na żadne badanie. No i gdyby nie doktor Hamlin. Jezu, byłem w szoku, kiedy się dowiedziałem, że ktoś go zamordował. Potem zaś te hipotezy w gazetach, że to sprawka antyaborcyjnego fanatyka. A dziś rano usłyszałem, że z tą sprawą łączą się jakoś komórki macierzyste... Co jest grane, panie doktorze?

Richard westchnął. Byli sami w pomieszczeniu rezonansu magnetycznego. Zamierzał rozmawiać z Paxtonem szczerze, ale wolał nie podsycać plotek. Nie byłoby dobrze, gdyby usłyszał coś technik przygotowujący sprzęt w sąsiednim pokoju.

– Obawiam się, że nikt tego nie wie – powiedział, zniżając głos. – Nie można jednak wykluczyć, że Hamlin wraz z grupą lekarzy używał przedwcześnie komórek macierzystych w leczeniu pacjentów, których wcale nie pytał o zgodę.

– Co?

– Właśnie dlatego poprosiłem pana na badanie. Możliwe, że jest pan jednym z tych pacjentów. Paxton wyglądał tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch.

– Pan żartuje.

Steele nie odpowiedział, pozwalając, by mężczyzna przetrawił szokującą wiadomość.

– A jeśli tak, to... co to oznacza? Są jakieś skutki uboczne?

– Tego jeszcze nie wiemy. Niewykluczone, że pańska fenomenalna rekonwalescencja to właśnie rezultat zastosowania nowej techniki.

Paxton opadł na plecy i zapatrzył się w sufit. Uśmiech sprzed kilku sekund zniknął bez śladu, twarz upodobniła się do drewnianej maski.

– Co z innymi pacjentami, którym to zrobił? Znaleźliście coś u nich?

– Ich także wezwiemy. Zasugerowałem, żeby na początek zbadać pana, ponieważ osobiście znam pański przypadek.

Paxton wciąż wpatrywał się w sufit i jakby zapadał się w siebie.

– W takim razie zaczynajmy – odezwał się pół minuty później.

Od ponad dwóch tygodni nie oddychała powietrzem wolnym od szpitalnych zapachów i nie czuła na skórze ciepłych promieni słońca. Przez trzydzieści sekund, kiedy to pielęgniarka wiozła ją na łóżku przez parking do czekającej karetki, czuła się tak cudownie, jakby brała kąpiel w miodzie.

– Miło zobaczyć światło dnia? – zagadnęła idąca obok policjantka.

– Jeszcze jak!... Jak pani na imię?

– Carla. Carla Reid.

– Carlo... podobają mi się pani włosy... Pięknie wyglądają w słońcu.

– Dziękuję.

– Przypominają mi... włosy mojej córki.

Kiedy wstawiono ją do wozu, oparcie pozostało uniesione, tak że przez małe okienka w drzwiach widziała oddalający się szpital, gdy jechali na północ Pierwszą Aleją. Z iskrą buntu rozmyślała o tym, że jednak przeżyła to, co ją tu spotkało, a równocześnie czuła ulgę, opuszczając to miejsce. Widok flag łopoczących na wietrze przed zakrzywioną fasadą gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych obudził w niej wspaniałe poczucie wolności.

Skręcili na wschód w Siedemdziesiątą Drugą, ku York Avenue, a potem znowu na północ. Kathleen zobaczyła rząd sklepów i irlandzkich pubów, do których często ciągnęła ją Lisa na wspólne zakupy i piwo. Uśmiechnęła się, wspominając coś, co być może pewnego dnia znowu mogło się stać jej udziałem. Boże, jak bardzo tęskniła za tamtymi chwilami.

Raz jeszcze skręcili w prawo, tym razem w Siedemdziesiątą Dziewiątą, a następnie ponownie na północ, w East End Avenue. Jechali teraz pod koronami drzew sięgających nad ulicę z parku Carla Shurza. Kathleen dostrzegła za płotem małe dzieci bawiące się pod czujnym okiem kobiet, które stały obok w małych grupkach lub siedziały i gawędziły na ławkach. Zazdrościła im tego cienistego spokoju.

Wóz zwolnił i skręcił w lewo. Przez moment widziała East River; szara powierzchnia rzeki połyskiwała w słońcu warstwą tłustych zanieczyszczeń. Zobaczyła nawet Gracie Mansion, dostojny drewniany dom burmistrza obłożony zółtą farbą.

Ambulans skręcił i zatrzymał się przed bramą. Pielęgniarka poprosiła o pomoc salowego, który odpoczywał w pobliżu, i razem wyciągnęli z samochodu składane łóżko. Carla wyniosła torbę z osobistymi rzeczami Sullivan. Kathleen zadarła głowę i zobaczyła nowoczesny, dwunastopiętrowy budynek wykończony błyszczącym białym kamieniem, którego powierzchnię przecinały pasma przyciemnianych szyb ciągnące się wzdłuż całych kondygnacji. Jak waniliowe ciasto przekładane czekoladowym kremem, pomyślała. W sąsiedztwie dostrzegła sporo zieleni i kilka domów z czerwonej cegły, które przypominały wiejskie rezydencje. Okolica musi być dobrze strzeżona, doszła do wniosku, spoglądając na policjantów stojących po drugiej stronie ulicy, przed bramą

siedziby burmistrza.

Wnętrze powitało ją cudownym zapachem kawy i cynamonu. Źródłem aromatu był przestronny hol, w którym pod biało-zielonym baldachimem ustawiono kilka niedużych stolików. Za nimi znajdował się okazały kontuar, a na nim talerze z obwarzankami oraz słoje z czarnymi ziarnami i metalowymi szufelkami. Przypominało to raczej kawiarnię niż szpitalny bufet.

– Kawę z mlekiem proszę – odezwał się mężczyzna z balkonikiem do kobiety w kostiumie pasującym kolorem do daszku nad jej głową. Kobieta wcisnęła klawisz ekspresu i maszyna zagulgotała cicho. Kilkoro ludzi – niektórzy w szlafrokach, inni w normalnych ubraniach – siedziało przy stolikach, rozmawiając, popijając kawę lub przeglądając gazety. Resztę miejsca zajmowały miękkie sofy i wygodne krzesła, a wszystko to oświetlał blask dyskretnie ukrytych lamp. Wazony ze świeżymi kwiatami i rośliny doniczkowe dodawały wnętrzu koloru i życia.

Kathleen poczuła nagłe wydzielanie śliny i pierwszy raz od początku choroby uświadomiła sobie, że jest głodna. Postanowiła twardo, że najdalej za tydzień wypije jedną z tych aromatycznych kaw w normalny, ludzki sposób.

Tutejsza rejestracja mogłaby uchodzić za recepcję luksusowego hotelu, pomyślała. Całe pomieszczenie wyłożono drewnem, a wśród personelu, ubranego w biznesowe garnitury i garsonki, nie widać było ani jednego lekarskiego kitla. Typowe było natomiast mozolne dyktowanie danych osobowych, począwszy od nazwiska rodzowego matki.

– Zostawię pacjentkę na łóżku – szepnęła kierowca do Carli, gdy rejestratorka wpisywała dane do formularza – i skoczę za bramę, do kawiarni.

– Nie ma sprawy – odparła policjantka. – Zdaje się, że trochę to potrwa.

– Proszę o numer ubezpieczenia i dane kasy chorych – odezwała się kobieta za kontuarem.

Kathleen wyrecytowała bez namysłu ciąg liczb, które znała na pamięć.

Richard spojrzął na ekran. Zdjęcia nie większe od paszportowych ukazywały przekroje mózgu Abrahama Paxtona tak wyraźnie, jakby otwarto czaszkę i krojono w plastry jej zawartość, fotografując każdą kolejną warstwę.

– Tutaj Hamlin operował przy pierwszym krwotoku – powiedział radiolog, wskazując obszar poniżej płata czołowego. – Ale proszę spojrzeć tu – dodał, zbliżając palec do ciemnej plamki znacznie mniejszej od ziarnka grochu. – Gdybym nie wiedział, że Hamlin usunął facetowi tętniaka, przysięgłbym, że to ten.

– Czy to możliwe, żeby nie trafił za pierwszym razem?

– Nie. – Mężczyzna umieścił na ekranie drugi arkusz zdjęć. – Te są z zeszłego roku, zrobiono je po operacji. Tętniak został usunięty.

Steele nie mógł zaprzeczyć: rok wcześniej miejsce, w którym teraz widzieli plamkę, było puste.

– Brzmi to niedorzecznie – przyznał radiolog – ale wszystko wskazuje na to, że panu Paxtonowi wyrosło w mózgu nowe zdeformowane naczynie. Na razie jest bardzo małe, ale angiogram pokaże nam, czy się nie mylimy...

– Dzięki – przerwał mu Richard, w pośpiechu ruszając ku drzwiom. – Niech pan do mnie zadzwoni, gdy tylko będą wyniki. Wiedział już, co się stało.

– Powoli, powoli. Chyba nie nadążam – powiedział Gordon Ingram.

– To dlatego, że komórki macierzyste podawane przez Hamlina pobierały informacje o tym, czym mają się stać, nie tylko od neuronów, ale także od znajdujących się obok anomalii naczyniowych. Budowały nie tylko mózg, ale także naczynia krwionośne, przy okazji kopiując te same deformacje, które wcześniej doprowadziły do krwotoku.

– To cholernie swobodna hipoteza.

– Czyż od początku w pracach nad komórkami macierzystymi nie obawiano się tego, że będą kopiować błędy? Czy ktokolwiek umiał powiedzieć, jak zachowają się w konkretnych przypadkach, u konkretnych pacjentów? Nie! I po to właśnie prowadzi się badania.

– Dobrze już, dobrze. Jedno jest pewne: trzeba sprawdzić, czy masz rację. To, co znalazłeś u Paxtona, jest sygnałem, że powinniśmy przyspieszyć ściąganie pozostałych pacjentów Hamlina na badania. Bóg jeden wie, co z nimi zrobimy, jeżeli wszyscy będą mieli nawroty...

W tym momencie zadzwoniła nowa komórka Richarda. Nieprzywykły do obsługiwania nowocześniejszego modelu chwilę szukał odpowiedniego klawisza.

– Halo?

– Niech pan natychmiast zejdzie do kostnicy – odezwał się w słuchawce głos McKnighta.

– Po co?

– Niech pan nie gada, tylko idzie. Znaleźliśmy ciało Edwardsa.

– Cholera!

– Proszę zabrać swoją ekipę z oddziału. Mamy też Norrisa. Morderca pociął go na kawałki, ale biedny sukinsyn chyba jeszcze żyje.

W komorze panowała mniej więcej taka temperatura jak w lodówce. Wyregulowano ją tak, by ciało dobrze się przechowywało, ale nie zamarzało. Hipotermia ocaliła Norrisa.

A przynajmniej to, co z niego zostało.

Ucho, resztki oka oraz dłoń – wszystko odjęte z prawej strony ciała – leżały na małej kupce obok głowy wraz z pękiem witek.

Puls był niewyczuwalny, a oddech tak płytki, że ledwie się go zauważało. Skórę można było ugniatać i formować jak plastelinę, ranny nie reagował ani na głos, ani na ból. Dla niewprawnego oka wyglądał w zasadzie jak trup.

McKnight był jednak spostrzegawczy i uważny. Ocalałe oko Norrisa, choć patrzyło prosto w przestrzeń, miało źrenicę normalnej wielkości. Kończyny, jakkolwiek zeszywniałe i trudne do poruszenia, nie były jeszcze dotknięte stężeniem pośmiertnym. Ciało było sine, ale nie wystąpiły ciemnopurpurowe plamy opadowe, skutek spływania krwi do najniższych położonych punktów martwego ciała.

Richard pochylił się nad piersią leżącego i zaczął osłuchiwać ją stetoskopem, zanim jeszcze szuflada została wysunięta do końca z chłodziarki. Mniej więcej co trzy sekundy słyszał słabe uderzenie serca.

– Do roboty, ludzie! – zawołał. – Facet nie jest martwy, dopóki go nie ogrzejemy i nie stwierdzimy, że jest martwy.

Po minucie z ramion i nóg Norrisa wystawały już rurki kroplówek – ogrzana solanka zaczęła krążyć w jego żyłach – a do piersi przyłączone zostały czujniki monitorów. Richard osobiście intubował rannego. Do otwarcia jego szczęk potrzebował mniej więcej takiej siły, jakiej

wymagałoby manipulowanie zamrożonym udkiem kurczaka. Używając podświetlanej końcówki laryngoskopu, odsunął na bok język Norrisa i dostrzegł „V” strun głosowych. Laryngoskop zagłębiał się całkiem normalnie, dopóki jego czubek nie pojawił się w otworze wyciętym w przedniej ścianie tchawicy mężczyzny.

– Temperatura ciała osiemnaście stopni Celsjusza – zawołała jedna z pielęgniarek, machając termometrem doodbytniczym skalibrowanym do rejestrowania niskich temperatur.

Rekord świata, przynajmniej według literatury fachowej, należał do osobnika, którego przywrócono do życia po schłodzeniu ciała do piętnastu stopni.

Wyjeżdżając z kostnicy i biegnąc w stronę windy, Richard i jego ludzie słyszeli komentarze i widzieli spojrzenia pracowników patologii. Nie mieli jednak czasu, by zwracać na nie uwagę – zbyt byli zajęci podtrzymywaniem oddechu Norrisa i kontrolowaniem jego funkcji życiowych.

– ... ogrzać tlen do czterdziestu pięciu stopni...

– ... podnoście temperaturę nie szybciej niż o półtora stopnia na godzinę. Kluczowe słowo to obecnie „powoli”. Działamy tylko od środka. Żadnych gorących koców, kiedy dowieziemy go na górę. Wywołałyby rozszerzenie naczyń krążenia peryferyjnego, a w następstwie wstrząs...

– ... i bez zbędnej manipulacji sercem. Żadnych cewników w tętnicach. Najmniejsze podrażnienie przy tej temperaturze wywoła fibrylację mięśnia sercowego, a wtedy będziemy faceta pompować długie godziny...

Kiedy zamykały się drzwi windy, Richard usłyszał czyjś kpiący głos:

– Co, znowu wsadziliście żywego do lodówki?

– Już pojechała?

– Tak, karetka dotarła wcześniej, doktorze Steele. Zostawiłam wiadomość na pańskim oddziale.

– Przecież prosiłem, żeby zawiadomiono mnie osobiście.

– Niestety, doktor Sullivan anulowała pańskie życzenie. Koniecznie chciała własnoręcznie podpisać dokumenty. Wie pan przecież, że można się spodziewać takiej postawy. Szybkie postępy sprawiły, że doktor Sullivan nie chce już być od nikogo zależna.

Steele zeszywniał, usłyszawszy komentarz pielęgniarki.

– Nic jej się nie stało – przerwał rozmowę McKnight, rzucając słuchawkę na widełki. – Moja podwładna jest z nią cały czas. Razem pojechały do instytutu, w tej chwili trwają formalności. Poprosiłem o skierowanie tam paru wozów patrolowych. Nasi ludzie powinni obejrzeć budynek. Do czasu, aż ustalimy konieczny zakres ochrony, funkcjonariusze pełniący służbę przy bramie domu burmistrza będą też pilnować głównego wejścia do instytutu. Tyle że moim zdaniem najbardziej powinniśmy się bać tutaj. Da pan wiarę, że ten sukinsyn zrobił to pod naszym nosem? Jak pan sądzi, kiedy Norris będzie mógł mówić? – spytał, wskazując kciukiem zasłony, za którymi trwała reanimacja rannego.

– Nie wiem nawet, czy będzie żył. Jeśli tak, to miną dni, zanim na tyle odzyska przytomność, żeby coś nam powiedzieć.

– Niech to szlag! Jak, do wszystkich diabłów, mogło do tego dojść?! Dwa nowe ciała w kostnicy, w tym jedno odgłowione co najmniej wczoraj, a nikt nie zauważył, że coś się dzieje!

– Krótko mówiąc, cięcia budżetowe. Jeśli wziąć pod uwagę liczebność personelu, mamy szczęście, że ktoś zajrzał do tej lodówki przed upływem tygodnia.

– Jezu, ten szpital to jeszcze większy dom wariatów niż policja! Coś panu powiem: od tej pory będzie tu taka ochrona, że nawet karaluch nie prześliznie się ani w jedną, ani w drugą stronę. Obsadzamy wszystkie wyjścia, bez względu na to, ilu ludzi trzeba będzie ściągnąć. Może dopisze nam szczęście i znajdziemy drania w budynku.

– Wierzy pan w to?

– Nie.

– A co z Blaine i Downs?

– Moi ludzie mają rozkaz zwinąć Downs i doprowadzić ją tutaj. Zobaczymy, jak zareaguje, kiedy zobaczy swojego kochasia, a potem sam ją przesłucham. Po tym, co się stało, pora zdjąć rękawiczki...

– A Blaine?

– Pójdzie pan ze mną do niej, kiedy skończymy z Downs.

– Nie chcę, żeby Kathleen była teraz w jej instytucie...

– Gdziekolwiek pan ją umieści, będzie miała naszą ochronę.

Jeśli w ogóle zechce mnie słuchać, pomyślał Richard. Obawiał się, że ma na Kathleen nie większy wpływ niż na to, czy ludzie McKnighta zdołają obronić ją przed mordercą.

– Jest tylko jedna dobra wiadomość tego ranka – odezwał się po chwili detektyw. – Poszczęściło nam się i chyba zidentyfikowaliśmy drania. Opłaciło się tworzenie portretu pamięciowego. Zabójca został rozpoznany przez właściciela pokoju, który wynajmował. Dostaliśmy informację, że mieszkał na Canal Street, ale nie pojawił się tam od środowego poranka, kiedy to sąsiedzi widzieli, jak pakował komputer do ciężarówki. Domyślamy się, że zmienił kryjówkę między atakiem na pana w szpitalu a podłożeniem bomby w pańskim domu.

– Uciekł wam.

– Za to mamy odciski. Tym razem kompletne, znacznie lepsze niż te, które zostawił przez pękniętą rękawiczkę. Przekazaliśmy je FBI i okazało się, że są w bazie.

Steele spojrzał na McKnighta z odrobiną nadziei.

– Naprawdę?

– Tak. Identyczne znaleziono kilka lat temu w pokoju hotelowym w Rochester, w którym jakiś bandzior zabarykadował się przed policją, zanim popełnił samobójstwo. Nieco wcześniej zginął niedaleko pewien ginekolog. Mówiłem panu o morderstwie, za którym naszym zdaniem stał Legion Pana. Wtedy nie udało się ustalić jednoznacznego powiązania między samobójcą a zabójstwem lekarza. Odkryto natomiast, że ktoś jeszcze musiał być w pokoju hotelowym, bo znaleziono drugi komplet odcisków. Koledzy z FBI bardzo chcieliby pogadać z naszym przyjemniaczkiem.

– Wiecie już, jak się nazywa?

– Właścicielowi mieszkania przedstawił się jako Rob Lowe.

Richard parsknął śmiechem.

– To jeszcze nie koniec. Gość, który palnął sobie w łeb w Rochester, nazywał się Bobby Nappin i strasznie lubił lać swoją żonę. Istny rekordzista świata w domowej przemocy. Jego pani ukrywa się od dziesięciu lat. Otóż Nappin miał syna, o którym sąsiedzi mówili „wykapany tatuś”. Agenci FBI wysnuli więc wniosek, że tym drugim mężczyzną z pokoju hotelowego mógł być właśnie on.

– A niech mnie!

– Niech pan słucha dalej. Przejrzeliśmy listę pracowników szpitala, szukając nazwiska Lowe, ale bezskutecznie. Kiedy zrobiliśmy to samo z nazwiskiem Nappin, zaliczyliśmy bliskie trafienie. Z danych archiwum kadr wynika, że niejaki Robert Nape pracował tu kiedyś na patologii jako pomocnik przy sekcjach zwłok. Kilka lat temu został salowym na oddziale medycyny reprodukcyjnej. Otrzymał naganę za rozpowszechnianie ulotek *Prawo do życia* i namawianie pacjentek, żeby nie pozwalały na niszczenie nie wykorzystanych embrionów. Pewnej nocy, kilka tygodni później, przyłapano go, gdy próbował dobrać się do zamrożonych zarodków. Edwards z miejsca wylał go z roboty. Ludzie zapamiętali go, ale jako długowłosego brodacza. Kiedy nasz grafik dodał solidne owłosienie do portretu stworzonego na podstawie wskazówek doktor Sullivan, otrzymaliśmy podobiznę Roberta Nape'a.

Podszedł do wozu, wyjął skradzioną kurtkę pielęgniarki, wydobyl z za siedzenia kierowcy wózek, rozłożył go i poprowadził w stronę wejścia do instytutu rehabilitacji. Gdyby ktoś przyjrzał mu się z bliska, zobaczyłby rurki przyklejone taśmą do chromowanej ramy fotela na kółkach, ale intruz wiedział, że jest to bardzo mało prawdopodobne – zwłaszcza w miejscu takim jak to.

I rzeczywiście, żaden z pacjentów przy stolikach nawet się nie obejrzał. Mężczyzna z wózkiem minął rejestrację i skierował się wprost ku drzwiom z napisem „Biuro”.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała sekretarka. Czarne loki spiętrzone na jej głowie oraz błyszczące czerwone usta budziły skojarzenia z Cher.

– Czy doktor Blaine jest u siebie?

– Tak, ale spodziewa się pacjenta.

– Roberta Nappina Drugiego? – Sam zatelefonował do instytutu niespełna godzinę wcześniej. Zapowiedział krótką wizytę i rozmowę na temat miliona dolarów, którym chciał wesprzeć ośrodek doktor Blaine. Pan Nappin bardzo się spieszył, bo leciał na Bahamy, a dobroczynne gesty zawsze wykonywał pod wpływem impulsu, więc... – Jestem jego kierowcą. Mój pracodawca jest bardzo dumny i chciałby wejść do gabinetu pani doktor o własnych siłach. Idzie z pielęgniarką, ale kiedy już tu wkroczy, będzie musiał usiąść na swoim fotelu. Mogę zostawić wózek u doktor Blaine? Proszę mi wierzyć, pan Nappin jest niezwykle czuły na punkcie własnej prezencji. Bardzo zależy mu na odpowiednim wejściu i przywitaniu z właścicielką instytutu.

– Myślę, że nie będzie problemu, ale oczywiście zapytam doktor Blaine. – Sekretarka wstała, zapukała do drzwi i zajrzała do pokoju szefowej. – Przyszedł kierowca pana Nappina. Chciałby zostawić jego wózek w pani gabinecie. Pan Nappin bardzo chce wejść tu o własnych siłach.

Mężczyzna nie widział Blaine, ale usłyszał jej gardłowy śmiech.

– Skarbie, za milion dolarów pan Nappin może nawet wskoczyć tu na jednej nodze.

Pchnął fotel na kółkach w stronę sekretarki, odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Zerknął jeszcze przez ramię, by upewnić się, czy wózek znalazł się już w gabinecie, a potem przyspieszył kroku, wsunął rękę do kieszeni i zamknął dłoń wokół zdalnego sterownika. Gdy tylko wyszedł na korytarz, nacisnął guzik.

Eksplozji towarzyszyło potężne tąpnięcie podobne do dźwięku, jaki w chwili zapłonu wydaje płótno nasączone naftą. Choć od miejsca wybuchu dzieliły zabójcę dwa pokoje, podmuch rzucił go na podłogę w deszczu odłamków paneli sufitowych i lamp. Podniósł się szybko i sięgnął ręką do czoła, by zgarnąć ostre drobiny, nie naruszając peruki. Po chwili zauważył, że na dłoni pojawiła się

krzew. Dokoła zaroilo się od ludzi biegnących ku miejscu, w którym doszło do wybuchu. Ktoś zatrzymał się, żeby pomóc mu wstać. Kobieta poruszała ustami, ale detonacja zatkała mu uszy i słyszał jedynie dalekie echo jej głosu.

Dał jej znak, że nic mu nie jest, i chwiejnym krokiem ruszył w stronę rejestracji. Chwilowa głuchota ustępowała szybko i już po chwili, mimo głośniego dzwonięcia w uszach, usłyszał krzyki. Pewnie znaleźli ciała. Dwie kobiety w pokoju z bombą nie miały szans.

Drogę do szpitalnego łóżka, na którym leżała Sullivan, zastąpiła mu umundurowana policjantka. Stała plecami do podopiecznej z dłonią na chwycie pistoletu i zdecydowanie niepewną miną.

Niepewności nie było natomiast w spojrzeniu Kathleen Sullivan. Zielone oczy śledziły zbliżającego się mordercę jak pociski samosterujące. Jedną ręką próbowała poruszać na tyle gwałtownie, by zwrócić na siebie uwagę policjantki, drugą starała się unieść na wysokość szyi, aby przemówić.

Ona już wie, pomyślał.

– Szybko, proszę pani, potrzebują tam policjanta! – wrzasnął do strażniczki.

– Nie wolno mi zostawiać doktor Sullivan – odparła funkcjonariuszka, z trudem przekrzykując zgłęb. Nie miała pojęcia, że za jej plecami chora gestykułuje rozpaczliwie, próbując coś jej powiedzieć. – Co tam się stało?

– Zdaje się, że to eksplozja gazu. Ludzie panikują. Ktoś musi nimi pokierować. – Morderca chwycił policjantkę pod ramię i popchnął ją w stronę biura. – Spokojna głowa, zawiozę doktor Sullivan w bezpieczne miejsce.

– Pan krwawi – stwierdziła kobieta, spoglądając na jego czoło.

– Nic mi nie będzie. Prędeż!

Carla Reid puściła się biegiem w stronę, z której przyszedł zabójca.

– Spotkamy się przy karetce – krzyknął przez ramię – gdy tylko nadejdzie pomoc! Niech ktoś wezwie straż!

Odwrócił się i spojrzał na Sullivan, która kołysała się z wysiłkiem i uderzała o boczne szczeble łóżka, daremnie usiłując zwrócić na siebie uwagę. Jej cichy krzyk nie miał szans na przebicie się przez chór przerażonych głosów.

Mężczyzna stanął u wezłowania łóżka i energicznie popchnął je w kierunku wyjścia. Patrząc na uniesione i ugięte nogi Kathleen Sullivan, a także na ręce, które wyciągały się w jego stronę, nie mógł się nadziwić, że rekonwalescencja postępuje tak szybko. Rozcapierzone palce muskały go raz po raz, ale ich dotyk nie był silniejszy od muśnięcia źdźbeł trawy.

Ku drzwiom posuwał się już korowód ludzi o kulach i na wózkach, lecz absolutnie nikt nie zwracał uwagi na kobietę wijącą się na łóżku – nawet sześciu policjantów, którzy właśnie zaczęli się przepychać w przeciwną stronę.

Gdy tylko umieścił składane łóżko w karetce, sięgnął po strzykawkę, którą nosił w kieszeni na piersi, podłączył ją do bocznego wejścia kroplówki i wolno nacisnął tłok. Kathleen zamknęła oczy, a jej kończyny znieruchomiały. To był midazolam, nie chlorek potasowy, a dawka z pewnością nie mogła być śmiertelna. Morderca zamierzał utrzymać ofiarę przy życiu aż do wielkiego finału. Potrzebował jej, aby zwabić w pułapkę Steele'a.

Włączywszy syrenę i koguta na dachu karetki, nie miał problemów z manewrowaniem między

biało-niebieskimi wozami policyjnymi, od których zaroilo się przed gmachem instytutu. Skręcił na południe, w East End Avenue, mijając kolumnę wyjących wozów strażackich. Kilka minut później parkował już w rzędzie ambulansów stojących przed szpitalem Mount Steven's, w pobliżu skrzyżowania Lexington z Siedemdziesiątą Siódmą Ulicą. Żaden z kierowców opartych o maski wozów i leniwie pijących kawę w oczekiwaniu na wyjazd nie zwrócił uwagi na nowego, który wysiadł z szoferki i otworzył tylne drzwi.

- Nieprzytomna – mruknął jeden z nich, nieco zbyt uważnie przyglądając się uśpionej Sullivan.
- Przeniesiona z miejskiego. Nie zbliżaj się, kolego, ma przewlekłe zapalenie płuc.
- Jezu! – Przestraszony kierowca cofnął się odruchowo. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bo nie pytałeś – odparł przybysz, popychając łóżko w stronę frontowych drzwi szpitala.

Zygzakując korytarzami, przebył cały parter budynku, by wreszcie trafić do wyjścia od strony Siedemdziesiątej Szóstej Ulicy. Tam zobaczył furgonetkę, której szukał. Kiedy zbliżył się do niej, z szoferki wyskoczył kierowca.

Nie była to osoba, którą spodziewał się zobaczyć, ale jej pojawienie się miało sens. Bardzo głęboki sens.

Razem załadowali łóżko do wozu i odjechali.

Wydawało się, że syreny z całego miasta kierują się ku jednemu punktowi gdzieś w górnej części East Side'u.

Jo O'Brien wtargnęła do gabinetu bez pukania.

– Richardzie, dostaliśmy wiadomość, że wiozą do nas ofiarę bomby rurowej z instytutu Adele Blaine.

– Co?! – Steele poczuł, że serce podskakuje mu do gardła.

– To nie doktor Sullivan. Wiemy, że Blaine nie żyje, a ciężko ranna jest jej sekretarka. Kiedy dotarli do niej medycy, z oznak życia wykryli jedynie puls.

– Jezu Chryste! A co z Kathleen?! – Richard zerwał się z fotela i skoczył w stronę drzwi. – Muszę ją odnaleźć!

– Nie zgłaszano innych ofiar – powiedziała Jo, kładąc dłoń na jego ramieniu i zatrzymując go w biegu. – Poza tym najprawdopodobniej doktor Sullivan jest już w drodze powrotnej. Instytut odsyła pacjentów do szpitali, w których byli leczeni. Zostań, Richardzie. Przede wszystkim trzeba pomóc rannej, a ty jesteś tu szefem. Karetka wiezie ją specjalnie do nas, chociaż są bliższe szpitale.

To oznaczało, że sekretarka Adele Blaine umrze, jeżeli nie zostanie oddana w ręce najlepszych specjalistów w mieście.

Mimo to Steele musiał wiedzieć, że Kathleen jest bezpieczna.

– Zadzwoń do McKnighta, Jo. Niech skontaktuje się przez radio z policjantką, która towarzyszy Kathleen, i dowie się, czy wszystko w porządku.

Odwrócił się i ruszył w stronę sali reanimacyjnej, słysząc zbliżające się wycie syren podobne do żałobnej nuty skrzypcowych strun.

Spoglądając na nabita gwoździami twarz, Richard zastanawiał się, jak mogła wyglądać ta młoda kobieta. Niesione podmuchem żelazne kolce pocięły jej skórę na drobne paseczki od twarzy aż po piersi. Najgorzej wyglądały policzki i oczy – nie sposób było stwierdzić, jakiego koloru były tęczówki rannej. Musiała pochylić się nad bombą, nieświadoma niebezpieczeństwa; dolna część

ciała, choć posiniaczona i zakrwawiona, była w zasadzie w całości. Nawet wspaniałe czarne włosy opadające lokami na poduszkę wyglądały prawie normalnie, ale kiedy Richard poruszył je palcami, zobaczył, że rozpadają się na popiół. W powietrzu unosił się odrażający zapach spalonego ciała.

Rzeczywiście, jak powiedziała Jo, puls był wyczuwalny, ale na ratunek było już za późno. Mimo igieł, cewników i rur wpijających się w ciało umierającej praca serca ustała... lecz nawet spokój tego organu naruszono, próbując ocalić słabnące życie. Richard na próżno masował serce przez naprędcę wycięty otwór między żebrami, tuż pod lewą piersią.

A teraz czekał na rodziców dziewczyny.

Zwykle te chwile wypełniała mu praca – odcinał rurki różnej średnicy tuż przy ciele zmarłej, pozostawiając ich końcówki wewnątrz, na wypadek gdyby konieczne było przeprowadzenie sekcji. Zwłoki przykrywano prześcieradłem i należało dopilnować, żeby nie wystawało spod niego nic osobliwego. „Aby ciało prezentowało się właściwie”, pisano w podręcznikach. A cóż takiego „właściwego” jest w zwłokach ukochanej osoby, myślał Richard, trzęsąc się ze złości. Śmierć jest ohydna. Złowroga. Odpychająca. Zwłaszcza gdy nadeszła z rąk potwora walczącego ponoć w imię wielkiej sprawy.

– Przyjechali, doktorze Steele – powiedziała Jo O’Brien, zaglądając do sali reanimacyjnej.

Richard nie poruszył się.

– Nie mogę tego zrobić, Jo. Już nie mogę.

– Musisz i zrobisz to. Zaprowadzę ich do gabinetu.

– Złapałaś McKnighta?

– Tak. Był już w drodze do instytutu. Zapewnił mnie, że według personelu ucierpiały tylko dwie osoby, a wszystkich pacjentów wyprowadzono. Mimo to sprawdzi jeszcze u swoich ludzi.

Spojrząwszy po raz ostatni na zwłoki, Richard ruszył korytarzem na spotkanie z matką i ojcem zabitej, usilnie zastanawiając się nad tym, co im powie. Wziął głęboki wdech i raz jeszcze zanurzył duszę w lodzie, wiedząc, że pewnego dnia już jej nie odzyska. Widział, jak to się działo. Nie można w nieskończoność odzierać się z uczuć tak, jak wąż gubi skórę. Prędzej czy później pokonuje się próg zubożenia. Bez względu na to, czy nazywa się to depresją czy wypaleniem, ten, kto doświadczył czegoś takiego, już nigdy nie jest taki jak dawniej, nawet jeśli wydaje się, że jakoś się pozbierał. Małżonkowie, kochankowie i dzieci zauważają zmianę: puste spojrzenie i milczenie – skutek przekroczenia granicy między światłem a ciemnością chwili. Kiedy Steele zatracił się w rozpacz, w końcu zdołał jakoś wypłynąć na powierzchnię i rzadko powracał w otchłań. Wątpił jednak, by aż tak dopisało mu szczęście, kiedy wreszcie ugnie się pod masą przerażających zdarzeń, z którymi na co dzień stykał się na oddziale. Takie chwile jak ta bardzo przybliżały go do granicy wytrzymałości.

Pół godziny później wyszedł z gabinetu i z ulgą oddał pograżonych w rozpacz rodziców w opiekuńcze ramiona Jo. Oparłszy się o ościeżnicę, patrzył, jak odchodzą w kierunku wyjścia. Wiedział, że ich życie zostało nieodwracalnie złamane, i raz jeszcze poczuł, że jest wdzięczny Bogu, iż nie na niego spadło tak bolesne doświadczenie. Miał nadzieję, że tak już pozostanie.

Kiedy się odwrócił, zobaczył McKnighta, który stał pod ścianą i przyglądał mu się uważnie. Serce Richarda zadrżało, gdy dostrzegł strach w oczach policjanta, i nieomal stanęło, kiedy usłyszał jego słowa:

– Będzie lepiej, jeśli pan usiądzie.

Rozdział 19

Budziła się etapami.

Każdy z nich był bolesny.

Na początek jej głowę wypełnił znajomy zimny ból ustępującego znieczulenia.

Potem poczuła palące zdrętwienie kończyn.

Miałam drugi udar. O Boże, nie mogę się ruszyć!

Otworzyła oczy i zobaczyła absolutną ciemność.

Poczuła też coś w rodzaju ulgi – nie była sparaliżowana, tylko związana. Nie znajdowała się już w karetce, ale w innym pojeździe. Jej ciało przesuwano się za każdym razem, gdy wóz skręcał, zwalniał lub przyspieszał. Sądząc po odgłosach ruchu ulicznego, wciąż byli w mieście.

Nadwrażliwy od czasu udaru słuch pozwolił jej wychwycić głosy dwóch mężczyzn rozmawiających w szoferce, ale mimo wysiłków nie mogła zrozumieć pojedynczych słów. Odróżniała za to piskliwy głos mordercy od drugiego, niższego, o znajomym, jakby urywanym rytmie. Ktokolwiek to był, porozumiewał się krótkimi sekwencjami słów, prawie tak samo jak Kathleen.

Wóz zatrzymał się nagle i zakołysał nieznacznie, a sekundę później drzwi po stronie pasażera zamknęły się z hukiem.

Dlaczego nie zabili mnie od razu?

Boże, błagam, tylko żadnych zabaw jak z Lockmanem. Tylko nie to. Celny strzał, jeden zastrzyk – wszystko, tylko nie ćwiartowanie.

Jeżeli porywacz świrował na punkcie rządzenia kobietami, jak jego bracia z Legionu Pana, to szanse miała raczej niewielkie.

A może dałoby się wykorzystać jego nienawiść? Płaszczyć się, prosić, błagać o śmierć. Przekonać, że ostateczną demonstracją siły będzie odebranie życia istocie w pełni świadomej, nie zaś półprzytomnej z bólu.

Piękna opcja.

Furgonetka przyhamowała, a chwilę później stanęła.

Kierowca został w kabinie.

Z zewnątrz dobiegał śmiech dzieciaków i rozmowy przechodniów mijających wóz w odległości niespełna metra.

Jedynym sygnałem, jaki mogła im wysłać, był żalosny świst powietrza uchodzącego z tchawicy.

– Zabiliście ją, sukinsyny! Pieprzone, niekompetentne sukinsyny! Pozwoliliście, żeby ten potwór gwizdnął ją wam przed nosa, a to oznacza, że ją zabiliście!

– Richardzie, proszę – rzekł McKnight. – Nie pomaga pan...

– Chce się pan przekonać, do czego on jest zdolny? Proszę bardzo, chodźmy do sąsiedniej sali. Pokażę panu jego najnowsze dzieło! – Richard krążył nerwowo, objijając się o ściany własnego gabinetu.

Stojący plecami do drzwi detektyw nie odpowiedział. Steele zatrzymał się przed nim.

– Powiedz pan coś, do cholery! A może umie pan tylko stać mi na drodze? Czego się pan tak boi? Że zacznę szukać drania na własną rękę? Z drogi! Poradzę sobie lepiej niż...

– Jej fotografia została przekazana komputerowo do wszystkich wozów patrolowych w mieście. Policja jest w stanie gotowości i wszyscy szukają doktor Sullivan. Stacje radiowe i telewizyjne emitują w tej chwili komunikaty, podając oznaczenia i numery skradzionego ambulansu. Każdy, kto zobaczy osobę z chorą przypominającą doktor Sullivan, jest proszony o kontakt z...

– Zwinęliście już Downs?

McKnight zawahał się i spróbował przełknąć ślinę, ale przyszło mu to z trudem, jakby czuł wielką suchość w ustach.

– Niezupełnie.

– Niezupełnie? Przecież ona może być jedynym ogniwem łączącym nas z mordercą.

– Nie możemy jej znaleźć. Dozorca z jej kamienicy widział, jak wychodziła wczesnym rankiem. Z walizką.

Richard poczuł, że się dusi.

– Przepuść mnie, sukinyń! – warknął, ruszając w stronę policjanta. – Muszę stąd wyjść.

Dłonie detektywa zacisnęły się na jego ramionach jak dwa imadła.

– Doktorze, powinien pan tu zostać. Porywacz może zadzwonić.

– Mam komórkę.

– Nic więcej nie może pan zrobić.

– A właśnie, że mogę.

– Co na przykład?

Trzymać się z dala od ciebie, pomyślał Richard. Żeby móc pójść po Kathleen, kiedy zadzwoni morderca. Wymienić siebie na nią. Bez asysty gliniarzy, którzy wszystko by spieprzyli, stwierdził. Na głos powiedział jednak coś innego:

– Nie wiem. Po prostu siedzenie w tej klitce doprowadza mnie do szaleństwa. Muszę się przejść. Oczyszczyć umysł, najlepiej w samotności. A teraz niech się pan odsunie.

Zwalisty Murzyn spojrzał na niego z niepokojem.

– Niech pan nie próbuje niczego głupiego, doktorze. Błagam pana. Jest pan na nas wściekły jak jasna cholera i, Bóg mi świadkiem, ma pan ku temu powody, ale współpraca z nami to najlepsza rzecz, jaką może pan teraz zrobić.

Steele miał ochotę raz jeszcze skłąć gliniarza.

– Niech pan mi da trochę czasu dla siebie, detektywie. Policjant puścił jego ramiona, ale nie odsunął się.

– McKnight, nie może pan trzymać mnie tutaj...

Przerwało mu pukanie. Gordon Ingram zajrzał do gabinetu, uderzając drzwiami w plecy detektywa.

– Przepraszam, Richardzie. Nie chciałbym przeszkadzać, ale muszę się upewnić, że to, co usłyszałem o Kathleen, jest nieprawdą.

– Muszę się przejść, Gordonie. W twoim towarzystwie, jeśli nie masz nic przeciwko – rzekł, nie spuszczając z oka McKnighta.

Policjant wrzucił ramionami i odstepił o krok.

– Ma pan mój numer.

Ingram spojrział ze zdziwieniem najpierw na McKnighta, a potem na Richarda, wyczuwając napięcie między nimi.

– Obawiam się, że ostatnio żaden ze mnie kompan do spacerów – powiedział – ale jeśli chcesz, mogę postawić ci colę.

– Chodźmy – rzucił Richard.

Steele opowiedział Ingramowi o swoim planie wymiany siebie za Kathleen, jeśli tylko zabójca zdecyduje się na nawiązanie kontaktu. Gordon słuchał cierpliwie, ale niewiele mógł doradzić.

Telefon zadzwonił, gdy kończyli drugą kolejkę gazowanych napojów.

– Steele?

Trudno było nie poznać wysokiego, jękliwego głosu.

– Słuchaj no, skurwielu, jeśli zrobisz jej krzywdę, wyślę cię do piekła w bardzo powolny sposób i...

– Podejdź do okna we frontowej części szpitala i oddzwon do mnie. Jeśli nie zrobisz tego w ciągu trzydziestu sekund albo jeśli zobaczę w pobliżu gliniarzy, naciśnę guzik.

– Ale gdzie...?

Połączenie zostało przerwane.

Richard spojrział na wyświetlacz. Widniał na nim numer jego starej komórki.

– Szybko! – krzyknął do Ingrama i wybiegł z kawiarni, kierując się ku najbliższej klatce schodowej z oknem na Trzydziestą Trzecią. Pięć pięter niżej, w rzędzie samochodów zaparkowanych po przeciwnej stronie ulicy w pobliżu skrzyżowania z Drugą Aleją, zobaczył zwyczajny wóz dostawczy bez okien i oznaczeń, a przy jego tylnych drzwiach wąsatego mężczyznę o bujnych czarnych włosach, który właśnie unosił słuchawkę na wysokość ucha.

To reporter, który wyszedł z Norrisem po konferencji prasowej, uświadomił sobie Steele. Zdumiewające było to, jak skutecznie zamaskował szeroką twarz, którą wszyscy znali z portretu pamięciowego.

– Widzisz mnie? – spytał głos.

– Tak.

– Więc obserwuj. – Mężczyzna otworzył gwałtownie tylne drzwi furgonetki i wszedł do środka. Nie minęło pięć sekund, nim je zamknął, ale to wystarczyło, by Richard dostrzegł we wnętrzu końcówkę szpitalnego łóżka na składanym podwoziu.

– Oto i ona – powiedział porywacz Kathleen. Najpierw usłyszał jej oddech, a dopiero potem słowa.

– Richardzie... nie słuchaj go... On blefuje... Kochaj dzieci...

– Wystarczy, Steele. Masz czterdzieści pięć sekund na to, żeby zejść na dół i dołączyć do swojej pani. Będę nie dalej niż sto metrów stąd. Jeśli spóźnisz się o sekundę albo zobaczę, że coś kombinujesz, wysadzę ją.

– Nie, zaczekaj...

Morderca po raz drugi przerwał połączenie, a potem na oczach Richarda wyskoczył z wozu, upewnił się, czy drzwi są zamknięte, i odszedł.

Steele zastanawiał się gorączkowo, co robić. Nie miał czasu zawiadomić McKnighta czy

kogokolwiek innego.

Zaczął zbiegać po schodach, w myśli licząc sekundy.

– Richardzie – zawołał Ingram, którzy teraz dopiero stanął w drzwiach klatki schodowej. – Dokąd tak pędzisz?

– Do Kathleen – odkrzyknął przez ramię, nie zwalniając kroku. – Muszę zdążyć. Jest w zaminowanej furgonetce przed szpitalem. Powiedz McKnightowi, co się stało. Może coś wymyśli. Tylko, na miłość boską, niech jego ludzie trzymają się z daleka. Facet obserwuje!

– Co?!

– Rób, co mówię!

Wbiegając na parter, Steele szacował, że ma jeszcze pół minuty.

Dziesięć sekund zabrało mu dotarcie do drzwi. Po kolejnych trzech był już po drugiej stronie Trzydziestej Trzeciej Ulicy. Biegnąc sprintem w rozwianym białym kitlu, pokonał połowę kwartału w ciągu piętnastu sekund. Czuł pieczenie w gardle i z każdym krokiem był coraz bardziej pewny, że bomba wybuchnie, gdy tylko dotrze do furgonetki. Że pędzi prosto w pułapkę zastawioną przez mordercę.

Podbiegł do wozu od strony kierowcy. Nic się nie stało.

Kobieta z wózkiem oddalała się od niego w kierunku Pierwszej Alei. Innych przechodniów nie było. Zabójca ukrył się gdzieś, ale gdyby Steele zawahał się, spokojnie mógł zdetonować ładunek. Wtedy kierowcy przejeżdżających obok samochodów oraz ludzie, którzy zdecydowaliby się przejść przez ulicę w pobliżu wozu, i tak straciliby życie. Chłodna logika selekcji. Richard ostrożnie wyciągnął rękę i uchylił drzwi budy.

W ciemności zobaczył tylko błyszczące oczy Kathleen.

Eksplozja nie nastąpiła.

Wszedł do środka.

Nadal nic.

Zobaczył przyklejone taśmą do podwozia łóżka cztery szare rury grube na co najmniej pięć centymetrów i długie na ponad metr. Cztery razy większy ładunek niż ten, który wybuchł w jego piwnicy.

Pomyślał, że może warto wziąć Kathleen na ręce i wybiec najszybciej jak się da.

W tej samej chwili pamięć podsunęła mu obraz aureoli czarnych loków ponad strzępami rozdartego ciała.

Zgodnie z instrukcją zamknął za sobą drzwi. We wnętrzu zapadła całkowita ciemność.

– Już dobrze – powiedział. – Pomoc jest w drodze.

Kilka sekund później ktoś przekręcił klucz w zamku, blokując tylne drzwi.

Potem ktoś wsiadł do szoferki, silnik ocknął się z rykiem i wóz ruszył.

Richard zbliżył się do łóżka.

– Policja wie, że tu jesteśmy – szepnął, odnajdując w ciemności ramię Kathleen i szybko odwijając krępującą je taśmę.

– Głupcze! – syknęła, gdy tylko zdołała zasłonić dłonią krtań. – Teraz... zginiemy oboje.

– Nie! Coś wymyślimy.

– Na przykład?

Nie znalazł odpowiedzi. Był kompletnym idiotą, kiedy wyżywał się na McKnightcie, zamiast

wspólnie z nim opracować plan działania na wypadek, gdyby zaistniała taka właśnie, przewidywalna przecież sytuacja. Rozładował frustrację na taśmie klejącej. Szybko oswobodził drugą rękę Kathleen i zabrał się do uwalniania nóg. Co parę minut tracił równowagę, gdy wóz skręcał gwałtownie to w prawo, to w lewo. Kierowca musiał kluczyć ulicami, próbując upewnić się, czy nikt nie śledzi furgonetki. Steele miał nadzieję, że McKnight wysłał w pościg śmigłowiec.

Udało mu się odplątać taśmę zawiniętą wokół kostek Kathleen dokładnie w chwili, gdy samochód zwolnił i się zatrzymał.

Zaraz potem zadzwonił telefon.

Gdy tylko nacisnął klawisz, usłyszał głos:

– Spróbuj hałasować, a odbiegnę na piętnaście metrów, zrobię „padnij” i wcisnę guzik pilota. Jasne?

– Nie rób tego...

– To samo nastąpi, jeśli spróbujesz zadzwonić do swoich kumpli gliniarzy.

Zaraz, zaraz, pomyślał Richard. Rozmowy komórkowe można przechwytywać. McKnight musiał zlecić nasłuchiwanie niektórych.

– Dokąd jedziemy? – spytał, mając nadzieję, że skłoni mordercę do rozmowy. Może specjaliści mogli w tym czasie określić pozycję furgonetki na zasadzie triangulacji? Może sam zabójca zdradzi cel podróży? – Oczywiście rozumiem, że mimo wszystko zamierzasz nas zabić. Nie miałeś skrupułów, kiedy odpalałeś poprzednie bomby.

W słuchawce rozległ się pobłażliwy śmiech.

– Wkrótce się dowiecie. Powiem tylko, że będzie tam na tyle głośno, że nikt was nie usłyszy, kiedy będę wymierzał wam karę w imię Pana.

Jezu, pomyślał Richard. Może byłoby lepiej, gdybym sprowokował skurwysyna do odpalenia bomby już teraz. Szybka śmierć, a przy okazji byłoby po nim.

Głosy przechodniów mieszały się z dźwiękami przejeżdżających obok samochodów.

Po nim i po wielu niewinnych ludziach.

Nie. Dosyć krwi dla potwora.

– Zgrabnie ci idzie opowiadanie o zabijaniu – rzekł Steele, doszedłszy do wniosku, że najlepiej będzie po prostu podtrzymać rozmowę. – Ilu niewinnych ludzi zdążyłeś pozbawić życia?

– To ofiary wojny.

– Ale dlaczego wziąłeś się akurat na Kathleen i na mnie? Nie mieliśmy nic wspólnego z Hamlinem i pozostałymi.

– Nie?

– Nie.

– Z moich informacji wynika coś innego.

– Z jakich informacji? Od kogo?

– Wiem, co zrobiłeś albo zrobiłbyś, żeby uratować twoją przyjaciółkę genetyczkę. Jak sądzisz, ile embrionów zginęło, by mogła żyć? Dlaczego mielibyście zasługiwać na łaskę po tym, jak zgodziliście się na coś takiego?

– Na nic się nie zgadzaliśmy.

– Gówno prawda! Poszedłbyś na współpracę z Hamlinem i resztą bandy. Maskowałbyś ich błędy i dostarczał nowych pacjentów, a zabijanie nie narodzonych trwałoby w nieskończoność.

– Kto ci nagadał takich głupot?

W słuchawce znowu rozległ się piskliwy śmiech.

– Wkrótce się dowiesz.

– Jeżeli Francesca Downs, to...

Przerwał mu szcęk otwieranych drzwi pasażera. Dźwięk w słuchawce zmienił się, zmatowiał, jakby ktoś zakrył dłonią mikrofon. Richard usłyszał stłumione głosy dobiegające z szoferki, a potem resory skrzypnęły cicho, gdy ktoś zajął miejsce obok kierowcy.

– To ten sam człowiek, którego słyszałam wcześniej – wyrzuciła z siebie jednym tchem Kathleen. – Posłuchaj... jak przerywa zdania... Całkiem jak ja.

Zanim Steele wyłowił słowa wypowiedane za ścianą, silnik zapalił i furgonetka ruszyła. Po kilku minutach skręciła w prawo i ponownie się zatrzymała. Dźwięków ulicy nie było już słychać; ich miejsce zajął warkot wiertarki udarowej. Chwilę później rozległ się metaliczny grzechot zakończony uderzeniem, którego echo nie cichło przez kilka sekund. Drzwi z obu stron szoferki otworzyły się niemal w jednym momencie, ale Richard miał wrażenie, że tylko kierowca wysiadł.

Musiał znaleźć broń.

Może odwiązać jedną z bomb i użyć jej jako maczugi? Nie miał na to czasu.

Potrzebował szybszego rozwiązania.

– Przepraszam, Kathleen – szepnął, wsuwając pod nią ramiona i zdejmując ją z łóżka. Zszokowała go lekkość jej ciała, mimo iż wiedział, jak bardzo schudła.

– Co robisz?

Położył ją delikatnie na podłodze.

– Szykuję torpedę – odparł, zdejmując z wieszaka kroplówki i układając je w ramionach Kathleen. Oderwał od ciała końcówki przewodów, nareszcie uwalniając ją od maszyn, które do niedawna towarzyszyły jej na materacu. Woreczki kończące cewnik ułożył między jej nogami. Wreszcie wcisnął jej do ręki telefon. – Gdy tylko zacznie się zabawa, dzwoń pod dziewięćset jedenaście.

– Przecież nie wiem, gdzie jesteśmy.

– McKnight prawdopodobnie czeka gdzieś w pobliżu. Powiedz mu, że mają wkroczyć.

Rozległ się zgrzyt klucza wkładanego do zamka, a zaraz potem głośny szcęk.

– Kocham cię, Kathleen – powiedział, ujmując jej twarz w dłonie. Pocałował ją szybko, wstał i odblokował hamulec łóżka. Trzymając stelaż, zastygł w oczekiwaniu.

Tylne drzwi uchyliły się nieco.

– Mam broń, więc się zachowuj – powiedział jękliwy głos.

Gdy tylko Steele zobaczył sylwetkę przeciwnika na tle półmroku nieznanego miejsca, z całej siły pchnął łóżko z niemałym ładunkiem sprzętu. Z impetem rąbnęło w drzwi i, zakreśliwszy krótki łuk w powietrzu, trafiło zabójcę w pierś.

– Cholera! – wrzasnął, przewracając się pod ciężarem metalowej konstrukcji, materaca i monitorów. Pistolet wypadł mu z ręki przy akompaniamencie huku pękających ekranów.

Richard skoczył po broń, nie dbając o to, czy drugi przeciwnik zaatakuje go od tyłu. W tej chwili przede wszystkim musiał przechwycić spluwę – w przeciwnym razie on i Kathleen byli martwi. Wylądował na betonie z okrzykiem bólu i na czworakach ruszył w stronę pistoletu leżącego dobry metr dalej.

– Mam na ciebie wołać Nappin, Nape czy po prostu Robbie Padalec? – krzyknął, by zyskać na czasie, potęgując oszołomienie mordercy, który walczył zawzięcie z plątaniną rur i kabli. Dostrzegł kątem oka połyskujące odłamki sterczące z szerokiej twarzy, którą nauczył się nienawidzić. Krew zalewała oczy żołnierza Legionu Pana. Szkło z monitorów trafiło go w głowę, pomyślał Richard. Wiedział, że jego szanse gwałtownie wzrosły.

Szyderstwo okazało się błędem.

Rozwścieczony mężczyzna ryknął dziko i jednym szarpnięciem uwolnił się spod ciężaru. Zerwał się na równe nogi i strząsając na ziemię deszcz odłamków, skoczył po broń.

Steele był szybszy, lecz zanim zdążył wycelować, przeciwnik chwycił pistolet za lufę i wyrwał go z jego ręki, jakby wściekłość dała mu siłę pięciu ludzi.

– Popatrz, co mam – powiedział, wykrzywiając zakrwawione usta w drwiącym grymasie i obracając pistolet w dłoniach.

– Nie rób tego! – krzyknął Richard, tym razem pewny, że za moment zginie, zostawiając Kathleen na łasce psychopaty. – Policja jest już w drodze. Nie uciekniesz, jeśli nie oddalisz się stąd natychmiast. Prędkiej, musisz...

Strzał, a potem dwa kolejne, rozbrzmiały znenacka i kule przemknęły ze świstem tuż obok ucha Steele'a.

Tkwiący przed nim mężczyzna uniósł brwi, zachwiał się i posłał mu spojrzenie pełne bólu i zdumienia.

Richard patrzył na niego oszołomiony, bo dobrze znał ten grymas towarzyszący nagłej śmierci.

Peruka zabarwiła się czerwienią, a znajome rysy zniknęły pod strumieniami świeżej krwi, zanim morderca padł twarzą w rozbity monitor kardiologiczny.

Steele obrócił się na pięcie. Ingram, stojący przy tylnych drzwiach furgonetki, powoli opuszczał pistolet.

Rozdział 20

Uczucie ulgi pojawiło się tak nagle, że zakręciło mu się w głowie.

– Gordon! Na miłość boską, skąd się tu wzięłeś?! Człowieku, uratowałeś mi życie!

Ingram zachwiał się i oparł o otwarte drzwi wozu. Mimo półmroku Richard zauważył, że oddycha z wielkim trudem.

– Jezu, nic ci nie jest? – spytał, ruszając w jego stronę. – Trafił cię?

We wnętrzu czegoś, co wyglądało na wielki betonowy garaż, huk strzałów był tak głośny, że Steele nie był już pewien, w którą stronę pomknęły kule.

Ingram pokręcił głową.

– Richardzie... co się stało? – odezwała się Kathleen z ciemnego wnętrza furgonetki. – Nie mogę... się połączyć.

– Nic mi nie jest – odparł. – Doktor Ingram pojawił się w samą porę i... – Urwał, słuchając coraz głośniejszego rżenia. Pochylił się i w słabym świetle wpadającym przez brudne szyby wielkich rozsuwanych drzwi zobaczył krople potu na poblądłej twarzy kolegi. – Chryste, co ci jest, Gordonie? Chyba nie kolejny atak serca?

Ingram spojrział na Richarda, wciąż celując z pistoletu gdzieś między betonową posadzką a jego brzuch.

– Chyba przesadziłem z tym pościgiem – odpowiedział, z trudem chwytając powietrze.

– Gdzie ten drugi? Jego też zastrzeliłeś? – Steele podbiegł do szoferki.

– Doktor Ingram?... Ten sam... który operował mi gardło? – zawołała Kathleen.

– Ten sam, który operował ci gardło i... – Richard umilkł i zatrzymał się w pół kroku, ujrzawszy pustą kabinę kierowcy.

Odwrócił się wolno w stronę Ingrama, który tymczasem opadł na kolana i z wyjętego z kieszeni pojemnika wprowadził sobie pod język porcję nitrogliceryny w sprayu.

– Zapomnij o drugim, Richardzie... Uciekł... z kulą w ramieniu... Chyba mam obrzęk płuc... Pomóż mi.

Steele zobaczył nabrzmiałe żyły na jego szyi. Płuca rzeczywiście musiały napęcznieć się płynem; chory mięsień sercowy został zmuszony do pompowania zbyt dużej ilości krwi. Nitrogliceryna miała rozszerzyć arterie, zmniejszając tym samym opór w krążeniu i obciążenie serca. To mogło wystarczyć do odwrócenia procesu, ale znacznie większe szanse na przeżycie dałyby tlen, dożylna dawka furosemidu dla wzmożenia wydalania moczu oraz zastrzyk morfiny redukujący ilość krwi docierającej do serca. Słowem, potrzebna była pomoc na oddziale nagłych wypadków.

A jednak Richard stał w miejscu, z uwagą przyglądając się pistoletowi, który Ingram trzymał w dłoni. Broń wyglądała tak samo jak ta, o którą przed chwilą walczył.

– Skąd wzięłeś ten pistolet, Gordonie?

Niedobór tlenu wywołał u Ingrama odruch oddychania ustami, zwany przez lekarzy „głodem powietrza”.

– Co za różnica... skąd go wzięłem?... Podaj mi te zbiorniki z łózka... Mam własne strzykawki.

– Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął coś, co przypominało portfel. Położył go na betonie i rozpostarł.

Richard rozpoznał zestaw podobny do tych, których używają diabetycy, zazwyczaj zawierający strzykawkę napelnioną insuliną.

Ingram wskazał na nie otwartą dłoń.

– Furosemid i morfina... po dwie porcje – powiedział i uśmiechnął się z wysiłkiem. – Czasem zdarzają mi się... takie stany... więc wolę być przygotowany. – Lufa pistoletu nadal mierzyła w posadzkę tuż przed Richardem. – Dodatkowa korzyść... z bycia własnym lekarzem.

Człowiek z chorym sercem, pomyślał Steele.

Człowiek z dostępem do wszystkich danych.

Człowiek, który mógł przejrzeć statystyki Hamlina i Downs, „szukając problemów”, i odkryć prawdę równie łatwo jak ja.

O mój Boże.

Richard wzdrygnął się mimowolnie, analizując wizję, którą podsuwał mu umysł, ale nie mógł jej odrzucić. Łączyły się w niej wydarzenia ostatnich dwóch tygodni, tworząc skomplikowany wzorec, który miał sens. Wszystko, co składało się na tę wizję, kazało mu postrzegać Ingrama w nowym świetle: jako skończonego łajdaka. Nie, nawet o tym nie myśl, karcił się w duchu, ale na głos powiedział:

– Oddaj mi pistolet, Gordonie.

Uśmiech na twarzy Ingrama zgasł, a broń w jego ręku uniosła się i znieruchomiła na wysokości piersi Steele'a.

Ten jeden ruch potwierdził wszystkie najgorsze przypuszczenia.

– Wiedziałem, że tak żałosne kłamstwa... nie zadziałają... Pierwotnie planowałem... że pozwolę temu psychopacie Bobowi... zabić ciebie i Kathleen... a potem sam... sprzątnę jego... Nie wziąłem jednak pod uwagę... że mój stan może... tak się pogorszyć... i że nagle będę... potrzebował twojej pomocy... Dlatego nie mogłem pozwolić... żeby wykończył cię... od razu. – Sięgnął lewą ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął piętnastocentymetrowy łańcuszek, na końcu którego zakołysało się małe czarne pudełeczko wielkości zapalniczki. Pudełeczko z przyciskami.

Richard nie musiał pytać, co to jest.

W jednej sekundzie ogarnął go szal. Każdy gram jego ciała wyrwał się ku gardłu Ingrama, nie zważając na broń i detonator. Tym, co powstrzymało Steele'a, była myśl, że być może zdoła jeszcze jakoś ocalić Kathleen.

– Nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc – powiedział.

– Jak chcesz... Może sam podam sobie leki... przynajmniej teraz... Ale za kilka minut... to się może zmienić... Pytanie brzmi... jak umrze Kathleen – dodał Gordon, wskazując lufą drzwi furgonetki. – Szybko i bezboleśnie... czy wolno i boleśnie – wyjaśnił, przesuważąc kciuk po klawiszach pilota.

Richard raz jeszcze rozważył szanse powodzenia ataku; tym razem już na zimno. Lepiej będzie go zagadać, zdecydował.

– Rzygać mi się chce, kiedy myślę o tym, co zrobiłeś.

– Powiem ci, co zrobiłem... Ochroniłem lekarza... który w tajemnicy... przekroczył granicę i wszedł... w świat medycyny regeneracyjnej... Lekarza, który może... naprawiać uszkodzone serca... bo o całe lata wyprzedza... resztę świata w praktycznym... zastosowaniu komórek macierzystych.

– Wykorzystałeś swoją pozycję, żeby zdradzić Kathleen i mnie. Przez ciebie zginęli niewinni

ludzie, policjant i sekretarka. A także Hamlin, Lockman, Edwards i Blaine. Może i Norris. A wszystko po to, żeby Downs nie poszła do więzienia. Żeby mogła ci pomóc.

Oddychając z coraz większym trudem, Ingram przyglądał się Richardowi spod przymkniętych powiek. Z jego oczu wycierała pogarda.

– Jasne, że potrzebowałem jej pomocy... Inaczej czekała mnie... transplantacja serca... życie na lekach immunosupresyjnych... i mimo wszystko... najprawdopodobniej przedwczesna śmierć... Ale chciałem też... żeby pozostał na wolności ktoś... kto może pomóc milionom... i zamierzam tego dopilnować. – Mówiąc to, odłożył pistolet, nie wypuszczając z lewej dłoni detonatora. Bez odrywania wzroku od Richarda wolną ręką wyjął z etui gumową opaskę uciskową. Podwinął rękaw i przytrzymując zębami koniec opaski, spróbował zawiązać ją na ramieniu w taki sposób, jak robią to narkomani, by uwypuklić żyłę. Nie było to łatwe zadanie, zwłaszcza że nie mógł odłożyć detonatora. Po kilku próbach odrzucił opaskę i podniósł pistolet.

– Jeśli nie wypełnisz co do joty... moich poleceń, Richardzie... to wszyscy, łącznie z Kathleen... wylecimy w powietrze – powiedział, gładząc przycisk pilota i mierząc w pierś Steele'a. – Z tej odległości... wybuch będzie litościwie śmiertelny... dla nas... Ale jeśli chodzi o Kathleen... leżącą w otwartym wozie... nie można wykluczyć... że przeżyje... ale przenicowana... Ten hałas z budowy... zagłuszy eksplozję... Kathleen będzie się męczyć... wiele dni... więc lepiej nie myśl... o zrobieniu ze mnie... żywej tarczy... bo na pewno zdążę... wcześniej nacisnąć guzik. – Wyprostował prawe ramię, odsłaniając żyły. Nie odłożył pistoletu. Lewą rękę, w której trzymał detonator, wyciągnął w przeciwną stronę. – Teraz wstrzykniesz mi... pierwszą dawkę furosemidu... i morfiny... Trzymaj się mojej prawej strony.

Richard zawahał się.

– Sądzisz, że żartuję? – spytał Ingram, odczytując niepewność z jego twarzy. – Wiesz... ja nie mam nic do stracenia... Kiedy poczuję, że zdycham... zabiorę cię ze sobą... bo jeśli chodzi o gnicie w więzieniu... to naprawdę wolę już umrzeć... Spróbujesz wezwać policję... też nacisnę guzik... A teraz... bierz się do roboty.

Graj na czas, pomyślał Richard, a potem bez słowa podniósł porzuconą opaskę, przyklepnął obok prawego ramienia chorego i zacisnął gumę na bicepsie. Ingram przytknął lufę pistoletu do jego żeber na tyle mocno, by zabolą. W rewanżu Steele wziął pierwszą porcję furosemidu, wbił igłę w skórę najbrutalniej jak umiał i poruszał nią energicznie, zanim przebił ściankę nabrzmiałej żyły. Wciągnął do cylindra odrobinę krwi, a potem nacisnął tłok, wprowadzając do krwioobiegu Gordona czterdzieści miligramów silnego leku moczopędnego. Pozostawił igłę w żyłę, a pustą strzykawkę zastąpił tą, w której znajdowała się morfina. Dziesięć miligramów. Podana jednorazowo, taka dawka prawdopodobnie spowodowałaby śmierć wskutek wstrząsu i zatrzymania oddechu. W mniejszych dawkach, morfina ograniczała ilość krwi docierającej do serca, a tym samym zwiększała szanse przeżycia.

– Kusi cię? – spytał Ingram, dźgając Steele'a mocniej w żebra. Detonator wciąż trzymał w wyciągniętej ręce.

Obaj wiedzieli, że zdążyłby nacisnąć guzik, zanim narkotyk pozbawiłby go przytomności.

Richard nie odpowiedział. Wtłoczył do żyły dwa i pół miligrama, czyli właściwą – a może nawet odrobinę zbyt małą – dawkę początkową.

– Trochę więcej – rozkazał Gordon.

– Sam sobie podaj – odparł Steele.

Zostawił strzykawkę w żyłę, wstał i podszedł do przewróconego na bok łóżka, by odczepić pojemnik z tlenem. Zdzielić go tym? Pewnie zdążyłby nacisnąć guzik, odpowiedział sobie w myślach.

Ingram zerknął na strzykawkę sterczącą z jego ramienia, ale nie odłożył ani pistoletu, ani detonatora, by zwiększyć dawkę narkotyku. Z każdą chwilą oddychał coraz ciężiej.

Graj na czas, powtórzył w duchu Richard i zaciskając zęby, podał Ingramowi tlen. Nie wiedział tylko, co dobrego przyniosą mu te dodatkowe minuty. Co się działo z Kathleen? Nie odzywała się, chociaż na pewno słyszała ich rozmowę. Może wciąż próbuje się dodzwonić? Z drugiej strony Ingram jakby nie przejmował się tą możliwością. Czyżby zapomniał o komórce? A może po prostu wiedział, że w betonowej hali bez okien telefon nie będzie działał? Zresztą nawet gdyby Kathleen dodzwoniła się na policję, co mogłaby powiedzieć, skoro nie wiedziała, gdzie się znajduje?

Ingram jęknął z cicha.

– Chryste... Richardzie, jest coraz gorzej... Przysięgam, że odpalę tę bombę.

Steele podał kolejną porcję morfiny. Pomyślał, że jeśli uratuje Ingrama, ten zabije ich oboje, gdy tylko poczuje się lepiej. Istniała jednak możliwość, że wobec szansy na przeżycie Gordon nie będzie zbyt skory do wysadzania się w powietrze. W takim wypadku bomba przestałaby się liczyć. Pozostałby pistolet. Wtedy, kalkulował Richard, mógłbym na niego skoczyć.

Analizował możliwości jedna po drugiej, odrzucając te, które wydawały mu się zbyt mało prawdopodobne – dokładnie tak, jak robił od lat na oddziale nagłych wypadków, gdzie na co dzień stykał się z wyborem między życiem a śmiercią. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że cokolwiek postanowi, szanse na sukces będą małe, ryzyko zaś – ogromne.

Słyszała ich rozmowę i widziała Richarda za każdym razem, gdy wstawał. Ingram, leżący gdzieś w pobliżu tylnych drzwi furgonetki, pozostawał poza jej polem widzenia.

Mimo iż od szesnastu dni spodziewała się nagłej śmierci na skutek kolejnego udaru, jakoś nie potrafiła leżeć beczynnienie i czekać, aż chmura fruujących gwoździ obedrze ją ze skóry. Niech mnie szlag, jeśli pozwolę mu zdecydować o tym, w którym momencie nacisnąć ten przeklęty guzik, pomyślała, kiedy straciła już nadzieję, że uda jej się uruchomić telefon komórkowy.

Przecież musi być coś, co mogłabym zrobić.

Na początek postanowiła uwolnić się od kroplówek i rur. Była słaba, ale zdołała oderwać plastry i wyciągnąć igły z żył. Krew popłynęła po skórze kroplami, ale Kathleen nie zwracała na to uwagi.

Następnie sięgnęła niżej i odczepiła plastikowy pęcherz, którego nienawidziła od pierwszego dnia. Tym razem inny płyn polał się z jej ciała, ale i to miała w nosie.

Nie mogąc się przewrócić, użyła łokci i pięt, by unieść tułów i przemieścić go w bok choć o parę centymetrów. Po kilku próbach dodała ruch obrotowy, tak że po dłuższej chwili leżała już nie wzdłuż, ale prostopadle do osi pojazdu. Każda zmiana pozycji była dla niej wysiłkiem i wkrótce oddychała ciężko, ale odgłos wiertarki pracującej gdzieś na zewnątrz zagłuszył jej sapanie i szelesty towarzyszące ruchom. Chwilę później zaczęła w zółwym tempie przesuwając się w bok, ku otwartym drzwiom. Richard co jakiś czas spoglądał w jej kierunku – a przynajmniej w kierunku miejsca, w którym leżała uprzednio – i posyłał jej dość słabowite uśmiechy otuchy.

Nie widzi mnie w ciemności, uświadomiła sobie.

Dotarłszy do krawędzi budy, zobaczyła nogi pólężącego Ingrama. Co parę sekund w jej polu widzenia pojawiała się jego dłoń, którą starał się trzymać jak najdalej od Richarda. Ścisnął w niej detonator.

Gdyby miała władzę nad własnymi mięśniami, mogłaby wyrwać mu sterownik.

Ale nie miała.

I wtedy zauważyła zwisający spomiędzy palców Ingrama łańcuszek.

Ustawił przepływ tlenu i wrócił do strzykawki. Delikatnie docisnął tłok, podając Gordonowi kolejną porcję morfiny.

– Czy Francesca wiedziała o twoim planie? – spytał, próbując zagadać chorego, aby ten nie zorientował się, że dawka jest jeszcze mniejsza od pierwszej. Starał się przedłużyć akcję ratunkową, pozostawiając Ingrama w zawieszaniu. Nie chciał, by jego stan pogorszył się raptownie, ale też nie miał motywacji do zbyt skutecznego działania.

– Francesca? Wykluczone... Przecież wiesz, że jest... niewinna jak harcerka.

– To dlaczego związała się z Hamlinem?

– Związała się z Norrisem... To on włączył do sprawy Hamlina.

– A ty odkryłeś to wszystko, przeglądając ich dane w archiwum.

– I włamując się do ich plików z wynikami badań... Ludzie myślą, że ich urocze hasła... i cyferki... są świetnym zabezpieczeniem... Ale nie przede mną.

– Dlaczego Francesce się udało, a Hamlinowi nie?

– Dlatego, że Hamlin był idiotą... Francesca narzuciła sobie rygor... stosowania na ludziach... nawet w sekrecie... tylko tych technik... które przetestowała na myszach... Hamlin nie uznawał takich ograniczeń... Spieszył się... Stosował niesprawdzone metody... według improwizowanych procedur... A kiedy na twoim oddziale... pojawiły się pierwsze ofiary... odkrycie tajemnicy... stało się tylko kwestią czasu... Chcąc chronić Francescę... zwłaszcza po tym... jak ten kretyn spróbował wykorzystać Kathleen... żeby pozyskać ciebie... nawiązałem kontakt z Robertem.

Mówi coraz szybciej, próbując wcisnąć coraz więcej słów między coraz płytsze oddechy, zauważył Richard. I odchodzi od tematu. Gorzej z nim.

Z reguły, gdy obserwował u pacjentów tę gadatliwość w obliczu śmierci, jako lekarz widział w niej głównie delirium wywołane brakiem tlenu. Czasem jednak miał wrażenie, że umierający chce przede wszystkim wyrzucić z siebie całą historię.

– Jako strażnik etyki miałem Nape'a... albo Nappina juniora, jeśli wolisz... i wszystkie jego przewinienia... z czasów, gdy pracował w ośrodku reprodukcji... w moich teczkach... Sprawa jest zabójczo prosta... kiedy wie się... jak wysledzić takich jak on... w Internecie... Odkryłem jego związki... z Legionem Pana... Wiedziałem, że jest twardogłowym fanatykiem... i umiałem go odnaleźć... Resztę faktów znasz... Pierwsze dwa zabójstwa udały się znakomicie... Rob uparł się, że będzie zostawiał „wiadomość”... Zaproponowałem mu witki... młode pędy roślin... bo wiedziałem, że dla niego... będzie to czytelny symbol nowego życia... a nikt inny się nie połapie... i wszyscy pomyślą, że to... pokręcone wymysły jakiegoś psychopaty.

Oddechy Gordona były coraz płytsze, a słowa coraz bardziej skompresowane. Rzęzenie i bulgotanie w płucach zdecydowanie przybierały na sile. Jest gorzej, pomyślał Steele. Muszę go

podpompować, zanim poczuje, że nie ma już dla niego nadziei.

– ... i wtedy przestał wykonywać rozkazy... więc uznałem, że muszę się go pozbyć... Zgodziłem się na spotkanie... Obiecałem, że pomogę mu dopaść Kathleen... Planowałem, że najpierw go zastrzelę... a potem wysadzę was w powietrze... pozwalając, żeby policja odczytała przebieg wydarzeń... z luźnych kawałeczków waszych ciał... Cokolwiek by wymyślili... nie mieliby dowodów przeciwko Francescę... A ja już sobie załatwiłem... konsultacje u Norrisa... żeby mieć pewność, że będzie milczał.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Oddział intensywnej terapii... poprosił mnie o pomoc w leczeniu... Nie powinienem mieć problemów... z zaaranżowaniem kuracji tak... żeby długo nie pożył.

– Lepiej podwiążę ci kończyny – powiedział Richard, przypominając sobie staroświecki sposób na ograniczenie powrotu krwi do serca. Gumową opaskę, którą uprzednio zdjął z prawego ramienia, teraz zacisnął na lewym. Potem zdjął Ingramowi buty, a skarpetki obwiązał ciasno wokół ud.

– Umieram, Steele... Niech cię szlag. – Uniósł rękę z detonatorem.

Richard sprężył się do skoku, ale wiedział, że nie zdąży.

– Nie umierasz – skłamał, podając największą dawkę morfiny, na jaką się odważył. Gdyby byli na oddziale, miałby do dyspozycji komplet urządzeń, których wskazania na bieżąco informowałyby go o reakcji pacjenta, ułatwiając podjęcie decyzji o tym, których leków i w jakiej dawce użyć. To, co mógł zrobić tutaj, przypominało lądowanie bez radaru w gęstej mgle. Nie znał nawet ciśnienia krwi Ingrama. Słaby i szybki puls podpowiadał mu jedynie, że jest niskie.

– Źle się czuję – oświadczył Gordon. Ogniwa łańcuszka zadźwięczały cicho, kiedy poruszył detonatorem wyraźnie pobudzony brakiem tlenu. Ręka trzymająca pistolet lawirowała na wysokości piersi Steele'a. Palec wskazujący spoczywał na spuście, ale kciuk zmagął się już z guzikami błękitnej koszuli z monogramem, jakby jej rozpięcie mogło ułatwić mu oddychanie. Po chwili także ręka trzymająca detonator rozpoczęła nerwowy taniec.

Chryste, wysadzi nas w powietrze przypadkiem!

– Chce ci się sikać? – spytał Richard, pragnąc skupić uwagę Ingrama na czymkolwiek, by wreszcie zapanował nad sobą.

– Tak – odparł chory, nie przestając manipulować przy guzikach i kołnierzyku koszuli.

– To sikaj. Popuść i już – poradził Steele, obserwując jego lewy kciuk spoczywający na przycisku pilota.

– Nie. Daj mi basen...

– Nie mam.

– Jezu, nie mogę oddychać – skomlał Gordon.

– Lej w spodnie, do cholery. Nie jesteś w szpitalu. Ingram miał na sobie bardzo ciemny garnitur, ale plama, która pojawiła się w jego kroczu i na nogawkach, była jeszcze ciemniejsza. W powietrzu rozszedł się charakterystyczny zapach uryny.

– Umieram – jęknął.

– Gordonie, boję się, że przypadkiem wciśniesz guzik, a wtedy już na pewno ci nie pomogę. Lepiej oddaj mi pilota.

– Nie! – zawył Ingram, chowając rękę za plecami. Znowu się stawia, ale jest znacznie bardziej przerażony niż parę minut temu, pomyślał Richard. I prawdopodobnie łatwiej będzie go zastraszyć.

- Więc po co, do kurwy nędzy, miałbym ci pomagać?! I tak zabijesz mnie i Kathleen.
- Nie zabiję.
- Pieprzysz!
- Przysięgam.

W głosie chorego nie było już buntu. Z jego szeroko otwartych oczu wycierało przerażenie. W panice rozglądał się na boki, jakby szukał drogi ucieczki; robili tak niemal wszyscy pacjenci Richarda, którym brakowało powietrza. Było dość ciemno, a Gordon wyglądał tak, jakby wypatrywał w mroku czegoś, czego nikt inny nie mógł dostrzec.

- Boże, ratuj mnie – jęknął.
- Bóg ciebie? Nie sądzę. Za to ja mógłbym.
- Proszę!

Pora na *Zdrowaś Mario*, pomyślał Richard. Podniósł pełne jeszcze strzykawki i odsunął się o krok. Wstając, zauważył Kathleen. Leżała prostopadle do osi pojazdu na samej krawędzi budy. Odwróciła się w jego stronę, skinęła głową z błyskiem w oku i bezgłośnie poruszając ustami, powiedziała „Kocham cię”. Jeszcze dwoma drobnymi ruchami ciała ustawiła się dokładnie nad siedzącym Ingramem.

Nie bardzo wiedząc, co Kathleen zamierza, Richard postanowił dalej grać na czas.

- Więc oddaj mi pistolet i detonator albo roztrzaskam te strzykawki o beton.
- Proszę cię, nie!
- Nie tak łatwo powiedzieć, że jesteś gotów na śmierć, kiedy śmierć naprawdę jest blisko. Mam rację, Gordonie?
- Przestań! – krzyknął Ingram i zakaszłał gwałtownie. Spieniona ślina zabarwiona czerwienią pojawiła się na ustach. Jego płytki, urywany oddech nie zapewniłby odpowiedniej ilości tlenu nawet kanarkowi.

– Wiesz, co będzie dalej, Gordonie? Przecież wystarczająco często widywałeś to na własne oczy. Krew i piana z ust i nosa, brak powietrza, a przy tym pełna świadomość przez ostatnie trzydzieści, czterdzieści sekund życia, kiedy serce przestaje pracować. Dopiero wtedy dopadnie cię litościwa śmierć.

- Nie! Nie! Nie!... Najpierw naciśnę guzik.
- Do tego trzeba mieć ikrę, Gordonie. A ty jej nie masz. Rozpaczliwie pragniesz żyć. Więc oddaj mi sterownik i broń, póki jest jeszcze czas na wezwanie ambulansu.

Pierś Ingrama uniosła się tak, jak unosi się pierś zwierzęcia próbującego zwymiotować. Podobne do baniek mydlanych czerwone bąbelki pojawiły się w jego nozdrzach i ustach. Twarz spurpurowiała, a oczy stały się wielkie jak piłki golfowe.

Jednak mimo bólu wciąż trzymał dłoń z pilotem i rozkołysanym łańcuszkiem jak najdalej od Steele'a. Nie przestawał też mierzyć z pistoletu i nie zdjął kciuka z klawisza.

Ręka Kathleen stoczyła się nagle poza krawędź wozu i zakrzywione palce pomknęły łukiem ku drżącemu łańcuszkowi. Zacisnęły się we właściwym momencie – sterownik wysunął się ze słabnącej dłoni i pomknął wysoko w powietrze.

Ingram sprężył się odruchowo i wymierzywszy w tył, ponad barkiem, strzelił trzykrotnie. Wszystkie kule przemknęły ponad głową Kathleen.

Richard rzucił się na niego z furią i bez trudu wyrwał mu broń z ręki. Wstrzymał oddech,

obserwując, jak sterownik bomby kończy swój lot. Nic się nie stało. Plastikowe pudełko potoczyło się jeszcze po betonie i znieruchomiło.

Twarz Ingrama, wykrzywiona i jakby zapadnięta, nabrała barwy oberżyny, a ciało zgięło się wpół w nagłym ataku bólu. Jego chaotyczne ruchy trwały jeszcze pół minuty. Spomiędzy zaciśniętych warg cały czas pryskała na boki czerwona piana. Potem ruchy stały się wolniejsze, mniej gwałtowne, aż wreszcie zmieniły się w sporadyczne drgawki. Mimo iż gardło konającego pełne było śliny, dźwięk, który wydobył się z jego krtani, był suchy jak grzechot kości w tykwie. Mięśnie wokół oczu Gordona Ingrama stężały, unosząc jego brwi w wyrazie wiecznego zdumienia.

Rozdział 21

*trzy tygodnie później
piątek rano, 20 lipca*

Ucho, gardło i kikut prawego przedramienia Jimmy'ego Norrisa wciąż jeszcze spowijały grube warstwy bandaży. Opaska przesłaniała miejsce, w którym nie było już prawego oka. Nie mógł zbyt dobrze mówić. Skalpel wbity w szyję przeciął niektóre nerwy motoryczne podniebienia miękkiego i języka. Logopeda próbował wstępnej terapii, która w jakimś stopniu skompensowałaaby mechaniczne uszkodzenia, ale szanse na to, by Norris jeszcze kiedyś normalnie mówił, były znikome.

– Dokąd wyjechała Downs? – spytał McKnight. „Nie mam pojęcia”, nabazgrał lewą ręką Norris. – I nie próbowała nawiązać z panem kontaktu?

„Nie”.

– A gdzie pańskim zdaniem mogłaby się schronić.

Norris wzruszył ramionami.

Przesłuchanie trwało już pół godziny. Naukowiec do niczego się nie przyznawał i niczemu nie zaprzeczał.

– Jezu Chryste – mruknął McKnight i z trzaskiem zamknął notatnik. – Na cholere to wszystko...

Norris parsknął cicho.

Kiedy detektyw odwrócił się i wyszedł z pokoju, badacz skinął głową w stronę Richarda i szybko napisał coś we własnym notesie. Gdy skończył, wydarł kartkę i wręczył ją Steele'owi. „Nie martw się o Kathleen. Nie pozwoliłem, żeby Hamlin podał jej takie same, niedojrzałe komórki, jakie dawał poprzednim pacjentom”.

– Co?!

Norris znowu zaczął pisać.

„Początkowo używał bardzo niedojrzałych komórek. Na tym polegał problem. Kopiowały wszystko, łącznie ze zdeformowanymi naczyniami. Doktor Sullivan dostała komórki, które były już w zaawansowanej fazie formowania prekursorów tkanki nerwowej”.

– Co to znaczy?

„Zebrałem je z grzebienia nerwowego ośmiotygodniowych embrionów. Z takich komórek mogą powstać jedynie neurony. Nie powinno być komplikacji”.

Richard zastanawiał się kilka sekund.

– Dlaczego od początku nie stosował bardziej dojrzałych komórek?

„Nie wiedział. Nie przeprowadził długoterminowych testów. Za bardzo się spieszył. Ale jego pacjentom można pomóc”.

– Jak?

„Usunąć wszystkie odtwarzane deformacje, zanim dojdzie do krwotoku, a następnie podać nowe komórki macierzyste, wyłącznie typu neuronowego, aby szybki powrót do sprawności trwał nadal. W taki sposób Hamlin chciał potraktować doktor Sullivan, żeby zachęcić cię do współpracy”.

– Skurwysyn!

„Tutejsi neurochirurdzy znają procedurę. Zrobią to w razie potrzeby”.

– Jaki wyrok dostanie? – spytał Richard, dołączając do McKnighta na korytarzu.

– Kto wie? Wciąż jeszcze zbieramy zarzuty, które można mu postawić. Powiedziałbym, że za „atak medyczny” z premedytacją i współdziałaniem w dwóch nieumyślnych zabójstwach spokojnie dziesięć lat, jeśli nie dwadzieścia. Nie pomaga nam, odmawiając współpracy w poszukiwaniu Downs. Mówił panu coś jeszcze?

– Nic. Tylko tyle, że jest mu przykro.

– Niesamowite! – powiedziała Kathleen. Z jej szyi wciąż jeszcze sterczała plastikowa rurka, ale nie trzeba było więcej zasłaniać wylotu dłonią. Od tygodni Kathleen oddychała samodzielnie i nie miała już problemów z połykaniem śliny oraz płynów, toteż rurkę można było zakorkować. Z usunięciem niewygodnego aparatu należało jednak poczekać do czasu, aż będzie w stanie przełykać pokarmy stałe. – Czy to znaczy, że poszedł na współpracę z Hamlinem tylko po to, żeby uratować mi życie, a nie po to, żeby wplątać cię w tę sprawę?

– Tak jest – odparł Richard, kiwając głową.

– Naprawdę niezwykły człowiek. A teraz czeka go kara za winy wszystkich pozostałych.

– Na to wygląda.

– Przecież to niesprawiedliwe!

– Wiem.

– Możemy mu jakoś pomóc?

– Nie mam pojęcia jak, ale na pewno spróbuję.

– Ja też. Bez względu na koszty. Dam pieniądze. Prawników. Będę przemawiać w jego obronie. Och, Richardzie... Żle by się stało, gdyby go zamknęli.

Cała Kathleen, pomyślał Steele. Sama jeszcze nie stanęła na nogi, a już pędzi do boju w słusznej, ale najprawdopodobniej przegranej sprawie.

Siedzieli naprzeciwko siebie w miękkich, pokrytych kwiecistym materiałem fotelach, które Richard sprowadził z jej mieszkania. Powietrze pachniało świeżym cappuccino z nowiutkiego ekspresu. Otaczały ich świeże kwiaty – Steele przynosił je codziennie – rozstawione gustownie w kryształowych wazonach, które przywiózł z domu. Nic nie mogło zamaskować chłodu szpitalnej sali, ale Richard uznał, że można przynajmniej złagodzić jej surowość.

Kathleen ostrożnie uniosła do ust filiżankę kawy z białą pianką. Umiejętność samodzielnego picia była jednym z jej najnowszych osiągnięć.

– Lepiej z tym nie przesadzaj – ostrzegł Steele. – To wysokooktanowa kofeina.

Wzięła mały łyk i posłała mu szeroki uśmiech spod wąsów z pianki.

– Owoce zwycięstwa. Smakuje mi zwłaszcza jako dodatek do zaległej lektury – powiedziała, wskazując rozdzielający ich mały stolik, zasypywany gazetami, czasopismami naukowymi i dokumentami z jej laboratorium. W jej głosie było jednak napięcie, które kontrastowało z uśmiechem.

– W takim razie przestawię cię na kawę bezkofeinową – uprzedził.

Kathleen nie mogła jak dotąd wstawać, a fizjoterapeuci uważali, że miną trzy, może cztery

tygodnie, zanim wróci do domu i zacznie zjawiać się w szpitalu tylko na zabiegi. Nie umieli jeszcze stwierdzić, czy będzie w stanie chodzić, a Richard wiedział, jak bardzo ciąży jej ta niepewność. Za każdym razem, gdy próbował rozmawiać z nią o przyszłości, napotykał barierę lodowatego milczenia, więc po jakimś czasie zrezygnował.

Aż do tej chwili.

– Wiesz, robisz dokładnie to samo, co ja kiedyś zrobiłem.

– Słucham?

– Uciekasz.

Kathleen zeszywniała.

– Fatalny dobór słów, bratku.

– Bynajmniej. Nie trzeba mieć nóg, żeby dać nogę – odparł i postukał się palcem w głowę. – Nie wtedy, kiedy ucieczka rozgrywa się tu.

– Richardzie, przestań...

– Nie ma mowy! Nic nie powstrzymało twojego języka, kiedy ja potrzebowałem ochrzanu. Teraz zasługujesz na rewanż. A jeśli ci się to nie spodoba, nie moja wina. Jestem twoim najgorszym koszmarem: nawróconym nałogowcem, którego sama wyciągałaś z dna i który kocha cię teraz bez pamięci. To oznacza, że będę w pobliżu, bezustannie starając się wydobyć cię z dołka, który pod nami kopiesz.

– Pod nami?

– Tak. Pod nami. Pode mną i pod sobą, nie wspominając o Checie i Lisie.

– To nie fair. Nie mieszajmy w to dzieci.

– Nie fair? Dzieci tkwią „w tym” już od dawna. I naszym zdaniem to ty zachowujesz się nie fair wobec nas.

Kathleen opadła szczęką.

– Richardzie! Chyba nie rozmawiałeś z nimi o tym?

– Ależ oczywiście, że tak. Choć tak naprawdę to Chet i Lisa chcieli wiedzieć, co się święci. Uważamy, że ci odbiło, a ja zostałem oddelegowany jako pierwszy, żeby coś na to poradzić.

– Czekaj, czekaj...

– Nie, to ty poczekaj. Naprawdę sądziłaś, że pozwolilibyśmy, żebyś nas spławiła?

– Nie spławiam ani Lisy, ani Cheta! Nigdy bym tego nie zrobiła. Po prostu nie chcę być ciężarem...

– Nigdy w życiu nie byłaś dla nikogo ciężarem i nigdy nie będziesz. To po prostu nie leży w twojej naturze. Jesteś samodzielną Kathleen Sullivan i nie zmieni tego stan twoich mięśni. Pewnie nie zobaczę nawet twojego wózka!

– Łatwo ci mówić. Życ z czymś takim to zupełnie inna sprawa...

– Oczywiście, trzeba będzie odpowiednio przygotować miejsce, do którego się wprowadzimy, ale stać nas na wszystko, co jest konieczne. Zmieni się tylko tyle, że będę musiał znacznie częściej cię nosić, bo oczywiście nie pozwolę, żeby jakiś wynajęty osiłek obłapiał cię, kiedy sam mogę się tym nacieszyć.

– Richardzie... Jest coś jeszcze. Co będzie, jeśli nie będziemy już mogli... To znaczy, ja nie będę mogła... – Kochać się? Kathleen zarumieniała się. – Tak. Steele wstał, podszedł do drzwi i przekreślił gałkę zamka.

– Richard! Co ty wyczyniasz, u diabła?!

Wrócił do niej i odebrał jej z rąk filiżankę z kawą.

– Pokazuję ci, co potrafi lekarz z niezłą wyobraźnią – odparł, a potem wsunął pod nią ramiona i uniósł. Wciąż wydawała mu się przerażająco lekka.

– Posadź mnie w tej chwili!

Ułożył ją delikatnie na łóżku. Choć nieco żywsze kolory powróciły już na jej policzki, twarz wydawała mu się równie wychudzona jak cała reszta. Omal się nie rozmyślił, patrząc na to kruche, osłabione ciało, i gdyby dalej się sprzeciwiała, na pewno dałby spokój. Żrenice Kathleen rozszerzyły się jednak, dając mu zgoła odmienny znak. Uśmiechnął się i położył obok, by musnąć wargami jej skronie.

– A jeśli ktoś przyjdzie i będzie się dobijał? – spytała, zerkając nerwowo na drzwi.

Pocałował miękko jej usta.

– Nie ośmielą się.

– To nie wbrew procedurze? – mruknęła ciszej, odwzajemniając pocałunek.

Pogładził ją po policzku.

– Jestem szefem oddziału. Mam przywileje i władzę – odparł szeptem.

– Nawet nade mną?

– Jeśli chcesz.

Nie odpowiedziała od razu.

– Kathleen?

– Jeżeli będzie miło...

Sięgnął do paska jej szlafroka, a potem wsunął dłonie pod miękki materiał, wzdłuż sterczących żeber, aż do piersi. Delikatnie okrążył palcem jeden z sutków, po czym dotknął i wyczuł jego twardość.

– Mój Boże – westchnęła. Jej oczy błyszczały, kiedy nieznacznie wygięła plecy. – Cudownie.

– Wyglądasz na zaskoczoną.

– Bałam się, że już nigdy nie poczuję się seksowna.

– Mam kontynuować?

– O, tak.

– W taki sposób?

– Och, Richardzie...

– Jeszcze?

– Tak. I nie przestawaj.

Uniósł nocną koszulę i dotknął jej ciała ustami.

niedziela, 22 lipca

– Chcesz, żebym poszedł z tobą, Chet?

– Nie, tato. Lepiej porozmawiam z nim sam. Pewnie jest mu ciężko za każdym razem, gdy widzi ojca z synem.

Richard uśmiechnął się z uznaniem.

– Masz rację.

Stali w przepastnym półmroku katedry Świętego Patryka, w której właśnie dobiegła końca msza żałobna w intencji Teda Mallory'ego. Pogrzeb odbył się kilka tygodni wcześniej, wyłącznie z udziałem rodziny. Ted Mallory senior, blady i wychudły, stał teraz przed nie kończącym się sznurem policjantów w galowych mundurach, którzy kolejno składali mu kondolencje. Towarzyszyła mu smukła, ciemnowłosa kobieta, która sprawiała wrażenie, jakby rozpacz wysysała jej ciało.

Może to narzeczona, pomyślał Richard. Cathy. Postanowił, że zamieni z nią później słowo na osobności. Być może nie było to dla niej łatwe, ale był pewien, że chciałyby wiedzieć jak najwięcej o ostatnich chwilach Teda. Ci, którzy tracili najbliższych, zawsze tego chcieli. Zwykle cenzurował prawdę na ich użytek, wybierając z chwil agonii tylko te fragmenty, które podkreślały godność, odwagę i mądrość ostatnich słów zmarłych. Tym razem śmiało mógł mówić całą prawdę.

Obserwował Cheta, który wolno przesuwiał się w kolejce żałobników. Kiedy chłopak stanął przed sędziwym mężczyzną, wymienili kilka zdań i nagle twarz seniora uwolniła się od porcelanowej maski. Mallory ze wzruszeniem położył dłonie na ramionach nastolatka, uśmiechnął się do niego przez łzy, a potem przyciągnął go do siebie i przytulił. Młoda twarz towarzyszącej mu kobiety, do tej pory sucha i zamknięta, pomarszczyła się w jednej chwili. Cathy dołączyła do serdecznego uścisku.

Chet z wahaniem objął oboje. W kościele zapanowała cisza przerywana jedynie szlochem Cathy i Mallory'ego.

Po kilku sekundach Richard usłyszał łamiący się głos seniora:

– Niech ci Bóg błogosławi, chłopcze, że przyszedłeś i mogliśmy cię poznać. To, że żyjesz, jest jedyną wielką sprawą nadającą sens śmierci Teda.

*poniedziałek, 23 lipca,
godzina 22.35*

Jimmy Norris nie miał pojęcia, dlaczego zabierają go na rezonans magnetyczny o tak dziwnej porze. Kiedy nagryzmołił na kartce żądanie wyjaśnienia, usłyszał tylko:

– Takie mamy polecenie.

W gruncie rzeczy Norris miał to gdzieś. Jego życie i tak było już skończone. Jediną perspektywą, jaka mu pozostała, było więzienie, a fakt, że przeżył w szufladzie kostnicy, wydawał mu się w tym kontekście dość okrutnym żartem. Pocieszało go jedynie to, że policja nie złapała Franceski. Nie miał pojęcia, dokąd uciekła, ale spędzał długie godziny na fantazjowaniu o tym, że znalazła bezpieczną przystań i kontynuuje pracę, w pewien sposób dając wolność jakiejś części jego. Myślał też jednak o problemach, które miała przed sobą – z finansowaniem, bezpieczeństwem i cenzurą obowiązującą w światku nauki – a wtedy ogarniała go rozpacz, bo czuł, że wszystko, co razem zrobili, pójdzie na marne.

Salowy posadził go na wózek i ruszyli w stronę radiologii. Policjant, który go pilnował, podreptał za nimi.

– Nie będzie pan mógł wejść z nim do środka – uprzedził salowy. Był drobnym, żylastym typem i zachowywał się tak, jakby chodzenie dwukrotnie szybciej niż inni ludzie sprawiało mu przyjemność. – Pole magnetyczne wyrwałoby wszystkie metalowe przedmioty, które ma pan przy

sobie. Polecałyby przez salę jak odłamki granatu.

– Znam zasady – mruknął zdyszany gliniarz. Dźwigał przed sobą pokaźny brzuch sugerujący, że nader często spędza czas na pilnowaniu pacjentów. Gdy tylko dotarli do przedsionka komory rezonansu, grubas znalazł sobie krzesło, wyciągnął z kieszeni krzyżówkę „Timesa” i pochylił się nad nią z ołówkiem.

Salowy wzruszył ramionami i pomógł Norrisowi wstać.

– Proszę to dać radiologowi – powiedział, wręczając mu skierowanie, gdy tylko znaleźli się w komorze. Było to nieumeblowane, niezbyt duże pomieszczenie, w którym znajdowała się maszyna do badań metodą rezonansu magnetycznego: potężna, prawie trzymetrowa rura. Zaraz potem wyszedł, a masywne drzwi zatrzasnęły się za nim z brzękiem elektronicznego zamka.

Jak w komorze gazowej, pomyślał Norris, czując lekki atak klaustrofobii. Za jedynym oknem widać było stanowisko kontrolne z mnóstwem klawiszy i pokręteł, przy którym siedział mężczyzna w zielonym stroju, w tej chwili odwrócony do niego plecami. Technik reguluje maszynę, stwierdził.

Podszedł do tacy o rozmiarach noszy, na której miał wjechać do rury. Tam, w nieprzyjemnej ciasnocie, czekało go leżenie bez ruchu przez dobrych czterdzieści pięć minut.

Kto, do cholery, zafundował mi tę przyjemność? Norris uniósł skierowanie do światła.

„Rachael Jorgenson”.

A niech to... Przecież to była rezydentka i lala Hamlina. Dlaczego miałyby wypisywać dla mnie skierowanie? To jakaś pomyłka.

Od strony kabiny sterowania dobiegł go dźwięk brzęczyka. Naukowiec odwrócił się i zobaczył, że otwierają się małe drzwi. Do komory wszedł mężczyzna, który niedawno siedział przy konsolce. Teraz jednak Norris zobaczył jego twarz.

– Dobry wieczór, Jimmy – powiedział Richard Steele tonem tak swobodnym, jakby spotykali się towarzysko na polu golfowym.

– Hoo?! – zdumiał się badacz, zapominając na moment o uszkodzeniu aparatu mowy i regule milczenia, którą sobie narzucił.

– Słuchaj uważnie. Nie mamy wiele czasu – rzekł Richard. – Z tej kabiny jest przejście do pokoju radiologów. Tam znajdziesz ubranie i skradzioną kartę identyfikacyjną, która otworzy ci wszystkie drzwi aż do tylnej bramy szpitala. Na zewnątrz czeka samochód, a w nim kobieta imieniem Bunny i jej kochaś pilot, którego już znasz. Zawiozą cię na prywatne lotnisko, a stamtąd ktoś poleci z tobą do Franceski. Tylko spiesz się. Podejrzewam, że mamy najwyżej godzinę, zanim ktoś przyjdzie sprawdzić, co się tu dzieje.

Norris poczuł, że jego serce zaczyna bić jakby żwawiej. Czy to żart? Tak, Steele znęca się nade mną, kusząc szansą ucieczki i spotkania z Franceską, by w ostatniej chwili zatrzasnąć mi drzwi przed nosem.

– Iś to tiapła! – wycharczał.

– Jimmy, do ciężkiej cholery, zaufaj mi. To jedyna szansa. Nie zmarnuj jej.

Wydawało się, że Richard jednak nie żartuje. Może postanowił grać uczciwie, dumął Norris. Dlaczego nie spróbować? Jakkolwiek by było, nie mam nic do stracenia.

Ruszył w kierunku drzwi, nie pozwalając sobie jeszcze na zbyt wielką nadzieję. Przeszedł przez kabinę i trafił do pokoju, w którym rzeczywiście znalazł spodnie, skarpetki, buty i koszulę.

– Laczeho mi omaasz? – spytał, ubierając się pospiesznie, co nie było łatwe, odkąd stracił

dłoni.

– Pomagam, bo gdyby nie ty, Kathleen już by nie żyła, podobnie jak wielu innych ludzi. Problem w tym, że skoro masz tyle do zaoferowania rodzajowi ludzkiemu, to wtrącanie cię do więzienia po prostu nie ma sensu. Idź już.

Norris poczuł, że coś w nim pęka. Steele naprawdę grał uczciwie, i to nie mało ryzykując.

– Eesz miał łoty?

– Daj spokój, rezydenci myślą się bez przerwy, na przykład wypisując skierowania niewłaściwym pacjentom. Policjanci uwierzą, że kiedy już przypadkiem znalazłeś się tutaj, wykorzystasz okazję, ukradłeś komuś ubranie i zwiąłeś. Ja oczywiście nie mam z tym nic wspólnego.

– A jeśli Joohenson omuś owie?

– Nie powie nikomu o naszej cichej umowie; zresztą i tak nie ma dowodów. Poza tym jest mi bardzo wdzięczna, że nie wywlokłem na światło dzienne jej wielkiej, ale to bardzo wielkiej porażki. Takiej, która mogła złamać jej karierę.

Norris wyłowił z kieszeni spodni obiecaną kartę identyfikacyjną. Teraz dopiero dotarła do niego, niczym fala tlenu wdzierająca się do mózgu, radosna myśl: oto jest o krok od wolności. Ze wzruszenia zakręciło mu się w głowie.

– Sięję ci – powiedział, czując, że wilgotnieje mu oko. Po raz pierwszy, odkąd stał się mańkutem, wymienił z kimś mocny uścisk dłoni.

– Idź!

Kilka minut później Jimmy Norris był już przy bramie szpitalnej od strony Trzydziestej Czwartej Ulicy. Wiatr znad East River był chłodny jak wiosenny deszcz, a na usianym gwiazdami niebie nie widać było księżyca. Odpowiednia noc do latania, pomyślał. W połowie drogi do następnej przecznicy zauważył światła zaparkowanego samochodu, które włączyły się na moment i zgasły. Biegając w ich stronę, śmiał się i płakał równocześnie. Po kilku sekundach jechał już w dal pod opieką Bunny i Ralpa Coady'ego.

Epilog

„The New York Herald”,
niedziela, 2 września

Para lekarzy pracujących na Wielkim Kajmanie dokonała w ubiegłym tygodniu historycznego przełomu w medycynie, implementując dojrzałe komórki macierzyste pobrane ze szpiku udowego pacjenta do jego serca. Ich podopiecznym jest czterdziestopięcioletni Ralph Coady z Nowego Jorku, były pilot linii pasażerskich, który dziesięć tygodni wcześniej doznał silnego ataku serca. Zawał wywołał u niego znaczącą niewydolność serca, czyli poważne osłabienie mięśnia sercowego. Uczeni spodziewają się, że nowe komórki odbudują uszkodzone rejony serca i przywrócą im pełną sprawność już za sześć do dwunastu tygodni.

Niezwykłość dokonania pary naukowców polega między innymi na tym, iż oboje – doktor Francesca Downs i doktor James Norris – są obecnie ścigani w Stanach Zjednoczonych w związku z oskarżeniami o udział w niedawnym skandalu w nowojorskim szpitalu miejskim, gdzie podobno prowadzili nieautoryzowane badania nad komórkami macierzystymi, nie informując pacjentów o swoich poczynaniach. Władze na Wielkim Kajmanie konsekwentnie odmawiają ekstradycji pary lekarzy na kontynent amerykański. Za ich aprobatą doktorzy Downs i Norris weszli w skład zespołu prowadzącego centrum badań nad komórkami macierzystymi i ich zastosowaniem, założone przez meksykańską firmę Fountainhead Pharmaceuticals. Rzecznik prasowy nowego centrum poinformował, że zespół tworzą specjaliści z rozmaitych gałęzi medycyny regeneracyjnej, pochodzący dosłownie ze wszystkich zakątków planety, a sam ośrodek jest wprost bombardowany zgłoszeniami pacjentów, którzy pragną poddać się terapii.

Doktor Francesco Downs wypowiedziała się na ten temat nader zwięźle: „Jak widać, popyt istnieje. Naturalnie, będziemy otwierać podobne instytuty w innych krajach, których prawodawstwo sprzyja postępom nauki. Doktor Norris i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi, że nasza działalność, która może uratować życie tak wielu ludziom, ma szansę na pomyślny rozwój”.

Kathleen Sullivan odłożyła gazetę i spojrzała na Richarda. Tak bardzo go kochała. Tak głęboko wdzięczna mu była za jego oddanie i troskę, która ocaliła jej życie, ale... Na miłość boską, jaką właściwie machinę uruchomili, uwalniając Norrisa?